

O ścieżkach, które niepostrzeżenie
prowadzą na manowce, i o ciemności,
która mieszka w każdym z nas



**Naomi
Ragen**

N I C N I E M Ó W

Historia inspirowana autentycznymi
wydarzeniami

Prószyński i S-ka

Naomi Ragen

N I C N I E M Ó W

Historia inspirowana autentycznymi
wydarzeniami

PRZEŁOŻYŁA
ANNA MARIA NOWAK

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE DEVIL IN JERUSALEM
Copyright © 2015 by Naomi Ragen
All rights reserved
Projekt okładki
Agencja Interaktywna Studio Kreacji
www.studio-kreacji.pl
Zdjęcie na okładce
© Mohamad Itani/Trevillion Images
Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska
Redakcja
Joanna Habiera
Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech
Grażyna Nawrocka
ISBN 978–83–8097-301-5
Warszawa 2017
Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02–697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Yehudit Rotem,
jednej z najlepszych autorek
w Izraelu,
najdroższej, szczodrej,
wielkodusznej przyjaciółce

*Jak długo, Panie, całkiem o mnie
nie będziesz pamiętał?
Dokąd kryć będziesz przede mną oblicze?
Dokąd w mej duszy będę przeżywał wahania,
A w moim sercu codziennie zgryzotę...?*

Psalm 13¹

¹ Wszystkie cytaty z Pisma Świętego pochodzą z Biblii Tysiąclecia, Poznań 2006 (przyp. tłum.).

*Jeśli powstanie u ciebie prorok lub wyjaśniacz snów..
nie usłuchasz jego słów.*

Księga Powtórzonego Prawa 13,2

Prolog

Pewien rabin, żyjący przed wiekami, mawiał, że droga do piekła wiedzie przez pustkowia, morze albo Jerozolimę.

Tylko nieliczni spośród tych, którzy zapuścili się w brukowane uliczki za prastarymi, wyblakłymi murami świętego miasta i wędrowali głęboko poruszeni, skupieni na wyższych, świętszych sprawach, odczuwali obecność innego, mroczniejszego nurtu. On też stanowi nieodłączną część Jerozolimy, jej dziedzictwo. Właśnie tam, na południe od Ściany Płaczu, meczetu Al-Aksa i bazyliki Grobu Świętego, teren nagle opada i tworzy głęboki, ciemny jar pełen zielonych cieni. Na jego dnie wije się strumień Cedron.

Wąwóz, od imienia swego właściciela nazwany doliną syna Hinnoma, Gei Ben-Hinnom, z czasem stał się Gehenną, miejscem słynącym z zepsucia i nieprawości tak strasznych, że na zawsze odcisnęły tu swoje piętno, budząc grozę i przerażenie – nawet dziś, w czasach, gdy mało co jest w stanie nami wstrząsnąć. Miejscem, o którym prorok Jeremiasz grzmiał: „I zbudowali wyżynę Tofet w dolinie Ben-Hinnom, aby palić w ogniu swoich synów i córki, czego nie nakazałem i co nie przyszło mi nawet na myśl. Dlatego przyjdą dni – wyrocznia Pana – że nie będzie się już mówić o Tofet lub dolinie Ben-Hinnom, lecz o Dolinie Mordu; w Tofet będą grzebać zmarłych z braku innego miejsca. Trupy tego narodu staną się pożywieniem podniebnych ptaków drapieżnych i dzikich zwierząt na ziemi, których nikt nie odpędzi”.

Tu właśnie wzniesiono posąg Molocha, bóstwa o głowie byka i ciele człowieka. Stał z wyciągniętymi rękami, by przyjmować ofiary, podczas gdy z jego wielkiego, pustego brzucha buchał ogień rozpalony przez kapłanów. Okalało go siedem murów z siedmioma bramami. Ci, którzy przynieśli w ofierze ptaki, mogli przekroczyć pierwsze wrota. Ci z kozłami – drugie. Z owcami – trzecie. Z cielętami – czwarte. Z krowami – piąte. Z wołami – szóste. Przez siódmą bramę przechodzili jedynie ci, którzy przynieśli w ofierze swoje dzieci. Oni mogli zbliżyć się do bóstwa na tyle, by poczuć jego żar.

Rodzice całowali dziecko i składali je w rozpalonych do czerwoności ramionach Molocha. Werble dudniły coraz głośniej. Ich huk zagłuszał zawodzenie dziecka, by rodziców nie ogarnęła litość. Hinnom, jak powiadali mędracy, wcale nie oznaczało imienia. Pochodziło raczej od hebrajskiego czasownika *nohem*: jęczeć w agonii. Jedni uważali, że chodziło o jęki dziecka, inni – że rodziców. Jeszcze inni – może roztropniejsi – twierdzili, że chodziło

o jęki tych, którzy mogli tylko bezradnie się przyglądać.

W przeciwieństwie do majaczących w oddali nagich, białych wzgórz Morza Martwego na wieczność wypalonych ogniem i siarką za grzechy swoich mieszkańców, zaciszna, pełna zieleni Gehenna zdaje się wymarzonym miejscem na piknik dla nieświadomionej i tępej duszy – albo dla tych, którzy gotowi są zapomnieć o przeszłości i głęboko ją pogrzebać, popijając colę i zajadając się kanapkami w miejscu, gdzie niewinne dzieci padły niegdyś ofiarą wypaczonej idei świętości wyznawanej przez rodziców.

Część pierwsza

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zawodzenie syreny zburzyło spokój jerozolimskich uliczek, w których ciszę wcześniej mąciły tylko kroki mężczyzn wracających z porannej modlitwy. Karetka mknęła po niemal pustej drodze, porośniętej szpalerami starych drzew tulących się do białych, kamiennych domów postawionych w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku dla imigrantów. Dziś coraz częściej w ich miejsce wyrastały ekskluzywne, nowoczesne wille pokryte czerwoną dachówką. Na poboczu z prawej strony wyrastał Potwór, ulubiony plac zabaw jerozolimskich dzieciaków: ogromna, czarno-biała głowa z wielką paszczą, z której zamiast języka wysuwały się trzy krwistoczerwone zjeżdżalnie.

Na jej widok kierowca pomyślał o własnych dzieciach, a potem smutno potrząsnął głową, zerkając w lusterko wsteczne na nieruchomego chłopca wyciągniętego na noszach, wokół którego pochylali się ratownicy.

– Szybciej! – krzyknął jeden z nich.

Kierowca skręcił w długą, krętą drogę prowadzącą do szpitala Hadassa. Jeszcze tylko kątem oka zerknął na złociste wieże zabytkowego Monasteru Gornieńskiego górujące nad doliną Ain Karem, po czym skupił się na trasie, pędząc między nagimi zboczami porośniętymi ciemnymi krzakami przypominającymi ziarna pieprzu. Przed bramą szpitala ponagłajaco machnął do ochroniarzy, którzy szybko podnieśli szlaban i wpuścili go do środka.

Mężczyzna zahamował przed izbą przyjęć. Wyskoczył z szoferki, dopadł tylnych drzwi i otworzył je na oścież. Wyciągnął wózek i – podczas gdy jeden ratownik właczał powietrze do płuc chłopca, a drugi wysoko nad głową trzymał kroplówkę – przez labirynt morelowych korytarzy obwieszonych tabliczkami z nazwiskami darczyńców pędził na pediatryczny oddział intensywnej opieki medycznej.

– Nieprzytomne dziecko! Dopiero co przywrócone bicie serca! – krzyczeli ratownicy.

Pielęgniarki – niemal każda z nich mająca własne dzieci – natychmiast oblepiły wózek niczym opiłki żelaza magnes. Kierowca odstąpił powoli, z ciężkim sercem.

Przełożona rozsunęła siostry i podeszła do pacjenta.

Chłopczyk ma najwyżej dwa, może trzy lata, pomyślała. Wielkie oczy były zamknięte. Pulchną twarz cherubinka pokrywały blizny na różnym etapie gojenia. Najbardziej rzucał się w oczy czarnoniebieski siniak na prawej skroni. Pielęgniarka wsunęła stetoskop pod pizamkę.

– Wezwijcie doktora Freunda! – zawołała.

Przez tłum przepchnął się stażysta.

– Co się stało dziecku? Gdzie jest matka?

Nikt nie odpowiedział.

Kiedy pojawił się specjalista, pielęgniarki z ociąganiem wycofały się do dyżurki. Wolno kręciły głowami i niespokojnie zerkały przez ramię, wymieniając spojrzenia.

Chłopczyk miał na sobie miękką pizamkę Cartera, błękitną w żółte króliczki. Doktor Freund – doświadczony dziadek, wyprawiany na konferencje naukowe w San Diego i Nowym Jorku z długą listą zakupów – natychmiast rozpoznał tę amerykańską markę, choć nie miała w Izraelu swoich sklepów. Delikatnie podciągnął górę pizamy i rozpiął guziki. Na widok torsu chłopczyka aż się zachłysnął. Sądził, że po tylu latach obcowania z ludzkim ciałem, nawet najbardziej zmienionym przez chorobę, oswoił się ze wszystkim.

Ale to...

Odchrząknął, zdjął okulary i delikatnie ścisnął nos, dyskretnie usuwając śluz, który się tam zebrał.

– No i? Na co czekasz? – warknął do siebie i wziął się w garść.

Jedną rękę wyciągnął po formularze i prześwietlenia, a drugą szczypał palec chłopczyka i badał klatkę piersiową w poszukiwaniu oznak życia. Żadnej reakcji.

– Wiek? Waga? – spytał.

– Prawie trzy lata. Waga, mniej więcej... Nie było czasu – tłumaczył się ratownik.

Doktor Freund podniósł głowę.

– Gdzie jest matka? – powtórzył pytanie stażysty, który nie doczekał się odpowiedzi. Teraz też zapadła cisza. – Kto go tutaj przywiózł?

Ratownik z kroplówką przejął inicjatywę.

– O czwartej nad ranem dostaliśmy wezwanie. Na miejsce dotarliśmy po dziesięciu minutach. Leżał na podłodze. Serce przestało bić. Nie oddychał. W mieszkaniu nie było ani matki, ani ojca, tylko starsze rodzeństwo i jakiś chasyd, który przedstawił się jako znajomy rodziców. Powiedział, że pilnował

dzieci, kiedy chłopiec zaczął płakać i nagle stracił przytomność. Przywróciliśmy czynności życiowe, potem zawieźliśmy go do Shaare Zedek na tomografię.

– To dlatego wylądował tutaj? – spytał Freund, choć znał odpowiedź.

Shaare Zedek, choć to największy szpital w mieście, nie był przygotowany do ratowania dzieci z rozległymi obrażeniami mózgu. Lekarz zmrużył oczy i jeszcze raz przyjrzał się prześwietleniu.

– Wezwijcie anestezjologa dziecięcego. Powiedzcie, że to pilne. Chłopca trzeba natychmiast intubować.

– Tak jest, panie doktorze.

– Ktoś musi podpisać zgodę... Nie przyjechała z nim matka, ktoś z rodziny? Ratownicy wzruszyli ramionami.

– No to... A macie chociaż dane dzieciaka?

– Starszy brat powiedział, że chłopiec nazywa się Menachem, zdrobniale Menchie, Goodman.

Przechodząca obok pielęgniarka znieruchomiała.

– Goodman? Na pewno?

Lekarz spojrzał na nią pytająco.

– No bo... Kilka godzin temu zgłosiła się niejaka Daniella Goodman z innym dzieckiem. Czterolatkiem. Chłopiec miał poparzone nogi. Wysłaliśmy go na oddział oparzeniowy. Konieczny będzie przeszczep skóry.

– Jazda do telefonu – powiedział pediatra. – Wezwij policję.

ROZDZIAŁ DRUGI

Doktor Freund zastał ją przy łóżku. Siedziała cichutko. Szczupła, drobna. Jasne brwi, delikatne dłonie. W jednej trzymała książeczkę, z której bezgłośnie czytała psalmy, drugą zaś zaciskała bluzkę nad sercem. Sam nie wiedział, dlaczego spodziewał się kogoś starszego, tymczasem ona wyglądała na niewiele ponad dwadzieścia lat. Zdumiałby się, gdyby się dowiedział, że kilka lat temu skończyła trzydzieści.

Wyglądała na nieobecną duchem. Kołysała się lekko z przymkniętymi oczami. Na głowie miała biały szal. Cała reszta – począwszy od spódnicy opadającej na czubki butów, po bluzkę zakrywającą ramiona – również była biała. W takim stroju pobożne Żydówki zjawiały się w synagodze w wigilię Jom Kippur, błagając miłosiernego Boga, żeby podobnie wybielił ich grzechy, „choćby jak szkarłat były”. Jakież to grzechy chciała wybielić ta kobieta? – zastanawiał się pediatra.

Nie zareagowała, gdy wszedł. Nie podniosła głowy ani nie obejrzała się w jego stronę. Jej usta dalej poruszały się w bezgłośnie modlitwie. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak uosobienie pobożnej matki zaklinającej Boga, by uleczył jej chore dziecko. Nikt by się nie domyślił, że w tej chwili Daniella Goodman miała w głowie tylko jedną myśl: „Nic nie mów, nic nie mów, nic nie mów”.

– Pani Goodman? – odezwał się doktor Freund, przyglądając jej się nieufnie.

– Rebecin – poprawiła, nie podnosząc głowy.

– Rebecin – powtórzył, choć w duchu zżymał się na tę próżność i domaganie się wyrazów szacunku, w tej sytuacji co najmniej niestosowne.

Ze stolika wziął kartę następnego koszmarnie okaleczonego dziecka.

Chłopczyk miał cztery lata, był o rok, może nieco więcej, starszy od brata. Przerażliwie chudy, ciemnowłosy, z długimi, jedwabistymi lokami wokół twarzy. Leżał cicho, szeroko otwarte oczy wpatrywały się w przestrzeń. Łydki miał owinięte bandażami. Z jego ust nie dobywała się żadna skarga ani płacz. Wygląda apatycznie, jakby to go w ogóle nie dotyczyło, pomyślał zaskoczony lekarz. W miarę jednak, jak studiował kartę, jego zaskoczenie zmieniało się w zdumienie graniczące ze zgrozą.

– Boże! – wyrwało mu się.

Dopiero wtedy kobieta podniosła głowę i spojrzała na niego.

– A pan to...?

– Doktor Freund.

– Nie z panem wcześniej rozmawiałam. Pytałam poprzedniego lekarza, kiedy nas wypisze, ale nie odpowiedział. Może pan wie?

Mówiła po hebrajsku płynnie, ale z silnym amerykańskim akcentem, zauważył Freund. To wyjaśniało ubrania chłopca.

– Wypisać? Chce pani go zabrać? – spytał zszokowany, nie odrywając wzroku od karty.

...Ślady oparzeń na czaszce, karku, klatce piersiowej, obu ramionach. Długa blizna nad brzuchem; najprawdopodobniej pozostałość po przypalaniu gorącym przedmiotem, o czym świadczyłby wyraźny obrys oraz liczne przebarwienia skóry...

Lista ciągnęła się w nieskończoność. Ale najgorsze były:

...dwa rozległe, głębokie oparzenia trzeciego stopnia na całej długości łydek charakterystyczne dla obrażeń powstałych na skutek polania gorącym płynem, zanurzenia we wrzącej cieczy lub przyłożenia do rozpalonego przedmiotu i przytrzymania siłą. Oparzenia na obu nogach stanowią swoje lustrzane odbicie, co każe przypuszczać, że powstały na skutek tych samych działań. Trudno oszacować, kiedy dokładnie zadano obrażenia, ponieważ należy brać pod uwagę liczne czynniki, między innymi stan zapalny, drapanie, domorośłe próby leczenia. Uszkodzona tkanka wymaga interwencji chirurgicznej oraz rozległych przeszczepów skóry.

Freund zdjął prześcieradło, żeby zbadać zmasakrowane ciało i zabandażowane nogi chłopca. Z karty wynikało, że w obu ranach pojawił się stan zapalny, a mimo to dziecko sprawiało wrażenie, jakby w ogóle nie odczuwało bólu. Pewnie dostało morfinę. Dużą dawkę, zgadywał pediatra. Oczywiście nikt chętnie nie podaje dziecku narkotyku, ale w tym przypadku... Zaraz, w karcie nie ma wzmianki o morfinie. Freund doszukał się tylko informacji o ibuprofenie. Ani słowa o innych lekach przeciwbólowych.

– Za... Za... Zaraz wracam – mruknął bardziej z przyzwyczajenia niż z chęci komunikowania się z tą dziwną, niewzruszoną jak głaz kobietą, siedzącą przy łóżku syna.

Wypadł na korytarz, rozglądając się za pielęgniarką. Przy drzwiach czekało dwóch mężczyzn, jeden w mundurze policyjnym.

– Doktor Freund? Detektyw Morris Klein, a to mój partner, Cohen.

Lekarz podniósł rękę. Później porozmawiają. Szybko złapał jakąś siostrę.

– W karcie małego Goodmana nie widzę informacji o lekach przeciwbólowych. Co bierze i w jakiej dawce?

Spuściła wzrok, kręcąc głową.

– Niczego nie bierze, panie doktorze. Jedynie ibuprofen. A i to tylko dlatego, że nalegamy.

Znieruchomiał.

– Co takiego?!

Wzruszyła ramionami.

– Sprawia wrażenie, że nic go nie boli, więc...

Włosy zjeżyły mu się na karku.

– Przecież to niemożliwe.

– Wiem – odparła. – Nam też nie mieści się to w głowie. Nawet kiedy zmieniamy opatrunek na nagiej skórze, nie płacze ani się nie skarży. Jakby... to go nie dotyczyło.

Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz. Do dziś pamiętał zaprawionego w bojach żołnierza z podobnymi obrażeniami. Podczas zmiany opatrunku wył jak zwierzę, niemal chodził po ścianach z bólu. A to przecież był mały chłopczyk. Dziecko.

Niewyobrażalne. Nienaturalne. Niewytłumaczalne i niepojęte, nawet dla tak doświadczonego lekarza jak on, specjalisty w leczeniu najcięższych przypadków. Nigdy jeszcze nie miał do czynienia z czymś takim.

– Rozmawiała pani z matką? Wyjaśniła, jak to się stało?

– Od kiedy ich tu przywieziono, nie odezwała się ani słowem.

– Przywieziono? To znaczy, że sama nie wezwała karetki?

– Nie. Sprawą zajęła się opieka społeczna. Chłopca przywieziono wbrew woli matki.

– O której?

– Skierowano go do nas z ostrego dyżuru wczoraj po południu, bodaj o piątej.

I zaledwie kilka godzin potem do szpitala trafił jego młodszy braciszek! Doktor Freund poczuł, jak znikają jego wątle wyrzuty sumienia. Dobrze zrobił, wzywając policję.

Wrócił do funkcjonariuszy.

– Proszę, niech panowie pójdą ze mną.

Daniella podniosła na nich wzrok. Zamknęła modlitewnik i odłożyła go na bok.

– Ima! – zaszlochało nagle dziecko, spłoszone widokiem tyłu obcych ludzi. Małymi rączkami kurczowo chwyciło się matki.

– Kto ci to zrobił, Eli? – odezwał się policjant. – Kto cię przypalił?

– Nie mów! – ostrzegła syna, który wtulił buzię w jej ubranie. – Nic nie mów, nic nie mów, nic nie mów...

Mężczyźni aż się cofnęli, widząc ten kontrast między ewidentnym przywiązaniem i miłością dziecka a bezwzględными słowami matki.

– Możemy wyjść z panią na chwilę i porozmawiać, pani Goodman? – spytał uprzejmie detektyw Klein.

– Rebecin – poprawiła, odrywając ręce dziecka i wstając.

Ku zaskoczeniu mężczyzn, chłopczyk nie zaprotestował, tylko posłusznie wczuł się pod przykrycie. Kobieta zaś, eskortowana przez policjantów, ruszyła za lekarzem, który poprowadził ich do pustej sali konferencyjnej.

– Zechce pani spocząć? Nazywam się Klein, jestem policjantem i muszę zadać pani kilka pytań.

– Otwórzcie drzwi! – zażądała.

Mężczyźni spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Po co? – spytał doktor Freund.

– Mężatka nie może siedzieć w zamkniętym pomieszczeniu z mężczyzną, który nie jest jej mężem, ojcem albo bratem. Nawet z synem nie uchodzi... To nakaz religijny. Jichud – dodała pobożnie.

– Daruj sobie te gadki, kobieto! – uciął ostro Klein. – Powiedz, co się stało twoim dzieciom. Kto im to zrobił?

W pierwszej chwili nie zareagowała na liczbę mnogą: „dzieciom”. Może dlatego, że skupiała się na tym, co ma za chwilę powiedzieć – co każe jej wygłosić Mesjasz. Przygotowywała się, ćwiczyła jak dziecko przed szkolnym przedstawieniem, ale wciąż nie była pewna swoich kwestii. Wsunęła rękę do kieszeni spódnicy w poszukiwaniu kartki, na której wszystko zapisano na wypadek, gdyby zapomniała. Ale ona nie zapomni. Za nic. Raczej by umarła.

– W naszym mieszkaniu w Starym Mieście wybuchł pożar. Koc za blisko elektrycznego grzejnika. Dziecko się poparzyło. Zaprowadziliśmy je do prywatnego lekarza. Rany już się goją. Każdy to widzi.

– Kiedy doszło do wypadku? – spytał doktor Freund.

– Dwa tygodnie temu.

Zerwał się z miejsca.

– To znaczy, że dziecko od tygodni chodzi z tymi poparzeniami?

– Zabrałam go do specjalisty od oparzeń! Osoby, do której wszyscy w naszej wspólnocie zwracają się o pomoc!

– Osoby czy lekarza? – spytał z naciskiem detektyw.

– Nie prosiłam o dyplom.

Klein zajrzał do notatek.

– Kim jest rabbanit Chana Toledano?

Poderwała głowę.

– Przyjaciółką, uzdrowicielką, która zgodziła się nim zaopiekować.

– A dlaczego zaprowadziła pani czterolatka do przyjaciółki, zamiast sama się nim zająć?

– Mówiłam. Wybuchł pożar. Musieliśmy na jakiś czas się wyprowadzić. Eli potrzebował spokoju i odpoczynku. Przygarnęła go z dobrego serca. To był z jej strony *chesed*, miłosierny uczynek.

– To ona zawiadomiła pomoc społeczną. Twierdzi, że prosiła panią o kartę ubezpieczenia zdrowotnego, żeby zawieźć chłopca do szpitala, gdzie opatrzone by rany, ale pani odmówiła. Twierdzi, że jeszcze tego samego dnia zjawiała się pani u niej i zabrała syna. Czy to prawda?

– Uznałam, że ja, matka, lepiej zaopiekuję się synem niż ona, obca kobieta.

– Przed chwilą nazwała ją pani przyjaciółką. Dlaczego zostawiła pani chore dziecko pod opieką obcej osoby?

Spuściła wzrok, mocniej zacisnęła palce na modlitewniku.

– Słucham. Niech pani odpowie – naciskał detektyw Klein.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujecie.

– Może na przykład prawdy? Ot, dla odmiany – warknął policjant.

– Kocham swoje dzieci! Jestem dobrą matką! Troszczę się o syna!

– Jak?

– Chyba widać! Siedzę przy nim w szpitalu, nie?

– Tylko dlatego, że opieka społeczna przysłała do pani policję, po tym jak zadzwoniła do nich zaniepokojona rabbanit Toledano – uciął sucho policjant. – Ale do pani syna i jego oparzeń wrócimy później. Teraz proszę nam wyjaśnić, rebecin Goodman, dlaczego drugi pani syn, trzylatek, trafił nieprzytomny na izbę przyjęć?

Zdumiona podniosła głowę. Tym razem jej ból był prawdziwy, przytłaczający.

– Menchie? Mój Menchie?

Po raz pierwszy lekarz i policjanci dostrzegli na jej twarzy ludzkie

uczucia.

– Muszę do niego iść!

Zerwała się i rzuciła do drzwi. Detektyw zabarykadował sobą wyjście.

– Gdzie jest pani mąż? – spytał.

– Który? – spytała cicho, spuszczaając wzrok.

Mężczyźni unieśli brwi.

– Chyba pani nas nie zrozumiała. Pytaliśmy o pani męża – drążył policjant.

– Jestem rozwódką.

– Ponownie wyszła pani za mąż?

Zaskakująco długo wahała się, zanim w końcu pokręciła przecząco głową – co nie uszło uwagi Kleina.

– A zatem pani były mąż. Mógł to zrobić?

– Tłumaczyłam już. Zdarzył się wypadek. Zresztą, nie widziałam Shlomego... od... – Urwała, jakby nagle się rozmyśliła. – Mogę już iść do mojego synka?

– Nie. – Lekarz potrząsnął głową. – Najpierw niech pani wszystko wyjaśni. Proszę siadać!

– Błagam! A cóż ja mogę wyjaśnić? Siedziałam przy małym całą noc!

Detektyw Klein i drugi policjant wymienili spojrzenia, bezradnie wzruszając ramionami. Tym razem przynajmniej wiedzieli, że nie kłamie.

– Niech pan ją puści. – Klein zwrócił się do lekarza.

– Skoro pan tak mówi – niechętnie ustąpił doktor Freund.

Czuł złość i niesmak, niczym kinoman zmuszony do oglądania odrażających scen przemocy, na które nikt go nie przygotował, gdy kupował bilet.

ROZDZIAŁ TRZECI

Daniella Whartman i Steven (Shlomie) Goodman poznali się w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku na letnim obozie organizowanym przez społeczność ortodoksyjnych żydów w północnej części stanu Nowy Jork. Ona miała siedemnaście lat – nad wiek rozwinięta absolwentka żydowskiej szkoły średniej w Pittsburghu, on miał dwadzieścia – świeżo nawrócony żyd z zeświecczonej rodziny, który od bar micwy, kiedy to odkrył Boga, nieoczekiwanie odnalazł radość i nowe życie.

Niektóre zapachy do dziś przypominały Danielli tamten okres: mokre kostiumy kąpielowe, rozjaśniacz do włosów Sun-In, słodkawa woń soku malinowego podawanego w dużych, plastikowych dzbankach nazywanych przez obozowiczów „łapkami na muszki”. To był jej szósty obóz, ale pierwszy w charakterze opiekunki. Wcześniej jeździła jako *chanicha*. Uczestników nazywano *chanichim*, co po hebrajsku oznacza ucznia. Zachęcano ich, by rozmawiali w tym języku, bo jego znajomość przyda się, kiedy wyjadą do Izraela, by budować ojczyznę. Takie w każdym razie założenie przyświecało organizatorom obozów.

Co innego kierowało rodzicami, którzy co rok wykładali okrągłą sumkę na wyjazd pociech. Ci wierzyli, że ich potomstwo nasiąknie tam żydowską tożsamością i stanie się odporne na podstępny urok szajgeców i sziks.

Kiedy organizatorzy zaproponowali Danielli pracę, matka – która uważała, że przyzwoitość nakazuje, by córka odzyskała drobną część tego, co oni rokrocznie musieli wyłożyć – nalegała, by ją przyjęła. Choć to były ostatnie wakacje przez wyjazdem do college’u, Daniella, której marzeniom o włóczędze z przyjaciółmi po Europie i Izraelu właśnie brutalnie położył kres rodzinny kryzys finansowy – prawdziwy bądź wymaginowany – niechętnie się zgodziła.

– Nie wiem, jak wysupłamy pieniądze na college. Zwłaszcza teraz, gdy ojciec został bez pracy... – dramatyzowała matka.

Daniella doskonale wiedziała, że to tylko szantaż emocjonalny. W końcu jej pradziadek założył sieć sklepów jubilerskich istniejących do dziś. Pochodziła z zamożnej rodziny.

– To pieniądze babci, nie nasze – ucinała matka, ilekroć pojawiał się ten temat.

Co nie zmieniało faktu, że prowadziła największy sklep i miała dobrą

pensję. A córka jakoś nie widziała, by oszczędzała na własnych przyjemnościach, chociażby kiedy praktycznie nowy samochód wymieniała na jeszcze nowszy.

Mimo to Daniella nie narzekała. Lepiej wyjechać na obóz jako opiekunka, niż kisić się w Pittsburghu w nieznośnie parne lato.

W programie była koszykówka, kajaki, łucznictwo i pływanie przeplatane z modlitwą, rozważaniami biblijnymi, a także warsztaty – *omanut* – podczas których ślęczeli nad metalowymi uchwytami na mezuzę i glinianymi menorami. Owszem, ściśle przestrzegano surowych, ortodoksyjnych zasad – ale bez przегięć takich jak na wielu obozach chasydzkich, gdzie chłopcy i dziewczęta byli od siebie odseparowani. Co prawda nie organizowano potańcówek ani zajęć koedukacyjnych, ale też obu grup sztucznie nie rozdzielano i mogły swobodnie się mieszać.

Pierwsze miłości na ogół ujawniały się w czasie tradycyjnych piątkowych nocnych spacerów nad słabo oświetlonym jeziorem. To wszystko było tak niewinne – dzieciaki miały skutecznie wbity do głowy zakaz *negiah*, fizycznego kontaktu – że nawet najodważniejsi nie posuwali się poza trzymanie się za rączki i skromny pocałunek. A choć zapewne czasem trafił się buntownik, który poszedł krok dalej i całował się z języczkiem, nikt nie dotarł dalej – do dotykania piersi. A jeśli ktoś myślał o pójściu na całość... Niech lepiej marzy, żeby zostać białym gojem w Norwegii. To prędzej się ziści.

Soboty – dzień szabatu – były zarezerwowane na wspólne modlitwy i świąteczną kolację połączoną ze zbiorowym śpiewem szabasowych pieśni. Stoliki rywalizowały ze sobą, kto kogo zagłuszy, by dowieść, ile *ruach* mają w sobie. Wziąwszy pod uwagę, w jak zmaterializowanym i konsumpcyjnym świecie wychowywali się rozpущzeni *chanichim* Ameryki lat dziewięćdziesiątych, *ruach* – duch, duchowość – było czymś, co organizatorzy pragnęli zaszczepić młodemu pokoleniu.

Ich wysiłki wieńczył połowiczny sukces.

Chłopcy, owszem, mówili po hebrajsku i uczęszczali na zbiorowe modlitwy, ale i tak nosili koszule od Izoda z postawionym kołnierzykiem, a włosy stawiali na żel. Dziewczęta z kolei chętnie piekły chały i robiły szydełkowe jarmułki, ale za to spryskiwały włosy rozjaśniaczem i nie wyobrażały sobie butów innych niż Birkenstock, Skort czy martensy.

Daniella oczywiście nie zdawała sobie z tego sprawy, ale tamtego lata wyglądała prześlicznie. Młodzieńcza, smukła sylwetka tancerki rysowała się

pod wodą, gdy płynęła stylem klasycznym, a jej jasne ramiona i blond włosy rytmicznie wynurzały się nad powierzchnię.

Chłopcy naturalnie ją zauważyli. Wszyscy. Ona zaś też to dostrzegała. A jednak, choć potajemnie myślała o płci przeciwnej, wychowanie i szkoła tak pogłębiły wrodzoną nieśmiałość, że nawet w marzeniach chłopiec automatycznie łączył się z małżeństwem.

W przeciwieństwie do większości koleżanek nie chciała „złapać” lekarza, prawnika albo inżyniera z ortodoksyjnej rodziny. Daniella, która urodziła się w zamożnej rodzinie, nigdy nie myślała o pieniądzach. Pragnęła jedynie szczerości i autentyzmu. Marzyła o kimś, kto będzie pragnął innego życia niż to, które znała: ciasta dawnych wartości duchowych i obrzędów religijnych, polanego grubą warstwą materializmu, gdzie wiara stanowiła część społecznego konwenansu, nie dotykała serc ani umysłów wyznawców, klepiących wyuczone na pamięć modlitwy, podczas gdy wzrok błąkał się w poszukiwaniu atrakcyjnych przedstawicieli płci przeciwnej lub oceniał wygląd zebranych. Nie wyobrażała sobie, by swoje wymarzone życie mogła wieść w Ameryce. Dlatego w przeciwieństwie do koleżanek, często myślała o wyjeździe do prawdziwej ojczyzny Żydów. Inspiracji nie stanowiły dla niej podniszczone, czarno-białe syjonistyczne kroniki filmowe z lat pięćdziesiątych przedstawiające kibuce, a w nich dziewczęta, które w skandalicznie kusych szortach i dziwacznych kapeluszach podkuwały konie w strasznie zakurzonych kuźniach. Kierowała się raczej słowami samej Biblii, a konkretnie fragmentem Księgi Rodzaju, gdzie w dwunastym rozdziale w wierszach od pierwszego do trzeciego zapisano: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twojego ojca do kraju, który ci ukażę”. Jako córka Abrahama nie miała wątpliwości, że Bóg przemawia również do niej.

Oboje rodzice gwałtownie sprzeciwiali się jej pomysłowi. Danielli wydawało się, że długo będzie musiała czekać, by spełnić swoje marzenie, gdy przez rodzinę nagle przetoczyło się tsunami, zniszczyło wszystko, co napotkało na drodze, a ją porwało i wyniosło samą na pełne morze.

A zaczęło się niewinnie w połowie liceum, kiedy ojciec stracił stanowisko kierownika działu kadr w niewielkiej firmie ubezpieczeniowej wchłoniętej przez olbrzyma. Jeśli wierzyć jego wersji, w żaden sposób nie mógł znaleźć nowej pracy. Mijały miesiące. Zaczęły się kłótnie połączone z trzaskaniem drzwiami. Ojciec się ciskał, matka pozostawała nieugięta, wrzeszczała, że nie zamierza pokrywać rachunków majątkiem jej rodziny. Potem było już tylko

żałości. Ojciec musiał zebrać o każdy grosz, a jednocześnie resztkami sił próbował ratować rodzinę. Niestety, jako ubogi chłopak, który wzenił się w bogatą rodzinę, a sam wiele w życiu nie osiągnął, stał na straconej pozycji i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

A choć Daniella potrafiła zrozumieć zawód i gniew matki, nie umiała wybaczyć skwapliwości, z jaką ta wystąpiła o separację, a potem o rozwód; uważała to za jawną niesprawiedliwość. W końcu chodziło o jej ojca. Kochała go. Poza tym władza i sukces nie przesądzają o wartości mężczyzny. Dla niej liczyły się przede wszystkim dobroć i łagodność. On zaś zawsze okazywał jej sporo serca – choć nieszczególnie dużo uwagi – i był porządnym człowiekiem. Daniella nie traciła nadziei, że z czasem matka to doceni i wycofa pozew. Chyba nawet zdecydowali się na terapię małżeńską.

Teraz leniwie wygrzewała się w rozgrzanej trawie, szczupłym ramieniem osłaniając ładne brązowe oczy przed popołudniowym słońcem.

– Gotowa na spotkanie z małymi potworami?

To był Mark, opiekun chłopców i instruktor pływania.

– W sumie tak – odparła, po czym usiadła i szczerzej owinęła ręcznik wokół skromnego kostiumu kąpielowego. Szybko wsunęła pod czepek Speedo jasne, długie włosy.

Chłopak miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był dwa lata starszy od niej. Gładki, męski tors, szczupłe, umięśnione uda. Ciemna grzywka zasłaniała roześmiane, niebieskie oczy, które uroczo marszczyły się w kącikach, kiedy odgarniał włosy, mrużąc powieki przed mocnym słońcem. Choć nosił jarmułkę – jak wszyscy mężczyźni na obozie – Daniella bez trudu domyśliła się, że nie należy do tych, którzy w każdej wolnej chwili ślęczą nad Talmudem. Wiedziała też, że wszystkie dziewczęta za nim szaleją. Ale nie ona.

Zerwała się, po czym z opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w stopy ruszyła w stronę dziewczynek ustawiających się w rzędzie przed zajęciami pływania.

– No to, do zobaczenia, Daniello! – zawołał z nadzieją.

Jego męska duma ucierpiała tylko odrobinę. Wszyscy wiedzieli, że Daniella jest nieśmiała, poważna i bardzo pobożna.

Pod koniec pierwszego tygodnia przybył jeszcze jeden opiekun. Przedstawiono go tuż przed piątkową modlitwą wieczorną.

– Oto Shlomie, nasz kantor. Będzie dbał, by *ruach* wiał mocniej – zapowiedział główny opiekun, pyzaty Izraelczyk żonaty z obozową

pielęgniarką.

Daniellę zaintrygował ten opis. Ich repertuar na ogół ograniczał się do starych hebrajskich piosenek rockowych, które wieki temu reprezentowały Izrael na Eurowizji: utworów takich jak *Abanibi Aboebe* czy *Hallelujah*. W tym roku jednak królował aktualny przebój, *Kan noladeti* („Tu się urodziłem i tu urodziły się moje dzieci / Tu własnymi rękami postawiłem swój dom / i tu dobiegła końca moja wędrówka rozpoczęta dwa tysiąclecia temu..”). Daniella lubiła ten utwór i ciekawiło ją, w jaki sposób kantor zamierza przebić coś takiego.

Okazał się szczupłym brunetem, zaledwie odrobinę wyższym od niej, o pięknych, niebieskich oczach, smukłym nosie i wysokim czole. Gęste, ciemne włosy miał krótko przystrzyżone, ale bokobrody sięgały aż do żuchwy. Zastanawiała się, czy to świadome działanie – manifest religijności – czy po prostu abnegacja. Za tym ostatnim przemawiałyby pomięte, niemodne spodnie sztruksowe i sfatygowany T-shirt z napisem „Coca-Cola” po hebrajsku.

Wtedy zaczął śpiewać.

Jego silny, melodyjny tenor każdej nucie, każdemu utworowi nadawał nowe, zupełnie inne brzmienie. Daniella pomyślała, że Shlomie śpiewa tak samo, jak się uśmiecha: radośnie, niewinnie i szczerze, z niewyobrażalną słodyczą, czystą, nieskałaną i zdrową jak szklanka mleka. Uśmiech ten rodził się w oczach: błękitnych, radosnych sadzawkach przypominających morze na Bahamach, w którego głębiach nie krył się żaden mrok. Wydawało się, że można zajrzeć przez nie aż na samo dno jego nieskomplikowanej duszy.

– Rodzice chcieli, żebym studiował, ale ja pojechałem do Izraela – opowiadał przy sobotnim ognisku. Daniella wyjątkowo dołączyła do grupki, usiadła naprzeciwko niego, ale tylko patrzyła i słuchała.

– A jednak wróciłeś – zauważył ktoś.

– Na krótko. – Z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Jak tam było?

– Wysiadłem z samolotu i natychmiast poczułem, jakbym rzeczywiście, tak naprawdę przyjechał do domu. Nie potrafię wam tego wytłumaczyć. To po prostu czujesz. Gdzieś w trzewiach, żołądku. W duszy.

Jej nie musiał tłumaczyć. Czują, że rozumie go doskonale.

Sięgnął po gitarę i zaczął brzdąkać.

– To *chawdala nigun* według rebego Shloma Carlebacha – zapowiedział, delikatnie trącając struny gitary, akompaniując melodii.

Im dłużej śpiewał swoim głębokim, czystym głosem, tym bardziej ta pieśń nabierała znaczenia, wypełniała serce Danielli, budziła przemożną tęsknotę za czymś nieokreślonym, ale rzeczywistym; czymś trwałym i dobrym. Słuchając go, miała wrażenie, że Shlomie zdradza im jakąś tajemnicę. Śpiewał tak długo, aż wszyscy się dołączyli. Wtem bez uprzedzenia zmienił tempo, przyspieszył, aż dali się porwać szaleńczemu rytmowi, klaszcząc jak zahipnotyzowani.

Płomienie ogniska pryskały iskrami, które frunęły ku granatowemu niebu i rozświetlały radosne twarze młodzieży. Shlomie odłożył gitarę i wstał. Kołysał się, poruszając ramionami w rytm muzyki. Przymknął oczy, a jego młodzieńcze rysy stężały, gdy kręcił głową to w jedną, to w drugą stronę. I oto nagle wszyscy zerwali się na nogi, tańczyli, klaskali co sił w dłoniach, śpiewali na całe gardło, jakby znaleźli się w mocy czegoś potężniejszego niż oni, magicznego; czegoś, co nawet Daniellę wyrwało z jej nieśmiałości. Zerwała się, pozwoliła, by ciało samo znalazło swój rytm, kołysało się i poruszało.

Marzyła, by ta chwila nigdy się nie skończyła. A kiedy jednak dobiegła końca, zobaczyła, jak Shlomie patrzy na nią ze swoim cudownym, czystym uśmiechem. Odpowiedziała tym samym, wciąż oszołomiona, z cudownym dreszczem w żołądku.

Do końca wakacji żadne nie miało śmiałości, by zaprosić drugie na spacer sam na sam. Spotykali się wyłącznie w grupie. Dopiero przy pożegnaniu na zakończenie obozu Daniella poczuła, że musi do niego podejść.

– Bardzo mi się podobał twój śpiew – powiedziała.

– O, dzięki. A mnie bardzo, ogromnie podobał się twój taniec – odparł nieśmiało.

Zapadła krótka cisza.

– Jestem taki szczęśliwy... To znaczy... Cieszę się, że... Rozumiesz... Że się poznaliśmy – odezwał się cicho.

Na chwilę zabrakło jej tchu.

– I... ja też – wyszeptała drżącym głosem, onieśmielona i nieprzygotowana, jakby miała dwanaście lat i była jedną ze swoich *chanichim*. – Jakie masz plany na najbliższy rok?

– Och, pewnie rozejrzę się za pracą w oświacie. Albo poszukam zajęcia w jakiejś organizacji młodzieżowej.

– Na przykład w Bnej Akiwa?

– Może. Albo Ezra.

Ruch Bnej Akiwa był koedukacyjny. Ezra – jego surowszy odpowiednik – nie. Daniella zastanawiała się, czy to ma znaczenie i czy mówi coś o Shłomiem.

– Gdzie zamieszkasz?

– Pewnie tam, gdzie znajdę pracę.

Beztróska wzruszył ramionami.

– Nie wyglądasz na zatroskanego – zaśmiała się.

– Bo nie zależy mi na tym. To wszystko prowizorka. Wrócę do Izraela, kiedy tylko uda mi się przekonać rodziców, żeby wyrazili zgodę.

– O, to... świetnie. Ja też zamierzam się tam wybrać w przyszłe wakacje, po pierwszym roku.

– Studia? Już?

Skinęła głową.

– Przyjęli mnie na Uniwersytet Pensylwanii.

Zagwizdał bezgłośnie.

– Musiałaś mieć naprawdę dobre oceny.

Wzruszyła ramionami, by umniejszyć swój sukces.

– Lubię czytać.

– Co będziesz studiowała?

– Myślałam o medycynie.

I znów bezgłośnie zagwizdał z podziwem.

– Fantastycznie. Ileż dobra czynią lekarze! Są pomocnikami Boga.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Chcę nieść dobro.

– I na pewno będziesz je niosła, Daniello.

Nagle nie zostało już do powiedzenia nic – albo wszystko. To jednak zależało od niego, uświadomiła sobie z nadzieją, że zdobędzie się na odwagę i poprosi ją o numer. Nie zrobił tego. Rozczarowana i nieco dotknięta sięgnęła po torbę.

– No to cześć. I powodzenia ze wszystkim.

– Och, nawzajem, Daniello. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Odłożyła torbę.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

Uśmiechnął się, ale nic nie dodał.

Znów wzięła torbę i wsiadła do autobusu. Przez całą podróż do

Pittsburgha siedziała z czołem przyklejonym do szyby, za którą nagle się rozpadało, zeszytniała z zimna, z oczami wilgotnymi z żalu. Jednym uchem słuchała, jak jedna z opiekunek planuje zakupy odzieżowe na zbliżające się Święto Trąbek, Rosz ha-Szana. Ogarnęło ją przygnębienie.

Wreszcie stanęła przed drzwiami pięknej wiktoriańskiej willi, w której mieszkała od dziecka. Nie wyobrażała sobie innego domu. Nacisnęła dzwonek. Była zawiedziona, kiedy nikt jej nie otworzył. Wyciągnęła klucze.

– Mamo?! – zawołała przez otwarte drzwi.

– Wyszła – odpowiedziała pokojówka, wynurzając się z sutereny.

– O, cześć, Emeldo. Zastałam tatę?

Smutne, ciemne oczy kobiety posmutniały jeszcze bardziej.

– Och, panienko Daniello. Panienki tatuś wziął się wyprowadził.

W niedzielę.

– Super. Cóż, dzięki, że mi powiedziałaś.

Wbiegła na górę do swojej sypialni. Zatrzasnęła za sobą drzwi i cisnęła walizkę i torby na grubą, różową wykładzinę. Rzuciła się na łóżko, szłochała i moczyła łzami śliczną, satynową narzutę.

Matka, która pojawiła się trzy godziny później, nie wyglądała na skruszoną.

– Musiało się tak skończyć, Daniello. Nie jesteś dzieckiem, rozumiesz sytuację. Dłużej nie dało się tego ciągnąć. To nikomu nie służyło.

Wpatrywała się w usta matki, formułującej słowa, ale żadnego nie słyszała. Miała wrażenie, że patrzy w jakiś rozdziawiony, gąbczasty lej w ruchomych piaskach pochłaniający ludzi w całości. Im bardziej się szamoczesz i walczysz, tym głębiej cię wciąga. Wszelkie próby podjęcia dyskusji z matką zawsze kończyły się klęską.

Następnego dnia zadzwonił ojciec i zaprosił Daniellę na kolację. Gdy usiadła naprzeciwko niego w ciemnej restauracji, zdała sobie sprawę, że w sumie rozmowa z nim jest równie bezsensowna, jak z matką. Kompletnie stracił kontakt z rzeczywistością, jak katarynka powtarzał farmazony o „krótkiej przerwie” i o tym, że ani się obejrzą, „a wszystko wróci do normy”. Na wszelkie rzeczowe pytania – jak sobie poradzi, gdzie zamieszka, co zamierza ze sobą zrobić – reagował milczeniem.

Jakże jej teraz brakowało Joela! Jego śmiałości, nonszalanckiego zdrowego rozsądku, poczucia humoru, a przede wszystkim braterskiej rady. Niestety, starszy brat wyjechał do Bostonu na letni staż w prestiżowej

kancelarii adwokackiej. Gdy rozmawiali przez telefon, starał się podtrzymać siostrę na duchu, ale tak naprawdę potrzebowała, żeby ją przytulił i zabrał na długą wyprawę rowerem.

W tej sytuacji wyzalić mogła się tylko babci.

– Twój związek z tatą nie ma nic wspólnego z mamą. Pamiętaj o tym – poradziła jej roztropnie.

– Ale babciu, czy naprawdę musi tak podle go traktować?

Babka westchnęła.

– Skarbie, twoja mama jest twardą biznesmenką. Kieruje się zasadą minimalizacji strat. Zawsze uważała, że małżeństwo z twoim ojcem to był kiepski interes. Nie licz, że nagle obudzi się w niej wrażliwa duszyczka. Nic tu nie poradzisz.

Mimo to było jej żal ojca i jego pospiesznej wyprowadzki. Zwłaszcza że nie miała złudzeń: spotka ją to samo, kiedy matka odkryje, że inteligencja Danielli pozostawia wiele do życzenia, i na pewno nie osiągnie takiego sukcesu, jakiego oczekiwano. Szczególnie że zainwestowała w córkę tyle czasu i pieniędzy.

Daniella cieszyła się, kiedy wreszcie miała za sobą koszmarne krępujące kolacje Dziesięciu Dni Pokuty, które spędziła na miotaniu się między rodzicami, i wreszcie zaczął się rok akademicki. Ojciec zaproponował, że odwiezie ją do kampusu. Wyczerpany, poszarzały na twarzy szarpał się z jej walizkami.

– Postaraj się dobrze bawić. Nie ślęcz bez przerwy nad książkami – powiedział, kiedy ramię w ramię szli przez kampus.

– Oj, tato!

– Taaa... Cieszysz się, że mama mnie nie słyszy, co? Nie jest wszechwiedząca, Daniello. Pamiętaj o tym.

Westchnęła.

– Nie przejmuj się. To tylko tymczasowe rozstanie. Zobaczysz. Czasem oddalenie sprawia, że serce mięknie.

Spojrzała w jego ciemne, nieobecne oczy, które coraz częściej znikały pod ciężkimi powiekami, potem odwróciła wzrok, w milczeniu idąc z nim do bursy. Co miała powiedzieć? Tłumaczyć, że nie ma już nadziei? Lepsze takie marzenia niż żadne, pomyślała w duchu.

– No proszę. Całkiem ładnie – skomentował, stawiając walizki i przelotnym spojrzeniem obejmując pokój. Z roztargnieniem poklepał

Daniellę po ramieniu i ruszył do drzwi.

– Tato?

Obejrzał się.

– Hm?

– A reszta? W bagażniku są jeszcze moje rzeczy.

– O, to nie wszystko? Jasne. Dobrze, chodźmy po resztę.

Pracowali w milczeniu, jak para nieznajomych jadących razem windą: każdy czekał, żeby wysiąść na swoim piętrze. Zauważyła, że ubrania ojca wyglądały na nieuprasowane. A na swetrze była wyraźna plama. Zupełnie jakby niemowlęciu się ułało. Ale to pewnie jogurt. Skąd ojciec wzięłby dziecko?

Pocałowała go przelotnie.

– Trzymaj się, tato. Nawet gdyby mama... Nawet jeśli się nie... Jeśli wam... Nie licz... Nie licz na mamę.

– Znasz ją. Potrafi być twarda. Ale nie ze złości. Otrzeźwieje. Na pewno – mamrotał już do siebie, po czym kiwnął głową i zniknął na korytarzu.

Daniella została sama. Jedyne znajoma – masywna, dość ponura dziewczyna z jej grupy w Bnej Akiwa – wybrała historię sztuki i wynajęła mieszkanie poza kampusem. Współlokatorką Danielli okazała się grzeczna dziewczyna z Idaho. Na nazwisko miała McAllister. Daniella zastanawiała się, czy nie poprosić o zamianę – na kampusie nie brakowało dziewcząt z ortodoksyjnych żydowskich rodzin – ale uznała, że w końcu studia są po to, by poszerzać horyzonty. Zresztą McAllister też zamierzała zostać lekarką.

Mimo szczerych chęci i wysiłku, w Filadelfii nie czuła się dobrze. Kampus stanowił enklawę gojów, pełną obcych symboli i zależności. Daniellę przytłaczała nawet biblioteka i jej eleganckie okna z widokiem na kampus tonący w bujnej zieleni. Wszystko to wydawało się obce i wyniosłe. Oto idealne miejsce, by potomkowie purytanów z „Mayflower” albo dzieci zagranicznych oligarchów uczyli się o sławetnych pielgrzymach – pierwszych osadnikach na tych ziemiach – albo o wielkiej rewolucji francuskiej. Tylko co to miało wspólnego z żydówką z Pittsburgha? Danielli, od dziecka uczonej patrzenia na świat przez lornetkę wiary, dziedzictwa i żydowskości, Benjamin Franklin oraz ojcowie założyciele wydawali się maleńcy i odlegli, podczas gdy Majmonides, Raszi i Herzl srogo górowali nad horyzontem.

Próbowała się zaangażować w różnorodne, ciekawe programy dla

wierzących żydów. A było w czym wybierać: szabat, święta, Izrael, sprawiedliwość społeczna. Przez jakiś czas łudziła się, że znajdzie tam sobie miejsce. W końcu studenci nie różnią się od jej znajomych ze szkoły i z obozów. O ile jednak z tamtymi przyjaciółkami poznawała się i docierała latami, o tyle nowe środowisko przyjęło ją szorstko i chłodno, a próby nawiązania przyjaźni jej samej wydawały się nieszczerze i wymuszone. Prawdy nigdy do siebie nie dopuściła. Ta zaś wyglądała tak, że oddaliła się od samej siebie. Świeżą ranę po rozpadzie rodziny otuliła szczelnym kokonem, w obawie przed kolejnym zranieniem zamknęła się na nowe pasje, nowych przyjaciół, nowe pomysły.

Na dobrą sprawę mogłabym być sierotą, rozczulała się nad sobą, co wpływało na nią jeszcze bardziej destrukcyjnie. Była wściekła na matkę. Wobec ojca czuła litość z domieszką pogardy. Najbliżsi nie mieli już dla niej czasu. Nawet Joel zawiódł. Przepraszającym tonem szybko kończył rozmowy, tłumaczył się koszmarnie wymagającym ostatnim rokiem na Harvardzie i twierdził, że resztkami sił trzyma się na powierzchni. Poza tym, pod pozorną nonszalancją, z jaką podchodził do rodzinnej niedoli, z pewnością ukrywał własne rany, dodawała w duchu Daniella.

Czuła się samotna i zagubiona.

Do tego kurs przygotowawczy na studia medyczne okazał się tak trudny, jak słyszała. Nie miała czasu na nic. Każdą chwilę wypełniała jej nauka. Arytmetyka, geometria analityczna, podstawy biologii i bioróżnorodności, podstawy chemii, literatura angielska dla zaawansowanych, a do tego hebrajski, wybrany przez nią jako przedmiot fakultatywny. Przez cały pierwszy semestr czuła się, jakby brnęła pod górę w śnieżycę, wlokąc za sobą ciężkie sanie.

A przecież w szkole zawsze świetnie radziła sobie z matematyką i przedmiotami ścisłymi. Teraz coraz częściej zadawała sobie pytanie: A może to dlatego, że uczyłam się w jesziwie? W małej grupce koleżanek łatwo być geniuszem. Tutaj otaczali ją prymusi – większość z wyróżnieniem skończyła duże szkoły, gdzie toczyła się zacięta rywalizacja – bystrych i inteligentnych, którzy wszystko chwyтали w lot. Zmuszała się więc do jeszcze cięższej pracy, a im więcej się uczyła, tym większe było jej poczucie izolacji.

Semestr zaliczyła. Znośnie, ale nie błyskotliwie. Załamana poprzysięgła sobie, że w następnym poradzi sobie lepiej. Drugie półrocze przyniosło jednak kontynuację przedmiotów, z którymi już wcześniej ledwo sobie radziła, tyle że

na jeszcze wyższym poziomie. Męczyła ją bezsenność, a nawet jeśli zasnęła, rano budziła się z dudniącym sercem.

Zaniedbana fryzura straciła kształt, ale Daniella nie miała czasu na fryzjera, więc tylko wiązała włosy w niechlujny węzeł. Żywiła się głównie pizzą i colą na zmianę z makaronem z serem, wybierając najprostsze i najbardziej sycące dania. Jadła sama, w pośpiechu, ze wzrokiem wbitym w podręcznik. Wiadomości zlewały się w magmę: tabele okresowe mieszały się z wzorami matematycznymi i terminologią biologiczną. Wszystko to wirowało jej w głowie niczym srebrne rybki, losowo wyrzucając przypadkową informację, po czym znów mieszało się w jedną masę, kombinację barw, które razem tworzyły po prostu czerń. Daniella była zmęczona, rozdrażniona, samotna i przytłoczona przez stres.

Wymigiwała się od świątecznych odwiedzin, tłumacząc się nawałem pracy. Tylko Joel nie dał się nabrać.

– Wykończysz się, Daniello. Tak doprowadzisz się do szaleństwa, a nic nie jest tego warte.

Ona jednak nie mogła zawieść. Nie mogła wrócić do domu, gdzie musiałyby stawić czoło pogardzie matki, przyznać się, że jest kolejnym rodzinnym nieudacznikiem – jak ojciec – i że zmarnowała roczne chesne.

Zresztą od najmłodszych lata wpajano jej, że trzeba dokończyć to, co się zaczęło. Na przykład lekcje pianina. Zaczęła, gdy miała dziesięć lat. A choć szybko zorientowała się, że nie ma talentu, kontynuowała naukę przez siedem lat, ćwicząc sumiennie, ale bez zapału, odtwarzając utwory poprawnie, lecz bez ducha; jej gra nie sprawiała przyjemności nikomu: ani wykonawczyni, ani jej słuchaczom. Mając dwanaście lat, oświadczyła, że pragnie zostać lekarką – skrupulatnie ukrywała przerażenie, jakie ogarniało ją na widok krwi, i paniczny lęk przed szpitalami – byle zobaczyć dumny błysk w oczach rodziców. To świadczyło, że jest inteligentna i zdolna; że odniesie sukces. Podobnie jak ich, pociągał ją tytuł i status, jaki się z nim wiązał.

Kiedy wreszcie przebrnęła przez drugi semestr z ocenami zaledwie minimalnie lepszymi niż w poprzednim, czuła się jak podopieczne z obozowej grupy Kijanek, które co sił wymachiwały rękami i nogami, a i tak z trudem utrzymywały się na powierzchni. Mimo to w wakacje nie planowała odpoczynku, lecz zgłosiła się do szpitala jako wolontariuszka.

– Słusznie! Właśnie tak powinnaś zrobić! – entuzjastycznie zgodziła się matka. – Właśnie tak musisz zrobić! Zdajesz sobie sprawę, jak zacięta walka

toczy się o każde miejsce na medycynie, a potem na praktykach i stażu. Nie wolno ci odpuszczać, Daniello. Ani na chwilę.

– Odpocznij – radził ojciec.

– Pojedź do Izraela i okładaj się błotem z Morza Martwego – wtórował Joel. – Serio, Dani. Potrzebujesz odpoczynku. Wykończysz się – ostrzegał.

– I to mówi gość, który każdą przerwę semestralną spędza na praktykach w kancelariach adwokackich – wytknęła mu.

– Tak, ale ja to lubię – odparł z naciskiem. Nikt nie znał jej tak dobrze jak brat.

Zgłosiła się do szpitala Bellington, gdzie stworzono specjalny program dla ochotników przygotowujących się do studiów medycznych. Przez pierwszy tydzień robiła kawę lekarzom i pielęgniarkom, opróżniała baseny i sterylizowała łóżka, podczas gdy salowe, do których należą te obowiązki, siedziały i oceniały, jak sobie radzi. A potem przeniesiono ją na OIOM.

Tam była świadkiem, jak przyjechał młody chłopak z białaczką.

Towarzyszyła mu przerażona dziewczyna i roztrzęsiona rodzina. Ponieważ się dusił, młody stażysta próbował wprowadzić mu do krtani rurkę umożliwiającą oddychanie.

– Nie! Nie! – bronił się chłopak. – Chcę tylko leki przeciwbólowe. Dajcie mi coś przeciwbólowego! – powtarzał.

Tymczasem spanikowani bliscy wisieli nad nim, krzyczeli i próbowali go przekonać, równocześnie blokując młodemu lekarzowi dostęp do pacjenta. Wtem szamoczący się chłopak stracił przytomność. W jednej chwili uruchomiły się wszelkie możliwe alarmy, wyły i piszczwały, jakby zwiastowały koniec świata. Ich świdrujące dźwięki uderzały w biedną Daniellę niczym kamienny grad.

Dziewczyna – blondyneczka wyglądająca na piętnaście lat – cofnęła się i przywarła do ściany, szeroko otwartymi oczami patrząc na chłopaka. Zawodzących i szlochających rodziców dopiero po chwili udało się wypchnąć na korytarz, żeby zrobić miejsce dla sióstr pchających urządzenia do resuscytacji, za którymi spieszyli bardziej doświadczeni lekarze. Daniella słuchała odgłosów dobiegających zza zamkniętych drzwi: poleceń gorączkowo wydawanych przez lekarza, syku i bulgotania maszyn. Wydawało jej się, że to ciągnie się w nieskończoność. Wreszcie drzwi się otworzyły i stanął w nich stażysta. Chłopak niewiele starszy od pacjenta miał na twarzy wymalowane złe wieści. Zaraz potem rozległ się histeryczny krzyk protestu, wycie

przepełnione niemal zwierzęcą rozpaczą.

Tak właśnie, pomyślała Daniella, czując wzbierające mdłości, zawodzili Egipcjanie, gdy spadła na nich ostatnia plaga. Najbliżsi pchnęli drzwi, wdarli się do sali i otoczyli łóżko zmarłego, obejmowali się, przytulali i płakali razem. Ich lament ciągnął się jeszcze wiele godzin.

Daniella nie mogła się otrząsnąć. Przecież dosłownie chwilę temu jeszcze żył. Młody, przystojny chłopak. A teraz był martwy i nic nie mogło tego zmienić. Absolutnie nic. Nie można było go uratować. Chociaż... Może ktoś popełnił błąd i przez czyjeś niedopatrzenie skrócili chłopakowi życie o pięćdziesiąt lat? A jeśli tak, po czyjej stronie leżała wina? Rodziny, która za mało z siebie dała? Samego pacjenta, znużonego walką i wycieńczonego, który uznał, że ma już dość lekarzy, szpitali i podtrzymywania przy życiu? A może w ostatecznym rozrachunku winny okazał się młody stażysta, który natychmiast go nie zaintubował? Któremu zabrakło roztropności, siły perswazji albo po prostu autorytetu, by przekonać chorego i rodzinę, by w odpowiedniej chwili właściwie zareagowali? Mierna ocena na egzaminie to nic w porównaniu z błędem lekarskim, za który cenę płacą inni, uświadomiła sobie Daniella z nagłym przerażeniem.

Powolutku, prawie niezauważalnie zaczęło jej świtać, że nie może – nie wolno jej! – brać w ręce cudzego życia. Nie chciała takiej odpowiedzialności. Nie będzie bawić się w Boga. Nikomu się nie przyznała, bo nie miała nikogo, komu mogłaby wyznać prawdę, nie narażając się na potępienie.

Kiedy lato dobiegło końca, postanowiła zastosować tę samą strategię, co z lekcjami muzyki. Brnęła uparcie dalej, ignorując swoje uczucia, zwłaszcza że wpojono jej, że nie można na nich polegać. Wróciła na trzeci semestr kursu przygotowawczego. Zapisała się na siedemnaście przedmiotów, w tym na chemię organiczną już od tysiąc dziewięćset dziesiątego roku opisywaną jako Scyllę i Charybdę wszystkich studentów. Nie przejmowała się szczególnie. Mnóstwo osób w końcu ją zaliczało. Dlaczego ona miałaby być gorsza?

Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak naprawdę wygląda chemia organiczna. Badanie interakcji rozmaitych cząstek węglowych okazało się ponad jej siły. Po raz pierwszy zawiodły stare, sprawdzone metody. Zakuwanie i uczenie się na pamięć nie działało. To nie matematyka i fizyka, gdzie wystarczyło wbić sobie do głowy równanie. Chemia organiczna składała się z samych wyjątków od reguły. Ta sama cząsteczka tańczyła do jednej muzyki z zasadą, a do innej z kwasem, jeszcze do innej z ciemnością albo

światłem dziennym, ciepłem albo zimnem. Przy wyciąganiu wniosków za każdym razem trzeba było posługiwać się intuicją. Ktoś kiedyś porównał to do umiejętności stawiania diagnozy. A Daniella wiedziała, że podobnie jak z muzyką, zwyczajnie nie miała do tego drygu. Choćby dała z siebie wszystko i Bóg wie, ile się uczyła, nie zdoła opanować tego materiału.

Pierwszy raz w życiu zdawała sobie sprawę, że zmierza ku nieuchronnej klęsce. Na jej karcie egzaminacyjnej w rubryce „chemia organiczna” pojawi się NZAL, skaza, której nic nie zmaże. Ogarnęły ją tak głębokie przygnębienie i lęk, że postanowiła nawet poświęcać mniej czasu na naukę.

Pod wpływem impulsu wybrała się na szabasową modlitwę do ośrodka ruchu Chabad Lubawicz. Nigdy nie czuła się tam swobodnie. Studenci przychodzący na nabożeństwa zwykle zaliczali się do jednej z dwóch kategorii. Pierwszą stanowiły dzieciaki ze zlaicyzowanych rodzin z miernym skutkiem aspirujące do chasydyzmu, drugą zaś buntownicy ze środowisk ortodoksyjnych – takich jak jej własne – którzy pokazywali rodzicom, gdzie mają ich i ich nudną, letnią, konformistyczną religijność. Tam, za przepierzeniem oddzielającym babiniec od reszty synagogi zobaczyła Shłomiego.

Wydał jej się wyższy. Na pewno był też lepiej ubrany. Włosy miał dłuższe, załazek pejsów zniknął, a świeżo zapuszczone wąsy i kozia bródka nadawały powagę młodzieńczej twarzy, którą zapamiętała. Był kantorem, prowadził poranną modlitwę. Jego uduchowiony śpiew budził wiernych, którzy klaskali i kołysali się w radosnym rytmie. Uśmiechnęła się i włączyła do śpiewu, nagle czując, jakby ciężar spadł jej z ramion.

Po modlitwie pomachał do niej z drugiego końca sali. Odmachała, nieśmiało idąc w jego stronę między stołami z winem i ciastkami przygotowanymi do kiduszu.

– Co za spotkanie, Daniella!

– Pamiętasz, jak mam na imię. – Uśmiechnęła się mile zaskoczona.

– Co? Oczywiście! Często o tobie myślałem.

– Naprawdę?

– Dlaczego to cię dziwi?

Musnęła policzki, które nagle zaczęły ją piec. Aż tak łatwo było ją rozgryźć?

– Cóż, nie wyglądałeś na zainteresowanego.

– Ależ byłem. Tylko nie sądziłem, że ty byłabyś zainteresowana...

Rozumiesz, kimś takim jak ja.

– Kimś takim jak ty? Co przez to rozumiesz?

– Gostkiem bez licencjatu, który ledwo wiąże koniec z końcem, jest bardzo pobożny i wybiera się do Izraela.

– A ja sądziłam, że nawet nie spojrzysz na taką kujonkę jak ja, która myśli tylko o nauce i nie potrafi się ubrać, nosi praktyczne sandały ortopedyczne i nie uznaje pończoch. – Zawahała się. – Nawet nie poprosiłeś mnie o telefon.

Pacnął się dłonią w czoło.

– Wiem. Uświadomiłem to sobie, gdy twój autobus już odjechał. Jestem skończonym głupkiem! – Wyszczrzył zęby.

Znowu pokraśniała.

– Skąd właściwie się tu wzięłeś?

– Rabin poprosił, żebym mu pomagał.

– Należysz do Chabadu!

– Nie. Niezupełnie. Tak w każdym razie mi się wydaje. Przyglądam się ruchowi. Czytam *Tanję*.

Spojrzała na niego pytająco.

– *Tanję*. Wiesz, rabina Szneura Zalmana z Ladów. Żył dwieście lat temu. To on założył Chabad. Za prawdziwego chasyda może uważać się tylko ten, kto zgłębi te teksty. To ich najważniejsza księga.

– Ważniejsza od Biblii? – spytała wyniośle.

Nie odpowiedział. Wyglądał na zmieszanego.

– Przepraszam, nie chciałam być złośliwa. Co jest w tej *Tanji*?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Jasne. Co mi szkodzi?

– Chętnie podzielę się z tobą tym, co wiem. Jeśli masz chwilę – zaproponował ochoczo.

Jasne, że miała. Zwłaszcza że zakuwanie nic nie da. Nie tym razem. Spotkali się jeszcze tego samego wieczoru. W ośrodku Chabadu niełatwo było o spokojny kąć. W tle trwała jakaś impreza muzyczna, z mnóstwem jedzenia i ożywionym życiem towarzyskim.

– Zaczniemy od pierwszego rozdziału – zaproponował Shlomie. – To angielskie wydanie *Tanji*.

Siedli blisko i pochyleni nad stołem wspólnie zgłębiali tekst, niemal dotykając się ramionami, czując ciepło swoich ud.

– „Musi złożyć przysięgę” – przeczytał na głos Shlomie.

– Kto?

Podniósł wzrok, jakby dziwiło go, że w ogóle pyta.

– Twoja nienarodzona dusza. Zanim zstąpisz na ziemię, musisz złożyć przysięgę.

– Jaką przysięgę? – spytała rozbawiona.

– Że będziesz postępować sprawiedliwie, nie wejdziesz na ścieżkę zła.

Równocześnie jednak musisz ślubować, że będziesz widzieć w sobie nędznika i grzesznika.

– Bez sensu. – Pokręciła głową. – Zresztą, przecież w *Sentencjach ojców* napisano: „Nie bądź grzesznikiem nawet wobec siebie”².

Rozpromienił się.

– Właśnie! – zawołał z uznaniem. – Tutaj to samo. Spójrz. –

Podekscytowany wskazał jej słowa, które przed chwilą wypowiedziała. –

A dalej wszystko jeszcze bardziej się komplikuje. W *Misznie* napisano przecież, że kiedy człowiek będzie uważał się za nikczemnego, wpadnie w przygnębienie i nie będzie mógł służyć Bogu z radością. A jeśli nakaże sobie i tak służyć Mu z radością, może to doprowadzić do tego, że zacznie lekceważyć swoje grzechy.

– Więc jaka jest odpowiedź?

– Odpowiedź?

– Mamy uważać siebie na nędzników i grzeszników czy nie?

– W sumie... – Zaczął przewracać kartki. – Tu nie jest napisane.

– A według ciebie? – Uśmiechnęła się.

– Myślę, że... – Zaciśnął usta, zastanawiając się głęboko. – Że nikt nie powinien nigdy o sobie myśleć jako o zatwardziałym grzeszniku. Powinniśmy żałować niecných czynków, zawsze pamiętając, że wynikały one nie z podłości serca, lecz z błędnych przekonań czy chwilowej słabości. Dopiero kiedy zbyt surowo spojrzysz na swoje grzechy, grozi ci, że naprawdę staniesz się nikczemnikiem. Uwierzysz, że masz to we krwi i nie możesz wybierać.

Odchyliła się, wypuszczając powietrze.

– Ja też tak uważam.

– Czytamy dalej?

Czemu nie? – pomyślała i skinęła głową.

– „Człowiek sprawiedliwy cieszy się pomyślnością materialną i duchową. Doznaje tylko dobra” – czytał dalej.

Zmarszczyła nos.

– Wielu sprawiedliwych cierpi.

– To dlatego że wciąż noszą w sobie zło, z którego się nie oczyścili.

– Albo dlatego że mają pecha lub nie stać ich na dobrego prawnika.

Zresztą od kiedy cierpienie naprawdę oczyszcza?

– Z tego fragmentu wynika, że ktoś autentycznie sprawiedliwy nie musi cierpieć, ponieważ wyzbyty jest grzechu. Cierpienie zsyła Bóg, żebyśmy stali się lepsi już teraz, gdy wciąż nosimy swoją doczesną powłokę, a nie musieli cierpieć na tamtym świecie. I pomyślność, i cierpienie stanowią część boskiego planu. Cadyk doskonały, któremu we wszystkim się powodzi, najwyraźniej osiągnął doskonałość w służbie Bogu i miłości do Niego.

– Nie słyszałam jeszcze o człowieku, któremu we wszystkim się powodzi. Choćby był najsprawiedliwszy. Nawet rebe z Lubawicza, w którym lubawiczanie widzą dziś mesjasza, nigdy nie dochował się potomstwa. Musiał ogromnie cierpieć z tego powodu.

Umilkli zamyśleni.

– Sądzę, że to samo można by powiedzieć o Abrahamie – odezwał się wreszcie Shlomie. – On też bardzo długo czekał na potomka. Nie chodzi o to, że naprawdę wielki cadyk będzie się cieszył życiem pozbawionym trosk, lecz o to, że dzięki swojej doskonałej wierze nie będzie cierpiał jak inni, słabsi duchowo.

Przejrzała tekst.

– Gdzie to jest napisane?

– Och, nigdzie. To moja interpretacja.

Spojrzała na niego z uznaniem.

– To ma sens.

– Jest też inna interpretacja, nie moja, której autor zwraca uwagę, że słowo *masbijim* znaczy nie tyle „przrzekać”, ile „być nasyconym”. Innymi słowy, zanim przyjdiesz na świat, twoja dusza zostanie nasycona tym wszystkim, czego będziesz potrzebować, by zrealizować swoje ziemskie przeznaczenie.

– To podoba mi się znacznie bardziej niż przedpłodowe przysięgi. –

Uśmiechnęła się szeroko.

– Mnie również – przyznał.

– Robi się późno. – Zerknęła na zegarek, choć wcale nie chciało jej się wracać do samotnego pokoju w bursie, gdzie czekały tylko sterty książek i notatek porzucone niczym stanowisko archeologiczne, gdzie nie dokopano się

niczego wartościowego. Tak naprawdę liczyła, że Shlomie będzie próbował ją zatrzymać.

Tymczasem on nie zaprotestował, tylko wstał i z rękami wbitymi w kieszenie odprowadził ją do bursy. Śnieg spadł wyjątkowo wcześnie, a ulice pokryła już warstwa lodu.

– Nienawidzę zimna – jęknął, zapinając kurtkę na suwak. – W Izraelu nigdy nie ma mrozu. W większości domów nawet nie zakładają centralnego ogrzewania.

– W Jerozolimie, Galilei, a zwłaszcza w Safedzie, czasem pada śnieg – poprawiła go. – Byłam tam raz. Można uświerknąć z zimna, szczególnie że domy są z kamienia. Ale w przeciwieństwie do nas tam wszyscy cieszą się ze śniegu. Po pierwsze, zdarza się od wielkiego dzwonu. Po drugie, zanim śnieg zrobi się bury i zacznie przeszkadzać, do akcji wkraczają izraelskie siły specjalne do spraw odśnieżania.

Spojrzał na nią pytająco.

– Co takiego?

– Słońce. – Wyszczrzyła zęby.

Roześmiał się.

Daniella spoważniała.

– Myślisz, że byłbyś tam szczęśliwy? Z dala od rodziny, przyjaciół, amerykańskich hamburgerów.

– Nie chcę być jak zwiadowcy, których Mojżesz wysłał do Kanaanu, a oni po powrocie narzekali: „Za nic w świecie nie zamieszkamy w Izraelu! Tam nie ma ciastek czekoladowych Entenmanna!”.

– Aha, więc to powiedzieli Mojżeszowi? – parsknęła śmiechem.

Nagle trafiła na oblodzony fragment chodnika. Straciła równowagę i zaczęła niebezpiecznie sunąć do przodu. Shlomie chwycił ją w tali i uratował przed upadkiem. Idealnie do siebie pasujemy, pomyślała, zadzierając ku niemu głowę. Shlomie był idealnego wzrostu, niewiele wyższy od niej. I miał cudowne, niebieskie oczy.

Podał jej ramię.

– Lepiej się mnie trzymaj.

Wsunęła rękę pod zgięty łokieć.

– A wolno tak? – zazartowała.

– Nie ma bezpośredniego kontaktu skóry ze skórą, poza tym w sytuacji zagrożenia życia przestają obowiązywać wszelkie zakazy – odparł ze

śmiertelną powagą.

Zachowuje kamienną twarz dla żartu? – zastanawiała się, bacznie mu się przyglądając. Nie doszukała się nawet cienia rozbawienia.

– Ileż to historii krąży – ciągnął, jakby nie zauważył jej reakcji. – Ludzie wyjeżdżają na narty, przewracają się na stoku. Wydaje się, że nic się nie stało. Ot, głupi siniak. Aż tu, bach! Krwotok wewnętrzny, jazda na sygnale do szpitala, zapłakana rodzina zawodzi rozpaczliwie...

Puściła jego ramię.

– To nie jest śmieszne.

Spojrzał na nią.

– Ależ ja nie żartowałem! Wystarczy odrobina uwagi, żeby uniknąć bezsensownego cierpienia.

Nagle zrobiło jej się głupio.

– Jasne. Przepraszam. Tylko... Latem pracowałam jako wolontariuszka na OIOM-ie. Tamte rodziny... Tyle się tam napatrzyłam i nasłuchałam...

– Przepraszam, nie wiedziałem. – Westchnął. – Cóż, z czasem człowiek musi po prostu się z tym oswoić.

– Z czymś takim nie da się oswoić. Nie wyobrażam sobie, że każdego dnia miałabym stawiać czoło takiej sytuacji. Co dzień przekazywać tragiczną wiadomość czyjejś matce, czyjemuś chłopakowi...

– Wcale nie musisz.

– Jak to?

– To proste. Twoja dusza została wyposażona we wszelkie talenty i umiejętności, których potrzebujesz, by osiągnąć na ziemi to, co sobie zaplanujesz. Nie jesteś skazana tylko na jedną ścieżkę.

– Powiedz to mojej mamie. Uważa, że jeśli raz się wybierze drogę kariery, nie można już z niej zejść. Nie ma zmiłuj.

– A czy matka jest dla ciebie wzorem? Chcesz żyć jak ona?

Pytanie uderzyło w nią jak kamień. Nigdy nie myślała w ten sposób. W milczeniu szli dalej przez ciemne miasto. Wreszcie zatrzymali się przed jej bursą.

– No to dobranoc. Dziękuję za lekcję *Tanji*. I za to, że mnie uratowałeś przed rozbiciem sobie głowy.

– Przyjmuję podziękowanie za drugie, ale za pierwsze już nie. Pewnie cię przeraziłem. Za słabo znam *Tanję*, żeby robić z niej wykłady.

– Mnie trudno przerazić. A resztą... Szczerze? Najbardziej zaciekały

mnie twoje własne przemyślenia.

Pojaśniał.

– Chętnie udzielię ci kolejnej lekcji.

– Zastanowię się.

Uśmiechnęła się i ruszyła do drzwi. Potem impulsywnie się odwróciła.

– Hej! – zawołała.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Zgoda. Powtórzmy to kiedyś.

– Co powiesz na jutro? – spytał.

*

Z zapisków Menachema Szem Towa...

Pytanie: Chwała niebiosom.

Odpowiedź: Chwała.

Pytanie: Czy powinienem ożenić się z Daniellą?

Odpowiedź: Jest w tym prawda.

Pytanie: Czy za trzy tygodnie jej mąż, Shlomie, umrze?

Odpowiedź: Zaiste, jest w tym prawda.

Pytanie: Czy Daniela zgodzi się mnie poślubić?

Odpowiedź: Jest w tym prawda (tak).

[2](#) *Sentencje ojców (Pirke Awot)*, tłum. Michał Friedman.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Daniella rozsunęła suwak długiego, białego pokrowca osłaniającego jej suknię ślubną. Obiema rękami delikatnie wyjęła z plastiku jedwab wyszywany paciorkami. Suknia była prześliczna. Błyszcząca, świetlista. Zupełnie jak przyszłość, którą widziała oczyma wyobraźni.

Ślub miał się odbyć tydzień po jej dziewiętnastych urodzinach. Rodzice nie podchodzili do tego entuzjastycznie. Zwłaszcza że decyzja zbiegła się z inną, o rezygnacji ze studiów.

– Nie zaliczyłaś egzaminu. Też mi coś! Spróbuj znowu! – naciskała matka.
– Zawałam chemię organiczną. Nie dostanę się na żadną przyzwoitą uczelnię medyczną.

– Znajdziemy inne rozwiązanie! Nie możesz po prostu poddać się i wyjść za mąż!

– Nie rozumiesz, mamó. Ja w ogóle nie chcę zostać lekarką.

Matka przyswajała tę informację w pełnym zdumienia milczeniu. Jedno trzeba jej przyznać: zareagowała w wyważony sposób.

– No to zrezygnuj z medycyny – zaproponowała ugodowo. – Wybierz inny kierunek. Po co tak wcześniej wychodzić za mąż? Zrób chociaż licencjat. Bez niego nic nie będziesz znaczyć.

Ojciec też nie tryskał entuzjazmem.

– Pali się? Po co ten pośpiech? Nie chcesz studiować? To znajdź sobie jakąś pracę. Zatrudnij się w sklepie. Pomieszkać trochę z mamą.

– Jasne, życie z mamą i jej nowym chłopakiem to czysta przyjemność – odpowiedziała, na co ojciec spuścił wzrok i odwrócił się od niej. Koniec dyskusji.

Matkę trudniej było spławić.

– Ja popełniłam błąd, ale ty nie musisz – naciskała.

– Kiedy wreszcie pogodzisz się z tym, że nie zostanę zamożną żydowską lekarką? Ani nie wyjdę za bogatego żydowskiego lekarza?

– O ile mnie pamięć nie myli, twój Shlomie nie ma żadnego wykształcenia.

– Skończył szkołę talmudyczną. I zamierza kontynuować naukę.

– Jasne. – Matka drwiąco pokiwała głową z udawanym szacunkiem. – Jakże szlachetnie. Wierzy, że Bóg się o niego zatroszczy. Niestety, to mnie obsadził w Jego roli.

– Nie! Mylisz się! Nie zależy nam na pieniądzach! Nie jesteśmy jak ty

i tata! Chcemy zamieszkać w Izraelu, uprawiać ziemię, uczyć się, zapuścić korzenie, dać wam wnuki, które wyrosną na pobożnych...

– Myślałaś o antykoncepcji? – przerwała matka.

Daniella była dotknięta do żywego tym prostackim i wścibskim pytaniem. Zwłaszcza że ta kwestia stała się przyczyną pierwszej poważnej kłótni między nią a Shlomiem.

– Antykoncepcja jest zakazana! Człowiek nie może stawać na drodze Bogu, który chce pobłogosławić mu potomstwem! – uciał zaskakująco ostro. – Musimy przyjąć z radością każdą duszę, którą Bóg nam ześle. Bez względu na to, kiedy to się stanie.

– Jasne, Shlomie – odparła z podobną gwałtownością. – Pewnie. Łatwo ci mówić, bo to ja będę musiała je nosić w brzuchu, rodzić w bólach, a potem wychowywać!

Ujął jej rękę i pocałował.

– Daniella, umiłowana moja. Jestem przy tobie. Nigdy nie zostawię cię z tym samej. Będę kochał nasze dzieci, troszczył się o nie, tak samo jak kocham ciebie, moja najdroższa, najmiłsza przyjaciółko.

– Rozmawialiśmy o tym – oświadczyła matce i ku swemu przerażeniu wyrecytowała te same słowa, którymi próbował uspokoić ją Shlomie, a przeciwko którym żarliwie protestowała. Wszystko lepsze niż przyznanie racji matce. – Wiesz, że naprawdę wierzący nie uznają antykoncepcji. Ufają, że Bóg ześle im dzieci, gdy będą na to gotowi, a każde jest błogosławieństwem. Nie uważasz swoich dzieci za dar z nieba, mamó?

To wreszcie zamknęło jej usta.

– Cóż, widzę, że rzucam grochem o ścianę, uznajmy więc dyskusję za zakończoną.

Matka wymaszerowała z pokoju, ochoczo skorzystawszy z okazji, by uciec przed surowym, potępiającym wzrokiem córki. Daniella zaś poszła do babki, jedynej osoby, u której znajdowała pociechę.

Głowa rodziny – elegancka, siwa starsza pani – zawsze emanowała serdecznością i optymizmem. A do tego idealizowała Daniellę. Elizabeth Auberbach, dziedziczka świetnie prosperującej firmy rodzinnej, mieszkała w luksusowej willi w najdroższej dzielnicy miasta. Rozpieszczana i hołubiona przez oddanego męża oraz piękne, mądre dzieci wiodła sielskie życie, roztaczając wokół siebie atmosferę ciepła, miłości i czułości. Najbardziej zaś kochała swoją jedyną wnuczkę, Daniellę. Od samego początku łączyła je

szczególna więź. Może dlatego, że dziewczynka stanowiła absolutne przeciwieństwo matki, Claire: skąpej, pazernej i surowej, zazdrośnie strzegącej tego, czym obdarzył ją los.

– Niech rozwód rodziców cię nie zniechęca, Daniello. Nie wszystkie małżeństwa źle się kończą.

– Obiecuję, babciu – zapewniła, przytulając się mocno, podniesiona na duchu jej ciepłem i optymizmem.

– Moja maleńka Daniella będzie panną młodą! Nie mieści mi się w głowie. A do tego szybko podaruje mi prawnuczęta. Nie byle jakie! Sabra: opalone, słodkie maluszki urodzone w Izraelu! Będziesz im zapuszczać pejsy i ubierać w długie szaty? A sama będziesz nosiła perukę?

– Nie wiem, babciu. Może.

– Tylko nie popadnij mi w fanatyzm. Obiecujesz?

– Pewnie!

Tak naprawdę niczego nie była pewna. W głowie miała jedynie ogólny zarys życia, wymyślonego z młodzieńczą, pełną zapału prostotą; życia całkowicie i bezkompromisowo podporządkowanego ideałom. Część stanowiły ideały religijne – umiłowanie czystości duchowej, świętości, prawdy i dobroci – resztę zaś ledwo naszkicowane wizje zrodzone z lektury książek, filmów, młodzieżówek syjonistycznych i obozów letnich. Wszystko to jednak pozostawało w sferze abstrakcji. Daniella nie miała pojęcia, jak będzie wyglądać jej przyszłość ani dokąd ją doprowadzi, kiedy przejdzie do wcielania w życie swoich wyobrażeń.

Tylko jedno wiedziała z niezachwianą pewnością: pragnie zostać matką. Jej młodzieńcze marzenie o pomaganiu innym i ratowaniu ludzkich istnień teraz przybrało postać gorącego życzenia, by dawać życie i pielęgnować je. To stało się jej najwyższym ideałem, najczystsza droga do pełni kobiecości i realizacji swojego powołania. Wierzyła, że właśnie tak wypełni boski plan wobec niej. Cała edukacja, którą odebrała z rąk pełnych życzliwości, uczonych rabinów oraz rebecin, umacniała w niej to pragnienie, a związek ze Shłomem dopełnił je, stworzył z niego kamień węgielny ich wspólnego życia. „Macierzyństwo to drogowskaz kobiety żydówki”, powtarzał często jej narzeczony. A Daniella, która spektakularnie zaważyła studia, przytakiwała.

Choć jeszcze kilka lat temu czułaby coś zgoła odmiennego, dziś patrząc na zdjęcia ultraortodoksyjnych żydówek haredi z ich licznym potomstwem – rodziny pięknie wystrojone na szabat albo święto; spokojne, uśmiechnięte

matki w misternie utrefionych perukach i ubraniach od projektantów mody – widziała twarz Boga.

Nie będę jak matka, obiecywała sobie. Moje dzieci będą świetnie się bawić. Zawsze znajdę czas na czytanie bajek, czesanie lalek i zabawę piłką. Nie zależy mi na tym, by mnie podziwiano za dyplom lekarski, piękny dom, biżuterię, ubrania czy męża, któremu się powiodło, mówiła sobie Daniella. Pragnę tylko, by nazywano mnie dobrą mamą.

Tłumaczyła sobie, że wkrótce rzucone studia czy antykoncepcja przestaną być jej zmartwieniem. Jej zawodem stanie się macierzyństwo. Nie będzie miała pobocznych zainteresowań kolidujących z opieką nad dziećmi: przepięknymi, złożonymi, wielofasetowymi kamieniami szlachetnymi powierzonymi jej, aby je wyszlifowała i wydobyła na światło dzienne złożone w nich jądro boskości.

Bawiła się tkaniną sukni ślubnej, strojnieszszej, niżby sobie życzyła. Do szczęścia wystarczyłby ślub jak w kibucu: panna młoda w białej, bawełnianej sukience, z wiankiem świeżych kwiatów na głowie, a potem wspólna jazda wozem drabiniastym na piknik. Tymczasem czekała ją formalna impreza w obrzydliwie pretensjonalnym hotelu z nieprzyzwoicie kosztownym koszernym jadłospisem. Nalegała na to jej matka, a nawet wyrozumiała babcia. Do tego każdy będzie musiał być odpowiednio ubrany. Matka wydzwaniała nawet do dalekich krewnych, by przesłuchać ich, co zamierzają włożyć!

Babka miała dojścia do sprzedawcy koralików. Dzięki niemu Daniella trafiła do jednej z nielicznych już pracowni sukien ślubnych na terenie Stanów Zjednoczonych (co nie zmienia faktu, że zatrudniano tam nielegalne imigrantki, którym płacono niewiele więcej niż pracownikom zakładów w Azji czy Afryce). Uszyta na miarę suknia była idealnie dopasowana, a podszewka pod przezroczystą tkaniną rękawów dawała gwarancję, że nie będzie przez nie prześwitywać nagie ciało.

Co prawda Daniella wolałaby sama się uczesać i umalować, ale zgodziła się na kompromis i matka zatrudniła do tego pobożną żydówkę, która miała zjawić się u nich w dniu ślubu. Zasadniczo Daniella nie miała nic przeciwko makijażowi, ale nie chciała wyglądać pod chupą niczym Jezabel i powielać błędu wielu nawet bardzo rozsądnych dziewcząt, które w ów najważniejszy dzień życia powierzały twarze w dłonie tak zwanych ekspertek. A choć nikt nigdy nie ośmieliłby się skrytykować panny młodej, Daniella doskonale

wiedziała, że tak właśnie to się kończyło.

Tydzień przed ślubem umówiła się na spotkanie ze swoją makijażystką. Postawiła sprawę jasno: smużka szminki i odrobina tuszu.

– Shlomie, mój narzeczony, nie lubi tapety. A w końcu to jemu mam się podobać, prawda? – tłumaczyła sympatycznej młodej kobiecie w peruce, ta zaś kiwała głową z aprobatą. – A jeśli chodzi o włosy, chciałabym, żeby loki miękko spływały, otulając twarz. W tańcu fryzura i tak się rozsypie, więc niech od razu tak wygląda.

Pozwoliła sobie tylko na jedną ekstrawagancję. Zamiast opaski do przyczepienia welonu zdecydowała się na brylantowy diadem, który babcia miała na swoim pierwszym balu. Od najmłodszych lat z zachwytem oglądała jej zdjęcia w białej sukni na balu debutantek, nazywanym w Pittsburghu balem Kopciuszka. Elizabeth była jedyną miejscową Żydówką, która otrzymała zaproszenie. Zawdzięczała to bogactwu oraz działalności charytatywnej pradziadka Danielli. Jemu nikt nie odważył się odmówić, choć lepiej nie myśleć, jakie komentarze musiały krążyć za jego plecami. Nastroje antysemityczne były w tamtych czasach bardzo silne.

Matka Danielli, Claire, też uczestniczyła w balu, choć w tamtym okresie rodzina przykładała już większą wagę do nakazów judaizmu. Dlatego dziewczyna wystąpiła w mniej wydekoltowanej sukni, tańczyła z bratem i unikała niekoszernego szampana.

Bal Kopciuszka wciąż uchodził za ważne wydarzenie towarzyskie. Daniella również otrzymała zaproszenie, ale odmówiła. Bo i po co jej to? Była ostatnią panną w Pittsburghu, której zależało na pokazaniu się w towarzystwie w nadziei na złapanie męża. Ona przecież znalazła już idealnego kandydata: łagodnego, wrażliwego, głęboko wierzącego i wykształconego religijnie chłopca, z którym łączyły ją te same marzenia i ideały; chłopca, który nigdy nie miał ani jednej pary lakierków ani nie potrafił wirować w walcu.

Bardzo się kochamy, nadajemy na tych samych falach i to najważniejsze, powtarzała sobie. Wiedziała, że jej rodzina kompletnie tego nie rozumie, ale to już nie jej, Danielli, zmartwienie. Ona wybierze stokroć lepiej niż oni, bo w jej życiu każdy czyn i uczucie będą szczerze, czyste, nieskażone hipokryzją oczekiwań społecznych, pieniędzy ani materializmu. W jesziwie nikt nie opływał w dostatki, a jednak wszyscy jakoś sobie radzili. Z Bożą pomocą jej i Shlomiemu też się uda.

W tym samym czasie na drugim końcu miasta Shlomie Goodman mierzył nowiuteńki, czarny garnitur. Jak przystało na pobożnego żyda, od ponad tygodnia nie widział się ani nie kontaktował z Daniellą. Następny raz spotkają się w obecności setek gości, kiedy wraz z rodzicami i dwudziestoosobową orkiestrą będzie szedł ku niej z promiennym uśmiechem, żeby opuścić welon na jej twarz, jak to czyniono, od kiedy Jakuba wrobiono w małżeństwo z Leą.

– A co z krawatem, tato? – zwrócił się do ojca, choć ten nie należał do ekspertów w tej dziedzinie.

W szafie Arthura Goodmana, ślusarza narzędziowego, wisiały dokładnie dwa garnitury i dwa krawaty. Jeden zestaw, który już dawno przestał się na nim dopinać, miał na własnym ślubie, drugi zaś żona wybrała mu na zbliżające się zaślubiny syna.

– Cóż, sam wiesz, synu, że z takimi pytaniami to lepiej do mamy. – Odchrząknął. – Jak się trzymasz, Steven?

– Shlomie, tato – poprawił z naciskiem. – Teraz mam na imię Shlomie.

– Racja. Shlomie. – Ojciec wymawiał to „Slomi”.

– Och, czuję się cudownie, fantastycznie. Ona... Daniella... Po prostu...

Wiesz...

Ojciec poklepał go po plecach.

– To prawda, twoja Daniella jest śliczniutka. Urocza dziewczyna. Prawdziwe cudo. Mama i ja bardzo się cieszymy waszym szczęściem. Tylko... nie obraź się, synu. Z czego zamierzacie żyć?

– A ty jak zawsze praktyczny do bólu! – Shlomie uśmiechnął się szeroko. – Nie rozumiesz, tato. Świat, w którym żyję, w niczym nie przypomina twojego. Ludzie nie kierują się materializmem. Chcą się uczyć, zbliżyć do Boga. Tysiące, tysiące tysięcy takich ludzi spędzają w jesziwach całe dnie, ucząc się i czytając.

Ojciec podrapał się po głowie.

– Kto płaci za ich wyzerkę?

– Nie głodują, tato!

– Ale jak to właściwie działa?

– Nie wiem dokładnie. Jesziwy są finansowane przez państwo, organizacje dobroczynne...

– W sensie, dostajecie zasiłek?

– Nie, skądże, tato! – Westchnął. – Chodzi o to, że... Studiowanie stanowi najwyższy cel w życiu. Mam na myśli zgłębianie Tory. Ci, którzy nie mogą tego

robić, zdobywają wieczną zasługę, wspierając tych, którzy się temu poświęcają. To działa w obie strony. Bierzesz, ale zarazem dajesz.

– Jakoś tego nie ogarniam. Przepraszam, synu. Chciałem, żebyś... Mama i ja marzyliśmy, że będziesz żył lepiej niż my. Pójdiesz na studia, coś osiągniesz. Tymczasem od swojej bar micwy wszedłeś w świat, którego nie znam. Szanuję twój wybór. Dlatego nigdy nie wlokłem cię ze sobą na spotkania związku ślusarzy. A teraz zastanawiam się, czy na pewno wyświadczyłem ci przysługę.

– Och, tato! Wyobrażasz sobie mnie, antytalent techniczny, jak uczę się kreślarnictwa wspomaganego komputerowo albo zongluję miernikami i ciężarkami?

Ojciec parsknął śmiechem.

– Prędzej upuściłbyś je sobie albo sąsiadowi na nogę! Nigdy nie pociągała mnie filozofia ani lektura – spoważniał. – Ale pamiętam, jak w ogólniaku kazali nam przeczytać *Dawida Copperfielda*. Jeden z bohaterów, pan Micawber, był świetnym gościem, naprawdę porządnym człowiekiem, dobrym mężem i ojcem, ale zawsze tonął w długach. Powtarzał wtedy: „Dwadzieścia funtów rocznego dochodu i dziewiętnaście funtów rocznych wydatków równa się szczęście. Dwadzieścia funtów rocznego dochodu i dwadzieścia jeden funtów rocznych wydatków równa się biedzie i nieszczęściu”.

– Ojej, tato!

– Zapamiętaj to sobie, synu.

Shlomie spojrzał na ojca. Wysoki – znacznie wyższy od niego – duży, mocno zbudowany. Obiema nogami stojący mocno na ziemi. Dłonie też duże, szorstkie, naznaczone pracą, poprzecinane bliznami po skaleczeniach i otarciach; w fałdach między palcami niezmywalne resztki farby i smarów.

Dawno już porzucił myśl o rywalizacji z Arthurem. Wybrał inną drogę, na którą ojciec nawet się nie zapuścił. Poklepał go po ramieniu.

– Poradzę sobie, tato. Nie przejmuj się. Kiedyś znajdę pracę. Będę utrzymywał rodzinę.

– Co tam robicie? – rozległ się z dołu głos matki.

– Hej, mamó! Tata dzieli się ze mną swoją filozofią życiową.

Ojciec spojrzał na niego dziwnie, po czym odwrócił wzrok.

– O, nie wiedziałam, że takową posiada! Ze mną w każdym razie nigdy się nią nie podzielił! – Roześmiała się, wchodząc do pokoju. Poklepała syna po ramieniu, niemal pijana ze szczęścia.

To był jej synek, nie odziedziczył wyglądu po ojcu. Drobnny, niemal za delikatny na chłopca; wysokie czoło intelektualisty, wielkie, błękitne oczy – identyczne jak jej – które wciąż nie straciły dziecięcej niewinności.

Od dziecka nie lubił brutalnego sportu i wolał spędzać czas nad książką.

Choć ani ona, ani mąż się do tego nie przyznali, obojgu kamień spadł z serca, kiedy Steven przyprowadził do domu Daniellę. Dziewczynę, bez dwóch zdań, chwala Bogu! Oczywiście nadal by go kochali jak dawniej, a w każdym razie ona, ale to znacznie ułatwiało sprawę, prawda? Stevenowi i wszystkim zainteresowanym.

Do tego jeszcze dziewczyna była śliczna, wprost urocza! I z dobrej rodziny. Wszyscy w Pittsburghu znali Auerbachów i Whartmanów. Lokalna arystokracja. Piękna wiktoriańska willa w Highland Park. Za to dziewczyna słodziutka, skromna. Nie zadziera nosa, choć w takiej rodzinie tego należałoby się spodziewać, nie? Ale matka, to już zupełnie inna sprawa. Nowy chłopak! W tym wieku! Kto by pomyślał? Pokiwała głową, śmiejąc się w duchu. Za forse klasy nie kupisz, to pewne.

– Co cię tak rozbawiło, mamó?

– Nic, nic. Cieszę się, Steven. Bardzo, bardzo się cieszę. Nie miałam babci, ale teraz może sama doczekam się wnucząt.

– Ej, co ci tak spieszo? Niech najpierw się pobiorą, Marsha!

Parsknęła śmiechem – w policzkach robiły jej się wtedy urocze, dziewczęce dołeczki – i przytuliła do siebie syna.

Shłomie zmusił się do uśmiechu, choć w duchu nie opuszczały go wątpliwości. Wciąż wracało pytanie, czy naprawdę było mu spieszo do żeniaczki. A może po prostu skorzystał z okazji i złapał cudowny dar, który wpadł mu w ręce: tę śliczną, inteligentną, pełną życia dziewczynę, patrzącą na niego z atencją i uwielbieniem?

Nigdy, przynigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Czyż można się dziwić, że pragnął sfinalizować sprawę, zanim Danielli spadną łuski z oczu i zobaczy, jaki jest naprawdę? Ta chwila nieuchronnie nadejdzie – nie miał co do tego złudzeń – ale liczył, że wtedy będą już jako tako ustawieni i dochowają się dzieci, które będą trzymać ich razem.

Czasem patrzył w przyszłość z większym optymizmem. Czyż nie było zapisane: „Czterdzieści dni przed poczęciem rozlega się niebiański głos »Ten mężczyzna dla tej kobiety«”? Daniellę wybrano specjalnie dla niego jako dar z nieba, nagrodę, choć nie był jej godzien. Teraz do końca życia będzie się

starał na nią zasłużyć; oboje ich prowadzić do Boga i świętości.

Nie miał za to najmniejszych wyrzutów sumienia, że zrezygnowała z nauki. To nie był jego pomysł. Gdyby chciała zostać lekarką, czekałby na nią cierpliwie. Ale nie chciała. Sama otworzyła przed nim serce i zwierzyła mu się z tego. W istocie nigdy nie marzyła o medycynie.

Tak to wyglądało. A przyszłość? Kto wie? Jak napisał Baal Szem Tow: „Bez jego wiedzy ani jeden liść nie spadnie z drzewa”. Zda się na opatrzność.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Słyszając jazgot odrzutowców, detektyw Bina Cedek zadarła głowę i zmrużonymi oczami popatrzyła na błękitne, bezchmurne niebo. Trening czy rzeczywiście lecą w konkretnym celu? – zastanowiła się przelotnie. Jako obywatelka Izraela miała ucho wyczulone na odgłosy o ułamek sekundy poprzedzające przełomowe wydarzenia, które zmieniały historię jej małego kraju. Wiedziała z własnego doświadczenia – także prywatnego – że dzień mógł zacząć się leniwie, całkiem banalnie, gdy nagle – łup! – ni z tego, ni z owego w normalność wdzierają się wycie syren, które mogło oznaczać wszystko: od próbnego alarmu, przez atak rakietowy, po początek wojny.

Podobnie w pracy. Idąc rano do komendy, nigdy nie wiedziała, co wyląduje na jej biurku. Dlatego teraz odetchnęła z ulgą i powiodła wzrokiem po porośniętych różnobarwnymi kwiatami domach Jemin Mosze. Poranny spacer z Talbii, gdzie mieszkała, na przystanek autobusowy był najsympatyczniejszym momentem dnia. Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego Bina – policjantka, wyemancypowana, nowoczesna kobieta na stanowisku, która w pełni kontroluje nie tylko swoje życie, lecz także podwładnych – nie jeździła do pracy samochodem. Czy naprawdę fotel kierowcy, klaksony i pisk opon budziły w niej aż taką odrazę, że unikała ich jak ognia?

Tych, którzy pytali wprost, zbywała tłumaczeniem, że doprowadzają ją do furii inni kierowcy, a znalezienie miejsca parkingowego graniczy z cudem. Jeśli patrzyli na nią dziwnie, dodawała, że od siebie wszędzie ma blisko autobusem, a ewentualne podróże taksówką wychodzą taniej niż koszt utrzymania drugiego samochodu.

Oczywiście, wszystko to była prawda. Ale nie cała.

Tak naprawdę unikała jazdy samochodem, bo zbyt ceniła sobie dodatkowe wolne chwile, które zyskiwała w drodze na przystanek, gdy czekała na autobus, a potem spokojnie siedziała i wyglądała przez okno, gdy wiózł ją do pracy. Jej bezcenne minuty wyrwane z wypełnionego po brzegi dnia. Czas, kiedy mogła pomyśleć o swoim życiu. Czas, którego ostatnio miała coraz mniej, bo całą jej uwagę pochłaniali pięcioletni Ronnie i dwuletnia Lila oraz wypchana raportami teczka. Ślęczała nad nimi nocami, a ich ciężar – dosłownie i w przenośni – przytłaczał jej szczupłe barki. Zawsze przydzielali jej najgorsze sprawy: damskich bokserów, pedofilów i gwałcicieli.

Mimo to ostatnio Bina i jej mąż Noe przymierzali się do kolejnego

dziecka. Brakowało im maleństwa: cudownego zapachu ciepłej kąpieli i talku dla niemowląt, rozkosznych, pulchnych policzków i pośladków, które aż się prosiły, żeby je całować. A przecież ostatni poród był koszmary. Oderwana pępowina, błyskawiczna cesarka, krwotok. Mimo to Bina wiedziała, że nie może długo zwlekać. Z chwilą, gdy kobieta przekracza trzydziestkę, ryzyko wad wrodzonych u dziecka wzrasta w postępie geometrycznym. Ona zaś skończyła trzydzieści cztery lata. Zauważyła już u siebie zmarszczki w kącikach oczu i między brwiami. Cienkie nitki, które niedawno zniknęły błyskawicznie po grymasie, a teraz zostawały na dłużej.

Przezesłała palcami włosy. Najnowsza fryzura okazała się kompletnym fiaskiem i absolutnym nieporozumieniem. Jej prośbę o coś „młodzieńczego i fajnego” fryzjer uznał za zgodę na ścięcie kasztanowych loków opadających na ramiona i zafundował jej idiotyczną, króciutką fryzurę w stylu pixie, w której dobrze wyglądać może jedynie sześciolatka. Po raz enty pociągnęła za wystrzępione pazurki, próbując rozprostować je, żeby zasłaniały czoło. Bezskutecznie.

Weszła do nowoczesnego budynku komendy usytuowanego wśród pasaży handlowych i salonów samochodowych i wjechała windą na swoje piętro.

– Cześć, Bina. Właśnie cię szukałem – przywitał ją Morris, ledwo wyszła na korytarz. Ściągnął brwi. – Nowa fryzura?

Skrzywiła się, potakując.

– Zapuszkować gościa, który ci to zrobił? – Wyszczrzył zęby.

Potrząsnęła głową.

– Nie warto. W Izraelu nie ma kary śmierci.

Współczująco objął ją ramieniem.

Starszy detektyw Morris Klein pracował w policji od czterdziestu lat. Ten były spadochroniarz uczestniczył w trzech dużych wojnach i niezliczonych potyczkach. Stracił dwa palce u lewej dłoni i miał protezę nogi. W wydziale cieszył się powszechnym szacunkiem i autorytetem. Binie pochlebiło, że jej szukał.

– O co chodzi?

– Papiery leżą już na biurku.

Stał w drzwiach, czekając, aż Bina odwiesi torebkę i siądzie. Wyglądał na zniecierpliwionego, jakby złościła go każda zmarnowana sekunda. Spojrzała na stertę materiałów. W miarę jak czytała, twarz jej bladła, jakby odpłynęła z niej cała krew. Podniosła wzrok na przełożonego.

– Powiedz mi szczerze, Morris. To dlatego, że brak mi doświadczenia? Czy dlatego, że to najbardziej odrażająca sprawa, z jaką miałeś do czynienia? Chce mi się rzygać.

Zaskoczyło ją, że on też pobladł. Pokręcił głową.

– To najgorsza sprawa w historii wydziału. Coś więcej niż zwykłe przestępstwo. Za tym wszystkim kryje się coś istic szatańskiego. Jak w *Prawdziwych zbrodniach* albo makabreskach z drugiego końca świata, którymi karmią nas brukowce. Coś takiego po prostu nie może się zdarzyć w Izraelu. Wśród żydów. Zwłaszcza pobożnych. A już na pewno nie może zdarzyć się w Jerozolimie, świętym mieście.

Dwóch chłopców, wyjaśnił. Ofiary nieludzkiego traktowania. Jeden leży w śpiączce, drugi ma koszarne poparzenia. Pozostała piątka rodzeństwa była tak przerażona, że niczego nie powiedziała. Matka i ojciec trafili do aresztu. Ona cały dzień czyta modlitewnik. On twierdzi, że jest niewinny i o niczym nie wiedział.

– Jeśli czegoś nie znajdziemy, trzeba będzie wypuścić ojca na wolność.

– Dlaczego? – spytała zdumiona.

– Rozstał się z żoną. Separacja albo rozwód, lichy wie. Mieszka poza Jerozolimą. Nie widział dzieci od miesiący, a na dni, kiedy chłopcy zostali okaleczeni, ma żelazne alibi.

– Co to za gość?

– Dziwak. Amerykanin. Nosi białe szaty pseudoproroka. Ale nie wydaje się groźny. Za to jest niewyobrażalnie naiwny. Nawrócony żyd, któremu braćlawianie zrobili wodę z mózgu. Czerwone nitki, amulety i tym podobne pierdoły. Osobiście uważam, że nie maczał w tym palców. Może i jest nawiedzony, ale nie okrutny.

– Udało ci się coś z niego wyciągnąć?

– Na razie trudno powiedzieć. Bredził coś od rzeczy. Ale wyrwało mu się coś ciekawego, czemu warto bliżej się przyjrzeć. Mówił, że rozstanie nie miało być ostateczne. Stanowiło jedynie czasową *tikkun*.

– Użył tego słowa? Z kabały?

Tikkun, czyli naprawa, sposób na ponowne rozpalenie boskich iskier świętości, które utracił człowiek. Tyle Bina pamiętała ze swojej edukacji w szkołach religijnych.

Morris skinął głową zamyślony.

– Twierdził, że rozwiódł się z żoną, żeby – dasz wiarę? – ich związek stał

się lepszy! Trzeba mieć nierówno pod sufitem. Kiedy się wyprowadził, w domu zaczęli pomieszkiwać jego kumple z jesziwy, żeby pomagać matce, która nie radziła sobie z siódmką ich dzieci.

– Że co?

– Jesteś wierząca. Powiedz mi, czy to normalne, że trzech facetów z ortodoksyjnej uczelni rabinackiej wprowadza się do pobożnej kobiety świeżo po rozwodzie?

– Ależ skąd! Zwłaszcza jeśli mamy do czynienia ze środowiskiem haredi.

– Pokręciła głową. – Co jeszcze powiedział?

– W sumie niewiele. Sprawiał wrażenie zdumionego całą historią. Powtarzał, że musiało zajść nieporozumienie. Że jego cudowna, łagodna żona była wzorową matką i nigdy, przenigdy nie skrzywdziłaby dzieci.

– Pytał o nie?

– Wielokrotnie. Wyglądał na autentycznie zmartwionego. Chciał jak najszybciej się nimi zająć. Powiedzieliśmy, że dopóki nie zdobędziemy więcej informacji, ma się do nich nie zbliżać.

– Dobrze. Nawet jeśli bezpośrednio nie odpowiada za molestowanie, to przecież chodzi o jego dzieci. Niech nie myśli, że otrzepie się i sobie pójdzie, zapominając o sprawie.

Morris wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie. Ale nie w tym rzecz, Bina. Zastanów się. Skoro matka nie skrzywdziłaby muchy, a ojciec nie jest winny, czyja to robota?

Spojrzała na leżące przed nią kartki.

– Rozmawiałaś z matką?

Potaknął. Wziął krzesło, usiadł i spojrzał na koleżankę.

– O ile ojca można jeszcze uznać za ekscentryka, o tyle ona kwalifikuje się do wariatkowa. Ubrana jak prorokini Debora, bez przerwy mamrocze modlitwy i nawet nie raczy się zająć okaleczonymi dziećmi. Wychowałaś się w religijnej rodzinie. Co sądzisz o tej świętości na pokaz?

Wzruszyła ramionami.

– Przecież oboje widywaliśmy seryjnych gwałcicieli i pedofilów, którzy w sądzie nagle przypominali sobie o jarmułce. Każdy może ubrać się nobliwie i włożyć nakrycie głowy.

– Co prawda sędziowie nigdy się na to nie nabiorą, ale spróbować nie zaszkodzi. – Skrzywił się. – A po wyroku jojczą, żeby umieścić ich w skrzydle dla pobożnych, gdzie całymi dniami odstawiają świętych talmudystów, byleby

wyłgać się od roboty. Ale żeby kobieta próbowała tej sztuczki? Z tym nigdy się nie zetknąłem. Zresztą ona też nie sprawia wrażenia sadystki ani furiatki, psychopatki w stylu Andrei Yates czy Susan Smith. Do tego jeszcze dzieciaki... Wszystkie dopytują się o nią, nie mogą się doczekać, kiedy ją zobaczą. Nawet chłopczyk w szpitalu. Mimo oparzeń tulił się do niej z całej siły. Nie spotkałem dziecka, które tak by lgnęło do molestującego je rodzica.

– Otóż, wyobraź sobie, to zdarza się częściej, niż się zdaje. Daj mi trochę czasu na zapoznanie się z materiałami. Odezwę się, jak coś wymyślę.

– Byle szybko. To pilne. Ja utknąłem. Ty masz największe szanse. Jesteś kobietą, do tego wierzącą, matką...

– Błagam, nie porównuj mnie do niej – ucięła.

Ciarki ją przechodziły na myśl, że zaraz będzie musiała zanurkować w tym szambie. Ale – jak klient, który kupił bilet na wyjątkowo niebezpieczną i szaloną kolejkę górską – nie miała wyjścia, musiała to zrobić.

Przeczytała raport i stenogramy pierwszych przesłuchań. Z tej lektury wynikało, że Daniella Goodman nie udaje. Naprawdę żyła w innym świecie; miejscu, którego istnienia na tej pięknej ziemi Bina nawet się nie domyślała.

Jaka matka patrzy na dziecko z nieodwracalnym uszkodzeniem mózgu i głośno nie domaga się zemsty? Jaka matka całą winę natychmiast zrzuca na męża, którego od miesięcy nie dopuszczała do dzieci? W sprawę musi być zamieszany ktoś jeszcze. W końcu matka siedziała w szpitalu, kiedy przywieziono najmłodszego synka. Kto skatował trzylatka tak, że zapadł w śpiączkę? I – choć to akurat najmniej ważne – dlaczego? Kto to zrobił? I dlaczego Daniella Goodman odmówiła współpracy? Dlaczego nie chce przyłożyć ręki do postawienia tego człowieka przed sądem?

I jak ją do tego zmusić?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Byli nowożeńcami, podekscytowanymi przygotowaniem do nowego życia. Zaraz po ślubie zaczęli odkładać w jedno miejsce prezenty, których nie zabiorą do Izraela: sprzęt elektryczny nieprzystosowany do tamtejszego napięcia, delikatne kryształy, bibeloty nieprzystające do ich poważnego życia wypełnionego troską o rodzinę, zgłębianiem pism i modlitwą. Życia pełnego prostych przyjemności.

Po czym z dnia na dzień musieli wszystkie te plany zawiesić.

Spodziewała się dziecka. Pamiątka z miodowego miesiąca, beztrusko nazwał to ginekolog. Shlomie nie posiadał się z radości. Daniella była zdruzgotana. To oznaczało, że będą musieli przełożyć alię na jakąś bliżej nieokreśloną przyszłość. A tak bardzo chciała się stąd wyrwać! Zostawić za sobą rozczarowanie matki i ojcowskie współczucie pomieszanego z rozdrażnieniem.

Babka znalazła im mieszkanie, za które płaciła. Shlomie wrócił do poprzedniej pracy. Ona zaś z dnia na dzień stawała się coraz większa, coraz cięższa i coraz bardziej przygnębiona. Pograżona w beczynności i letargu snuła się senna i zobojętniała.

– Może przyszedłabyś do sklepu, trochę mi ulżyć? – zaproponowała matka, kładąc nacisk na „mi”, przez co niewinne pytanie zmieniało się w oskarżenie i osobisty przytyk.

– Nie mam zielonego pojęcia o biżuterii. Sama wiesz najlepiej.

– Zawsze możesz się nauczyć, prawda?

Daniella przyznała w duchu, że lepsze to niż nic. Przynajmniej wyrwie się z domu. I ucieknie od lodówki. Przybierała na wadze w zastraszającym tempie.

Sklep założony w tysiąc dziewięćset jedenastym roku był olbrzymi, luksusowo urządzony. Oryginalne elementy wyposażenia z przełomu wieków nadawały mu status zabytku i lokalnej atrakcji. Daniella siedziała za lśniąco szklanymi kontuarami. Sprytnie zamontowane oświetlenie podkreślało szlif kamieni tak, że nie mogła oderwać wzroku od migotliwych brylantów, szmaragdów i rubinów. Tak naprawdę jednak nadają się wyłącznie do pucowania szklanych kasetek, myślała smętnie. Matka za nic nie pozwoliłaby jej obsłużyć poważnego klienta, gotowego wydać dwadzieścia tysięcy dolarów na pierścionek zaręczynowy. Zresztą całkiem słusznie, przyznawała

w duchu.

– Widzisz ich? – Któregoś ranka matka ruchem brody wskazała młodą, wytatuowaną parkę. – Są twoi – prychnęła z wyższością.

– Czym mogę służyć? – spytała Daniella z uśmiechem, błyskawicznie nabierając sympatii do klientów, których matka uznała za niegodnych swojego cennego czasu ani uwagi.

– Nie trzeba – odparł mężczyzna z ironicznym, lekceważącym uśmiechem.

– Właśnie że tak – odezwała się dziewczyna, posyłając mu mordercze spojrzenie. – Chcielibyśmy obejrzeć pierścionki zaręczynowe. Z czarnym brylantem.

Daniella przełknęła ślinę. Coś takiego w ogóle istnieje? Czarny brylant? Czyż cały urok kamienia nie polegał na jego białości, oślepiającej czystości?

– Momencik. Sprawdzę.

– Oczywiście, że istnieją czarne brylanty! Tam, widzisz? Kastet z czarnym i białym kamieniem – syknęła matka, kręcąc głową nad beznadziejną córką. – Ostatni krzyk mody. Bardzo drogie.

– Jak bardzo?

– Pytasz, ile kosztuje oryginalny, niepoprawiany, przyzwoitej wielkości? Tysiące dolarów.

– W sensie, fałszywy?

– Nie – cierpliwie tłumaczyła matka, powstrzymując ciężkie westchnienie.

– Kamień jest prawdziwy, ale kolor nie.

– A my je sprowadzamy?

– Oczywiście. Wszyscy je mają. Są tam, przy rubinach z wypełniaczem.

– Wypełniaczem?

– Naturalne rubiny są dość paskudne. Dlatego szczeliny wypełnia się szkłem, żeby kamień ładniej wyglądał.

– Czyli to jedna wielka ściema?

– Nie ma nic złego w poprawianiu natury – nastroszyła się matka. –

Dlaczego tylko milionerzy mieliby nosić czarne brylanty albo ładne rubiny? Twoi klienci czekają.

Po drugiej stronie kontuaru trwała cicha, ale burzliwa dyskusja. Kiedy Daniella podeszła, przerwali, zapadając w pełne urazy milczenie.

– Tak, mamy czarne brylanty. Poprawiane czarne brylanty.

– Ale czy są prawdziwe?

– Tak, prawdziwe. Tylko trzeba było laboratoryjnie poprawić ich kolor.

– Och, bo ja wiem? – Dziewczyna pokręciła głową. – Marzyłam o prawdziwym.

– Można spytać dlaczego? Białe brylanty są przecież...

Klientka przechyliła głowę z wojowniczą miną.

Daniella przełknęła ślinę.

– Tradycyjne – dokończyła.

– Czarne brylanty – wyjaśnił mężczyzna – pochodzą z wybuchu supernowej, do którego doszło, zanim powstał nasz Układ Słoneczny. Spadły na Ziemię jak meteoryty.

– Chłoną światło – dodała dziewczyna. – Nie oddają go. Chwytają je i trzymają w środku niczym tajemnicę. Właśnie tego chcę.

W jej słowach było coś, co zaniepokoiło Daniellę. Idea absolutnej czerni ukrywającej w sobie światło. Przypomniał jej się wykład o kabale zorganizowany przez ortodoksyjną organizację młodzieżową NCSY, kiedy była w dziesiątej klasie. Panowała wtedy moda na kabałę. Kilka koleżanek z klasy paradowało nawet z czerwoną nitką na przegubie, co Daniella akurat uważała za dość głupie. Jednak sama wizja dziesięciu świętych naczyń skrywających w sobie pierwotną światłość Boga przemawiała do niej jak piękny, magiczny obraz; baśń albo mit.

Pokazała narzeczonym czarne brylanty. Nieduże, pojedyncze jedno-, dwukaratowe kamienie w cenie do tysiąca dolarów. Dziewczyna przymierzyła jeden. O wiele za duży.

– Możemy dopasować do pani rozmiaru – zaszcebiotała matka z przymilnym uśmiechem handlowca.

– Oczywiście – zawtórowała Daniella zawstydzona. Dlaczego sama na to nie wpadła?

– Możemy zapłacić od ręki?

– Tym zajmuje się moja mama. – Daniella usunęła się na bok.

Claire podeszła do kontuaru z przyklepionym uśmiechem, podawała ceny, proponowała zniżkę ważną przez godzinę. Para wyglądała na przekonaną. Obiecała, że szybko podejmie decyzję i wróci.

Kiedy młodzi wyszli, matka z aprobatą pokiwała głową.

– Dobrze sobie poradziłaś. Uczysz się.

– Przecież nie kupili.

– Wróć.

– Skąd wiesz?

– Bo mu nie da, dopóki nie kupi jej tego pierścionka – wyjaśniła, ziewając.

Stopniowo Daniella zaczęła się wdrażać. Potrafiła ocenić wartość kamienia na podstawie wielkości, koloru i przejrzystości, znała też cenę grama każdego metalu szlachetnego, każdego ozdobnego, kolorowanego kamienia. Co najważniejsze, nauczyła się oceniać wartość klientów, którzy naciskali brzęczyk, by wejść do środka i kupić błyskotkę. Stała się równie cynicznym i bystrym sędzią, jak matka, a przy okazji nabrała sporej dawki pogardy do siebie. Cóż za powierzchowne podejście: oceniać człowieka na podstawie tkaniny i kroju ubrania oraz jego butów i torebki! Jeszcze gorsze było to, jak skuteczne okazywały się te kryteria w ocenie jego wartości jako potencjalnego klienta.

Daniella była oburzona i wściekła, że ludzi tak łatwo da się zaszufładować i odrzucać. Co dzień liczyła na zaskoczenie: jakiegoś brodacza w różowych crocsach i T-shircie Metalliki, który poprosi o pastelowo różowy morganit. Oprócz wizyty narzeczonych, którzy chcieli pierścionek z czarnym brylantem, życie w sklepie matki płynęło jednostajnym rytmem. Aż do dnia, gdy stojąc za kontuarem, nagle poczuła, jak coś z niej chlusta i staje w dziwnej kałuży.

– Zadzwoń po Shlomego! – błagała matkę, gdy pędem biegły do samochodu, żeby jechać do szpitala.

Niewiarygodne, ale mąż już czekał na nią przed wejściem. Tak się ucieszyła na jego widok! Oto jej kochany, wierny mąż! Zjawił się, żeby ją uwolnić ze szponów matki!

– Nie mogę ci towarzyszyć w czasie porodu. To niedozwolone – szepnął. – I nie mogę cię dotykać. Z chwilą, gdy zaczyna się poród, stajesz się *nida*, nieczysta. Ale pomogę, jak tylko będę mógł – zapewnił.

Była zdruzgotana, że nie będzie jej towarzyszył, ale nie miała czasu o tym myśleć, bo rozrywały ją kolejne fale skurczów.

– To już nie potrwa długo – uspokajała położna.

Myliła się. Poród ciągnął się godzinami. Ból był nie do zniesienia.

– Błagam, niechże państwo jej coś dadzą – zaklinała matka.

– Wybrała poród siłami natury, a na znieczulenie zewnątrzoponowe niestety już za późno.

Pod koniec lekarza zaniepokoił zanikający puls dziecka.

– Chcę mojego męża! – krzyczała Daniella, ale Shlomie zapadł się pod

ziemię.

Szybko o nim zapomniała. Bardziej przerażały ją pełne śmiertelnej powagi spojrzenia, jakie wymieniali lekarz i położna, kiwając głowami w niemym porozumieniu.

Ani się obejrzała, jak zrobili nacięcie i wepchnęli jej do środka próżnociąg, a położna z całej siły nacisnęła jej brzuch. Zupełnie jak na filmie o Holocauście, pomyślała Daniella z przerażeniem, ale po kilku sekundach rozległo się kwilenie.

– Śliczna, zdrowa dziewczynka – oznajmiła położna, która owinęła noworodka w kocyk i pokazała go Danielli.

– Dziewczynka – wyszeptała zszokowana, wpatrując się w maleńką, siną kukiełkę.

Przywykła do zdjęć pulchnych trzymiesięcznych maluchów udających w kolorowej prasie noworodki. Po raz pierwszy zobaczyła, jak naprawdę wygląda dziecko, które właśnie opuściło matczyne łono.

– Co z nią nie tak? Dlaczego wygląda tak staro? I jest jakaś taka lewa? Położna i lekarz parsknęli śmiechem.

– Wygląda dokładnie tak samo jak każdy noworodek. Może jest odrobinę sina, bo miała nieco utrudnioną podróż. Ale jutro będzie rozkoszna i różowiutka, ręczę za to – uspokajał położnik.

Jasne, już ci wierzę, mruknęła w duchu nieprzekonana Daniella. Lekarze zawsze najbardziej martwili się, żeby nie zarzucono im błędu lekarskiego. Miotła się od nadziei do lęku, że z jej winy dziecku coś dolega. Może to przez jej niechęć do samej ciąży? Albo przez złość, że musiała zmienić plany? Może ten stres udzielił się dziecku rosnącemu w jej łonie? Nigdy sobie nie wybaczy, gdyby coś mu się stało.

– Proszę, Boże – modliła się. – Nie karz jej za moje grzechy. Spraw, żeby była idealna.

Szeptała swoją modlitwę, jeszcze gdy wieźli ją do sali. Tam – wyczerpana fizycznie i emocjonalnie – zamknęła oczy i zasnęła. Kiedy się obudziła, zobaczyła przy łóżku promiennie uśmiechniętego Shlomiego. Osłupiał na widok łez na jej policzkach.

– Było aż tak ciężko? – spytał troskliwie.

– Och, Shlomie, nie o to chodzi. Z małą coś jest nie w porządku! I to bardzo! Po prostu wiem! A to wszystko przeze mnie.

– Nie, nie. Lekarz powiedział, że jest zdrowiuteńka. Waży trzy osiemset.

Śliczna, mała dziewczuszka. Wspaniale się spisałaś.

Potrząsała głową z rozpaczą.

– Jest paskudna i pomarszczona! Nigdy nie wydamy jej za męża!

Roześmiał się serdecznie.

– Musisz po prostu odpocząć, Daniello. Jutro poczujesz się lepiej. Lekarze każą mi już zniknąć.

– Nie, Shłomie! Zostań ze mną!

Chwyciła go za ramię.

Delikatnie uwolnił się z uścisku. Prawo religijne zakazywało po porodzie kontaktu fizycznego między mężem i żoną aż do momentu, gdy ustąpi krwawienie i kobieta będzie mogła dokonać kąpieli rytualnej, by w ten sposób doznać duchowego oczyszczenia. Tego ograniczenia nikt nie potrafił przekonująco wyjaśnić.

– Nie rozumiem – pytała go teraz Daniella. – Dlaczego wydanie na świat dziecka ściąga na kobietę nieczystość? To chyba najświętszy czyn, jakiego może dokonać?

Wzruszył ramionami. On też tego nie rozumiał.

– Niektórzy mówią, że to kara za przekleństwa, którymi obrzuciła męża w czasie porodu.

Uśmiechnął się, by wiedziała, że żartuje.

Ona jednak chlipała cichutko. Całe to przeżycie ją przytłoczyło. Nie spodziewała się tak okropnego braku skromności ani bólu. Czegoś podobnego nie wyobrażała sobie w najgorszych snach. Całkowite przeciwieństwo wzniosłości i uduchowienia, których się spodziewała. Teraz wszystko ją bolało.

W nocy prawie nie spała, bo nie mogła znaleźć wygodnej pozycji. Przekręcała się z boku na bok powoli i ostrożnie, żeby niebacznym ruchem znów nie wyzwolić przeszywającego bólu w miejscu, gdzie ją zaszyli. Rano była skonana.

Shłomie zjawił się o ósmej z małym bukiecikiem.

– Widziałeś ją? – spytała.

Uśmiechnął się.

– Stałem przed salą z noworodkami i przez szybę przyglądałem się maleństwom. Moją uwagę przykuło jedno. Wprost tryskało zdrowiem. Miało śliczną, czarną czuprynkę. Wierzgało małymi nóżkami i wymachiwało rączkami, ale nie płakało. Po prostu rozglądało się dookoła. Pomyślałem

sobie: idealne dziecko! Wtedy podeszła pielęgniarka i spytała, jak się nazywam. Kiedy powiedziałem, poszła na salę i podniosła dziecko, właśnie to, na które patrzyłem! Powiedziała: „To pańskie”. Niech Bóg będzie błogosławiony!

Patrzyła na jego uśmiech, szczery, płynący prosto z serca, i łzy spływające mu po policzkach. Jednak mogę, myślała. Mogę być jego żoną. Rodzić mu dzieci. Wszystko jednak jest w porządku. Z dzieckiem, z mężem i z moim małżeństwem. Bóg mnie nie ukarał. Przeciwnie, pobłogosławił. Ponieważ jest dobry. Współczujący.

– Nie płacz – powiedziała cicho. – Nie płacz.

Córeczce dali na imię Amalia, bo to imię brzmiało izraelsko, a oni chcieli izraelskiego dziecka. Tuż po pierwszych urodzinach Amalii Daniella znów zaszła w ciążę. Zajęta opieką nad córeczką, nawet nie czuła upływu miesięcy. Niestety, trzy miesiące przed rozwiązaniem Shlomie stracił pracę.

– Chabad przysłała kogoś z Nowego Jorku. – Wzruszył ramionami. – Ale obiecali mi dobre referencje.

Sytuacja gospodarcza była jednak kiepska. Nikt nie zatrudniał nowych pracowników. Daniella nie miała wyjścia, musiała zwrócić się do matki.

– Co ja jestem? Bankomat?! – wydarła się Claire. – Ale niech ci będzie, zaproponuję twojemu mężowi pracę. Niech zarabia na siebie.

– Ma sprzedawać biżuterię? – spytała Daniella ze zgrozą.

– Skądże. Kompletnie się do tego nie nadaje. Może zająć się dostawami.

Shlomie się zgodził, ale po miesiącu wartość mandatów za parkowanie przekroczyła wysokość pensji.

– Jest beznadziejny – oświadczyła matka.

Drugi poród w niczym nie przypominał pierwszego. Daniella urodziła w niecałe dwie godziny. Tym razem była mądrzejsza i zażądała znieczulenia zewnątrzoponowego, więc prawie nie czuła bólu. W przeciwieństwie do Amalii synek od początku był śliczny. Miał różową buzię, jasne włosy i brązowe oczy, zupełnie jak jej. Dali mu na imię Dawid, od żydowskiego króla Izraela, ale wszyscy nazywali go Duvie.

Odczekała do obrzezania i postawiła sprawę jasno.

– Musimy dokonać alii, Shlomie. Tak jak planowaliśmy. Nie możemy dłużej zwlekać. Na co czekać? Aż znów zajdę w ciążę?

Nie chciała urazić jego męskiej dumy, więc nie wspomniała, że matka zamierza go zwolnić.

Shlomie był w siódmym niebie. Żadna wątpliwość nawet mu w głowie nie zaświtała – jak kompletnie niepraktyczny jest pomysł przeprowadzki na drugi koniec świata z dwójką małych dzieci, a za to bez pracy. Żył wiarą. Bóg tulił go w swojej dłoni. O wszystko zadba On.

Spakowali i wysłali rzeczy: meble z jadalni i ukochaną witrynę na porcelanę Danielli, z którą za nic nie chciała się rozstać – choć nieraz podkreślała, że zamierza żyć skromnie. Do tego doszła też zastawa stołowa, garnki i patelnie (cztery komplety: codzienny i świąteczny do potraw mlecznych oraz codzienny i świąteczny do potraw mięsnych). Agencja Żydowska przyznała im lokum w ośrodku dla nowych imigrantów w Kfar Szoszon, gdzie mieli mieszkać do czasu, aż Shlomie znajdzie pracę i będzie ich stać na wynajęcie mieszkania.

Opuścili Amerykę szarego, pochmurnego dnia na miesiąc przed końcem starego wieku. Przed nimi nowe tysiąclecie i nowe życie, radowała się Daniella. Dwuletnia Amalia i dwumiesięczny Duvie podróżowali okutani w czapki, szaliki i ciepłe kombinezony.

Kiedy wysiedli z dzambo dżeta, Tel Awiw powitał ich słońcem, błękitnym niebem i lazurem Morza Śródziemnego. Uszczęśliwieni wyplątali siebie i dzieci z ciepłych ubrań, radując się niemal wiosenną pogodą. Tak, to rzeczywiście był nowy świat, nowy początek. Dawne niepowodzenia i wątpliwości zrzucili z siebie jak ciężkie zimowe ubrania.

Na lotnisku czekał na nich przedstawiciel Agencji Żydowskiej zaopatrzonej w tabliczkę z ich imionami. Pomógł im przejść kontrolę celną, razem z nimi pchał do czekającego vana wózki wyładowane walizami, wózkami dziecięcymi i fotelikami samochodowymi. Wstawili foteliki, przypięli maluchy, potem sami zapięli pasy. Wykończeni opadli na oparcia, kiedy samochód wiózł ich w nieznane. Z zachwytem chłonęli krajobraz: kwitnące rośliny, soczyste zielone pola, oślepiające promienie jaskrawego słońca i bezmiar niebieskiego nieba. Nie wylądowali w innym kraju, wylądowali na innej planecie, a ta nie miała nic wspólnego z zimną i burą pittsburską zimą, którą zostawili za sobą.

Tuż przed Tel Awiwem samochód skręcił w lewo. Jego wnętrze wypełniło się cierpkim zapachem pomarańczy. Jechali wąską, krętą drogą wśród gajów pomarańczowych. Ze zdumieniem i zachwytem podziwiali gałęzie uginające się pod ciężarem dojrzałych owoców.

Shlomie wyciągnął rękę i delikatnie ścisnął dłoń żony.

– Udało się! – triumfował. – Jednak tu dotarliśmy. Naprawdę!

Odwzajemniła uścisk. Jego zaraźliwa radość na chwilę uciszyła wszystkie pytania i wątpliwości, które krążyły jej w myślach niczym uporczywe insekty. Jakże chciała się ich pozbyć!

Kierowca zaparkował przed Ośrodkiem Adaptacyjnym, skromnym, niskim budynkiem z podcieniami. Wyglądał całkiem sympatycznie, trochę jak motel. Ledwo weszli do środka, a zalała ich fala powitań i formularzy. Wszystko oczywiście po hebrajsku. W końcu dostali klucze do mieszkania, które okazało się prawie nowe. Pachniało świeżą farbą, terpentyną i nowymi szafkami z forniru. Składało się z dwóch małych sypialń, jeszcze mniejszej kuchni i ciasnego pokoju dziennego z kanapą i krzesłem. Daniella rozglądała się z przerażeniem. Całość była niewiele większa od jej pokoju w domu rodziców.

– To tylko na jakiś czas – pocieszał Shlomie, miotając się w poszukiwaniu miejsca na ich bagaż i liczne torby. Zadanie było z góry skazane na klęskę, więc szybko się poddał.

Duwie zaczął zawodzić. Dołączyła do niego Amalia, głodna i zmęczona.

– Przewinę go – zaproponował Shlomie, co stanowiło akt heroizmu z jego strony. Nigdy nie dotykał pieluch.

– Nie, poradzę sobie. Lepiej poszukaj sklepu i kup coś do jedzenia.

– Czyli co?

– Też pytanie. Zależy, co mają – odparła, tracąc cierpliwość. – Kup, co się da.

– Dobrze – powiedział i zniknął za drzwiami.

Daniella usiadła, rozpięła sukienkę i wyjęła pierś. Duwie natychmiast łapczywie chwycił ustami brodawkę. Amalia szarpała sukienkę, jęcząc i popłakując.

– Głodna! – skarżyła się.

Daniella wolną ręką gładziła pulchną, wykrzywioną buzię córeczki.

– Wiem. Mamusia wie.

Wstała, ostrożnie trzymając na ręku ssącego synka, i zaczęła wędrówkę po pokojach w poszukiwaniu torby z rzeczami dzieci, którą wzięli do samolotu. Może został jakiś owoc albo niedojedzona kanapka? Duwie puścił pierś, a jego zawrośnięcie przybrało na sile. Dobrze wiedziała, co to zwiastuje. Serce w niej zamarło. Jeśli w porę nie odwróci uwagi malucha i pozwoli mu iść dalej tą drogą, potem nie zdoła go uspokoić. Niczym tykająca bomba zegarowa,

w pewnym momencie po prostu eksplodował. A to było koszmarne.

Gdzie, u diaska, jest ta torba? – rozglądała się zdesperowana. Ale Shlomie wszystko wrzucił na kupę. Potrzebuje obu rąk, żeby jakoś się do niej dokopać. Niechętnie wsunęła synkowi do ust smoczek i położyła go na łóżku. W tej chwili płacz umilkł. Maluch wstrzymał oddech, prawie zsiniał, po czym z jego piersi dobył się ryk niczym uderzenie pioruna.

Daniella w końcu wypatrzyła torbę. Wyszarpnęła ją spod walizek i nerwowo przeszukiwała zawartość. Niestety, znalazła jedynie małe opakowanie rodzynek i kilka pokruszonych ciastek.

– Śmiało, weź, skarbie. – Podała je Amalii. – Niedługo wróci tatuś z prawdziwym jedzeniem.

Córeczka przyjęła dar z wdzięcznością.

Tymczasem Duvie, którego napad hysterii osiągnął już apogeum, dławił się z wściekłości. Przerwy pomiędzy wrzaskami niepokojąco się wydłużały. Spazmatycznie wymachiwał nóżkami. Małe rączki bębniły po brzuszku.

– Przestań! Krzywdę sobie zrobisz! – krzyczała, próbując oderwać małe piąstki od tułowia.

Otuliła je dłońmi i unieruchomiła, znów przytulając go do siebie. W końcu – wydawało jej się, że minęły długie godziny – szloch ustał. Cierpliwie doprowadziła buźkę do swojej piersi. Siedziała jak skamieniała. Bała się poruszyć, żeby przypadkiem nie wywołać kolejnego ataku. Żołądek aż ją bolał z głodu. Głodna, straszliwie zmęczona, przytłoczona, wręcz zmiażdżona ciężarem życia, które sama wybrała, bezsilnie czekała, aż mąż wróci z jedzeniem.

Wreszcie usłyszała chrzęst otwieranych drzwi i niespieszne kroki Shlomego. Przetarła oczy i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zasnęła, a dzieci razem z nią. Zerknęła na zegarek. Męża nie było dwie godziny.

– Gdzie się podziewałeś? Co tak długo? – syknęła.

Spojrzał na nią zaskoczony. Daniella nigdy nie wpadała w gniew.

– Poszedłem do sklepu, jak kazałaś. Idzie się bodaj dwadzieścia minut pod górkę. A w sklepie niczego nie wystawiają na półki. O wszystko trzeba prosić. Zanim sobie przypomniałem, jak po hebrajsku jest mleko, chleb i kawa... – Parsknął śmiechem. – Sprzedawca okazał się chasydem. Bardzo sympatyczny gość. Pogadaliśmy trochę...

– Zostałam tu sama z dwójką głodnych, wrzeszczących dzieci, bo ty... postanowiłeś sobie pogadać ze sklepikarzem? – wyszeptała wściekła, nie

wierząc własnym uszom.

Spuścił wzrok zawstydzony.

– Masz rację. Czasem się zapominam. Jasne, trzeba się zachowywać przyjaźnie, ale jak napisano, wszystko ma swój czas. Jest czas pogawędek i czas pośpiechu. Wybaczysz mi? Bardzo proszę.

Westchnęła.

– Co kupiłeś?

– Nie mieli żadnych znajomych marek. Wziąłem jakieś pieczywo, mleko, masło, kilka jogurtów i paczkę płatków śniadaniowych. Jutro pójdziesz sama i kupisz wszystko, co ci potrzebne.

– Musimy postarać się o samochód.

– Ale Daniello, to za duży wydatek! A ja przecież jeszcze nie znalazłem pracy.

– Mam łązić czterdzieści minut z siatami?

– Nie będzie tak źle. Będziemy zabierać dziecko i ładować zakupy do wózka. Pogoda sprzyja spacerom.

Tymczasem następnego dnia padało.

– Ja pójdę – zgłosił się, ale wołała nie powierzać mu zakupów.

Musiała kupić coś, z czego da się zrobić normalny posiłek.

– Nie, nie. Pilnuj dzieci. Ja pójdę. – Potem odwróciła się i bacznie mu się przyjrzała, jakby widziała go po raz pierwszy. – Z tym chyba sobie poradzisz, prawda?

Skinął głową urażony.

Szła piaszczystymi drogami poznaczonymi głębokimi koleinami, teraz miękkimi od deszczu. Kiedy wreszcie dotarła do centrum wioski, przetarła oczy ze zdumienia. Zupełnie jakby znalazła się na planie *Skrzypka na dachu*: rozsypujące się drewniane chałupiny, a w nich sklepiki. Z większą wyrozumiałością pomyślała o Shlomiem. Miał rację: jeśli nie umiesz poprosić o towar po hebrajsku, nie dostaniesz go. Sama poradziła sobie niewiele lepiej niż on. Ale przynajmniej ustaliła, w których sklepikach można było dostać mięso, warzywa i owoce. Kupiła, co się dało, wrzuciła wiktuały do pustego wózka i w myślach zapisała, że musi zaopatrzyć się w wózek na zakupy. Przy każdej kasie próbowała przeliczyć cenę z szekli na dolary. Dzięki temu niemal wszystko wydawało się znacznie tańsze. Z wyjątkiem mięsa, które było okropnie drogie – w każdej walucie.

Przez pewien czas żywili się chlebem z masłem i spaghetti z sosem, na

szabat kupowali proste dania na wynos – pieczonego kurczaka, kugla ziemniaczanego, sałatki jarzynowe – które na szczęście dostarczano do ośrodka. Rosła w nich jednak tęsknota za supermarketem. Zwłaszcza że od Tel Awiwu z jego nowoczesnymi sklepami całodobowymi dzieliła ich tylko krótka podróż autobusem. Niestety, autobus nie przejeżdżał przez ich wioskę. Trzeba było dojść do głównej trasy wyboistą drogą między gajami pomarańczowymi. Słońce prażyło niemiłosiernie. Co chwila też potykali się o wystające kamienie, które kaleczyły ich stopy i blokowały kółka wózka dzieciennego.

Z chwilą jednak, gdy wysiedli z autobusu w Tel Awiwie, zapomnieli o wszystkich uciążliwościach podróży. Nowoczesny supermarket! Miejsce, gdzie można było wybierać wśród produktów wyłożonych na półki! Wreszcie znajome opakowania! Majonez, keczup, płatki śniadaniowe... Jakby przekroczyli granicę i znaleźli się w innym państwie. Daniella i Shlomie wypełnili wózek po same brzegi. Dopiero po chwili uświadomili sobie, że teraz będą musieli wszystko to zatańczyć do autobusu, a potem do ośrodka. Przez moment rozważali powrót taksówką, ale uznali to za zbytnią rozrzutność. I słusznie, jeśli wziąć pod uwagę tempo, w jakim kurczyły się zapasy gotówki. Choć Shlomie regularnie przeglądał ogłoszenia o pracy, już na wstępie dyskwalifikowała go słaba znajomość hebrajskiego.

Niechętnie poodkładali na półki najcięższe rzeczy i te, które nie wytrzymałyby podróży powrotnej: dojrzałą, soczystą połówkę arbuza, puszki tuńczyka, pudełko lodów, mrożonki. Torby i tak okazały się za ciężkie. Do ośrodka dotarli skonani.

W milczeniu rozpakowali sprawunki. Daniella nakarmiła i wykąpała marudnego Duviego. Położyła go spać, zaczęła czytać Amalii bajkę. W połowie lektury zrobiło jej się niedobrze. Popędziła do łazienki, gdzie zwymiotowała.

Nie, pomyślała, kręcąc głową i czując, jak w gardle rośnie jej gula. Nie, nie i jeszcze raz nie. To nie może być to!

A jednak było. Kolejna ciąża.

– Nie ma pewności. W każdym razie dopóki nie zrobisz testu. A jeśli się okaże, że tak, to wielki dar i błogosławieństwo. Poradzimy sobie, najdroższa żono...

Przestała go słuchać. Uświadomiła sobie, że marzy o powrocie do domu. Do Pittsburgha. Gdzie może liczyć na pomoc. Gdzie babcia zadbałaby, żeby niczego jej nie brakowało, matka wpadałaby popilnować dzieci, a ojciec

przywoziłyby zapasy jedzenia z supermarketu. Gdzie miałyby samochód.

Nienawidziła swojego nowego życia.

Wróciła do pokoju, gdzie Shlomie siedział przy stole. Wokół piętrzyły się książki. Jedna była otwarta. Czytał ze skupieniem, nucąc pod nosem, kołysząc się i cicho powtarzając słowa.

Nagle poczuła, że dłużej tego nie zniesie.

– Musisz tak hałasować?! – wybuchła. – Nie możesz uczyć się po cichu? Obudzisz dzieci! Wiesz, jak się namordowałam, żeby wreszcie zasnęły?

Zdumiony podniósł wzrok.

– Prze... Przepraszam – wyjąkał. – Tak łatwiej mi się skupić. Nauka nie przychodzi mi łatwo. Muszę nieustannie się motywować. Kiedy jestem szczęśliwy, moja motywacja rośnie. To mnie zachęca do dalszej pracy. A śpiewając, czuję się szczęśliwy. Ale jeśli chcesz, żebym przestał, przestanę.

Natychmiast zrobiło jej się głupio. Skruszona położyła mu rękę na ramieniu. Zasługa za dobre uczynki męża – jego studia nad Torą – spływa również na żonę. Dlaczego nie okaże mu więc wsparcia i zrozumienia, skoro usilnie stara się doskonalić, rozwijać duchowo? Dzięki niemu realizujesz swoje marzenie, przywołała się do porządku. Westchnęła. Tylko dlaczego teraz marzenie bardziej przypomina koszmar? Dlaczego musi być tak ciężko? Gdzie w tym zasługa? Zacisnęła zęby.

– Shlomie, musimy kupić sobie samochód. Bez niego ani rusz. Zwłaszcza z maluchami.

Odłożył książkę.

– Najdroższa moja Dani, rozmawialiśmy o tym dziesiątki razy. Nie stać nas na to, koniec kropka.

– Ale babcię stać. Chętnie nam pomoże.

Pokręcił głową, autentycznie zaskoczony.

– Przecież uzgodniliśmy, że nikogo nie będziemy prosić o pomoc. Będziemy żyć skromnie, prosto...

– Jestem w ciąży! Czego chcesz?! Żebym tłukła się z trójką dzieci pod górę i do końca życia żywiła się chlebem z masłem?!

Poczuł ukłucie złości. Przecież rozmawiali o tym wcześniej, uzgadniali. Czy cokolwiek jej narzucal? Wtedy zobaczył łzy spływające jej po policzkach. W głowie zabrzmiało mu zdanie z Talmudu: „Bóg nie wybaczy ani jednej żoninej łzy”. Wstał, objął ją i przytulił.

– Przepraszam, przepraszam! Jest ci trudno, a ja za mało ci pomagam.

Masz rację. Potrzebujemy samochodu. Jeśli babcia zgodzi się pożyczyć nam pieniądze, przyjmę je z wdzięcznością i zwrócę, kiedy tylko będę mógł.

Tydzień później pieniądze były na koncie. Wracali z Tel Awiwu nowiuteńkim, jaskrawoczerwonym fiatem, skromnym autkiem ciasnym jak puszka sardynek, przy którym amerykańskie wozy wydawały się wielorybami. Kiedy napełnili bagażnik zakupami spożywczymi z supermarketu i ruszyli w drogę powrotną do ośrodka, śpiewali wszystkie syjonistyczne piosenki, które pamiętali z obozowych ognisk. Amalia klaskała i próbowała się dołączyć. Nawet malutki Duvie wtórował im gaworzeniem.

Dziecko urodziło się w październiku. Chłopcu dali na imię Josef, ale błyskawicznie przyłgnęło do niego zdrobnienie Yossi. Rodzina Danielli: babcia, rodzice wraz z nowymi partnerami, brat Joel z nową narzeczoną – Esther, ładną blondynką, sekretarką w kancelarii prawnej – stawiała się w komplecie na obrzezanie. Nie dojechali tylko rodzice Shlomiego. Przeprosili, tłumacząc, że nie stać ich na bilety lotnicze, ale przysłali czek na okrągłą sumkę i ubranka. Shlomie nie krył zawodu. Matka Danielli zorganizowała wystawne przyjęcie w dużej sali w Tel Awiwie.

– Teraz wasza kolej – droczyła się Claire z Joelem i Esther.

– Daj nam szansę, mamó! – jęczał Joel, obejmując ramieniem spłonioną narzeczoną.

Ich ślub miał się odbyć w lutym. Babcia już zarezerwowała i opłaciła bilety w obie strony dla Danielli z rodziną.

– I jak poszukiwanie pracy, Shlomie? – spytała Claire zjadliwie.

– Z Bożą pomocą na pewno się uda, pani Whartman.

– Taaak, no cóż. Znasz ten dowcip?

Przechylił głowę, niczego nie podejrzewając.

– Martinowi się nie wiodło. Firma splajtowała, konto bankowe świeciło pustkami. Modlił się więc do Boga: „Proszę, pomóż mi. Straciłem firmę, a jeśli nie zdobędę szybko pieniędzy, bank zabierze mi mieszkanie i wyląduję na ulicy. Błagam, Boże, pomóż mi. Pozwól mi wygrać na loterii”. Odbywają się kolejne losowania, ciągle ktoś wygrywa, ale nie Martin. Modli się więc znowu: „Boże, straciłem już i firmę, i dom. Zaraz odbiorą mi samochód. Moja żona i dzieci głodują. Błagam cię, proszę! Spraw, żebym tym razem wygrał, to stanę na nogi!”. Wtem rozległ się grzmot, niebo przecięła błyskawica i z nieba rozległ się głos Boga: „Daj mi szansę, kup los!”.

Matka zachichotała, jej nowy mąż pokładał się ze śmiechu. Na szczęście

Daniella akurat była w łazience, gdzie przewijała niemowlę.

– Coś mnie ominęło? – Z uśmiechem podeszła do stołu uginającego się pod ciężarem wykwintnych ciasteczek i przepysznych deserów, których wystarczyłoby na dwakroć liczniejszą imprezę.

– Nie, nic – wymamrotał Joel, ściskając siostrę za rękę. – Shlomie na pewno robi, co w jego mocy, mamó. Daruj sobie – szepnął do matki.

Claire Whartman z niewinną miną powiodła wzrokiem po towarzystwie.

– Przecież to był tylko żart.

Błady Shlomie dostrzegł pytające spojrzenie żony i posłał jej wymuszony uśmiech.

– Nic takiego. Gawędziliśmy sobie – uspokoił ją.

Babcia wzięła na ręce noworodka i przytuliła go do siebie.

– Bóg znowu wam pobłogosławił. Prześliczny chłopczyk!

A przed wyjazdem na lotnisko wcisnęła Danielli do ręki wypchaną kopertę.

– Kup coś sobie.

– Och, babciu, i tak już tyle nam dałaś.

– I co z tego? Na biedną nie trafiło. Pamiętaj, dbaj o siebie i o dzieci.

– Obiecuję, babciu. Dziękuję.

Daniella objęła starszą panią i mocno ją przytuliła. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo się babcia skurczyła. Pod ramionami czuła tylko kruchy szkielet ledwo osłonięty mięśniami. Kiedy to się stało? Najtrudniejsze jednak było pożegnanie z Joelem.

– Będę za tobą strasznie tęsknić, braciszku. Kto się na mnie wydrze, kiedy palnę coś głupiego?

– Wiem, dla mnie to też prawdziwe poświęcenie. – Wyszczrzył zęby, ale szybko spoważniał. – Jak naprawdę wam się układa? Powiedz szczerze.

Przełknęła ślinę.

– Jest ciężko, Joelu. Bardzo, bardzo ciężko. Ciężej, niż się spodziewałam. Joel oczywiście domagał się szczegółów, ale lojalność względem męża zamknęła jej usta.

– Bóg nam pomoże. Wszystko się ułoży.

– Daniello, powiedz, naprawdę tego chcesz? Takiego życia?

Zawahała się, a choć bardzo pragnęła wyrzucić z siebie całą prawdę, nie zdobyła się na szczerść. Chciała uniknąć upokorzenia i zachować w oczach brata resztkę szacunku.

– To największe pragnienie mojego życia – zapewniła, zagłuszając wątpliwości.

Wzruszył ramionami, prawie przekonany.

– Ale przyjdziecie na ślub, prawda?

– Jak możesz w ogóle pytać? Beze mnie się nie ożenisz!

Uśmiechnął się i pogroził jej palcem.

– I tak bym cię wytropił. Więc załatwione. Trzymaj się, dbaj o dzieciaki. I koniecznie częściej dzwoń. Pisz.

– Wiesz, podobno kable telefoniczne przenoszą sygnał w obie strony. I w obu krajach są skrzynki na listy i znaczki. Ale dobrze, postaram się. Jeśli złapię jedną minutę dla siebie.

– Sama tego chciałaś. Nie zostawiłaś mi wyboru. Będę musiał wpisać „telefon do siostry” jako stały cotygodniowy punkt w moim PalmPilocie.

– Żebyś wiedział, kurde!

– Och, uwielbiam, kiedy moja pobożna siostrzyczka przeklina.

Objął ją i mocno przytulił, aż zatoneła w jego potężnych ramionach.

Najchętniej zostałaaby tam na zawsze.

*

Tuż po wyjeździe rodziny ich opiekun z ramienia Agencji Żydowskiej zadał Shlomiemu to samo pytanie, co teściowa. Tyle że bardziej ponaglącym tonem.

– Jak idą poszukiwania pracy, Shlomie?

Odpowiedział mu wzruszeniem ramion.

– Cóż. Jak wiesz, przyjechaliście w grudniu, a mamy już październik. Imigrantom przysługuje pół roku na aklimatyzację. Musicie się wyprowadzić.

– Ale nie mamy gdzie się podziać! – zaklinał się Shlomie.

– W takim razie co powiecie na to? Rząd stara się systematycznie zasiedlać tereny zachodniego Negewu. Osadnicy dostają działkę i pożyczkę na budowę domu, a na czas budowy przenośny kontener. Otrzymują też zapomogę na zakup materiałów na postawienie szklarni, gdzie hodują pomidory, paprykę, kwiaty...

– Mam być farmerem? – zaperzył się Shlomie. Pokręcił głową rozbawiony.
– Przecież nie mam pojęcia o uprawach!

– Pozostali osadnicy na początku też nie mieli o tym pojęcia. Byli nauczycielami, programistami, redaktorami. Wystarczą dobre chęci. Nauczymy cię wszystkiego.

– Gdzie właściwie jest ten zachodni Negew?

Pracownik Agencji Żydowskiej odchrząknął.

– To piękny region blisko morza...

– Tuż przy Okręgu Gazy – weszła mu w słowo Daniella.

– Tak, tak, rzeczywiście. Ale osiedli pilnują żołnierze. Nie musicie obawiać się o swoje bezpieczeństwo. Zresztą, bądźmy szczerzy, państwo izraelskie nie ma żadnej całkiem bezpiecznej granicy. Bylibyście pionierami. Żylibyście dostatnio. Pierwsi farmerzy dziś produkują na eksport i rocznie zarabiają nawet sto tysięcy dolarów.

– Czy mieszkają tam religijni żydzi? – spytała Daniella.

– O, a to dla was ważne?

Daniella i Shlomie popatrzyli po sobie. Owszem, dość droga peruka Danielli mogła uchodzić za naturalne włosy, ale przecież nawet ten ześwieczał Izraelczyk musiał zauważyć jarmułkę Shlomiego.

– Owszem. Bardzo ważne – odparła.

Opiekun zmarkotniał, ale już po chwili się rozpromienił.

– Mam dla was idealne miejsce! Jahałom, w dolinie Jordanu. Blisko Jerycha... I – dodał błyskawicznie, widząc, jak rzedną im miny – tylko godzinę samochodem od Jerozolimy! Pięćdziesiąt młodych, pobożnych rodzin. Takich samych jak wy! Hodują figi, marakuje, winogrona. Jest fantastyczny żłobek dla maluchów. Więcej, mają nawet kolel! Słyszałem, że rodziny w każdy szabat zbierają się na wspólne posiłki.

Daniella zauważyła błysk w oku Shlomiego.

– Kolel. Mógłbym się poświęcić nauce?

Daniella najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię.

– Bynajmniej. Nie mógłbyś. Studentami kolelu są wyłącznie kawalerowie. Ty musiałbyś pracować, by utrzymać rodzinę.

Shlomie nie krył zawodu.

Na szczęście maleńki Yossi zaczął wiercić się i kwękać.

– Musimy wracać – powiedziała Daniella, ciesząc się, że uniknie dalszych upokorzeń.

– Zastanówcie się nad tym, dobrze? Spotkamy się za tydzień.

Shlomie nie dał się przekonać.

– Toż to nonsens, Daniello. Ja? Rolnikiem?

– Co więc zamierzasz zrobić, Shlomie?

– Znajdę pracę. Zobacysz. Mój hebrajski z dnia na dzień jest coraz lepszy.

*

Trzy miesiące później wybiła godzina prawdy. Daniella nakarmiła najmłodszego synka, podała kolację starszej dwójce, umyła dzieci i położyła je spać, po czym siadła przy stoliku kuchennym naprzeciwko męża.

Siedział wczytany w książkę o chasydzkich cudotwórcach. Temat ostatnio go fascynował.

– Shlomie, musimy porozmawiać.

– Jasne.

Przyjaźnie skinął głową, nie odrywając wzroku od kartki.

– Zechciałbyś, proszę, odłożyć książkę?

– Teraz? – spytał niezadowolony.

Skinęła głową, próbując zapanować nad emocjami. Coś w niej wzbierało, przybierało na sile niczym zapowiedź lawy, która lada moment wybuchnie i rozerwie wulkan.

Niechętnie rozstał się z lekturą.

Daniella zamknęła oczy i głęboko zaczerpnęła powietrza. Potem wyjęła pismo urzędowe. Wolno rozłożyła kartkę i położyła na środku stołu.

– Przyszło zawiadomienie o eksmisji. Jeśli w ciągu trzydziestu dni nie zwolnimy mieszkania, podejmą wobec nas „stosowne kroki prawne”.

– Nie mogą!

– Dlaczego? Lokal przysługiwał nam przez pół roku. Zapomniałeś, ile razy to powtarzali? A my spędziliśmy tu prawie rok.

Nerwowo stukał palcem w białą kartkę.

– Na tym nie koniec.

Powiedziała to z takim naciskiem, że wreszcie na nią spojrzął.

– Spodziewam się dziecka.

Po raz pierwszy na jego twarzy zagościła niepewność.

– Chwała Najwyższemu! – zawołał z obowiązku. – Czy to w ogóle możliwe? Yossi ma zaledwie trzy miesiące, a ty karmisz go piersią.

– Karmienie piersią nie chroni przed ciążą.

– Naprawdę?

Gotowała się ze złości, ale skinęła głową.

– Nie zauważyłeś, że Yossi począł się, kiedy jeszcze karmiłam piersią Duviego?

– Nie – przyznał, nie kryjąc zdumienia. – Nie zauważyłem.

– Najwyraźniej taka już moja uroda. Chwała Bogu, w Izraelu mają

państwową opiekę zdrowotną i pobyt w szpitalu jest darmowy, ale musimy znaleźć jakieś źródło utrzymania. Może nie zauważyłeś, ale nasze prezenty ślubne już się kończą.

Mrugnął, ale zmilczał przytyk.

– Nawet gdybyśmy mogli tu zostać... ta klitka jest dla nas za ciasna.

Potrzebujemy mieszkania z prawdziwego zdarzenia, dla rodziny z dziećmi. Co zrobimy?

– Podpytałem w różnych kolełach. Kilka szkół w Jerozolimie i Petach Tikwie zaproponowało mi miejsce. Będą wypłacać mi stypendium.

– Stypendium? Shłomie, przecież wiem, ile płacą za naukę studentom jesziwy. Nie wystarczy nawet na paliwo i ubezpieczenie wozu.

– To ty uparłeś się na samochód! – zaatakował z nagłą złością, urażony.

– Owszem. Ale bez niego absolutnie byśmy sobie nie poradzili.

Zamyślił się na chwilę.

– Hm, może twoja babka...

– Wykluczone. Nigdy więcej.

– Więc może twoja matka...

– Jeszcze czego! Po tym, ile forsy zmarnowała na moje wykształcenie?

Wybij to sobie z głowy. Nie dałaby mi nawet kasy na waciki.

– Ale dlaczego? – dąsał się jak dziecko. – Przecież wspieranie studentów zgłębiających Torę zalicza się do micwy.

– Do licha ciężkiego! Musisz znaleźć pracę! – wydarła się, po raz pierwszy od ślubu całkiem straciła panowanie nad sobą.

Była wściekła. Permanentne zmęczenie, przepracowanie i nagromadzone rozczarowania kompletnie ją przytłoczyły. Czuła się, jakby ktoś ją przepychał przez bardzo ciasny tunel, gdzie nie miała powietrza ani pewności, czy dotrze na drugi koniec.

Shłomie musiał to wyczuć, bo nagle podniósł się i pochylił nad stołem, by dotknąć jej ramienia.

– Jesteś zmęczona. Ja pozmywam naczynia.

– Nie chodzi o cholerne naczynia! – wybuchła.

Był zdruzgotany. Patrzył na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Stał zesztywniały, nie wiedząc, co powinien zrobić.

– Jutro zrobisz sobie wolne – zaproponował pospiesznie. – Ja wszystkim się zajmę. Karmieniem dzieci, praniem, zakupami. A wieczorem pojedziemy do Tel Awiwu na kolację.

Nogi aż się pod nią ugięły z wściekłości. Zaciśnęła zęby, nagle przypominając sobie o papierowych ścianach mieszkania i wścibskich sąsiadach, którzy pewnie chłoną każde słowo.

– Czy naprawdę dla ciebie to sprowadza się do jednego? – szeptała wściekle. – Do kolacji w Ranch Burger? Nie w tym rzecz, Shlomie.

Ciężko opadł na krzesło, przerażony szokującą przemianą zawsze tak dobrej, czulej, pełnej uwagi żony... Zagubił się. Zasłonił dłońmi oczy.

– Czego właściwie chcesz?

– Żebyśmy wreszcie zaczęli żyć. Tak trudno to zrozumieć? Darmowe pieniądze wcale nie przychodzą za darmo. Towarzyszą im zobowiązania i pułapki. Nie masz pojęcia, do czego jest zdolna moja rodzina. Nie dopuszczę, żeby przejęła władzę nad naszym życiem.

– Dlatego wolisz przenieść się na pustynię i hodować figi? – zadrwił.

Nagle uszła z niej cała energia. Gniew wyparował, zostawił po sobie tylko bladą, wycieńczoną furję.

– Nigdy więcej nie chcę być od nikogo zależna. Nigdy, za żadne skarby. Chcę wpoić naszym dzieciom, dzieciom, które sami sprowadzamy na ten świat, szacunek dla ciężkiej pracy i jej owoców.

– Ale rolnik... – Bezradnie rozłożył ręce.

– Czasy się zmieniły, Shlomie. Teraz wszystko jest skomputeryzowane: podlewanie, nawożenie. Najnowocześniejsze technologie. A dla nas to prawdziwa szansa, by poznać tajniki dochodowej branży. – Przerwała, by nabrać tchu. – Będziemy musieli ciężko pracować, zdobyć nowe umiejętności, przykładać się. Zwłaszcza teraz, gdy musimy spłacić długi. Co ty na to, Shlomie?

Uśmiechnął się i ujął jej dłoń niemal przekonany. Zresztą znacznie łatwiej było ustąpić.

– Jeśli to spodoba się Bogu, pobłogosławi nam i wszystko się uda.

Tak rozpoczął się kolejny rozdział ich małżeństwa, choć wciąż nie ostatni. Ten jeszcze wydawał się nie do pomyślenia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bina Cedek stała przed drzwiami pokoju przesłuchań razem z Morrisem i innym starszym detektywem. Mężczyźni łącznie mieli ponad sześćdziesiąt lat doświadczenia w wyciąganiu prawdy z podejrzanych.

– Czemu właściwie uznaliście, że mogę się przydać? – dziwiła się.

– Jesteś kobietą. Matką – wyjaśnił Morris.

– Ona nie jest matką. Żadna matka w świecie ludzi ani zwierząt nie zachowuje się jak ona. Ta kobieta to potwór.

– Mylisz się. – Morris wolno kręcił głową. – Jest młoda. Nigdy nie była notowana. Tu kryje się jakiś sekret. A my musimy się do niego dokopać.

– Ileż razy już ją przesłuchiowano? Jest gorsza od najzatwardzialszego gangstera. Nic jej nie złamie. Nie jestem cudotwórczynią.

– Spróbuj – zachęcał drugi policjant.

Daniella siedziała przy stole. Ubrana w ten sam zestaw, co w szpitalu, tyle że pomięty, ze śladami potu i plamami w kolorze herbaty, wyglądała krucho jak zagubione dziecko.

– Dobra, darujmy sobie te gierki. Zgoda, Daniello? – zaczął Morris.

– Rebecin Goodman – poprawiła apatycznie. Wcześniejsza wyniosłość gdzieś się ulotniła. Ostatkiem sił broniła resztek dumy.

– Czemu zwyczajnie nie powiesz nam prawdy? I tak ją z ciebie wydusimy, Daniello. W ten czy inny sposób – ciągnął energicznie Morris, ignorując jej życzenie. Znudziła mu się ta zabawa.

– Powiedziałam wam o moim byłym mężu wszystko! – upierała się ze łzami w oczach.

– Wiemy, wiemy. Powiedziałaś. Jak cię bił i znęcał się nad tobą. Jak znęcał się nad waszymi dziećmi – włączył się drugi detektyw sceptycznie, niemal drwiąco.

– To czego jeszcze ode mnie chcecie?

Bina powstrzymała Morrisa od odpowiedzi, kładąc mu dłoń na ramieniu, po czym podeszła do stolika i odsunęła krzesło. Z uśmiechem wyciągnęła do Danielli rękę nad blatem.

– Dzień dobry, rebecin Goodman. Mam na imię Bina. Rozmawiałam z pani byłym mężem, Shlomiem. Zaprzecza wszystkiemu, co pani powiedziała, a ja mu wierzę. Nie wygląda na osobę zdolną do takich czynów.

Daniella zignorowała wyciągniętą dłoń i nagle spięta, przeskakiwała

wzrokiem po przedmiotach niczym zwierzę szukające kryjówki.

– Rebecin, nawet jeśli to, co pani zarzuca byłemu mężowi, jest prawdą, rozwiodła się z nim pani i trzy miesiące temu wyrzuciła go z domu. On zaś przedstawił wiarygodnych świadków, którzy zeznali, że kiedy dzieciom działa się krzywda, znajdował się wiele kilometrów stąd, w Pardes Chana.

– Kłamia!

– Jeden z nich – ciągnęła Bina spokojnie – to powszechnie szanowany rabin, który potwierdził, że tego wieczoru, gdy Eli i Menchie trafili do szpitala, Shlomie przebywał w jego kolelu. Widzieli go również inni studenci szkoły. – Zawiesiła głos. – Dlatego, rebecin Goodman, moje pytanie brzmi: skoro nie zrobił tego pani były mąż ani pani, to kto?

Daniella wytarła oczy, czujnie patrząc na policjantkę.

– Nikt. To był wypadek.

Drugi detektyw nachylił się, aby coś powiedzieć. Bina powstrzymała go lekkim skinieniem głowy. Cofnął się.

– Proszę zrozumieć, rebecin, pragniemy tylko pomóc pani i dzieciom. Pani syn leży nieprzytomny...

Daniella się skrzywiła.

– A drugi ma poparzenia trzeciego stopnia. Naprawdę nie chce pani, żeby ten, kto je tak skrzywdził, poniósł karę? Proszę nam pomóc, byśmy my z kolei mogli pomóc pani. I dzieciom – łagodnie perswadowała Bina.

Daniella wbiła ręce do kieszeni i coś w nich miętosiła.

– To mój były mąż.

Bina grzmotnęła pięścią w blat. Ołówki podskoczyły.

– Mam córeczkę w podobnym wieku jak pani syn. Chodzi, mówi, ma pulchne ramionka i nóżki. Zabiłabym, gdyby spadł jej z głowy choćby włos! Trzeba być zwyrodnialcem, żeby osłaniać kogoś, kto tak potwornie okaleczył pani dzieci!

Daniella nagle ukryła twarz w dłoniach.

Morris i drugi policjant pokiwali głowami z aprobatą. Bina napierała jak taran.

– Niech pani powie, co naprawdę się stało! Niech pani będzie silna, oczyści się, wyzwoli z poczucia winy, wreszcie to z siebie wyrzuci. Łzy nikomu nie pomogą.

Daniella zacisnęła usta.

– Dobra, załóżmy, że w kuchni jest troje dzieci, a pani słyszy trzask

tłuczonego szkła. Wchodzi pani do środka, cała trójka milczy jak zaklęta. Pyta pani: „Które stłukło szklankę?”. Żadne nie odpowiada. Ale widzi pani, że jedno z nich stoi na blacie, a drzwi szafki są otwarte. I już pani wie, kto zawinił. Złości się pani jeszcze bardziej, prawda? A przecież, gdyby winowajca się przyznał i powiedział: „Przepraszam, mamó. Niechcący upuściłem”, odparłaby pani: „Nic takiego, skarbie. Zdarza się. Następnym razem uważaj”. Tak właśnie wygląda pani sytuacja, Daniello. Trzyma pani w ręce stłuczoną szklankę i może teraz zrzucić ten ciężar, oczyścić sumienie i wyznać prawdę.

Cisza się przedłużała.

Bina rąbnęła obiema pięściami w stół.

Daniella drgnęła spłoszona, wyraźnie przerażona.

– Powiedz, co się stało z grzejnikiem!

– Już wam mówiłam – szlochała.

– Niby co? Że dziecko wpadło na grzejnik, a ty od razu je odciągnęłaś?

– Tak.

– Kłamiesz! Przelotny kontakt z gorącym grzejnikiem nie zostawia takich śladów! Lekarze nie mają wątpliwości, że ktoś musiał pchnąć chłopca i długo siłą przytrzymywać. Powiedz prawdę, do cholery!

– Dziecko... Poparzone dziecko...

– To twój syn. Twój czteroletni syn. Twój Eli...

– Tak, Eli. Sam był sobie winny. Stał tam i nawet nie drgnął!

– Normalne dziecko, które dotknie ognia, natychmiast ucieka!

– To prawda. Zdumiewające, że nie...

– Co? Że nie chciał się odsunąć? Kit próbujesz nam wcisnąć?

– Kogo osłaniasz? – wtrącił się Morris. – Sąd na pewno wymierzy ci karę, ale ten, kto to zrobił, też musi odpowiedzieć za swoje czyny. Nie ochronisz go. Dopadniemy drania. A ty tylko budzisz wstręt. Udajesz pobożną, bogobojną żydówkę...

– Nie udaję! – krzyknęła Daniella, zrywając się z krzesła.

– Siadaj! Pobożny, szanowany rabin, który zobaczył cię w tej białej kiecce z modlitewnikiem w ręce, powiedział, że zbiera mu się na mdłości, kiedy na ciebie patrzy – odezwała się Bina, powtarzając zdanie, które przeczytała w gazecie.

– Który rabin?

– Nieważne. Szanowany chasydzki rabin z Mea Szearim.

Daniella opadła na krzesło, jakby nagle opuściły ją wszystkie siły.

– Nie jest pobożna. Żaden wierzący, bogobojny człowiek nie krzywdzi niewinnego dziecka, nie przygląda się beczynnemu, jak robi to ktoś inny. Rzucam grochem o ścianę – ciągnęła Bina, a przed oczami miała potwornie poparzonego chłopca. Aż ją dławilo z obrzydzenia. – Gdzie kajdanki? No, jazda. Marsz z powrotem do celi, wasza wysokość. Zobaczymy się za osiem dni. Odrażająca hipokrytka!

– Stawaliśmy na głowie, rozwinęliśmy przed tobą czerwony dywan, bylebyś powiedziała prawdę. Okazywaliśmy niewyczerpaną dobroć i wyrozumiałość. A teraz mamy już dość twojej gry.

– Biedne dzieci! Powinnaś smażyć się w piekle! I to cię nie ominie. A ja dopilnuję, żebyś ten smak poczuła już teraz. Więcej nie zobaczysz światła dziennego! A już na pewno nie zobaczysz swoich dzieci! – wybuchła Bina. Zerwała się z krzesła i pochyliła nad blatem.

– Ej! – Morris zerknął na drugiego detektywa, który objął Binę ramieniem i wyprowadził za drzwi.

Na korytarzu rozdygotana oparła się o ścianę. Czuła się pokonana.

– Nie bierz sobie tego tak do serca, Bina – uspokajał Morris. – To się zdarza. Choć na ogół chodzi o zatwardziałych przestępców, mafiosów, zabójców. Ale młoda matka?

– No i co teraz? – spytała.

– Damy jej marchewkę. Pozwolimy na spotkanie z dziećmi. Domagała się tego przez cały dzień.

– Żartujesz? Może je urobić. Zastraszyć, zmusić do milczenia.

– Będziemy obserwować i nagrywać spotkanie. Jeśli spróbuje manipulować dziećmi, sędzia się o tym dowie.

– Wróc i powiedz jej – zwrócił się Morris do Biny.

– Spaliłam za sobą mosty.

– Nie bądź naiwna. Nabrała do ciebie szacunku. Wie już, że z tobą nie ma żartów. Wracaj i zaproponuj, że jeśli zacnie mówić, będzie mogła spotkać się z dziećmi.

Bina głęboko zaczerpnęła tchu i pchnęła drzwi.

Daniella podniosła wzrok wystraszona.

– Przepraszam. Poniosło mnie. Po prostu... Na samą myśl, że ktoś może w ten sposób skrzywdzić dzieci... Nie umiem nad sobą zapanować.

– Kiedy je zobaczę?

- Spróbujemy coś załatwić. Bardzo za tobą tęsknią.
- Daniella zgarbiła się. Cała jej hardość gdzieś się ulotniła.
- Moje biedne dzieci... – wyszeptała.

Ta czułość i troska tak kontrastowały z wcześniejszą obojętnością, że Bina nie wiedziała, jak to rozumieć. Próbowwała przeniknąć tę tajemniczą kobietę. Czowała się, jakby układała puzzle, nie mając wzoru ani pojęcia, czy i ilu elementów brakuje i jak je dopasowywać. To, czym w tym momencie dysponowała, za nic nie chciało ułożyć się w logiczną całość.

*

Dwa dni później Daniellę znów przywieziono do komendy. Dzieci już na nią czekały: czternastoletnia Amalia, trzynastoletni Duvie, dwunastoletni Yossi, jedenastoletni Gabriel i siedmioletnia Szoszana. Wszystkie były załamane. Przydzielone do różnych rodzin zastępczych tęskniły za rodzicami i resztą rodzeństwa. Jednak dopóki przeciwko ich rodzicom toczyło się dochodzenie, opieka społeczna nie miała innego wyjścia.

Zza lustra weneckiego Bina obserwowała dramat rozgrywający się na jej oczach. Szare ściany pokoju przesłuchań i piątka dzieci, które na swój widok wybuchły płaczem; starsze przytulały młodsze. Potem drzwi się otworzyły i do pomieszczenia weszła Daniella Goodman wciąż w tym samym, niegdyś białym, teraz wymiętym i poplamionym ubraniu. Szloch dzieci w ułamku sekundy zamienił się w histeryczne zawodzenie. Bina Cedek czuła, jakby ktoś rozpalonym do czerwoności żelazem przypiekał jej serce. Nie odrywała wzroku od matki, która stała odwrócona do niej plecami. Po raz kolejny uderzyło ją, jak młodo i krucho wyglądała. Daniella Goodman, sztywno wyprostowana niczym kamienna rzeźba albo robot z filmu science fiction, nie wykonała najmniejszego gestu, by przytulić dzieci albo je pocieszyć. Nie pytała, kto się nimi opiekuje ani jak się czują. Kiedy wreszcie przemówiła, Bina nie wierzyła własnym uszom.

- Czy ja dobrze słyszę? – spytała Morrisa, który stał obok.
- Skinął głową.

– Powtarza w kółko to samo: „Nic nie mów, nic nie mów, nic nie mów”.

Bina poczuła, jak twarz płonie jej z wściekłości. Ani jednego uścisku. Ani jednego słowa pociechy dla tej nieszczęsnej gromadki! Musisz zachować bezstronność, powtarzała sobie, usiłując pohamować furię i świerzbujące ręce. Najchętniej dałaby Danielli Goodman w twarz i trzęsła nią, aż ta świętoszkowata, jasna peruka poleciałaby na drugi koniec pokoju, a biała

sukienka z długimi rękawami nasiąkła krwią. Policjantka przymknęła oczy i otarła czoło, aby uciszyć burzę szalejącą w jej wnętrzu. Ta scena poruszyła w niej jakąś prymitywną, pierwotną nutę. Coś, co noszą w sobie wszystkie stworzenia zdolne wydawać na świat potomstwo. Chcę zemsty, przyznała w duchu. Chcę ją skrzywdzić. A zaraz po tym niespodziewanie żądę zemsty zastąpił lęk. Jaka bestia może stać niewzruszona w obliczu tak strasznego cierpienia swoich dzieci i nie kiwnie palcem, by im pomóc? To nieludzkie.

Im dłużej patrzyła na Daniellę Goodman, która ze stoickim spokojem pozwalała się obejmować, tym większe obrzydzenie czuła.

– Pamiętajcie, czego was nauczono, dzieci – powtarzała beznamiętnie zawodzącym dzieciom.

– Tęsknimy za tobą, ima – szlochała zrozpaczona Amalia. – Co teraz z nami będzie?

– Najważniejsze to nieustannie się modlić – odparła Daniella. – Proś Boga, żeby mnie stąd uwolnił. Wydzierają się na mnie, obrzucają wyzwiskami. Mówią o waszej matce strasne rzeczy. Ale ja nie odpowiadam. Będę silna. Ty też musisz być silna.

– Słyszysz? – gotowała się Bina, czując, jak płoną jej policzki. – Myśli tylko o ratowaniu własnej skóry! Każe im trzymać buzie na kłódkę! Trzeba to przerwać!

– Czekaj – powiedział cicho Morris.

Szloch dzieci przybrał na sile. Płynął z takich otchłani rozpaczy, bólu i zagubienia, że Bina miała wrażenie, że nigdy wcześniej nie słyszała kogoś naprawdę płaczącego. Czego te dzieci doświadczyły w swoim krótkim życiu, że otwierały się w nich takie pokłady cierpienia? – zastanawiała się, a gęsia skórka rozpełzła się jej po ramionach i karku. I jak ich matka mogła patrzeć na to, sama nie zalewając się łzami, nie wyjąc, nie próbując zabić sprawcy ich bólu?

A może ta kobieta naprawdę była bestią? Albo zaprzedała duszę diabłu?

– Więc co radzisz? – spytała Morrisa.

– Myślę, że trzeba ściągnąć psychologa dziecięcego, żeby je przesłuchał. Najlepszego, jakiego mamy. Trzeba ściągnąć Johnny'ego Manna.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Trzy dni po powrocie ze ślubu Joela i Esther Daniella i Shlomie spakowali dobytek w furgonetkę firmy przeprowadzkowej, załadowali resztę rzeczy do swojego fiacika i pożegnali się z ośrodkiem Agencji Żydowskiej. Samochód obciążony trójką dzieci, niezliczonymi naczyniami i jednorazowymi pieluchami z trudem telepał się trasą do Morza Martwego, mijając starożytne Jerycho. W uszach im trzaskało, gdy schodzili na głębokość trzystu metrów poniżej poziomu morza.

Zapiętą w foteliku trzyletnią Amalię pochłaniała zabawa drogą lalką American Girl, prezentem od babci, podczas gdy osiemnastomiesięczny Duvie ściskał plastikową kierownicę przymocowaną do swojego fotelika, raz za razem waląc piąstką w skrzeczący klakson, choć Daniella błagała, żeby przestał. Mimo hałasu malutki Yossi, ukołyszany jednostajnym szumem silnika, słodko drzemał wtulony w drogi, superbezpieczny fotelik niemowlęcy – też przywieziony z Ameryki.

Powietrze było suche, ale najstarsza część miasta tonęła w kwiatkach i palmach, których pióropuszcami majestatycznie kołysał pustynny wiatr.

– Oaza na pustyni! – zawołał Shlomie.

Ostatnio zapałał entuzjazmem do przeprowadzki i wizji nowego, wspólnego życia. Już nie mógł się doczekać, żeby aktywnie udzielać się w świecie i utrzymywać swoją powiększającą się rodzinę. Nie z pobudek przyziemnych, lecz duchowych. Uznał, że praca fizyczna jest święta.

– Wszak prorok Izajasz powiada, że sam Bóg uczy rolników uprawy ziemi. Wszak czytamy w psalmach: „Będziesz spożywał owoc pracy rąk swoich”³. A Tora ustami Salomona potępia bezczynność: „Skutkiem wielkiego lenistwa chyli się strop, gdy ręce są opuszczone, deszcz pada w domu”⁴. Rabin Jehuda zaś i rabin Szimon nauczali: „Wielka jest praca człowieczych rąk, albowiem przynosi zaszczyt tym, co się nią parają”. I jest też napisane: „Pobożny nigdy nie rzeknie: Będę jadł, pił i cieszył się życiem, a się nie natrudzę, bo niebo i tak się nade mną ulituje”. Człowiek musi trudzić się i pracować w pocie czoła. Dopiero wtedy Bóg ześle nań błogosławieństwo.

Daniella, która nie miała pojęcia, skąd płynie ten nagły zapał, milczała. Owszem, ulżyło jej, ale podchodziła do niego sceptycznie. Shlomie zawsze z entuzjazmem snuł wizje i tworzył nowe filozofie. Po czym zarzucał je, a ich miejsce zajmowały nowe koncepcje, do których podchodził z równie głębokim

przekonaniem.

Ona tymczasem próbowała jedynie utrzymać się na powierzchni. Mdłości towarzyszące czwartej ciąży wykańczały ją fizycznie i psychicznie. Do tego dochodziła opieka nad trójką dzieci, w tym dwójką niemowląt. Martwiła się, jak poradzi sobie z kolejnym. Shlomie będzie musiał bardziej się zaangażować. Muszę z nim porozmawiać, zmusić go, myślała. Ilekroć jednak dojrzywała do konfrontacji, coś ją powstrzymywało. Nie chciała zrzędzić. Zwłaszcza teraz, gdy zgodził się współpracować, przenieść do nowej społeczności, zacząć nową pracę. Nie chciała wyjść na czepliwą jędzę. Chciała zachować się jak przykładna żona. Taka, jaką tradycja żydowska stawiała za wzór: która potrafi uszyć wełniane ubrania, by rodzina nie marzła, a równocześnie zajmuje się handlem, by wyżywić najbliższych. Pragnęła okazać się godna zaszczytnego statusu osadniczki Ziemi Świętej. Przede wszystkim zaś po – jak to postrzegала – serii swoich porażek marzyła, by w czymś odnieść sukces. Nie zniósłaby kolejnej klęski.

Zatrzymali się przed masywną, metalową bramą.

– Co teraz?

Zmrużyła oczy i spojrzała na ciężkie wrota.

– Dali numer, pod który mamy zadzwonić – wyjaśniła cierpliwie. Wyjęła z fotelika płaczące dziecko i podała mu nabrzmiałą mlekiem pierś. Delikatnie poprowadziła niemowlę do obolałej od ciąży brodawki i aż się zachłysnęła, gdy Yossi łapczywie zacisnął na niej usta. Drugą ręką wyjęła komórkę i wybrała numer. – Weź, Shlomie, łączy się.

Przejął od niej telefon.

– Halo? Halo? To Goodmanowie, wasi nowi sąsiedzi! – zawołał radośnie do słuchawki. Kiwał głową z uśmiechem, gdy rozmówca udzielał mu wskazówek.

Wrota wolno się otworzyły.

– Jacy sympatyczni, przyjacielscy ludzie! Powiedział, żebyśmy trzymali się drogowskazów, a one doprowadzą nas do biura. Tam już ktoś na nas czeka.

Toczyli się powolutku jak turyści, zauroczeni małymi, zacisznymi domkami otoczonymi kwitnącymi ogrodami. Na placach zabaw bawiły się dzieci, na dużych, porośniętych trawą połaciach kwitło życie towarzyskie. W serce Danielli wstąpiła otucha.

A może jednak jakimś cudem wszystko się ułoży?

Przed niewielką przyczepą kempingową z wydrukowanym po hebrajsku

napisem „Biuro” czekało młode małżeństwo, przedstawili się jako Johanan i Essie. Kobieta była ubrana w stylu pobożnej osadniczki: długa, niebieska bawełniana spódnica, biała koszula z długimi rękawami, a na głowie misternie zawiązana, jaskrawoturkusowa chusta. Nikt w Izraelu tak się nie ubierał. Nikt na całym świecie, pomyślała Daniella dumna, że wkrótce i ona stanie się członkiem tego ekskluzywnego towarzystwa. Młody mężczyzna serdecznie uśmiechał się pod gęstą brodą. Miał na sobie dżinsy, roboczą koszulę i kolorową, dzierganą jarmułkę, modną wśród młodych ortodoksyjnych żydów. Ręce miał brązowe, zniszczone od pracy. Zupełnie inne niż dłonie ortodoksów, których pamiętała z Pittsburgha.

– *Baruchim haba'im!* Witajcie! Jak podróż?

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – odparł Shlomie. Wyciągnął rękę przez okno i serdecznie ścisnął prawicę gospodarza, przygotowując się do dłuższej pogawędki.

Tymczasem z tylnego siedzenia dobiegały coraz głośniejsze zawodzenia Duviego i narzekania Amalii.

– Och, biedactwa! – zatroszczyła się Essie, która zajrzała do środka, gdy mąż zrobił jej miejsce. – Z Jerozolimy to jednak kawał drogi. Zaraz im coś przyniosę.

Puściła mimo uszu kurtuazyjne protesty Danielli i zniknęła w biurze, a po chwili wróciła z lodami.

– Posinieją im usta i języki, ale będą szczęśliwe, zaręczam – oświadczyła, dając Amalii i Duiemu po jednym lodzie, a dzieci chwyciły smakołyki.

Kobiety uśmiechnęły się, czując, jak natychmiast rodzi się między nimi więź.

– Kiedy masz termin? – spytała Daniella.

– Za dwa miesiące – odparła Essie z uśmiechem.

– Mnie zostało jeszcze siedem.

– To znaczy, że będziesz musiała przemęczyć się przez lato – współczuła jej Essie. – Upały są tu straszne, ale z czasem przywykniesz, jak my wszyscy. W domach jest klimatyzator. I nigdy nie robi się tu zimno. Nie chciałabym rodzić w grudniu w Nowym Jorku! – roześmiała się. – *B'sha'ah tovah.*

– Dziękuję. Nawzajem – pobłogosławiła ją Daniella. Rzeczywiście, w dobrą godzinę.

– Cóż, pewnie chcecie się rozgościć. Jedźcie za nami, proszę – zarządziła Essie ku uldze Danielli. Odchodząc, zabrała ze sobą męża i w ten sposób

pozbaWiła Shlomiego rozmówcy. Daniella patrzyła, jak małżeństwo wsiada do sfatygowanego pikapa, który pamiętał lepsze czasy.

Shlomie uruchomił silnik. Fiacik telepał się z gospodarzami po coraz bardziej wyboistych i węższych drogach, które w końcu kompletnie zniknęły. Zastąpiły je koleiny wyjeżdżonego błota i żwiru. Tłukli się niemiłosiernie jeszcze przez dziesięć minut, a wreszcie – hura! – stanęli.

– No nie wierzę – mruknęła Daniella pod nosem, rozglądając się po okolicy.

– Słucham? – spytał Shlomie.

– Nic.

Przecież nie okaże przy nim niezadowolenia.

Gorzej niż w dzielnicy przyczep kempingowych! – myślała z przerażeniem. Żaden szanujący się, normalny Amerykanin nie pokazałby się w takim miejscu. Doliczyła się bodaj piętnastu przyczep rozrzuconych na suchej, kamienistej parceli, na której nic nie rosło.

Wysiadła z Yossim wciąż uwieszonym u piersi. Bolały ją plecy.

– Nie jest aż tak źle. – Johanan wyszczerzył zęby na widok jej przerażonej miny. – Pamiętam reakcję Essie, gdy pierwszy raz zobaczyła przyczepę! Ale zadbali, żeby w środku znalazło się wszystko, co potrzebne: kuchnia, łazienka, łóżka, woda, prąd. Zimą bywa dość chłodno, a latem bardzo upalnie. Na szczęście zainstalowali klimatyzator, którym można też ogrzać pomieszczenie. Energia elektryczna jest droga, ale nie mamy wyjścia. Zwłaszcza rodziny z małymi dziećmi.

– No i pamiętajcie – dodała Essie – że to tymczasowe rozwiązanie, dopóki nie zbudujecie własnego domu. Widzieliście budynki naszych członków?

– Są śliczne – przyznała Daniella z uśmiechem.

– Dziękuję. Nie opływamy w luksusy, ale żyje się tu całkiem dobrze.

– Jak szybko... To znaczy... Kiedy możemy zacząć...

– Budowę? – uśmiechnęła się Essie.

– Kobiety zawsze zaczynają od tego pytania – roześmiał się jej mąż.

Daniella oblała się rumieńcem wstydu. Zareagowała jak typowa amerykańska materialistka.

– Za kilka miesięcy, kiedy upewnicie się, że to miejsce dla was, możecie złożyć wnioski o przydział parceli – zapewnił Johanan.

– Chcesz zajrzeć do środka? – zaprosiła Essie, otwierając drzwi przyczepy.

Daniella poszła za nią. Od razu zderzyła się z falą gorącego powietrza i drażniącym zapachem pustynnego pyłu i blachy nagrzanej słońcem. W lutym! Woląta nie wyobrażać sobie, jak będzie w czerwcu. Zrobiła kilka ostrożnych kroków. Pomieszczenie okazało się zaskakująco przestronne. W każdym razie – w porównaniu z ośrodkiem Agencji Żydowskiej. Zmieściła się tam kuchnia z wyposażeniem, niewielka kanapa i trzy sypialnie – już z łózkami i łóžeczkami dla niemowląt.

Właściwie... nie jest tak źle, pomyślała, kładąc synka do nowego łóžeczka, które ktoś przewidująco posłał i zostawił kocyk.

– Może się rozgościsz, Daniello? Essie zostanie tu z tobą, a ja oprowadzę Shłomiego po sadach i szklarniach.

Już miała zaprotestować, że ją zostawiają, i podkreślić swoją aktywną rolę pełnoprawnej uczestniczki nowego przedsięwzięcia męża, kiedy zaczął płakać Duvie. Położyła go i przewinęła. Potem zabrała jego i Amalię do łazienki, żeby zmyć niebieskie ślady z buź i rączek.

– Wyglądacie jak małe smerfy – powiedziała i podniosła je do lustra nad umywalką.

Zaśmiewały się hałaśliwie. Usłyszała, jak drzwi się otwierają i zamykają. Johanan i Shłomie wyszli.

Westchnęła. Wyjęła kanapki, które przygotowała dla dzieci i dla siebie, i poczęstowała też Essie.

– Nie, dziękuję, choć wyglądają kusząco. Próbuję tym razem się nie zapuścić.

Nagle Danielli zakręciło się w głowie. Potknęła się, potem usiadła przy stoliku kuchennym, trzymając Duviego na kolanach.

– Dobrze się czujesz?

– Jestem zmordowana.

– Nastawię wodę na herbatę – zaproponowała życzliwie Essie.

– Nie wiem, czy jakąś mamy. Jeszcze nie zrobiłam zakupów.

– Zajrzyj do szafek i lodówki. Macie zapasy na kilka dni.

Po doświadczeniach z rządową Agencją Żydowską Daniella była w szoku.

– Jak miło z waszej strony – powiedziała z autentyczną wdzięcznością, zobaczywszy zawartość półek. – Bardzo dziękuję.

Essie machnęła ręką.

– Och, to nie moja zasługa. Mamy komitet powitalny, który szykuje mieszkania na przyjazd nowych rodzin. Wszystkie przeszłyśmy to samo co ty,

Daniello: nowy kraj, świeżo po ślubie, mnóstwo małych, absorbujących „błogosławieństw”... – Ostentacyjnie wzniosła oczy ku niebu i parsknęła śmiechem. – Wierz mi, zrobisz to samo dla następnych nowych sąsiadów.

Tak, pomyślała Daniella, zrobię. Odetchnęła głęboko. Ucisk w klatce piersiowej ustąpił. Co za ulga, czuć się potrzebną, wyczekiwaną. Czuć, że znalazła dom.

Shlomie wrócił pełen entuzjazmu. Nastawił budzik na wpół do piątej.

– Po co tak wcześniej?

– Przed pracą chcę się jeszcze pomodlić z minjanem i trochę pouczyć.

Była zdumiona jego niewyczerpaną energią. I zaskoczona, że nie narzekał, choć rolnictwo okazało się znacznie bardziej skomplikowane, niż im się wydawało. Na szczęście uczył się pod okiem bardzo doświadczonego ogrodnika, Marwana, Araba z Jerycha. Z nowo odkrytą dumą i czułością co rano pakowała mężowi śniadanie do pracy, kroїła jeszcze ciepły, żytni chleb, co rano dowożony do miejscowego sklepu.

Jej życie toczyło się ustalonym rytmem. Wstawała razem z dziećmi, sprzątała niewielki pokój dzienny, gotowała Shlomiemu pożywny, suty wieczorny posiłek, w większości z ekologicznych produktów. Często do drzwi stukały sąsiadki, przynosiły ciasta, owoce, kwiaty i warzywa ze swoich szklarni. Albo po prostu wpadały z czystej życzliwości. Szybko przekonała się, że nikt nie zamykał drzwi na klucz ani nie trzeba oficjalnego zaproszenia, żeby zajrzeć do kogoś na kawę, podczas gdy na podwórku twoje dzieci bawiły się z tuzinami innych maluchów. Osada była pilnie strzeżona. Osoby z zewnątrz starannie kontrolowano, zanim wpuszczono je za masywną bramę. Zresztą jakiś dorosły zawsze czuwał nad całą gromadką, nie tylko nad swoimi dziećmi. Jeśli widziałas głodne dziecko, karmiłaś je, nie patrząc, czy to twoje. Jeśli maluch się przewrócił, zawsze znalazły się matczyne dłonie, które podniosły go, obmyły skaleczenie i z naklejonym plasterkiem odsyłały do domu.

Daniella odkryła tu atmosferę kibucu w najlepszym wydaniu. Osadnicy byli autentycznie przyjacielscy, nie manipulowali, nie kierowały nimi niskie pobudki. Oni naprawdę starali się pomóc. Tutaj „miłuj bliźniego jak siebie samego” nie było pustym przysłowiem, ale zasadą, która przyświecała im w codziennym życiu. Kobiety organizowały zajęcia dla dzieci, żeby Daniella miała czas na zakupy i pranie. Dzieliły się z nią swoimi przepisami, zastępując lokalne produkty tymi, które znała z Ameryki. Podsuwały sprawdzone sposoby

pozbycia się pustynnego pyłu i zażółceń od twardej wody.

Co najważniejsze zaś, na bieżąco informowały ją o cotygodniowych wykładach i innych atrakcjach kulturalnych dostępnych dla mężczyzn i kobiet, zachęcały, by wychodziła z domu. Pogadanki zawsze dotyczyły ciekawych lub praktycznych zagadnień. Prelegentem był na ogół ktoś z osiedla. Nie wywierano presji, by przychodzić. Chciałaś, przychodziłaś. Nie chciałaś, to nie. Nikt nie patrzył z góry, kiedy otwarcie przyznałaś, że jesteś zbyt zmęczona. Tutaj wszyscy ciężko pracowali.

Daniella znakomicie dogadywała się z pozostałymi matkami. Cudowne uczucie: wreszcie znaleźć się w grupie, gdzie wszyscy nadawali na tych samych falach, mieli podobne cele w życiu. Wiele z tych kobiet przeszło tę samą drogę co ona: wychowane w liberalnych ortodoksyjnych szkołach, gdzie zakładano, że twoim celem jest uniwersytet, a docelowym kierunkiem Izrael.

Kobiety na ogół zasłaniały włosy bawełnianymi szalami, kilka jednak nosiło peruki, a były również takie, które chodziły z odkrytymi włosami. Ubierały się też różnie: od dżinsów i bawełnianych bluzeczek po koszule zapięte po szyję i spódnice do łydek albo kostek. Nikt nie robił wokół tego hałasu, z czego Daniella ochoczo korzystała. Bez żalu rozstała się z kosztowną garderobą i ręcznie robioną peruką, która wpijała się jej w czaszkę, zamieniła je na długie, dżinsowe spódnice, przewiewne T-shirty i lekki szal, którego nawet nie czuła na głowie.

Niektórzy rdzenni Izraelczycy z jiszuwu surowiej przestrzegali nakazów religijnych. Mężczyźni chodzili ubrani na czarno, kobiety nosiły peruki i czarne suknie do kostek z długimi rękawami. Ale nawet oni nie wtrącali się ani nie oceniali cudzej wiary. Wszyscy – oprócz dwudziestu kilku studentów kolelu – pracowali w rolnictwie, zajmowali się uprawą, zbiorami, dystrybucją lub eksportem.

Daniella była szczęśliwa. Co rano witało ją rześkie powietrze, błękitne niebo i przystojny mąż, który od pracy w polu zmęźniał, a jego skóra ogorzała od słońca. Uprawiali szklarniowe truskawki, sałatę i pomidorki koktajlowe, których przynosił do domu pod dostatkiem. Ponieważ rośliny hodowali pod szkłem, nie sięgali po pestycydy. Daniella nigdy nie jadła nic równie pysznego! Pod koniec roku cieszyli się obfitymi zbiorami, towarem najwyższej jakości. Uprawa przyniosła zyski, więc zaczęli spłacać pożyczkę za sprzęt, nasiona i czynsz za przyczepę.

Pisała długie, szczegółowe listy do matki, ojca i Joela; barwne, pełne

poczucia humoru. Z każdej linijki wyzierała radość. Daniella cieszyła się, że może wreszcie napisać, że jej się układa, a mąż pracuje i troszczy się o rodzinę.

Kiedy we wrześniu przyszedł na świat Gabriel, Daniella mogła liczyć na troskliwe przyjaciółki, które pilnowały dzieci, gdy była w szpitalu, a także przynosiły jedzenie i zajmowały się praniem, żeby Shlomie nie musiał rezygnować z pracy. Wróciła z noworodkiem do czystego domu i szczęśliwych dzieci, którymi sąsiadki nadal zajmowały się po kilka godzin dziennie, żeby Daniella nabrała sił.

Rodzice przyjechali na obrzezanie, ale Joel i Esther, którzy spodziewali się pierwszego dziecka, musieli zostać w Stanach. Joel wyjaśnił, że żona źle znosi ciążę, a lekarz odradził jej podróż samolotem. Daniella rozumiała to, ale jego nieobecność zepsuła jej całą uroczystość. Ogromnie za nim tęskniła. Nie mogła się doczekać, żeby pochwalić się swoim nowym życiem. Polegała na jego osądzie, chciałyby usłyszeć, że świetnie się spisała. Marzyła też, że wreszcie będzie dumny z niej tak samo, jak ona była z niego.

Nowy rok zaczął się od zaskakująco mroźnej zimy. Wieczorami przyczepą targały porywiste wiatry i siekały w nią strugi lodowatego deszczu. Rodzina szybko zorientowała się, że – choć klimatyzator mógł również ogrzewać wewnątrz – metalowa puszka przegrywa z żywiołami. Amalia zachorowała na zapalenie oskrzeli. Wilgoć powodowała u Yossiego infekcje ucha i płuc. Co najbardziej niepokojące zaś, u małego Gabriela pojawiły się objawy astmy.

Po zimie przyszło niemiłosiernie gorące lato. Dzieci gotowały się w przyczepie, gdzie temperatura często była wyższa niż na zewnątrz. Nękały je też owady i poparzenia słoneczne.

Po raz pierwszy Daniella wpadła w rozpacz.

– Shlomie, jak długo mamy jeszcze tak żyć?

– Wszystko będzie dobrze, Daniello. Bóg nas nie opuści. Tegoroczne zbiory są obfite. W przyszłym roku będzie nawet lepiej. Odkładamy pieniądze. Już niedługo.

– W przyszłym roku? – Potrząsała głową z oburzeniem. – Nie możemy odkładać budowy o kolejny rok, Shlomie! Nie wytrzymam z czwórką dzieci następnych trzech lat w tej metalowej puszcze!

– Ależ skarbie, co mam robić? Nie możemy wziąć dużego kredytu, skoro jeszcze nie spłaciliśmy wcześniejszych pożyczek.

Miał rację. Ale ona też.

Nie konsultując się z nim, napisała do babki.

Kiedy pieniądze wpłynęły na jej konto, radośnie pochwaliła się Shłomiemu i oświadczyła, że mogą rozpocząć budowę nowego, wygodnego domu.

Takiej reakcji się nie spodziewała.

– Napisałaś do niej za moimi plecami?! – wybuchł. Nigdy nie widziała u niego takiej wściekłości.

– A jak inaczej sobie poradzimy? Jesteśmy młodym małżeństwem. Potrzebujemy wsparcia. Wszyscy tutaj dostali pomoc od rodziców albo krewnych na budowę pierwszego domu.

– Ciebie nic nigdy nie zadowoli, Daniello, prawda? – powiedział zimno. – Zamierzałem poświęcić życie studiowaniu Tory, ale zrezygnowałem, bo ty tego ode mnie zażądałaś. Teraz co dzień haruję od świtu do nocy. Ale ty zawsze wymagasz więcej, niż mogę ci dać.

– To nie tak, Shłomie! – perswadowała.

Zignorował ją.

– Wiesz, jak się przez ciebie czuję? Jakbym nie zasługiwał na miano prawdziwego mężczyzny. Nasi mędracy uczyli, byśmy nie prosili o jałmużnę. Byśmy w pocie czoła zapracowywali na swój chleb.

– A to zmieniłeś śpiewkę – odparła lodowato, patrząc mu prosto w oczy. Pobladł.

– Zacząłem od nowa. Dla ciebie. To ty upierałaś się, że musimy sobie poradzić sami. Zapomniałaś?

– Wiem, pamiętam! Ale to było, zanim musieliśmy kisić się z czwórką dzieci w puszcze na konserwy, w której latem można się ugotować, a zimą zamarznąć! Wiesz, że Yossi przez całą zimę brał antybiotyki, a najmłodszy ma początki astmy. To nie w porządku! Jesteśmy ich rodzicami! Musimy się troszczyć o całą czwórkę!

– Aha, to teraz jestem też złym ojcem, tak?

Jego słowa dopiekły jej do żywego. Miał wiele wad, ale kochał dzieci.

– Nic takiego nie powiedziałam! Jestem... Jestem z ciebie bardzo dumna!

– Ale to wciąż za mało. Wciąż ci nie wystarcza.

Otworzył drzwi i wyszedł, zatraskując je za sobą z hukiem.

Daniella usiadła z ciężkim sercem. Co mam robić? – myślała, wodząc wzrokiem po przyczepie. Budowa zajmie dwa lata. Jeśli odłożą ją o kolejny rok, wprowadzą się do nowego domu dopiero za trzy lata. Trzy długie lata!

Może nawet cztery, jeśli nie zabiorą się energicznie do przygotowań, a to więcej niż prawdopodobne. Ona może jeszcze byłaby skłonna poczekać, ale nie może tego robić dzieciom. Jest przede wszystkim matką. Shłomie musi pogodzić się z losem.

Mąż wykazywał nikłe zainteresowanie planami domu, które rozrysowywała.

– Jak sobie życzysz – mówił bez entuzjazmu.

Coraz więcej czasu spędzał poza domem, uczył się z chłopcami w jesziwie. Kładł się spać późno i często trudno mu było rano wstać z łóżka. Do pracy szedł coraz cięższym, wolniejszym krokiem.

Zajęta czwórka dzieci i nadzorowaniem budowy Daniella nie miała czasu tego zauważyć. Pilnowała budowlańców, sprawdzała ceny materiałów, upewniała się, czy robotnicy nie okradają ich, kiedy przywożono transport podłóg albo płytek. Nie spodziewała się, że będzie musiała sama budować dom, ale z czasem zauważyła, że w sumie sprawia jej to przyjemność. Wszystko powstawało według jej gustu, nie musiała się hamować i godzić na kompromisy, by przypodobać się mężowi.

– Szczęściaro – zazdrościła jej przyjaciółka. – Mój mąż wtrącał się do wszystkiego. Ilekroć mieliśmy inne zdanie, dochodziło do kłótni. Co prawda zwykle wygrywałam, ale i tak masz szczęście, że możesz robić, co chcesz.

Szczęście? Zapewne, ale jakoś nie czuła się szczęśliwa. Raczej diabelnie samotna. Zwłaszcza wieczorami, kiedy dzieci już spały i miała kilka chwil dla siebie, a Shłomie siedział gdzieś w jesziwie.

– Możemy porozmawiać? – przycisnęła go do muru pewnego piątku, kiedy dzieci leżały już w łóżkach.

– Jak sobie chcesz. – Ostrożnie skinął głową.

– A co to ma oznaczać?

– Nic. O czym chciałaś porozmawiać, Daniello?

– Nigdy nie ma cię w domu. Potrzebuję twojej pomocy, a ty przepadasz na całe dni.

– Mojej pomocy? – Wyglądał na autentycznie zaskoczonego. – Jakoś nie zauważyłem, byś kiedykolwiek mnie potrzebowała.

Przygryzła wargę. Łzy wezbrały jej w oczach.

– Potrzebuję cię, Shłomie. Tak bardzo.

Patrzył na nią, kciukami wycierał łzy z kącików jej oczu.

– Nie wiem, dlaczego za mnie wysłałaś. Nie jestem szczególnie bystry. Nie

dostałem się na prestiżową uczelnię jak ty. Pochodzę z prostej, robotniczej rodziny. Mogłaś mieć każdego. Bogatego prawnika albo lekarza, który zapewniłby ci willę, pokojówkę i nianię do dzieci...

– Wysłałam za ciebie, bo cię kocham – zapewniła, próbując przelać w słowa szczerść i przekonanie; marząc, by były prawdą. Tymczasem, szczerze powiedziawszy, nie była już tego pewna. W każdym razie nie tak jak dawniej.

Nie dostrzegł jej wahania. Przełknął tę deklarację w całości, jak wygłodniały człowiek przełyka kęsy chleba, nawet nie gryząc.

– Ty i dzieci, nasza piękna rodzina, którą budujemy, jesteście moim błogosławieństwem. Zdaję sobie sprawę, że za mało ci pomagam. Postaram się bardziej włączyć.

I rzeczywiście przez jakiś czas tak robił. Wracał do domu prosto z pracy, pomagał karmić i kąpać dzieci, zmywał po kolacji, dawał żonie czas na wypadki z przyjaciółkami, na pogadanki czy zajęcia z tańca ludowego. Ich wzajemne stosunki chwilowo się poprawiły. Oboje bardzo starali się okazywać sobie miłość i akceptację. Sił dodawały im regularne wizyty u miejscowego rabin, który był również doradcą małżeńskim.

Rabin był starszym mężczyzną o niebieskich, pogodnych oczach, ojcem jedenaściorga dzieci. Jego żona, rebecin, zawsze chodziła z uśmiechem, który wypływał prosto z serca. Widać było, że dba o siebie. Nosiła dobrze skrojone, modne ubrania, które podkreślały jej – wciąż nienaganną – figurę, a kosztowna peruka zawsze była perfekcyjnie ufryzowana. Wszystkie kobiety podziwiała ją i zazdrościły idealnego związku z mężem.

– Pamiętajcie – tłumaczył rabin Shlomiemu i Danielli – do budowania małżeństwa potrzeba dwojga. Do jego zniszczenia wystarczy jedno. Na każdym z was spoczywa ta sama odpowiedzialność. Kiedy ostatnio wybraliście się na randkę? Poszliście do kina, teatru, na koncert? Kiedy ostatnio pojechaliście do hotelu we dwoje, bez dzieci?

Popatrzyli po sobie zawstydzeni. Żadne z nich nie wpadło na taki pomysł. Rabin pokręcił głową.

– Tak przypuszczałem. I nie próbujcie się wykręcić. W naszym jiszuwie jest mnóstwo opiekunek do dzieci. Wybierzcie się do Jerozolimy na kolację. Nie wolno wam rozmawiać o dzieciach, budowie domu, pieniądzach ani innych prozaicznych kwestiach. Skupcie się na sobie. Tak jak na pierwszej randce. To pierwszy punkt. Ale pomiędzy randkami pamiętajcie, by co dzień

znaleźć chwilę dla siebie.

– To niełatwe. Cały dzień pracuję w szklarniach.

– Więc wracaj na drugie śniadanie do domu, zamiast brać je do pracy, Shlomie! Usiądź przy stole, porozmawiaj z żoną, zapytaj, co się u niej dzieje. A ty – zwrócił się do Danielli – przygotuj mi coś dobrego. Coś, co lubi; dzięki czemu będzie zdrowy i zadowolony. Nie byle jaką kanapkę. Zdaję sobie sprawę, że nie macie czasu, ale wystarczy, że na szabat ugotujesz większą porcję i zamroziś na później. To coś, czego nauczyłem się od mojej najdroższej żony. Na początku małżeństwa studiowałem w kolelu i całe dni spędzałem poza domem. Zdradzę wam, co wtedy robiłem. Pisałem na jawkach wyznania miłosne, żeby ilekroć moja żona będzie gotować, znalazła ode mnie dobre słowo.

Daniella i Shlomie popatrzyli na siebie nieśmiało. Roześmiali się.

Błękitne oczy rabina zaśmiały.

– A jeśli nie możesz wyrwać się z pracy na posiłek, pamiętaj, żeby do niej zadzwonić. Albo ty zadzwoń do niego. Kiedy jesteście osobno, rozmawiajcie ze sobą chociaż raz dziennie. A kiedy już jesteście razem, nie ograniczajcie się do rozmów o byle czym. Patrzcie sobie w oczy, zagłądajcie sobie w dusze. Niech to drugie czuje się kochane i podziwiane.

Wziął Shlomiego na stronę.

– Niech jak najczęściej się śmieje. Powtarzaj jej, że jest piękna; że podobają ci się jej oczy, sukienka, uśmiech. Kupuj jej prezenty. Perfumy, biżuterię. Ładne, przemyślane drobiazgi. Nie muszą być drogie. Niech wie, że ją kochasz i podziwiasz.

Shlomie kiwał głową, z wdzięcznością obejmując rabina.

Kiedy później wspominali tamten okres, wydawał im się radosnym snem. Z perspektywy czasu nawet ówczesne problemy stały się nieznaczące, niczym dziecięca tęsknota za lodami albo zabawką, której nie może dostać. To były dobre zmartwienia, ludzkie. A potem, niczym ludzie, którzy zabłądzili w średniowiecznych labiryntach, nie pojmowali już, kiedy i jak zbczyli z drogi, a wszystko poszło tak strasznie, strasznie źle.

[3](#) Ps 128.

[4](#) Koh 10:17.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Już czas – zwróciła się Bina do Danielli Goodman chłodniej, niż zamierzała.

Choć wiedziała, jakie zarzuty ciążyą na tej kobiecie, odrywanie płaczących dzieci od matki przywodziło jej na myśl filmy o hitlerowcach. Nie potrafiła patrzeć na to obojętnie.

Tak jak się spodziewała, dzieci wpadły w histerię, kiedy dwie policjantki chwyciły ich matkę pod pachy i wyprowadziły, ale skuły aresztantkę dopiero za drzwiami. Policjantki też były matkami.

– Zdecydowałaś się mówić? – spytała Bina bez większej nadziei.

– Żądam prawnika!

Bina wzruszyła ramionami.

– Odstawcie ją do celi.

– Nie! – Daniella poderwała głowę i spojrzała na policjantkę. – Może...

A gdyby... To nie moja...

– Nie mamy o czym rozmawiać, dopóki nie zdecydujesz się na szczerść. Chcesz? Gadaj sobie z prawnikiem. Ale to nie pomoże ani tobie, ani dzieciom. Nie mam wobec ciebie ani krzty litości. Żal mi jedynie tych biednych dzieciaków. Przez ciebie są jak sieroty. Nikt się nimi nie zajmie.

– Bo mi nie pozwalacie!

Bina obróciła się na pięcie i odeszła, bo bała się, że nie zdoła dłużej udawać obojętności. Za sobą słyszała błagania Danielli, potem krzyki, odgłosy szamotaniny, zamieszanie. Wyprostowała ramiona i szła dalej. Niech suka cierpi tak, jak cierpiały jej dzieci. Niech wreszcie otworzy tę głupią gębę, bestia.

*

Podróż ulicami Jerozolimy, z komendy do więzienia, trwała krótko. Daniella zasłoniła twarz dłońmi i odwróciła się od szyby, w panicznym strachu, że ktoś ją rozpozna.

Musi znaleźć adwokata. Ale jak? Podczas aresztowania pozwolili jej wykonać jeden telefon, ale czuła się zbyt zagubiona. Nikt nie przychodził jej do głowy. Joel? Ale wtedy musiałyby wyjaśnić, dlaczego... Wzdrygnęła się. Nie rozmawiała z nim od lat. Od kiedy Mesjasz wyjawiał jej całą prawdę o bracie i o strasznych rzeczach, które jej zrobił; rzeczach, które zepchnęła w głąb nieświadomości i którym nie chciała stawić czoła, dopóki nie objawił

ich jej Mesjasz w swojej nieprzebranej mądrości.

Kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi celi, Daniella przywarła czołem do metalowych prętów. Nie potrafiła się zmusić, żeby odwrócić się i objąć wzrokiem obrzydliwie bezbarwne, szare pomieszczenie z metalowymi pryzkami i brudnym sedesem, którego nie odgradzało nawet przepierzenie. W więzieniu prywatność nie istnieje.

– Patrzcie, kto wrócił! Święta! – drwiła jej współlokatorka, wyniszczona przez heroinę ćpunka z włosami w kolorze słomy. Obcisła koszulka bezwstydnie odsłaniała ślady po strzykawce pnące się po obu ramionach.

– Proszę, zostaw mnie w spokoju!

Ku przerażeniu Danielli kobieta rzuciła się do niej, zaciskając obie dłonie na jej szyi.

– Słyszaliście, dziewczyny? Jej świętobliwość domaga się spokoju!

Mocniej zacisnęła ręce. Przerazona Daniella szamotała się i próbowała odwrócić głowę, błagając o pomoc pozostałe kobiety.

– Ratujcie! – zaklinała, krztusząc się.

– Chce, żeby zostawić ją w spokoju, i chce, żebyście ją ratowały.

Słyszycie? – prychnęła blondyna, potrząsając nią jak szmacianą lalką.

Pozostałe dwie więźniarki leniwie podniosły się z łóżek, oparły na łokciach i obojętnie przyglądały scenie. Wszystko lepsze od nudy.

– No, cziewo się tak stroisz? Kogo, dumajesz, oszukać? – warknęła tłusta Rosjanka z górnej pryczy. – Puść ją, dziwko. Niech gada.

Blondyna zabrała dłonie. Przerazona Daniella kaszłała i rozmasowywała szyję.

– Czego ode mnie chcecie? Czemu tak się na mnie uwzięłyście? Wsadzili mnie tak samo jak was. Co wam złego zrobiłam?

– Chce wiedzieć. Powiesz jej, Ruska?

– Sama powiedz, dziwko.

– Dobra. Bo w więzieniu są ludzie, którzy kradną. Większość klepie biedę. Nie kradną dużo, ale wpadają. Są też tacy, którzy kradną, bo potrzebują forsy na narkotyki. To ja. Inni zabijają, bo boją się, że inaczej sami zginą. To Ruska. Jej chłopak, spaślak i kumpel od kieliszka, próbował wyrzucić ją przez okno i przypadkowo nadział się na swój własny nóż. Taka jest jej wersja, a ja, kapujesz, jej wierzę. Są też dziewczyny takie jak ten kwiatusek z niebieskim pasemkiem we włosach. Małe sprzedają swoje ciała, bo są za głupie, żeby robić coś innego. Ale trafiają tu też tacy, którzy na to zasłużyli. Żli. Tacy,

którzy bez powodu zadają innym ból. Bo to ich jara, kapujesz? Mordercy, gwałciciele, damscy bokserzy. Ale na samym dnie są ci, którzy powinni tutaj zgnić. To ci, którzy krzywdzą dzieci. Tak, wiemy o tobie wszystko, wasza świętobliwość. Paradujesz w białych szmatach, niby skromna i czysta dziewczica! Ale my wszystko słyszałyśmy! Twój mały synek skatowany tak strasznie, że do końca życia będzie już roślinką. A drugi, czterolatek, poparzony, że skóra mu zeszała! Kto, kurwa, robi coś takiego? Tylko diabeł! Jesteś diabłem wcielonym! Ściągaj te białe łachy, suko!

– *Da!* Koniec z udawaniem! – zawtórowała Rosjanka z oczami mokrymi od łez, wolno zsuwając się z łóżka. Chwyciła za szal i zerwała go Danielli z głowy. Ona też miała dwójkę dzieci. – Ojciec... Tego jeszcze można by się spodziewać. W końcu to facet. Ale kobieta? Mama? Matuchna, mamoczka?

Splunęła Danielli na buty.

– Odrażająca szmata! Zboczona! Gdybym mogła cię teraz zabić, nie wahałabym się ani chwili! Dzieciakom bym przysługę wyświadczyła! – krzyczała blondynka. Szarpnęła Daniellę za bluzkę i patrzyła, jak materiał się rozdziera, gdy ta próbowała się wyrwać.

– Straż! Straż! – wrzeszczała Daniella.

Ale nawet jeśli ktoś ją słyszał, nie spieszył się.

Wtem dołączyła do nich trzecia dziewczyna, góra siedemnastoletnia. Z całej siły uderzyła Daniellę w twarz, wbijając paznokcie w policzki.

– Znam cię! – darła się. – Wiem dobrze, kim jesteś!

Odsunęła się i pięścią zdzieliła Daniellę w brzuch. Potem zaczęła ją kopać, aż Rosjanka musiała ją odciągnąć.

– Jesteś jak tamta kobieta, która wyszła za Eliora Chena. Nazywali ją M. Jesteś jak te niby pobożne święte krowy ubierające się jak muzulmanki, które rzną swoje dzieci! Jak mój ojczym! Jesteście wszyscy tacy sami! Tacy sami! Potwory!

Dopiero kiedy krzyki stały się zbyt donośne, niespiesznie pojawili się strażnicy.

Zabrali Daniellę do ambulatorium, gdzie pielęgniarka obojętnie opatrzyła jej obrażenia, a w miejscu, gdzie paznokieć głęboko rozorał policzek, przykleiła plaster ze szwem. Następnie, ku zgrozie Danielli, odprowadzili ją do starej celi.

– Trzeba mnie przed nimi bronić! To zwierzęta! – protestowała.

Oni jednak zignorowali ją. Beznamiętnie otworzyli drzwi i wepchnęli ją

do środka.

– Rano złożę na was skargę – oświadczyła wyniośle Daniella. – Zabiję się!

Strażnik się zawahał. Otworzył drzwi i wyciągnął ją na korytarz, po czym zaprowadził do izolatki.

– Dość rozrób na dzisiaj – warknął. – Nie przyzwyczajaj się, jutro wracasz do starej celi. To cię nauczy moresu.

Wciąż jeszcze oszołomiona, poobijana i obolała, skinęła tylko głową. Usiadła na podłodze, plecami oparła się o pręty. Zimny metal wrzynał się w ciało przez podartą koszulę, kłując niczym igiełki lodu. Kamienne płytki z kolei mroziły jej uda i pośladki. Jakbym siedziała na środku zamrożonego jeziora, pomyślała, otulając ramionami kolana i drżąc na całym ciele.

Daniellę otaczał mrok – głęboki, wszechobecny, niemal namacalny – i taka sama cisza. Z innych cel dobiegało tylko pochrapywanie, czasem ktoś krzyknął przez sen. Ona jednak po raz pierwszy od wielu miesięcy, może nawet lat, poczuła, jak niewidzialny kokon odgradził ją od zewnętrznego świata, ona zaś została sam na sam ze swoimi myślami.

Początkowo kłębiły się jak w kalejdoskopie. Przed oczami przelatywały jej obrazy: śliczny domek w Jahalom ze skrzynkami na kwiaty, na podwórku jabłonie i figowce, a między nimi drewniana huśtawka; luksusowe mieszkanie w Jerozolimie z dużymi oknami z widokiem na mury starego miasta; wreszcie dom w Bet Szemesz z maleńkimi sypialniami i ponurymi drzwiami zamkniętymi na klucz; miejsce, gdzie to wszystko się stało. Potem twarze dzieci, zwłaszcza jej najdroższego Menchiego. Szok i przerażenie, jakie malowało się na jego buzi, gdy po pierwszym policzku poleciał pod drugą ścianę. Zatykała uszy, próbując nie dopuścić do siebie krzyku dzieci, który wciąż rozbrzmiewał jej w czaszce. Wszystkie te obrazy jednak przesłaniała jego twarz. Jej rabina, jej mistrza, kochanka i męża. Mesjasza.

Gdzie teraz był? Gdzie? Gdzie się podziała jego mądrość, czystość, mistyczna więź z Bogiem? Potrzebowała teraz ich wszystkich, bo bez nich... Jak wyjaśnić komukolwiek, co właściwie się stało? Jak to wyjaśnić sobie samej?

Popatrzyła w głąb korytarza na swoją celę. Morderczyni, prostytutka i dilerka. Wszystkie nią pogardzały. Jak to możliwe?

Porównały jej kochanka do Eliora Chena. Pamiętała tamtą koszmarną historię. Przekonał matkę, żeby pozwoliła molestować swoje dzieci. Ją zaś

porównały do tamtej matki. A przecież jej Mesjasz w niczym nie przypominał Eliora Chena. Ani ona tamtej matki. Mężczyzna, którego kochała, był naprawdę święty. Najświętszy, jakiego nosiła ziemia. Tak łagodny i czuły. Człowiek, do którego co dzień przemawiał Bóg. On właśnie wybrał sobie ją na partnerkę. Dzięki niemu ona również stała się święta i czysta. Poświęciła dla niego wszystko, aby dzielić z nim jego wizję nieba – aby zbliżyć się do Boga tak samo jak on. Tak samo jak on wypełniać Bożą wolę. Przymknęła oczy, próbując sobie przypomnieć. Przywołać przed oczy jego wizję Przyszłego Świata jaśniejącego niczym brylant i oślepiająco niebieskiej szafirowej drabiny wiodącej do najwyższego kręgu czystości. Właśnie na tę drabinę pomagał jej się wspinać. Szczebel po szczebli. Pomagał też wciągnąć dzieci. Życzył sobie, aby one również doświadczyły czystej radości dobra i świętości, płynących ze służby wyższej istocie. Jakże pragnęła, aby w ich życie wkroczyło błogosławieństwo, tak jak wcześniej zagościło w jej życiu.

Nie wybrała ścieżki tchórza. Śmiało kroczyła trudniejszą drogą. Innym zabrakłoby odwagi, a potem tylko bezsilnie by patrzyli, jak niewyobrażalne zło pochłania ich dzieci. Ona poświęciła siebie. Zrobiła wszystko, co jej polecono, bez względu na konsekwencje. Po to, by je ocalić. Dzieci były w jej życiu najważniejsze. Choćby po kres swoich dni musiała gnić w więzieniu, nigdy tego żałowała nie będzie. Przenigdy.

A jednak teraz, w mroku i milczeniu, słowa tamtych kryminalistek: morderczyni, prostytutki i narkomanki, ciążyły jej na sercu niczym głaz. Kobiety drwiły z niej, z tego, co zrobiła. Wyzywały ją. Po raz pierwszy od bardzo dawna ogarnął ją niepokój.

Gdyby mogła wytłumaczyć im, wytłumaczyć policji, że podjęła się tej świętej misji z najczystszej miłości do swoich dzieci! Niestety, nie potrafiła. Jakkolwiek spróbuje ubrać to w słowa, wciąż będą widzieć w niej tylko podłą, wyrodną matkę znęcającą się nad niewinnymi maleństwami. Nie zdoła im wytłumaczyć tego tak jasno, jak wtedy zostało jej to wytłumaczone. Nigdy by nie zrozumieli, z jakim trudem i bólem patrzyła na to, co robiono jej dzieciom. Nie mogła tego przerwać, bo wtedy naraziłaby ich dusze na wieczną zagładę. To tak, jakby przyglądać się chirurgowi, który rozcina chorego, by usunąć raka. Cierpienie! Krew! Męczarnie! Ale co człowiek miał zrobić? Wbiec na salę operacyjną, uderzyć lekarza w twarz, związać mu ręce na plecach? Co wtedy stałoby się z pacjentem, który leżał bezbronny na stole operacyjnym, pozbawiony nadziei na uzdrowienie?

Gdyby tylko się zjawił jej Mesjasz! Gdyby im wszystkim wytłumaczył! Próbowała odtworzyć jego słowa, ale w głowie pozostał jedynie bełkot. A przecież, kiedy przy niej stał, wszystko wydawało się mądre i jasne. Jasne jak słońce.

Gdzie on teraz jest?

Przesiedziała tak całą noc, pogrążona w myślach. Próbowała nadać sens temu, co wiedziała. Albo temu, co tylko jej się wydawało, że wiedziała. W końcu nad ranem przyszło zrozumienie.

– Straż! – zawołała.

– A tobie co się stało? – zatroszczył się strażnik z porannej zmiany, patrząc na jej posiniaczoną twarz.

– Nieważne. – Potrząsnęła głową. – Chcę porozmawiać z detektyw Cedek. Muszę jej coś powiedzieć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Chce gadać.

Bina obróciła się z fotelem i spojrzała na Morrisa.

– Biała Czarownica?

Uśmiechnął się i potaknął. To już stało się smutnym żartem wydziału. Co dzień wymyślali dla niej nowe przydomki. Biała Czarownica, Haredi Eleganka albo – ulubiona ksywka Biny – Mamuśka.

– O czym?

Niecierpliwie stuknęła ołówkiem w blat. Choć już w szkole policyjnej wpajano jej, że podczas przesłuchania najważniejszy jest obiektywizm i dystans – z czym całkowicie się zgadzała – w stosunku do tej kobiety nie potrafiła zachować ani jednego, ani drugiego. Daniella założyła jej za skórę. Binę przechodziły ciarki na myśl, że miałyby ponownie znaleźć się z nią w jednym pomieszczeniu. Równocześnie jednak – jeśli potraktować to jak partię pokera – Biała Czarownica musiała mieć dość słabą kartę, skoro sama proponowała rozmowę.

W odpowiedzi policjant tylko wzruszył ramionami.

– Niech pognije w celi kilka tygodni.

Pokręcił głową.

– Wiesz, że sędzia na to nie pozwoli. Musimy postawić jej zarzuty albo wypuścić.

– Chyba zebraliśmy dość materiału dowodowego?

– Bez obciążających zeznań dzieci trudno będzie wywalczyć w sądzie wyrok.

– Litości! Chociażby za zaniedbywanie dzieci. To pewniak.

– Owszem. Ale nie posiedziałyby długo. Trzeba dowieść, że była przy tym, kiedy syn się poparzył.

– Innymi słowy, uważasz, że powinniśmy znów ją tutaj ściągnąć. Będiesz przy tym?

– Szczerze, Bina? Sądzę, że powinnaś załatwić to sama.

Przełknęła ślinę.

– Dlaczego?

– Cóż, to z tobą chciała rozmawiać. Najwyraźniej jakoś udało ci się do niej trafić. Tylko obiecaj mi, że tym razem nie odleczysz. Mogę na ciebie liczyć?

Czuła się zażenowana, że w ogóle musiał spytać. Spuściła wzrok i skinęła głową.

– Dobra. Zdaję się na ciebie. Ale będę was obserwował przez lustro weneckie.

*

W więziennym uniformie Biała Czarownica wygląda inaczej, pomyślała Bina. Wydawała się drobniejsza, delikatniejsza, mniej przekonana o własnej wyższości. Na jej twarzy widać było siniaki. Niewątpliwie pozostałość po nauce, jaką dały jej inne matki odsiadujące wyroki. Zresztą, kto by im się dziwił? Binę właściwie to ucieszyło. Może Mamuśka nabrała trochę rozumu.

– Czy można je zdjąć? Bardzo proszę – odezwała się pokornie Daniella, wysuwając skute nadgarstki.

Bina wyjęła kluczyk i rozpięła kajdanki, które ostentacyjnie odłożyła na biurko tak, by leżały między nimi, w zasięgu jej ręki. Niech Biała Czarownica widzi je w czasie rozmowy. Niech pamięta, co ją czeka.

Siedziały w milczeniu. Daniella rozmasowywała czerwone pręgi na nadgarstkach.

– No i? – odezwała się w końcu policjantka, unosząc brwi.

– No i... Co?

– Żartujesz chyba. Jesteś tu, bo prosiłaś o rozmowę. Dlaczego?

Daniella ciężko westchnęła.

– Chcę mówić. Chcę...

– To mów! – krzyknęła rozdrażniona Bina.

Już miała dość. Najchętniej założyłaby jej kajdanki i odesłała z powrotem do celi.

– Mój mąż i ja przechodziliśmy trudny okres. Nasze małżeństwo... zaczęło się rozpadać. Och! – Urwała i rękawem wytarła oczy. – Boję się. Jestem zagubiona. Niczego już nie rozumiem. A sądziłam, że jest odwrotnie. Wszystko wydawało mi się absolutnie jasne i klarowne. To, co się wydarzyło. To, co teraz muszę robić. A nie jest. Ani trochę! – Coś w niej pękło i wybuchła płaczem.

Bina chłodno sięgnęła po pudełko i podała Danielli chusteczkę. Przed oczami wciąż miała szlochające dzieci kobiety.

– Dziękuję.

Daniella wydmuchała nos i wytarła oczy.

– Nie ma pośpiechu. Proszę spokojnie się pozbierać – powiedziała Bina,

ku swojemu zdumieniu dostrzegając w tej bestii ludzkie cechy. Mimowolnie spojrziała na szybę, żałowała, że nie może zobaczyć miny Morrisa. Czyżby do głosu doszedł jej brak doświadczenia albo miękkie serce? A może w tej kobiecie faktycznie dokonywała się zmiana na lepsze?

Daniella nabrała tchu.

– Nie wytrzymuję rozłąki z dziećmi! Opiekowałam się nimi, kocham je całym sercem. Im podporządkowałam życie. Byłam im całkowicie oddana. Duszą i ciałem.

– I to ma być to twoje wielkie wyznanie? Idź z tym do psychiatry. Albo do rabina.

– Nie, nie. Chciałam tylko wyjaśnić, że mój mąż i ja... Nasze małżeństwo... zaczęło się rozpadać.

– Już mówiłaś.

– Tak, rzeczywiście. Ale nie powiedziałam, że kazałam mu się wyprowadzić, i poprosiłam chasydów, by się wprowadzili i mi pomagali. Sądziłam, że dzięki temu konflikty między nami wygasną.

– Chasydów? – Sprawiedliwych mężów. Brwi podjechały Binie do połowy czoła. Spojrzała na szybę. – Co masz na myśli?

– Chłopców z jesziwy. Uczniów. Nazywałam ich najdroższymi braćmi. W pojedynkę nie poradziłabym sobie z całą siódemką. Przysłano ich, żeby pomogli mi uczyć dzieci.

Policjantka wyprostowała się w krześle. Kręgosłup miała naprężony jak struna.

– Kto ich przysłał?

– Uczyli się w jesziwie, razem z moim mężem zgłębiając Torę. Dobrze ich znałam. Często nas odwiedzali. Dzieci bardzo przeżyły odejście ojca. Zachowywały się jak dzikie zwierzęta, demolowały mieszkanie. Ignorowały moje zakazy.

Bina stuknęła ołówkiem, bacznie wpatrując się w poszarpane linie, które rysował na białej kartce. Początek opowieści. Ale tylko to. Nic więcej, myślała.

– I rzeczywiście okazali się pomocni?

– Oczywiście! Pomagali mi w uczeniu dzieci, karmieniu, kąpielach, opiece nad nimi. Coś im dolegało. Niszczyło je od środka. Uznałam, że trzeba czegoś więcej niż surowa reprimenda albo klaps po łapach, żeby wygrać z tymi demonami.

Bina nie wierzyła własnym uszom. Diabeł. Demony. Czyli o tym teraz mówimy. Czyżbyśmy się cofnęli do średniowiecza? Do jakiegoś opętanego dybuka rodem z wioskowej legendy? – zastanawiała się przerażona.

– To nie był mój pomysł. Nie wtrącałam się do tego, jak chasydzi pomagali dzieciom. Sądziłam, że wiedzą, co robią. Ja tylko chciałam dobra moich dzieci. Nie zawsze byłam obecna, gdy je dyscyplinowali, ale później wszystko dokładnie mi tłumaczyli, co się stało i co zrobili. Jeśli chodzi o oparzenia na nogach Elego... Nie było mnie przy tym. To znaczy, byłam w domu, ale akurat nie w tym pokoju. Chasydzi nigdy, przenigdy mnie nie okłamali. Wierzyłam im. Z ich relacji wynikało, że siedzieli i rozmawiali, gdy nagle Eli stanął za blisko grzejnika. Oparzył się, zanim zdążyli go powstrzymać.

– A ty im uwierzyłaś? – Bina nie kryła zdumienia.

Daniella skinęła głową.

– Czemu miałabym wątpić? Przecież przysłano ich do pomocy.

Wyświadczali mi przysługę. Przybyli, by dokonać *tikkun*.

Bina uważniej przyjrzała się Danielli. Znowu to słowo.

Wyznawcy kabały wierzyli, że Bóg stworzył wszechświat jako naczynie, które miało pomieścić Jego świętość. Ono jednak okazało się za słabe. Pękło, uwalniając iskry świętości po całym świecie. *Tikkun* to wszelka działalność człowieka prowadząca do odzyskania zaginionej iskry.

– Zaraz, zaraz. Nie tak szybko. Możesz wyjaśnić, jaki ma związek to słowo z wychowaniem twoich dzieci?

Daniella wyglądała na zaskoczoną.

– Nie znasz go?

– Znam. Wiem, co znaczy. Chodzi o naprawę charakteru. Jeśli masz jakieś wady, starasz się je pokonać. Na tym właśnie polega *tikkun*. Zgadza się?

– Cóż, prawie. Jeśli chcemy zbliżyć się do Boga, musimy na to zasłużyć. Niedoskonały człowiek pełen słabości duchowych musi je pokonać. *Tikkun* to doskonalenie. Droga prowadząca do zmiany na lepsze.

– Twierdzisz, że ci mężczyźni, chasydzi z jesziwy męża, wymierzali *tikkun* twoim maleństwom?

Daniella zeszywniała. Bina ugryzła się w język. Nie należało użyć słowa „maleństwa”. Odsłoniła się. A musi zachować neutralność.

– To już nie maleństwa! – zaprotestowała matka.

Bina czekała.

– Najmłodsze były całkiem spore! Jedno miało dwa i pół roku, drugie trzy

i pół. A nawet nad nimi nie dało się zapanować. Wstąpiło w nich jakieś lichy, które im szkodziło, pchało do złego. Chasydzi pomagali wypędzić z nich złego ducha. Sądziłam, że to im pomoże. Chciałam dobrze. Nie mogłam biernie patrzeć, jak cierpią. Jak dorastają opętane przez demony. Przecież to rozumiesz, prawda?

Spojrzała na Binę znacząco, jakby teraz wszystko stało się absolutnie jasne.

Policjantce szumiało w głowie, świat wokół zawirował. Poszczególne elementy nagle zaczęły układać się w całość. I wyłaniał się z tego przerażający obraz. Tu chodziło o coś stokroć gorszego niż przestępstwo. Tam, gdzie w grę wchodziło przestępstwo, pojawiał się sprawca, którym kierowały egoistyczne pobudki: pieniądze, seks, zemsta. Ale tutaj...? Co można zyskać, katując małe dzieci? To zło w czystej postaci.

– Zaraz wracam.

Bina wstała i wyszła z pokoju. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie całym ciałem. Grzbietem dłoni otarła z czoła pot.

Morris przyglądał się jej z niepokojem.

– Co o tym sądzisz? – spytała detektywa.

– Że mieliśmy na wyciągnięcie ręki klucz, który otworzy wszystkie drzwi. Ale ty zatrzymałaś się w pół kroku, choć to była najważniejsza informacja.

Bina patrzyła na niego, próbując odtworzyć rozmowę, nie wiedziała, o co mu chodzi.

– Skup się, Bina. O co ją spytałaś i jak brzmiała odpowiedź?

– Spytałam, kim byli chasydzi... – Nagle olśniło ją, niczym błyskawica na końcu ciemnego tunelu. – I kto ich przysłał.

Morris potaknął.

– I co odpowiedziała?

Bina przymknęła oczy, oddychając głęboko.

– Nie odpowiedziała.

Wróciła do pokoju i siadła za biurkiem.

– Powiedz coś więcej o chasydach.

– Przecież powiedziałam wszystko! Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Zacznijmy od nazwisk.

– Kuni Batlan, Szmaja Hod i Issachar Goldschmidt – wyrecytowała bez wahania Daniella, ku zaskoczeniu policjantki. – Jeśli dzieci nie słuchały, Kuni i Szmaja nimi potrząsali. Raz widziałam, jak wiązali Menchiemu ręczki, żeby

nie drapał się po twarzy. Sądziłam, że robią to dla jego dobra! Nigdy nie słyszałam, żeby bili dzieci albo brutalnie się z nimi obchodzili. Na pewno nie zadawali im świadomie bólu ani nie chcieli ich skrzywdzić. Sama wiesz, jak to bywa z niegrzecznymi maluchami. I ja, i chasydzi wciąż liczyliśmy, że wkrótce sytuacja się poprawi i *tikkun* stanie się niepotrzebna. Czasem jednak zdarzały się błędy... – Umilkła.

– Błędy?

Daniella się zawahała.

– Potrafili trochę za mocno uderzyć. A ja ufałam im bezgranicznie! Twierdzili, że to był wypadek. Nigdy nie słyszałam, żeby młotkiem bili dzieci po głowach albo zakuwali je w kajdanki. Jestem całkowicie pewna, że nigdy ich nie głodzili.

Bina wpatrywała się w nią ogłuszona.

Daniella wyglądała na stropioną.

– To w każdym razie zarzucały im dzieci.

– Dzieci ci to powiedziały?

Bina znów czuła, jak traci panowanie nad sobą, a do gardła podchodzą jej mdłości.

Matka skinęła głową.

– Starsze. Ale były złe. Wciąż się gniewały... z powodu odejścia ojca. Nie uwierzyłam im. Wiedziałam, że to niemożliwe. Przecież chasydzi byli... są... dobrymi, czułymi chłopcami.

Umilkła i nagle zerwała się z krzesła.

– Kocham swoje dzieci! Jestem dobrą matką! Nigdy, przenigdy bym ich nie skrzywdziła! Ani ja, ani chłopcy z jesziwy! Ich życie to przykład dobroci, czułości i czystości! Dlaczego nagle coś miałoby nas opętać, żeby krzywdzić niewinne dzieci? Niech Bóg strzeże! Niech Bóg strzeże!

– Siadaj! – rozkazała Bina.

Usiadła.

Policjantka zacisnęła dłonie na krawędziach krzesła, próbując zapanować nad sobą.

– Zadałam ci wcześniej pytanie, na które nie odpowiedziałaś.

Daniella wyglądała na zaskoczoną.

– Odpowiedziałam na wszystkie pytania.

Bina pokręciła głową.

– Spytałam, kto przysłał chasydów do pomocy. Jak się nazywa?

– To był nasz rebe. Bogobojny, łagodny, wrażliwy człowiek, który w wychowaniu ani edukacji nie uznaje przemocy. A choć to wielki człowiek, zawsze dawał przykład skromności i prawości. Nigdy nie zabiegał o tłumy wyznawców, ale ponieważ emanował mądrością i dobrocią, wszyscy go kochali i pragnęli być jak najbliżej niego. On jednak wybrał garstkę szczęśliwców. W tej grupie znaleźliśmy się również my, ja i mój mąż. Nie posiadaliśmy się z radości. Wszystko, co mówił, promieniało nadzwyczajną mądrością. A my byliśmy błogosławieni, bo mogliśmy go słuchać. Dlatego kiedy kazał mojemu mężowi opuścić dom i nie naprzykrzać mi się... Kiedy powiedział, że dzieci potrzebują *tikkun*, naturalnie wiedziałam, że tak będzie dla nich lepiej. A kiedy zobaczył, ile trudu wymaga ode mnie samotna opieka nad dziećmi, przysłał Kuniego, Szmaję i Issachara, żeby mi pomogli.

Bina wstała.

– Jak się nazywa ten rebe?

– Och – odparła Daniella. – Tego nie mogę powiedzieć. Nigdy tego nie zdradzę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kilka miesięcy przed ukończeniem budowy Daniella urodziła piąte dziecko, dziewczynkę, której dali na imię Szoszana – róża. Rzeczywiście, od początku wyróżniała się urodą. Miała brzoskwińową cerę, niebieskie oczy i jasne, niemal platynowe włosy. Pielęgniarki po cichu nazywały ją małą Marilyn Monroe. To był trudny okres. Lato dobiegało końca, ale upalne słońce wciąż prażyło przyczepę, w której unosił się nieznośny smród brudnych pieluch. Dla Danielli, która spędzała tam cały dzień, zajmując się dziećmi, czasem okazywało się to ponad siły.

– Zupełnie jak w tej historii o domu i kozie – powiedział Shlomie, na swój sposób próbując pocieszyć żonę, gdy ta była o krok od wybuchu.

– Co to za historia? – spytała poirytowana.

– Mężczyzna przychodzi do rabina i narzeka: „Rebe! Dłużej tego nie wytrzymamy! Tyle dzieci, a dom ciasny! Dusimy się!”. Na to rabin pyta: „A macie kozę?”. Mężczyzna potakuje. „To weź ją do mieszkania”.

Daniella przewróciła oczami.

– Co, znasz to?

– Nie, skądże. Przepraszam, mów dalej – mruknęła.

Jasne, że znała. Wszyscy znali. Ale nie chciała robić mu przykrości. Przecież starał się pomóc.

– Tydzień później mężczyzna wraca do rabina. „Dłużej tego nie zniesiemy, rebe! Przedtem było strasznie, ale teraz to już koszmar! Ten hałas, smród i ciasnota! Tego nie da się wytrzymać!”. Na to rabin pyta: „Macie osła?”. Mężczyzna potakuje. „To weź go do mieszkania”.

Daniella dłużej już nie mogła.

– I bierze, tak?

– Właśnie. Tydzień później przybiega do rabina. „Rebe, błagam, ratuj! Zaraz postradam rozum! Te odchody! Do tego osioł całą noc ryczy, a rano wpadam na kozę! Nie możemy nawet się obrócić!”. Na to rabin...

– Wiem, wiem. Pyta, czy mają krowę – warknęła przez zaciśnięte zęby. Znieruchomiał.

– Jednak znasz tę historię?

Jak mógł być aż tak głupi? Wzruszyła ramionami.

– Tydzień później wraca do rabina i mówi: „Moje życie to piekło. Wiem, że to grzech, ale się zabiję”. Na to rabin: „Teraz zabierz zwierzęta z domu”.

– A tydzień później – wpadła mu w słowo – mężczyzna wraca rozpromieniony. „Mechajech! Co za radość! Wierzyć się nie chce, ile miejsca mamy. A ta cisza i czystość! Dziękuję, rebe!”. – Znużona podciągnęła bluzkę i dała pierś płaczącemu noworodkowi. – Szkoda tylko, że nie mamy kozy.

– Zawsze mogę pożyczyć – zaoferował się Shlomie.

Poderwała głowę i bacznie mu się przyjrzała. W jego oczach dostrzegła błysk i oboje parsknęli śmiechem.

Objął ją i pocałował.

– Wiem, że teraz bywa nam trudno. Ale postaraj się pamiętać, jak szczęśliwi jesteśmy. Już niedługo wprowadzimy się do nowego domu i będziemy się tam czuli jak w pałacu! Jeszcze odrobinę cierpliwości.

Okazało się, że miał rację. A choć wprowadzili się, kiedy jeszcze trwały prace wykończeniowe (tak im poradzono, w Izraelu wszyscy tak robią, inaczej czekaliby w nieskończoność), mimo kurzu, robotników, malarzy, niewykończonych łazienek i podwórka zawalonego materiałami budowlanymi, nie posiadali się z radości.

Amerykanin nazwałby ich dom skromnym: liczył trzy nieduże sypialnie dla dzieci i sypialnię rodziców z własną łazienką tak ciasną, że mieścił się w niej tylko prysznic. Dla izraelskich przyjaciół, zwłaszcza tych, którzy wciąż kisili się w przyczepach, był to jednak szczyt luksusu. Daniella i Shlomie zaś mieszkali tu na tyle długo, że przyznawali im rację. Najbardziej zachwycała ich perspektywa, że będą mieć oddzielny pokój, w którym położą najmłodsze dziecko. To dawało nadzieję na kilka godzin nieprzerwanego snu. Istna ekstaza.

Wreszcie zaczęło im się układać. Co dzień o piątej Shlomie wstawał i przynosił jej do karmienia świeżo przewiniętą Szoszanę. Później na szafce nocnej żony stawiał tacę z aromatyczną kawą i ciastkiem. Kiedy już wyszedł do pracy, a Szoszana zasnęła, Daniella na godzinę wracała do łóżka, przez okno podziwiając złociste, wschodzące słońce oraz ich świeżo posadzone winorośle i drzewa owocowe. Zapadała w drzemkę, niemal delirycznie szczęśliwa, rozkoszując się życiem i różowawym światłem zagładającym do sypialń.

– Jakież cudowny dar od Boga! – zachwycał się często Shlomie, podziwiając ich nowe włości.

– I od mojej babci – dodawała Daniella z naciskiem.

– Oczywiście! Napiszę do niej. Trzeba koniecznie ją zaprosić.

Daniella uważała, że to znakomity pomysł. Babcia co prawda nie czuła się na siłach przyjechać na obrzezanie Gabriela, ale obiecała, że odwiedzi ich po urodzeniu Szoszany. Potem znów się wycofała, tłumacząc, że wciąż nie czuje się na siłach. Nie podała jednak żadnych szczegółów. Ostatecznie zjawiała się matka, łącząc odwiedziny u nich ze spotkaniem z telawiwskimi szlifierzami diamentów. Nowy mąż został w Stanach. Jego firma – jak tłumaczyła – wymagała teraz jego ciągłej obecności. Daniella przyglądała się matce podejrzliwie. Czyżby nowy związek już się sypał? Claire jednak zachowywała stoicki spokój, a jej twarz niczego nie zdradzała.

Przyjechał również ojciec Danielli w towarzystwie drugiej żony: jędrzowatej blondyny, wdowy, która – jak szepnęła jej na ucho matka – miała więcej forsy niż rozumu.

– W końcu wyszła za twojego ojca – dodała kąśliwie.

Joel i Esther, którzy mieli malutkie dziecko i spodziewali się kolejnego, z przykrością odmówili, ale obiecali przyjechać najszybciej, jak to możliwe. Daniella i Shlomie byli ogromnie rozczarowani, ale zawód osłodziła im wizyta rodziców Shlomiego, którym udało się zaoszczędzić na wyjazd. Oszaleli z zachwytu na widok wnucząt, za to z trudem rozpoznali własnego syna.

– Farmer! – zaśmiał się serdecznie ojciec i poklepał Shlomiego po plecach, z podziwem patrząc na jego wydatne mięśnie i zniszczone pracą dłonie.

Z nieskrywaną dumą przechadzał się po szklarniach i sadach. W przeciwieństwie do rodziców Danielli.

– Jak w ogóle możesz tak żyć, Daniello? – Matka ze zgrozą kręciła głową. Jej rodzina od pokoleń nie musiała się zniżać do pracy fizycznej. Ojciec Danielli i jego nowa żona myśleli podobnie, ale zachowali się z większym taktem, starając się okazywać młodej rodzinie akceptację i poparcie, choć nie do końca zdolali ukryć wątpliwości.

Gdyby Joel tu był! – westchnęła w duchu Daniella. On natychmiast dostrzegłby i docenił wartość pionierskiego życia; wszystko to, co osiągnęli ona i jej mąż. Najbardziej jednak brakowało jej babci. Czy może być coś smutniejszego niż rodzinna uroczystość bez prawdziwej rodziny? – zastanawiała się w duchu.

– Czy babci dolega coś poważnego? – spytała matkę, która natychmiast zaprzeczyła, energicznie kręcąc głową.

– Babcia po prostu nie przepada za tak długą podróżą samolotem. Kiedy Szoszana trochę podrośnie, przyjedziecie całą rodziną do Pittsburgha i wszystkich odwiedzicie. Oczywiście pod warunkiem, że po drodze nie urodzisz następnego dziecka.

Daniella się skrzywiła.

– Nie patrz tak na mnie. To twoja specjalność, nie moja.

– Co ci się nie podoba, mamó? Za dużo wnucząt? Nadmiar *nachas*? Założę się, że nieustannie chwalisz się nimi przyjaciółkom.

Oczywiście Daniella miała rację.

– Żadna matka nie cieszy się, kiedy córka zamienia się w maszynkę do rodzenia dzieci. Zwłaszcza jeśli mogła tyle w życiu osiągnąć. Czy to Shlomie? Zmusza cię?

– Co? Jak możesz tak mówić? Jesteśmy partnerami. A nikt nigdy nie żałuje, gdy pojawia się następne dziecko.

To zamknęło matce usta, ale rozmowa długo nie dawała Danielli spokoju.

Potrzebowała kilku długich spacerów, podczas których wadziła się z Bogiem. Oczywiście, dzieci to błogosławieństwo, tłumaczyła. Niech nie uważa jej za niewdzięczną. Ale dlaczego aż tyle błogosławieństw w tak krótkim czasie? – pytała Pana.

Wreszcie zaakceptowała sytuację. W końcu sama wybrała takie życie i nie żałowała. Gdzieś po drodze porzuciła dawne ambicje, by osiągnąć sukces: skończyć studia i pracować. Oto jej przeznaczenie. Żona. Matka. Dawne ambicje i uporczywe dążenie do doskonałości skierowała na nowe tory. Stanie się idealną żoną. A przede wszystkim idealną matką.

Wiedziała, że ma do tego dryg. W przeciwieństwie do innych matek, które traktowały dzieci niczym przybyszów z innej planety, zawsze widziała w nich równorzędnych partnerów, z których opinią trzeba się liczyć i ją uszanować. „To ludzie tacy jak my”, tłumaczyła przyjaciółkom, które patrzyły na nią sceptycznie. „Trzeba tylko zdobyć się na wysiłek, by lepiej je poznać. Każde przychodzi na świat z własnym temperamentem, zainteresowaniami, upodobaniami i niechęciami”.

Amalia, jej pierworodna, była uroczym noworodkiem. Do tego wyjątkowo ładnym. Po ojcu odziedziczyła ciemne włosy, a po babce szafirowe oczy. Spokojna i pogodna, budziła się tylko, kiedy była głodna, po czym niemal natychmiast zasypiała. Wyrosła na zgodną, potulną dziewczynkę, która opiekowała się młodszym rodzeństwem i sama, bez prośzenia, pomagała

rodzicom. Z natury pobożna, uczyła się na pamięć wszystkich historii biblijnych, które co tydzień poznawała w szkole. Skrupulatnie też przestrzegała rytualnego mycia rąk i odmawiania modlitwy przed posiłkiem. Najszczęśliwsza była, gdy dostała kredki i pustą kartkę, na której rysowała urocze, wymyślone przez siebie zwierzątka. Zebrała ich całą kolekcję, którą trzymała w teczce. Na półce w jej różowo-lawendowym pokoju siedziały stłoczone klasyczne misie Steiffa i American Girl, Barbie, Bratz: drogie lalki z kompletną garderobą, przysyłane przez prababcię, babcię i dziadka na urodziny i Chanukę. Niedługo zajmą oddzielny pokój, uśmiechała się do siebie Daniella. A choć Amalia dostawała mnóstwo takich fidrygałków, o wszystkie jednakowo dbała i na swój dziecięcy sposób je ceniła. Doskonale pamiętała, co, od kogo i z jakiej okazji dostała. Wyciszona, spokojna, czasem znikła wśród swojego hałaśliwego rodzeństwa.

– Należało dać jej na imię Łaska Boska – powtarzał Shlomie, gładząc córkę po długich, prostych, niemal czarnych włosach.

A kiedy – co zdarzało się bardzo rzadko – trzeba było ją skarcić, Daniella miała wyrzuty sumienia, że podnosi na nią głos.

– Jakbym krzyczała na anioła – zwierzała się mężowi.

Pierwszy syn, Dawid nazywany Duviem, stanowił przeciwieństwo siostry. Nie było z nim chwili spokoju. Nigdy nie chodził, zawsze biegał. Uwielbiał wszystko, co miało kółka, w rekordowym tempie przeskoczył z trójkołowego rowerka na dwukołowy. Istny wulkan energii; najchętniej grał w piłkę albo śmigał na deskorolce. Chętnie też pomagał ojcu w szklarni. Uwielbiał płatać figle, ale nie było w nich krzty złości ani chęci wyrządzenia komuś krzywdy. Pilnował młodszego rodzeństwa, które go uwielbiało.

Daniella miała z Duviem tylko jeden problem: jego nauczycieli. Już w przedszkolu narzekali, że nie potrafi się skupić, myśli o niebieskich migdałach i nie słucha, co się do niego mówi. Wystarczyło jednak lepiej go poznać, żeby się zorientować, że bystry chłopak błyskawicznie łapał, w czym rzecz. Bujać w obłokach zaczynał, gdy nauczyciele wyjaśniali materiał mniej pojętym uczniom. Sam w rekordowym tempie nauczył się czytać. Kiedy wprowadzili się do nowego domu, właśnie skończył pięć lat. W ogóle nie przypominał ojca. Urodę blond aniołka odziedziczył po Joelu. Jego pyzata buzia o wielkich, brązowych oczach i długich, niemal dziewczęcych rzęsach kontrastowała z silnym, smukłym chłopięcym ciałkiem.

Czteroletni Yossi urodzony, gdy mieszkali jeszcze w ośrodku Agencji

Żydowskiej, był rekordowo duży, niemal dwa razy cięższy od Duviego. Daniella winiła za to dietę złożoną głównie z chleba i masła, bo wtedy jeszcze jej hebrajski był na tyle słaby, że o nic innego nie umiała poprosić w sklepie. Yossi do tej pory nie zgubił niemowlęcego sadełka i nade wszystko kochał jedzenie. Kiedy rodzeństwo schodziło się na śniadanie, zwykle już siedział w kuchni i kończył swój pierwszy posiłek, po którym ochoczo przyłączał się do dokładki. Kiedy Duvie próbował go uczyć gry w piłkę, grubiutkie, krótkie nóżki odmawiały współpracy. Zniechęcony Yossi dość szybko się poddał i wolał siedzieć na dworze ze swoimi klockami Lego i talerzem pełnym łakoci.

Z natury był powolniejszy od rodzeństwa. Wolniej chodził, wolniej mówił, wolniej wykonywał polecenia. Miał jednak jedną, zasadniczą przewagę: był jej misiaczkiem, kochanym syneczkiem mamusi, który nie odstępował jej na krok. Każdy mimowolnie odnosił się do Yossiego łagodniej, bo chłopiec płakał z byle powodu. Zresztą rozbierał swoją serdecznością i gotowością do dzielenia się. Do jego ulubionych zabawek należały książeczki z obrazkami. Potrafił siedzieć nad nimi godzinami, pieczołowicie przekładając kartkę za kartką, uśmiechając się albo głośno zaśmiewając. Daniella martwiła się, że za dużo czasu spędza we własnym świecie, dlatego czasem zmuszała go, żeby odłożył książki i poszedł na dwór pobawić się z innymi dziećmi. Jej namowy nie zawsze odnosiły skutek, ale jako matka szanowała odmienność syna i nie próbowała na siłę zrobić z niego drugiego Duviego. W przedszkolu najchętniej siedział cicho w kącie, skąd rzadko się odzywał. Opiekunka jednak nie narzekała.

– Gdyby wszystkie dzieci zachowywały się tak jak on – mówiła Danielli, która kiwała głową i czuła, że jej obawy nieco ustępują.

Gabriel nie odstępował Duviego na krok, wpatrzony w niego jak w obrazek. Żebrał, żeby starszy brat pozwolił mu przejechać się na desce albo przewiózł na rowerze. Cały chodził w sińcach i zadrapaniach, ale nie było na niego sposobu, trzeba by zamknąć go w domu na klucz.

Czteromiesięczna Szoszana nie przysparzała żadnych problemów. Budziła się o piątej, potem znów zapadała w sen i spała aż do południa, dając matce czas na wyprawienie reszty towarzystwa z domu. Kiedy Daniella później wspominała ten czas, niemal czuła dotyk małych rączek, nóżek, brzuszków domagających się czułości i opieki, stapiających się w jedno z jej ciałem. Tak bardzo kochała swoje maleństwa.

Równocześnie każdy dzień był walką o przetrwanie. Co dzień piętrzyły się przed nią góry prania wysokie jak Himalaje. Co dzień też trzeba było napełniać pożywym, smacznym jedzeniem coraz większe garnki. Zapasy mleka, pieluch i papieru toaletowego błyskawicznie się kończyły, co zmuszało ich do kolejnych wypraw do sklepu. I tak bez końca. Sam dom – jej wymarzony, upragniony, kochany dom – też wymagał ciągłego wysiłku. W pojedynkę trudno było utrzymać go w czystości, a ich zwyczajnie nie było stać na kogoś do pomocy. Tak wyglądała jej codzienność. Trud i zmagania. Ale również radość.

Radziła sobie. Z trudem. Wtedy znów zaszła w ciążę. W czwartym miesiącu nagle pojawiły się plamienia. Lekarz kazał jej położyć się do łóżka i z niego nie wstawać.

– Wykluczone, mam piątkę dzieci.

– Cóż, jeśli chce pani mieć szóstkę, będzie pani musiała znaleźć jakiś sposób.

Shlomie napisał do babki, która natychmiast przysłała czek na opłacenie gosposi. Daniella była wściekła, że zrobił to za jej plecami.

– Kiedy chodzi o ratowanie życia, wszystko jest dozwolone – odparł z niezmaconym spokojem, nawet nie przeprosił. Zresztą on tylko poszedł w jej ślady, prawda? Dzieci są najważniejsze. Dla nich warto zrezygnować z głupiej dumy, a nawet szacunku do siebie. Wszystkie przytyki i ostre uwagi Danielli (a potrafiła uderzać wyjątkowo boleśnie!) spływały po nim jak woda po kaczce. Owszem, harmonia i zgoda w rodzinie są ważne, ale Tora uczyła jednoznacznie: ratowanie życia to najwyższy obowiązek.

Zamknięta w sypialni z Szoszaną Daniella nie miała wiele do powiedzenia. Znaleźli sprawną kobietę, która gotowała, sprzątała i opiekowała się dziećmi. Poza tym mogli też liczyć na pozostałych osadników. Cała społeczność starała się im pomóc. Zawsze jakiś ochotnik odbierał dzieci ze szkoły, a ktoś na godzinkę, dwie przygarniał malutką. Inni zaś podrzucali pyszną kolację.

Przyzwyczajona do ciągłego ruchu i nawału obowiązków Daniella czuła się jak w więzieniu. Szybko jednak przywykła do bezczynności, po latach harówki na nowo odkryła jej uroki. Rozkoszowała się, mogąc poświęcić dziecku całkowitą uwagę. Z innymi nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. Nawet z Duviem pracowała w sklepie jubilerskim. Jeśli nie masz żadnych dodatkowych obowiązków, spędzanie czasu wyłącznie z dzieckiem to

najwspanialsze, co może cię spotkać.

A jednak, mimo ich starań, pewnego dnia obudziła się w kałuży krwi. Od razu popędzili do szpitala, ale płodu nie dało się uratować.

– Jest pani młoda, zdrowa. Nic nie stoi na przeszkodzie, by miała pani następne dzieci – zapewnił lekarz.

W domu poszła od razu do łóżka. Czuła się niepotrzebna, winna, przekłeta. Dlaczego Bóg mi to zrobił? Za co mnie karze? – zastanawiała się, święcie przekonana, że poronienia można było uniknąć. Czy za słabo się modliła? A może Bóg dostrzegł ten ciemny zakątek w jej sercu, gdzie ze wstydem ukrywała swoją niewdzięczność, smutek i zmęczenie? On wiedział, że nie chciała tego dziecka, nawet jeśli sama przed sobą nie potrafiła się do tego przyznać.

Napisała do babki list, w którym zaklinała ją, żeby przyjechała. „Nie wiem, kiedy będę mogła wziąć dzieci w tak długą podróż lotniczą. Bardzo za Tobą tęsknię. Chcę, żebyś zobaczyła swoje prawnuki”.

Ku jej zaskoczeniu w odpowiedzi zadzwoniła matka.

– Babcia ma raka. Nie zostało jej wiele czasu. Wykluczone, żeby ona albo ktokolwiek z nas wybrał się w tym momencie do Izraela. Jeśli chcesz się z nią spotkać, sama przyjedź. I to szybko.

Na Daniellę wiadomość spadła jak grom z jasnego nieba.

Dwa tygodnie po poronieniu wsiadła z piątką dzieci do samolotu lecącego do Ameryki. Shlomie został w osadzie, nie mógł zostawić szklarni. Podróż była koszmarem. Jedenaście godzin z czwórką dzieci, które ganiały się między fotelami, rozlewały sok pomarańczowy i colę, wymiotowały. Do tego najmłodsza dwójka wyła ze zmęczenia i bólu w uszach.

Gabriel, a także maleńka Szoszana w ogóle nie powinni wsiadać do samolotu pełnego niebezpiecznych zarasków. Czasem jednak, uznała, trzeba podejmować trudne decyzje ze względu na ich dobro. Co byłoby lepsze? Żeby w ogóle nie poznały prababki? Żeby prababka zmarła, nawet ich nie zobaczywszy? Daniella nie zniosłaby takiego bólu.

Cała szóstka spędziła w przestronnym domu Claire trzy tygodnie. Niemal natychmiast Duvie, Yossi i Gabriel rozłożyli się na grypę, nie dając Danielli zmrużyć oka. Dobrze, że chociaż dziewczynkom nic nie dolegało. Kłopot jednak polegał na tym, że nie mogła zabrać chorych dzieci do szpitala. Na szczęście mogła zawieźć do babki przynajmniej najstarszą i najmłodszą.

Babcia siedziała oparta o poduszkę, starannie uczesana przez wierną

Phillipę, która od lat dbała o jej urodę. Smuzka różowej szminki ożywiała nieco jej bladą twarz, a na starannie pomalowanych paznokciach lśnił lakier w identycznym odcieniu. Nic jednak nie mogło zamaskować głębokich bruzd na twarzy. A choć za wszelką cenę starała się to ukryć, nie ulegało wątpliwości, że strasznie cierpi.

– Nie siedź długo. Potrzebuje odpoczynku – ostrzegła Daniellę matka.

– Och, nie bądź taką jentą, Claire! To najlepsze lekarstwo pod słońcem!

Moja wnusia i jej dzieciaczki – skarciła babcia, wyciągając ramiona. – Chodźcie, moje najdroższe.

Daniella ostrożnie podała jej Szoszanę.

– Szkoda, że nie mam aparatu – powiedziała Phillipa.

Matka wyciągnęła komórkę i zrobiła zdjęcie.

– Teraz jeszcze z tobą i Amalią – zakomenderowała.

Daniella posłusznie przykucnęła przy łóżku, otaczając ramieniem córki, przytulając policzek do twarzy babki.

Później nie znosiła tego zdjęcia. Nie mogła patrzeć na swoją pełną przerażenia minę.

Matka i Phillipa zostawiły ją samą z babką i zabrały dziewczynki do stołówki, żeby napić się kawy i kupić coś słodkiego dla Amalii. Daniella przysunęła krzesło do łóżka. Babka wyciągnęła do niej szczupłe, zadbane dłonie z długimi palcami i masywną biżuterią. Dziewczyna zacisnęła na nich rękę.

– Powiedz, Dani, jesteś szczęśliwa?

Skinęła głową.

– Niewyobrażalnie. Dzięki tobie postawiliśmy piękny dom. Shlomie coraz lepiej radzi sobie z prowadzeniem gospodarstwa. Nie masz pojęcia, jakie pomidory i truskawki hoduje... Wyobrażasz sobie?

Roześmiały się. Los potrafi płatać figle.

– Nie powinnaś wybierać się w taką podróż zaraz po poronieniu. – Babka pokręciła głową.

– Musiałam. Następnym razem nie będę zwlekać tak długo.

– Och, skarbie, następnego razu nie będzie – odparła babka cicho, gładząc wnuczkę po rękę.

Daniella przykryła dłonią rękę babki. W oczach zapiekły ją łzy.

– Co ja bez ciebie pocznę, babciu?

– Poradzisz sobie. Wiedz też, że ty ani twoja rodzina już nigdy nie

będziecie się martwić o pieniądze.

– Proszę cię... Nie mów tak.

– Nie bądź niemądra. Nie udawaj. My dwie nie musimy się okłamywać.

Nigdy nie musiałyśmy.

Daniella potaknęła, wycierając oczy.

– Masz śliczne, prześliczne dzieci, Daniello. Prawdziwe błogosławieństwo. Ja mogłam mieć tylko dwójkę. Twoją mamę i wujka Arthura, świeć, Panie, nad jego duszą. W tak niebezpiecznym świecie trzeba mieć jak najwięcej dzieci. Opiekuj się nimi.

– Są moim życiem, babciu – odparła szczerze, z prostotą.

– Wiem, wiem. Ale nie zapominaj przy tym o sobie. Dzieci potrzebują silnej, zdrowej i szczęśliwej matki, która mocno stąpa po ziemi. Zwłaszcza jeśli mają za ojca luftmensza.

Daniella знаła to słowo. Oznaczało marzyciela, bujającego w obłokach, człowieka bez porządnego zawodu. Powinnam czuć się obrażona, pomyślała. Niestety, to celny opis mężczyzny, za którego wyszłam.

Nieustannie zamartwiała się tym, co Shłomie wyczynia w pracy. Często zapominał o zakręceniu kranów, zalewał korzenie, które przez to zaczynały gnić. Albo sypał za dużo nawozu, który mógł spalić rośliny. Do tej pory Marwan w ostatniej chwili ratował sytuację. Obawiała się jednak, czy nie zbliża się dzień, kiedy Shłomie spowoduje nieodwracalną katastrofę i doprowadzi rodzinę do ruiny.

– Nie martw się, babciu. Nim też będę się opiekować.

– Ha, słusznie! Dasz sobie radę. – Jej policzki z białych nagle zmieniły się w krwiste czerwone. Babka jęknęła, zaciskając oczy. – Idź, Dani! Zajmij się dziećmi. Nie chcę, żeby widziały mnie w takim stanie.

Wcisnęła guzik. W pokoju natychmiast zjawiły się pielęgniarki. Daniella ani się obejrzała, jak została wypchnięta za drzwi. Nawet nie zdążyła pożegnać się z babcią.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Policja zgarnęła Issachara Goldschmidta i Szmaję Hoda, ale nie udało się zatrzymać Kuniego Batlana.

– Oni wszyscy wyglądają identycznie z tymi swoimi brodami, w czarnych kapeluszach i surdutach – usprawiedliwił się sierżant.

Bina się skrzywiła.

– Wiem. Zupełnie jak Chińczycy, nie? Oni też wyglądają tak samo. Zdradzić wam coś, sierżancie? Chińczycy uważają, że my, biali, też wyglądamy identycznie.

Łypnął niepewny: żartuje czy mówi poważnie?

– Ta trójka stanowi kluczowy element śledztwa. Musimy przesłuchać każdego z nich. Trzeba rozesłać wici w środowisku haredi. Pomówić z wpływowymi rabinami. Ci mężczyźni są niebezpieczni. Znęcają się nad dziećmi. Założę się, że żaden rabin nie życzyłby sobie kogoś takiego w swojej wspólnocie.

– Problem w tym, pani detektyw – wycedził sierżant – że w tym momencie jesteśmy na noże ze środowiskiem haredi. Zero szans na współpracę.

Nie musiał więcej mówić. Ostatnio już niemal codziennie dochodziło do starć między policją a coraz głośniejszą i coraz bardziej wojowniczo nastawioną częścią tej społeczności. Zaczęło się od kampanii mającej na celu skłonienie kobiet, by siadały w wydzielonej części autobusów. Te, które odmawiały, obrażali i atakowali ultraortodoksi. Zabawa skończyła się, kiedy próbowali zastraszyć grupę uzbrojonych żołnierzy. Wezwano policję, a mężczyzn aresztowano, co z kolei wywołało falę zamieszek połączonych z paleniem opon oraz koszy na śmieci w dzielnicach haredi. W reakcji na to ultraortodoksi zaczęli bić kobiety, które gromadziły się przed Ścianą Płaczu na wspólne modlitwy połączone z czytaniem Tory. Niektóre, podobnie jak ich siostry z amerykańskiego konserwatywnego i postępowego odłamu judaizmu, odważyły się wręcz wkładać męskie symbole modlitewne: szale i jarmułki. Kobiety obrażano, grożono im, zaczepiano i szturchano, a nawet obrzucano krzesłami. Kiedy jednak wezwano policję, ta – zdumiewające! – aresztowała je za „zakłócanie porządku publicznego”. Oburzone kobiety szybko wróciły z sądowym nakazem zatrzymania mężczyzn i policja musiała się użerać z agresywnymi napastnikami.

Następna kampania haredi zmierzała do zamykania na soboty

jerozolimskich parkingów, co miało zniechęcać mieszkańców do jeżdżenia, a w konsekwencji – tak przynajmniej wyobrażali sobie organizatorzy akcji – przywrócić świętość szabatu. Wyglądało to tak, że co sobotę ultraortodoksyjni awanturnicy blokowali drogi i organizowali hałaśliwe demonstracje. Policja nie miała wyjścia: musiała rozpędzać manifestacje, przez co sama nie mogła świętować szabatu. Wściekli, że muszą pracować też w soboty, funkcjonariusze rozpędzali demonstracje nieco gwałtowniej, niż tego wymagała sytuacja. Tak w każdym razie twierdzili ich uczestnicy.

Dodatkowo oliwy do ognia dolewało rosnące niezadowolenie społeczne. Przeciętneho Izraelczyka coraz bardziej wkurzali studenci jesziw, którzy nie dość, że zwolnieni ze służby wojskowej, byli jeszcze utrzymywani przez państwo, fundujące im comiesięczne stypendium, choć ich rodziny nie płaciły podatków. W końcu policjanci – którzy, co do jednego, mieli za sobą służbę wojskową, a poza tym wysyłali do wojska swoich synów i musieli odprowadzać do fiskusa daninę – byli tylko ludźmi.

Wszystko to sprawiało, że kontakty policji ze środowiskiem haredi były co najmniej napięte. Rezultat? Z jednej strony wzbierający wulkan społecznego niezadowolenia, w każdej chwili gotów eksplodować, z drugiej strony zaś policja, której powierzono utopijne zadanie utrzymania porządku i niedopuszczenia do incydentów prowadzących do zaognienia sytuacji i eskalacji agresji. Ujmując sprawę najprościej: tak, policja równie gorąco marzyła, by zapuszczać się w rewiry zdominowane przez haredi, jak ultraortodoksi marzyli o jej odwiedzinach.

– Sierżancie, rozumiem, że sytuacja jest trudna, ale proszę to załatwić, dobrze?

Skinął głową.

– Co z dwójką, którą zatrzymaliśmy?

– Rozmawiamy z nimi. Jeszcze nie skończyliśmy – odparła zimno.

– Nabrali wody w usta, co? – Wzruszył ramionami. – Teraz pani wie, o jaką ścianę co dzień się rozbijam.

Niestety, wiedziała. Aż za dobrze. Przypomniała sobie pierwszą sesję ze Szmają Hodem.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak typowy uczeń jesziwy, ale na sterydach: pejsy aż do ramion, białe skarpetki wciągnięte na nogawki, długi, satynowy czarny surdut, który wyglądał na wyciągnięty z szafy średniowiecznego, otyłego polskiego szlachciury. Na dzień dobry zażądał, żeby Bina opuściła

pomieszczenie, bo to „nieskromne”, żeby przebywali sam na sam.

– Spokojnie, nie jesteśmy sami. Widzisz to okno? To lustro weneckie. Po drugiej stronie czuwa dwóch detektywów, którzy śledzą każdy twój ruch. Na wypadek, gdyby nagle ogarnęła cię niepohamowana żądza.

Usiadł, czerwony jak burak. Uparcie nie podnosił na nią wzroku.

– Czego ode mnie chcecie?

– Opowiedz o Danielli Goodman i jej dzieciach.

– Poproszono, żebym jej pomógł. To miał być *chesed*, uczynek miłosierny.

– Wiem, co znaczy *chesed*. Więcej, znam również znaczenie słowa *tikkun*

– mówiła spokojnym głosem.

Nagle spojrzał jej prosto w oczy.

– Co mówiła? Czego o mnie nakłamała?

– Kto?

– Matka. Cokolwiek wam nagadała, ona ponosi odpowiedzialność. To ona jest matką.

– Może więc sam powiesz, co się wydarzyło?

– Jestem pobożnym, bogobożnym żydem wykonującym micwę. Nie miałem z tego żadnego zysku dla siebie. A ta oskarża mnie teraz o samo zło! Co za brak *hakarat towah*!

– O, więc twoim zdaniem powinna być wdzięczna za to, co zrobiliście jej dzieciom?

Krew odpłynęła mu z twarzy. Sięgnął do kieszeni.

– Tu nie wolno palić.

Niechętnie schował papierosa. Mocno zacisnął usta. Tłuste ramiona zaplótł na szerokim torsie, kciukiem i palcem wskazującym niespokojnie skubiąc wąsik nad drgającymi wargami.

– Kto wpadł na pomysł, byście się do niej wprowadzili, żeby jej „pomagać”? A tak przy okazji, skoro jesteś aż tak *frum*, że nie chcesz znaleźć się sam na sam z kobietą, to dlaczego bez oporów zamieszkałeś z Daniellą Goodman po odejściu jej męża?

– To było zupełnie inaczej! – zaperzył się. – Jestem bogobożnym żydem!

– Taaa, już słyszałam. Ale wracajmy do rzeczy. Zapytam jeszcze raz: jak do tego doszło, że u niej zamieszkałeś?

– Poprosiła nas! I nigdy nie zostawałem z nią sam.

– Ciekawe. Ona twierdzi, że wasza trójka została przysłana.

– Powiedziała, przez kogo? Mówiła, kto nas wysłał?

Niepokój w jego głosie nie umknął uwagi detektywów.

– To już moja sprawa – odparła Bina. – Czekamy, aż przedstawiś swoją wersję wydarzeń. Inaczej – gwałtownie podniosła głos – spędzisz długie, długie lata w pace, łachudro! Walenie dzieci po głowie młotkiem, głodzenie ich, przyciskanie do gorącego grzejnika, aż skóra schodziła całymi płatami... że nie wspomnę – głęboko zaczerpnęła tchu w obawie, że nie zdoła dokończyć – o losie małego Menchiego. Jeśli umrze, sprawa zostanie zakwalifikowana jako morderstwo. A wiesz, ile mordercy spędzają za kratkami? Zwłaszcza dzieciobójcy?

Zerwał się na równe nogi.

– Nie miałem z tym nic wspólnego! Menchie nie był przypisany do mnie! Opiekował się nim Kuni Batlan.

– O, to mieliście przydzielone dzieci? Kto o tym decydował?

Usiadł.

– Chcę porozmawiać z adwokatem.

Odchyliła się w krześle.

– A masz adwokata?

– Nie. Ale wiem, że musicie mi zapewnić obrońcę z urzędu.

– Owszem. Tyle że i tak nie zdoła cię wybronić. Zwłaszcza wzięwszy pod uwagę obciążający cię materiał dowodowy.

Nerwowo tupał nogą.

– Nie prościej współpracować? Jeśli pierwszy opowiesz, co się stało, jeśli nam pomożesz, jakoś się dogadamy. Wierz mi, kiedy pozostała dwójka zorientuje się, że o wszystkim wiemy, będzie śpiewać jak z nut. Jeden z nich dostanie łagodniejszy wyrok, bo ty przestaniesz być już potrzebny.

Przypominam, resztę życia możesz spędzić w więzieniu.

Patrzyła, jak przyswaja tę informację. Wyprostował się z wyniosłą miną.

– To... Najpierw chcę rozmawiać z adwokatem.

– Kto stał za tym wszystkim?! – ryknęła, waląc pięścią w blat. – Kto kazał torturować dzieci?!

Podniósł wzrok. W jego oczach nagle pojawił się tajemniczy błysk.

– *Ve Tahar libanu, be Torah techa* – zaśpiewał nieoczekiwanie, z zamkniętymi oczami uderzając pięściami w stół.

„I oczyść nasze serca swoją Torą, byśmy poświęcili życie Twoim przykazaniom”.

– Zabierzcie go stąd! – zawołała do lustra.

Skuli Szmaj ręce i nogi, po czym wyprowadzili go na korytarz.
W drzwiach jeszcze się obejrzał i uśmiechnął.

Położyła głowę na blacie i zakryła ją dłońmi. Czuła nadchodzącą migrenę.

– Chyba pójdę wcześniej do domu – powiedziała Morrisowi. – Słabo się czuję.

– Słuchaj, mała. Nie bierz sobie tego aż tak do serca – poradził łagodnie. Nie chciał jej zniechęcić. Była mu potrzebna. – Inaczej długo nie wytrzymasz w tym zawodzie.

– Sama ich obecność sprawia, że czuję się brudna i skalana.

Skinął głową ze zrozumieniem i poklepał koleżankę po ramieniu.

– Kiedyś myślałam, że my, ludzie, jesteśmy z grubsza tacy sami. Wiesz, o co mi chodzi? Że niektórzy czasem dopuszczają do głosu najgorsze instynkty. Pozwalają, by kierowała nimi głupota albo pazerność, albo jedno i drugie. Ale to...

– Pamiętaj, naprawianie wszechświata to nie twoja działka. Ty masz tylko tak długo dodawać dwa do dwóch, aż wyjdzie ci cztery.

Spojrzała zaskoczona.

– Mówisz, że to cię nie rusza?

Wypuścił powietrze i przeciągnął ręką po rzadkich, siwiejących włosach.

– Widzisz ten skoszony trawnik? Każda sprawa to kilka włosów. W tej jednej kwestii zgadzam się z Kojakiem.

– Z kim?

– To już nie twoje czasy, mała? Serial kryminalny, którego bohater był łysy jak kolano.

– Więc co teraz?

– Znajdziemy Batlana. Dociśniemy dwa razy mocniej niż Goldschmidta. Najpierw wsadzimy go na tydzień do karczeru, żeby skruszał, był mięciutki i skory do zwierzeń. W tym czasie zaś powinnaś jeszcze z kimś porozmawiać.

– Dobra, przyślij go.

Pokręcił głową.

– Nie chodzi o podejrzanego. Wręcz przeciwnie. To kobieta, która ujawniła całą tę koszmarną historię. Haredi, mieszka w Aszdodzie. Biała Czarownica zostawiła u niej poparzonego Elego. Kobieta pierwsza zaalarmowała opiekę społeczną i zawiadomiła policję. Myślę, że może pomóc.

– Mam do niej zadzwonić?

Potrząsnął głową.

– Pojedź tam. Usiądź naprzeciwko niej za stołem kuchennym i wyciągnij wszystko, co wie. Nie tylko o tej sprawie. Co wie o tym świecie. Kiedy próbujesz złowić rybę, która za cholerę nie chce połknąć przynęty, czasem musisz zanurkować głęboko z siecią w ręce.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dziesięć dni po powrocie Danielli do domu zadzwoniła jej matka.

– Babcia zmarła spokojnie ubiegłej nocy.

A choć Daniella spodziewała się tej wiadomości, zalała ją fala bólu, ogarniając całe ciało, serce i umysł. Nie wypuszczając telefonu z ręki, jak wór opadła na klęczki.

– Dlaczego wcześniej nie zadzwoniłaś? – Kołysała się na pośladkach.

– A co byś zrobiła?

– Wskoczyła do samolotu, przyjechała na pogrzeb!

– Ima! – powiedział Yossi, obejmując ją za szyję pulchnymi rączkami, podczas gdy Gabriel czołgał się do niej, a Szoszana zaczęła zawodzić w łóżeczku.

– Zajmij się dziećmi – sprowadziła ją na ziemię matka.

– Nie waż się rozłączać! – krzyknęła do słuchawki. – Zdążę jeszcze?

– Pogrzeb jest za dwie godziny – poinformowała matka.

– Co?! Nie możesz mi tego robić!

– A co to ma wspólnego z tobą? Taka jest żydowska tradycja. Zmarłego trzeba jak najszybciej pochować. Przecież wiesz.

– Ale zawsze można zrobić wyjątek! Pytałaś rabina?

– Nie było potrzeby. Najmniejszej – nastroszyła się urażona Claire. – Tak postanowiła rodzina, tego życzyłyby sobie twoja babcia.

– Czego? Żeby mnie tam nie było?! – wrzeszczała. Przestraszone dzieci zawodziły coraz głośniej. – Mamo, oddzwonię później.

Odłożyła telefon, chwyciła w ramiona Yossiego i Gabriela, wyjęła z łóżeczka Szoszanę. Siadła na podłodze i przytuliła je do siebie.

– Ciii... Ciii... – nuciła, aby je pocieszyć, choć po policzkach płynęły jej strugi łez. Czuła się osierocona i przytłoczona.

– Nie płacz, mamusiu – prosił Yossi, pulchnymi paluszkami wycierając jej łzy.

Wtuliła twarz w jego słodko pachnący, miękki karczek.

– Co mamusia by bez ciebie poczęła, mój misiaczku przytulaczku? – powiedziała, całując rozkoszne fałdki.

Kiedy Shlomie wrócił do domu, okazał współczucie.

– Miała długie, szczęśliwe życie, a teraz jest w raju.

Daniella popatrzyła na niego, myśląc: Co za głupek!

– Czy to ważne? – powiedziała tylko. – Umarła, a ja nie mogę być na pogrzebie. – Czuła się pusta w środku, niepocieszona. – Nawet nie będę mogła uczestniczyć w sziwie. Że też muszę być teraz na drugim końcu świata!

Nienawidzę tego!

– Chcesz pojechać? Zajmę się dziećmi.

– Naprawdę? Zrobiłbyś to?

– Sąsiedzi na pewno mi pomogą.

– Wezmę ze sobą Szoszanę. Jesteś pewien, że sobie poradzisz?

– Jasne że tak. To tylko tydzień.

Gdyby nie to, że właśnie wypadały jej nieczyste dni i jeszcze nie odbyła kąpieli w mykwie, po której możliwy był fizyczny kontakt między małżonkami, rzuciłaby mu się na szyję. A choć odczuwała głęboką wdzięczność, nie zagłuszało to obaw, jak Shlomie sobie poradzi o własnych siłach. Gdyby potrzeba spotkania z rodziną i odwiedzenia grobu babki nie była tak silna, pewnie zrezygnowałaby z wyjazdu. W tej sytuacji jednak czuła, że nie ma wyjścia.

Zdusiła obawy. W końcu to tylko parę dni. A on nie będzie zupełnie sam. Daniella wiedziała, że może polegać na swoich cudownych przyjaciółkach i sąsiadkach. Pomogą. O ile za niego nie dałaby złamanego grosza, o tyle ich była na sto procent pewna: jej dzieciom nic się nie stanie. Mimo to z ciężkim sercem zegnała się z rodziną, gdy po raz drugi w ciągu miesiąca wsiadała do samolotu do Nowego Jorku, tym razem zabierając ze sobą jedynie malutką Szoszanę.

Jakaż to mądra tradycja, ta sziwa, myślała, siedząc na kanapie babci. Siedem dni poświęconych wyłącznie na żałobę i przeżywanie straty, w czym towarzyszą przyjaciele, krewni i sąsiedzi, przychodzący, by złożyć wyrazy współczucia. Teraz właśnie tutaj było jej miejsce: obok matki i brata, z córeczką na kolanach, gdy podawali sobie zdjęcia babci.

– Cóż za wspaniała, elegancka dama – odezwał się ktoś przyciszonym głosem.

Daniella otworzyła album i przyglądała się fotografii babci z pierwszego dorosłego balu: burza jasnych włosów upiętych wysoko jak korona, na nich brylantowy diadem; zachwycające szafirowe oczy nieco buntowniczo i odrobinę pogardliwie wpatrujące się w obiektyw; dłonie w białych rękawiczkach, a w nich śliczny, zgrabny bukiet. Wszyscy zgodnie przyznawali, że to jej najładniejsze zdjęcie.

– Nigdy nie zachowywała się jak inne dziewczęta. Zawsze miała własne zdanie – mruknęła matka Danielli, kręcąc głową, jakby należało się z tego tłumaczyć, zauważyła z rozdrażnieniem Daniella. Cała Claire.

Później, kiedy dom nieco opustoszał, Daniella nakarmiła Szoszanę, położyła ją spać, a sama zwinęła się w kłębek na kanapie i przeglądała pozostałe fotografie.

A zatem tak wygląda ludzkie życie w pigułce, pomyślała, otwierając album na pierwszej stronie. Babcia siedzi w staroświeckim wózku pchanym przez nianię w mundurku; zaraz potem kilkuletnia dziewczynka na plaży: na głowie kapelusz, przymrużone oczy patrzą w słońce; portret z trzeciej klasy: błyszcząca buzia okolona długimi, jasnymi warkoczami uśmiecha się do obiektywu. I nagle już nastolatka na koniu w czasie wakacji w Kalifornii. To gimnazjum: długie, kościste nogi i proste, złociste włosy wysuwające się spod eleganckiej dzokejki. I wreszcie bal debutantek, zdjęcie zaręczynowe, suknia ślubna, pierwsze dzieci... I – to się wydaje tak szybko – pierwsza wnuczka.

Daniella przekładała kartki, a lata przelewały się niczym woda z dzbana, aż nie zostało już ani kropli. Ostatnią stroną w całości zajmowało zdjęcie z nią, Amalią i Szoszaną zrobione w szpitalu zaledwie dwa tygodnie przed śmiercią babci.

Zatrzasnęła album. Serce jej pękało, łzy spływały po policzkach. Wszystkie kartki zapełnione. Żadnej już nie wypełnią. Nie będzie wydarzeń, które można by uwiecznić. Czas minął. Babcia odeszła z tej ziemi. Nikt nie zajmie jej miejsca.

To również mnie czeka, pomyślała. Jeśli los się do mnie uśmiechnie, po mojej śmierci najbliżsi i ukochani powiedzą: nikt jej nie zastąpi. Pozostawało liczyć, że chociaż dzieci będą tak myśleć. Kiedy bowiem Daniella patrzyła w przyszłość, nie widziała, w jaki inny sposób mogłaby się okazać użyteczna na tym świecie. Trochę ją to smuciło. Miała wielkie ambicje, marzyła, by ratować ludzkie istnienia i zmieniać świat na lepsze. Tymczasem wyglądało na to, że ograniczy się jedynie do troski o garstkę swoich najbliższych. Lecz jeśli taki los wybrało dla niej przeznaczenie, da z siebie wszystko. Zadbam, by wychować swoje dzieci na najlepszych dorosłych, jakimi mogą być na tym świecie, przysięgła sobie.

Ostatniego dnia sziwy żałobnicy i ich przyjaciele udali się na cmentarz. Na grobie jeszcze nie położono tablicy. Daniella pomyślała, że ten pusty, nagi prostokąt świeżo przekopanej ziemi wyglądał niepokojąco, wręcz brutalnie.

Czytała psalmy, wybrane dla babci zgodnie z hebrajskimi literami jej imienia. Próbowała sobie wyobrazić duszę babci – wolną, fruującą razem z aniołami. Przymknęła oczy i ze wszystkich sił próbowała poczuć obecność babci, jej kochające ramię obejmujące jej barki; zobaczyć psotny, porozumiewawczy uśmiezek, który tak często wymieniały za plecami Claire.

Wtem, ku swemu zaskoczeniu, poczuła, jak jej serce wypełnia błogi strumień radości.

Wierzyła w duchy. Były nimi anioły. Gdybyśmy tylko potrafili jakoś przebić granicę między marzeniem o życiu a rzeczywistością, którą była niewyczerpana kreatywność Boga; gdybyśmy tylko potrafili jakoś zbliżyć się do Niego, do piękna i świętości prawdziwszej rzeczywistości; tej, która pokona i zniszczy koszarne złudzenie, którym była śmierć. Gdybyśmy tylko potrafili zobaczyć prawdę o życiu i śmierci, które stanowią część niekończącego się cyklu rozkładu i przywrócenia do życia. Gdybyśmy tylko potrafili zrozumieć, jak świętymi istotami jesteśmy: obdarzonymi łaską dotykania Boga, który nas stworzył i mieszka wśród nas w każdej sekundzie umykającego czasu.

Po powrocie do domu rodzina zjadła przygotowane przekąski z wędzonego łososia, pieczonej wołowiny i sushi. Nakładali je na kwadratowe talerzyki i krążyli po pokoju, rozmawiając przyciszonym głosem. Daniella siedła w rogu, tuląc do siebie śpiącą Szoszanę. Przysiadł się do niej Joel, objął ją.

– Jak się czujesz, Dani? – W jego oczach malowało się współczucie.

Bez słowa położyła mu głowę na ramieniu.

– Co ja bez niej zrobię? Czuję się kompletnie pusta.

– Ogromnie cię kochała.

– Ciebie też kochała.

– Oczywiście, ale z tobą zawsze łączyła ją szczególna więź. Teraz, gdy dochowałem się własnych dzieci, zaczynam to rozumieć. Wszystkie kochasz tak samo, ale nie do końca. Każde darzysz nieco innym uczuciem, bo to nie są jakieś tam, teoretyczne dzieci. To ludzie. Nic nie poradzisz, pewne ich cechy będą cię pociągać, a inne odrzucać. Ty i babcia po prostu nadawałyście na tych samych falach. Dałaś jej mnóstwo radości.

Spojrzała na niego.

– Naprawdę tak sądzisz? Zawsze to ja jej potrzebowałam.

– Nie sądzę, wiem. A pomagała ci z największą radością. Zdaję sobie sprawę, że ty odbierałaś to inaczej, ale jako obiektywny, postronny obserwator

powiadam ci: to, że dawałaś sobie pomóc, że mogła się angażować w twoje sprawy, przyniosło jej bodaj najszcześniejsze chwile życia. Wierz mi.

Mocniej wtuliła się w jego ciepłe, silne ramię.

– Ogromnie za tobą tęsknię, Joelu. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Ej! Przecież wystarczy zadzwonić.

– A ja nigdy nie dzwonię, wiem. Przysięgam, nie mam tej wolnej minuty, potrzebnej, żeby spokojnie sięść i zadzwonić. Kocham dzieci, ale piątka, do tego maluchy... Istne szaleństwo.

– Współczuję z powodu poronienia. To musiał być koszmar.

Skinęła głową.

– Widać Bóg uznał, że sobie nie poradzę. Pewnie miał rację. Najbardziej obawiam się, że nie wychowam ich porządnie, że je zaniedbam. Czasem ogarnia mnie strach, że tylko ściemniam, kompletnie się nie nadaję do robienia tego wszystkiego, w czym, jak sama sobie obiecywałam, miałam odnieść sukces.

– To ludzkie. Każdy czasem tak czuje, Dani. Wszyscy ściemniamy, modląc się, żeby nikt nas nie przyłapał – odparł, szczerząc zęby.

Roześmiała się i żartobliwie klepnęła go w ramię.

– Ty nigdy, ani razu nie dopuściłeś myśli, że coś może ci się nie udać.

Wysoko zawiesiłeś mi poprzeczkę, braciszku.

– Nie rywalizujemy ze sobą, siostrzyczko. Zresztą z mojej perspektywy twoje życie wygląda cholernie cudownie.

– Serio?

Była autentycznie zaskoczona.

– Serio. Realizujesz nasze największe marzenie. Jesteś osadniczką w naszej ojczyźnie. Po dwóch tysiącach lat wygnania. Wychowujesz żydowskie dzieci, które nie będą wiedziały, co znaczy żyć poza własnym krajem. Uprawiasz ekologiczne rośliny. Pomyśl sama, kto może z tobą rywalizować?

– Cóż, jeśli naprawdę tak sądzisz, w Jahalomie jest mnóstwo pustych przyczep kempingowych...

– Jasne, Esther wprost o tym marzy!

– Mógłbyś się zdziwić. Nie jest rozpieszczoną amerykańską żydóweczką. Kocham Esther.

– I ja też. – Skinął głową.

– Pomyśl, nasze dzieci wychowywałyby się razem!

Tęsknie spojrział przed siebie. Zaczynał go męczyć wyścig szczurów, praca po sześćdziesiąt godzin w tygodniu, tylko po to, by zostać partnerem w kancelarii, powroty do domu, gdy dzieci już dawno śpią. Pokręcił głową.

– Chyba jednak nie nadaję się na rolnika. Chyba że marchewki postanowiłyby pozwać kartofle.

Roześmiali się. Ścisnął ją za ramię, ona pogładziła go po policzku.

– Mogę potrzymać małą?

Delikatnie podała mu córeczkę.

– Pewnie tęsknisz za swoimi maluchami.

– No cóż, uznałem, że to kiepski pomysł zabierać je na pogrzeb i sziwę. – Poprawił Szoszanę, żeby jej główka wygodnie leżała w zagłębieniu jego ramienia. – Prześliczna dziewczuszka. Blond włosy, niebieskie oczy. Idealnie nadaje się do reklamy Gapa.

Daniella z miłością spojrzała na córeczkę.

– Miałam naprawdę wielkie szczęście, że właściwie bezboleśnie przeszłam pięć ciąż i pięć porodów. Muszę wygrzebać się z tego doła. To nie w porządku wobec dzieci.

– Ani męża.

Nie odpowiedziała.

– Jak sprawy między wami?

– Świetnie, fantastycznie – mruknęła.

Chciał dopytać, ale wtedy nieoczekiwanie przysiadła się do nich matka.

– Zaraz odczytamy testament. Dołączycie do nas na górze?

– Musimy to robić już teraz? – spytała Daniella zdumiona.

– Cóż, skoro jutro wyjeżdżasz...

Daniella wyciągnęła ręce po córeczkę.

– Nie trzeba – powiedział Joel. – Ja ją zaniosę.

Niechętnie szła elegancką, krętą klatką schodową prowadzącą do gabinetu. Siadła w ulubionym fotelu babki: masywnym, obitym ciemnobrązową skórą i złotymi, mosiężnymi ćwiekami. W dzieciństwie często się tu zakradała, żeby przeglądać książki, które na chybił trafił wyciągała z biblioteczki. Czasem wpadał jej w ręce album z fotografiami z dalekich stron, a czasem książka bez obrazków, z samymi literami. Siedziała wtedy bez ruchu. Zależało jej wyłącznie na tym, żeby towarzyszyć babci pracującej przy biurku.

Odchyliła się i gestem poprosiła Joela, żeby podał jej dziecko. Szoszana wróciła w jej ramiona, śpiący mały aniołek.

Mecenas Weinstein, radca prawny rodziny, wyjął dokumenty i odchrząknął.

– Chciałem... Chciałem tylko powiedzieć, że wasza matka i babka była wyjątkową, wspaniałą osobą. To dla mnie zaszczyt, że mogłem jej służyć. Testament został zmieniony dwa tygodnie temu.

– Co?! – poderwała się Claire.

– Tak. Wezwała mnie do szpitala i przyjechałem.

– Przyjmowała silne leki!

– Które w żaden sposób nie ograniczały przytomności umysłu. Potwierdzi to jej lekarz, a także pielęgniarki, które złożyły swoje podpisy pod testamentem jako świadkowie.

– Usiądź, mamó – mitygowała Daniella, kładąc jej rękę na ramieniu.

Zaskoczył ją ten wybuch. Czego obawiała się matka?

– Jak już wspomniałem, zostały zachowane wszelkie formalności – podjął skrzepowany mecenas, odchrząkując. – „Ja, niżej podpisana, Elizabeth Auerbach, zamieszkała w Pittsburghu w stanie Pensylwania, niniejszym sporządzam, podaję do wiadomości publicznej i ogłaszam swoją ostatnią wolę, czyli testament...”.

– Och, darujże sobie te pierdoły i przejdź do rzeczy – warknęła rozdrażniona Claire.

Spojrzał na nią ze zgrozą.

Westchnęła.

– No, czytaj już.

Skinął głową.

– „Odwołuję wszelkie wcześniejsze testamety wraz ze sporządzonymi przeze mnie kodycyłami. Polecam, by wykonawca testamentu opłacił koszty pogrzebu, a także wydatki związane z moją chorobą oraz zobowiązania wynikające z zarządzania moim majątkiem. Niniejszym zadanie to powierzam mojemu wieloletniemu radcy oraz zaufanemu przyjacielowi Morrisowi Weinsteinowi, którego wyznaczam na wykonawcę testamentu. Mój wykonawca będzie posiadał pełną władzę i umocowania, by sprzedać wszelką moją własność na aukcjach publicznych i prywatnych, z wyłączeniem niżej wymienionych zapisów...”.

Tu następowała lista fantastycznych klejnotów zapisanych Claire. To trochę ją uspokoiło.

– „Następnie połowę udziałów w Auerbach Jewelers przekazuję mojej córce, Claire Auerbach Whartman, która przez lata ciężkiej pracy dowiodła,

że jest znakomitą kierowniczką. Drugą połowę zapisuję mojemu ukochanemu wnukowi, Joelowi Whartmanowi”.

Claire zaczęła się wiercić w fotelu.

– „Całą pozostałą gotówkę wraz z moim domem, umeblowaniem, nieruchomościami oraz wszelkim majątkiem, bez względu na jego rodzaj, naturę oraz umiejscowienie, zarówno realne, jak i osobiste, przekazuję, zapisuję i pozostawiam pod zarząd powierniczy na rzecz mojej ukochanej wnuczki Danielli Goodman, dzięki której zawsze czułam się dumna, mogąc nazywać się babką i żydówką”.

Claire zerwała się na nogi, czerwona z wściekłości.

– To się w głowie nie mieści! – zaatakowała córkę. – Czego jej nagadałaś wtedy w szpitalu? Czego od niej zażądałaś? Zresztą nieważne, i tak się tym zajmujemy.

– Proszę nie odpowiadać – zwrócił się Weinstein do Danielli. – Pani Auerbach, jako wykonawca tego testamentu muszę uprzedzić, że zawiera on klauzulę niepodważalności.

– Co takiego?

– Zaraz pani przeczytam.

– Daruj sobie! Powiedz po ludzku.

– Oznacza ona, że każdy, kto podważy testament, nie dostanie nic.

I zapewniam, wykonamy ten zapis.

Claire opadła na miejsce i odchyliła głowę, przymykając oczy.

Spojrzenia wszystkich były teraz zwrócone na Daniellę, która siedziała jak ogłuszona, z trudem chwytając powietrze. Serce dudniło jej tak mocno, że bała się, czy nie obudzi Szoszany.

Babcia naprawdę przyszła do niej na cmentarzu. Teraz czuła, jak wyciąga do niej rękę, wyprowadza ją na zewnątrz i zatrzaskuje drzwi, za którymi została oszołomiona rodzina. Elizabeth puściła oko do wnuczki, a ona przez łzy odpowiedziała tym samym.

Drzwi otworzyły się z impetem. Z gabinetu wypadła jej matka.

– Nie przyjmiesz tego, prawda? Wiesz, że to niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe względem mnie, twojego brata i jego dzieci.

– Zostawiła wam obojgu firmę.

– Nie masz pojęcia, jaki zastój panuje w branży jubilerskiej! – krzyczała matka.

– Przecież masz własną, piękną willę! I założę się, że coś sobie odłożyłaś!

– Nie twój interes, co mam, a czego nie mam! To była moja matka! Moja! Ja powinnam odziedziczyć cały majątek! Tak to działa! Jeśli ograbisz mnie z mojego dziedzictwa...

– Ograbię cię?

– Tak, ograbisz! Nie wiem, czego jej nagadałaś ani jak zrobiłaś jej wodę z mózgu... Założę się, że znowu uderzyłaś w syjonistyczną nutę. Mało ci, że już wydała majątek na ciebie i twojego żalosego męża gamonia, który bawi się w farmera i tylko wpędza cię w ciążę za ciążą!

Daniellę ogarnął dziwny spokój.

– Odszczekaj – powiedziała lodowato.

– Nie zamierzam! Mówię szczerą prawdę!

– W takim razie, mam, nigdy więcej nie odezwę się do ciebie słowem.

Odwróciła się i wróciła do swojego pokoju, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Poniewczasie przypomniała sobie o córce, która obudziła się wystraszona i zaczęła płakać. Daniella rozpięła sukienkę i karmiła dziecko, aż się uspokoiło. Potem włożyła małą do łóżeczka i zaczęła się pakować.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, mam! – zawołała.

– To ja, Joel.

Otworzyła drzwi i rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją mocno.

– Bardzo mi przykro, Daniello.

– Nic nie mówiłam babci, Joel. Uwierz mi, nie namawiałam jej.

– Wierzę. Jestem przekonany, że babcia postąpiła zgodnie ze swoją wolą.

Ona i mama nigdy za sobą nie przepadały.

– To znaczy, że się nie gniewasz?

– Dostałem połowę firmy. Wiesz, ile jest warta?

– Mama twierdzi, że interes się nie kręci.

– To zamiast miliarderm będę milionerem. Wierz mi, dla każdego wystarczy. Mama po prostu jest pazerna. I myślę, że ta decyzja mocno ją zabolowała, więc na tobie wyładowuje złość.

– Nic mnie to nie obchodzi, Joelu. Przekroczyła wszelkie granice. Nie chcę jej znać.

– Pakujesz się?

– Nie zostanę tu minuty dłużej.

– Odwiozę cię do hotelu przy lotnisku.

Wyszli razem tylną klatką schodową, żeby uniknąć krępujących spotkań.

Kiedy Joel zatrzymał się przed hotelem, wysiadła i wyciągnęła Szoszanę z fotelika. Joel wyjął z bagażnika jej walizki. Wezwał portiera, który błyskawicznie wrzucił je na wózek i zawiózł do lobby.

- Dzięki, Joel. Kiedy wracasz do domu?
- Dzisiaj, wieczornym rejssem.
- Uściskaj ode mnie Esther i dzieciaki.
- Oczywiście.
- Będzie mi ciebie bardzo brakować, braciszku. Ty jeden mi zostałeś.
- Trzymaj się, Dani. I pamiętaj, zawsze możesz na mnie polegać.

A choć ona szybko zapomniała o tej obietnicy, on dotrzymał słowa. Wtedy, gdy od tego zależało wszystko.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Shlomie nie przyjechał, uświadomiła sobie Daniella, przeczesując wzrokiem tłum uśmiechniętych autochtonów, którzy z balonami i kwiatami wypełniali halę przylotów lotniska Bena Guriona w oczekiwaniu na swoich gości. Jak w środku nocy dotrze do Jahalom? Niespokojnie zerknęła na Szoszanę. Na szczęście córeczka wreszcie zasnęła. Po jedenastogodzinnej podróży w suchej, klimatyzowanej kabinie i lądowaniu, któremu towarzyszył koszmary ból małych uszek – a zatem i rozdzierający płacz – w końcu zmęczenie wzięło górę.

Rozdrażniona Daniella wyjęła komórkę i zadzwoniła do męża. Słyszała tylko sygnał, a potem włączyła się poczta głosowa. Wypuściła powietrze, zastanawiając się, co teraz. Budzić przyjaciółki, żeby dowiedzieć się, że dom spłonął albo ktoś wyładował w szpitalu? Po co? Choć wyobrażenia podsuwała jej dziesiątki koszmarnych scenariuszy, odpowiedź była jedna: po prostu jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

– Taksówka!

Wiedziała, że zapłaci majątek. Ale o to jedno przynajmniej już nigdy nie musiała się martwić. Z niecierpliwością wyglądała chwili, gdy podzieli się z mężem nowiną, która zmieni ich życie. Na razie jednak za bardzo się niepokoiła, by myśleć o radosnym świętowaniu, które wyobrażała sobie przez całą podróż powrotną.

Już prawie świtało, kiedy taksówka zatrzymała się przed zatrzaśniętą bramą Jahalom. Zadzwoniła do ochrony.

– Cześć, tu Daniella Goodman. Jestem przed bramą. Możesz powiedzieć, czy mojej rodzinie nic się nie stało?

Krótkie wahanie, chrząknięcie.

– Nic im nie jest. Na miejscu mąż wszystko ci wyjaśni. Witaj z powrotem.

Co to miało znaczyć? „Nic im się nie stało”, a zaraz potem „mąż wszystko ci wyjaśni”. O co mogło chodzić?

Zapłaciła taksówkarzowi, po czym mordowała się z bagażem i wózkiem, pchając je po zwirowanej drodze i modląc się, żeby chrzest i wyboje nie obudziły Szoszany.

Z duszą na ramieniu otworzyła drzwi ciemnego mieszkania. Zapaliła światło w holu. Rozejrzała się. Bałagan był niewyobrażalny. Podłogę zaściełały buty, zabawki, zużyte pieluchy i brudne ubrania. Zamknęła drzwi,

wyjęła dziecko z wózka i na palcach poszła do sypialni. Delikatnie położyła małą do łóżeczka, nie przebierając jej ani nie przewijając, tylko otuliła kocykiem drobne ciało.

Bezszelestnie zajrzała do pozostałych dzieci. Wszystkie pogrążone w głębokim śnie, rozkopane. Gabriel i Yossi mieli na sobie tylko slipki. Gołych nóg nic nie chroniło przed chłodem. Shlomie nawet nie przebrał ich w pizamę! Wściekła przykryła synów ciepłymi kocami. Na szczęście dzieci były całe i zdrowe. Ruszyła do sypialni, po drodze mijając kuchnię. Na blacie walały się brudne garnki, naczynia i pudełka po jedzeniu na wynos. Wędrował do nich długi sznur mrówek, korzystających z tej łatwej uczy. Danielli zrobiło się niedobrze z obrzydzenia.

Jak to możliwe? Jej przyjaciółki, jej najdroższe przyjaciółki obiecywały zaglądać, pomagać... Tymczasem wszystko wskazywało na to, że Shlomie był zdany wyłącznie na siebie.

Gdy weszła do swojej sypialni, właściwie spodziewała się, że będzie pusta. Tymczasem, proszę!, jej mąż leżał rozwalony na łóżku w dziennym ubraniu. Czyżby zamierzał pojechać na lotnisko, ale po prostu zaspał? A może krył się za tym inny, niepokojący powód mający bezpośredni związek z tajemniczą zapowiedzią „mąż wszystko ci wyjaśni”?

Czym może być owo „wszystko”? – zachodziła w głowę. Jej niepokój odrobinę zmalał, bo dom – choć niewiarygodnie zapuszczony – wciąż stał, a rodzina wyglądała na całą i zdrową. Daniella siadła na kanapie. Zrzuciła buty i wyciągnęła się na posłaniu. Umysł pracował na zwolnionych obrotach. Zrzuciła na siebie koc i przymknęła oczy. Sen przyszedł natychmiast.

Kilka godzin później ze snu wyrwały ją małe rączki, szarpiące ją za ramię i poklepujące po twarzy. Usłyszała pisk dzieci.

– Ima! Ima! – wrzeszczały uszczęśliwione, wdrapywały się matce na kolana i przytulały do niej mocno.

Yossi, jej kochany misiaczek, i Gabriel, słodki maluszek. Przytuliła ich, z całej siły przyciskając do siebie małe ciała.

– A gdzie Duvie i Amalia?

Słyszając swoje imiona, pozostała dwójka natychmiast przyleciała z drugiego końca domu. Duvie rzucił się na poduszki kanapy, omal nie zmiądzzył przy tym Yossiego, a Amalia pochyliła się i delikatnie pocałowała matkę w policzek.

– Tęskniłaś? – spytała Daniellę. – Bo nam bardzo ciebie brakowało!

– Tak. Aba podpadł i zabił wszystkie rośliny. Teraz wszyscy się na nas gniewają, ale on mówi, że Haszem tak chciał – dodał Duvie bez tchu.

Popatrzyła na jego poważną, dziecięcą buźkę. Jęknęła w duchu, kiedy zobaczyła męża opartego o ścianę.

– Nie przyjechałeś po nas. Musiałam wziąć taksówkę.

Spuścił wzrok.

– Przepraszam, ale... Nie mogłem... Nikt nie chciał... Sam musiałem opiekować się dziećmi.

– A nasi przyjaciele? Johanan i Essie?

Potarł ręce.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Wstała.

– Nie teraz! – syknęła, patrząc znacząco na dzieci, po czym podeszła do łóżeczka, by zająć się Szoszaną.

Córeczka była kompletnie przemoczona. Daniella rozebrała ją z zasikanych ubrań, owinęła w ręcznik i pobiegła do łazienki, szybko opłukać ją pod ciepłą wodą w umywalce. Kiedy już ją wysuszyła, przewinęła i ubrała w czyste, ciepłe ubrania, wróciła do pokoju dziennego. Wyczerpana padła na kanapę i zaczęła karmić małą.

Znów obległy ją dzieci.

– Nikt już nie chce się z nami bawić!

– Mówią, że aba to *mazik*!

– Dlaczego się nie bawią? Kto tak mówi? – pytała oszołomiona. W głowie jej wirowało.

– Dzieci, przestańcie! – prosił Shlomie. – Ima karmi malutką.

– Mam dla was prezenty! – przypomniała sobie, ciesząc się, że na moment odwróci ich uwagę. – Duvie, przynieś imie zieloną walizkę.

Pobiegł, a za chwilę przytасzczył ją do pokoju.

– Jak się otwiera?

Zupełnie jak scenka z kartki bożonarodzeniowej, pomyślała, patrząc na podekscytowane, zachwycone dzieci wpatrzony w otwartą walizkę pełną ładnie zapakowanych podarunków.

– Niebieskie opakowania są dla Duviego, różowe dla Amalii, zielone dla Yossiego, a pomarańczowe dla Gabriela.

Dzieci miotały się, wzajemnie wyrywały sobie prezenty, układały je na kupce, a później rozpakowały.

Od pełnych zachwytu wrzasków można było ogłuchnąć.

Shlomie bez słowa stał obok z rękami w kieszeniach i przyglądał się dzieciom z wymuszonym uśmiechem.

– Kochani, idźcie z nowymi zabawkami do pokojów. Aba i ima muszą spokojnie porozmawiać.

Posłusznie zgarnęły zdobycze i zniknęły. Tylko Gabriel usiadł na podłodze tuż przy Danielli i nie dał się wygonić.

– Mów, Shlomie, bo zaraz dostanę zawału.

Przestąpił z nogi na nogę. Jedną ręką podrapał się po głowie, drugą przytrzymał jarmułkę.

– To miał być dobry uczynek. Chciałem się odwdzięczyć sąsiadom za pomoc...

– Co zrobiłeś, Shlomie? – spytała z kamienną twarzą.

W tej samej chwili Gabriel zaczął płakać.

– Amalia! Chodź, zabierz Gabriela! – zawołała, głaszcząc syna po główce. Amalia posłusznie wzięła go na ręce, potrząsając mu przed buzią tygrysem.

Oboje w milczeniu odczekali, aż dzieci znikną u siebie.

– Hm, zacznę od początku. Żona Marwana urodziła.

Głowa jej pękała.

– Co?

Wyglądał na zaskoczonego jej zniecierpliwieniem.

– Jego żona urodziła dziecko – powtórzył.

– Słyszałam. Po co mi o tym mówisz?

– Bo dwa dni nie było go w pracy. I nie wiem, jak to się stało, ale roślinom zabrakło wody i niektóre padły.

Popatrzyła na Szoszanę. Miała oczy Shlomiego. Te same piękne, niebieskie oczy.

– Słucham.

– Dlatego kupiłem trochę sadzonek, żeby uzupełnić uprawę. Sprzedawca zarzekał się, że są najwyższej jakości... – Urwał. – Nie były. Okazały się chore.

– Jaki to ma związek z tym, że przyjaciele się na nas pogniewali?

– Kupiłem więcej, żeby rozdać. Podziękować przyjaciołom za pomoc. Chciałem dobrze.

Poczuła, jak gdzieś z trzewi do gardła podchodzą jej mdłości. Szybko wepchnęła mu dziecko w ręce i popędziła do łazienki. Żołądek miała pusty.

Wyrzuciła z siebie tylko zielony śluz. Wypłukała usta, nabrała w garść zimnej wody i spryskała sobie oczy i twarz. Nie było czystego ręcznika, więc wytarła się rąbkiem spódnicy.

– Jak duże są straty? – spytała, zabierając mu płaczącą Szoszanę, by ułożyć ją sobie na ramieniu i delikatnie oklepać plecki.

– Zaraza weszła już do wszystkich szklarni – wyjąkał. – Rośliny umierają, a oni mają pretensje do mnie.

– Wszyscy nasi przyjaciele?

Skinął głową.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Mówią, że będą musieli wszystko wyrzucić i zacząć uprawę od nowa. Stracą całutki sezon.

Drżał na całym ciele.

– No to niech Mustafa zapłaci odszkodowanie. To były jego rośliny!

Mustafa Quadri, gorliwy muzułmanin z Jerycha, od lat miał monopol na dostawę sadzonek do Jahalom.

– Cóż, to odrobinę bardziej skomplikowane. – Shlomie smętnie pokręcił głową. – Otóż, ktoś z kolelu zwrócił uwagę, że źle postępujemy, bo w ten sposób wspieramy naszych wrogów. Powiedział, że jego ojciec ma przyjaciela, który zna w Aszkelonie bardzo pobożnego żyda, hodowcę sadzonek, który sprzedaje mi je w niezwykle korzystnej cenie...

Powiodła wzrokiem po ścianach swojego nowiutkiego domu; domu, który zbudowali w Ziemi Świętej, wśród przyjaciół. Zostali tu serdecznie przyjęci, zaakceptowani, mogli liczyć na wsparcie i miłość. Tymczasem za dobro odpłacili złem.

– To jak? Zadzwoiłeś do tego „pobożnego” żyda, który sprzedał ci rośliny, i powiedziałaś, jak załatwił cię i twoich przyjaciół? Zażądałeś odszkodowania za straty? – pytała ostro, choć z góry znała odpowiedź. Właściwie czuła już tylko znużenie. Coś w niej umierało. To była ostatnia kropla goryczy.

– Próbowałem nieraz, ale nie odbiera. Zapadł się pod ziemię.

– Dzwoniłeś do ojca znajomego z kolelu? Skontaktowałeś się z przyjacielem, który ci go polecił?

Pokręcił głową.

– Nic nie zawinili. Po co ich zawstydząć? To byłby grzech.

– A to, co zrobiłeś naszym bliskim z Jahalom? Johananowi, Essie? To nie

był grzech? To, że jesteśmy zrujnowani, stanowi najmniejszy problem... Co teraz zrobimy?

– Boże, zmiłuj się nad nami! – zawołał z oczami pełnymi łez. Usiadł obok niej na podłodze i poklepywał Szoszanę po plecach. – Strasznie przepraszam, Daniello. Wszystko przeze mnie.

Rozpłakał się.

Luftmensch, pomyślała. Nie czuła żalu ani litości. Wyłącznie wściekłość.

Do pokoju wpadły dzieci z naręczem lalek i innych plastikowych skarbów. Na widok taty stanęły jak wryte i wpatrywały się w niego zdumione.

Patrzyła na ich przerażone buzie. W końcu to ich ojciec. Wyciągnęła rękę i pogładziła go po głowie.

– Już dobrze, Shłomie. Już dobrze. Bóg zadał cios, ale wcześniej przygotował lekarstwo.

Wolno, ale bez cienia radości, która miała towarzyszyć tej informacji, opowiedziała mu o testamencie babci.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Detektyw Cedek wjechała na parking przed jednym z paskudnych, przytłaczających osiedli zbudowanych w latach sześćdziesiątych dla biednych jak myszy kościelne młodych małżeństw i imigrantów bez grosza przy duszy. Choć dzięki nowym, nieco zamożniejszym lokatorom, którzy kupowali mieszkania od pierwszych mieszkańców, standard osiedla się podniósł, budynek nadal przyprawiał o ból zębów. Głównie za sprawą tandetnych ganków w najróżniejszych stylach, na których walały się rupiecie albo dziecięce zabawki. Z estetycznego punktu widzenia to wciąż był koszmar.

Bina błąkała się w labiryncie wejść oznaczonych numerami i literami. W końcu się poddała i spytała przechodnia, czy zna rabbanit Toledano. Ku swemu zdumieniu już za pierwszym razem jej się udało i została doprowadzona prosto pod drzwi kobiety. Młody mężczyzna nawet poczekał, aż gospodyni otworzy.

W drzwiach pojawiła się starsza, pulchna, niska kobieta w ciemnej peruce z narzuconą na nią chustą i w kwiecistej, workowatej sukience oraz butach ortopedycznych. Uśmiechnęła się do obojga.

– Spodziewała się pani – powiedział młody mężczyzna.

– Niechaj Pan cię wynagrodzi za twoją dobroć, Mosze – pobłogosławiła go Chana Toledano.

Na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki uśmiech, jakby właśnie wygrał na loterii.

– Pani również niech Bóg błogosławi, rabbanit Chana – podziękował, odchodząc rozpromieniony.

Bina z rosnącą ciekawością obserwowała tę scenkę.

– Jestem detektyw Cedek z policji jerozolimskiej. Rozmawialiśmy przez telefon.

– Proszę, niech pani wejdzie, usiądzie.

Mieszkanie przypominało klinikę. Pod ścianami małego salonu w równym rzędzie stały tanie krzesła.

– Wiedziałam, że pani przyjedzie, więc wszystkich odesłałam. Inaczej kłębiliby się tutaj tłum.

– Czym się pani zajmuje, rabbanit?

– Nie wiedzieć czemu, rozeszła się fama, jakobym miała talenty uzdrowicielskie. – Zbyła to wzruszeniem ramion. – Prawda wygląda tak, że

matka przekazała mi kilka homeopatycznych receptur, które najwyraźniej pomagają chorym. Zawsze jednak podkreślam, że nie jestem lekarzem i muszą zwrócić się do specjalisty.

Przeszły do nieskazitelnie czystej kuchni. Z rondla, w którym dusił się gulasz, unosił się mocny zapach kminu i cynamonu, wypełniając ciasne pomieszczenie.

– Napije się pani kawy albo herbaty?

– Chętnie. Kawy, jeśli można.

Gospodyni przygotowała kawę po arabsku, gęstą jak błoto, i nalała do miniaturowych filiżanek. Była pyszna.

– Zapewne domyśla się pani, co mnie sprowadza.

Rabbanit skinęła głową.

– Chodzi o dziecko Goodmanów, Elego, Boże, zmiłuj się nad nami! Jak się czuje?

– Dzięki pani on i jego brat znaleźli się w dobrych rękach, pod opieką lekarzy. Eli wraca do zdrowia. Ale jego brat...

Z twarzy nagle odpłynęła jej krew.

– Nic mi nie wiadomo o bracie.

– Jego młodszy brat, Menchie. Jest w śpiączce.

Kobieta smutno pokręciła głową.

– Boże, miej litość nad nami wszystkimi. Taka historia wśród pobożnych, bogobojnych żydów...

– Najwyraźniej nie całkiem bogobojnych – odparła Bina cicho, głęboko nabierając powietrza. – Chciałabym zadać pani kilka pytań.

– Oczywiście. Jeśli mogę pomóc...

– Może pani zacząć od początku?

– To było bodaj miesiąc temu. Tuż przed Rosz Chodesz. Nie znam świeckiej daty.

– Nie trzeba. Proszę opowiedzieć, co się stało.

– Zadzwoiła do mnie kobieta, której nazwisko nic mi nie mówiło. Nic w tym dziwnego, często dzwonią nieznajomi, którzy usłyszeli o mnie i postanowili zwrócić się o pomoc. Ona jednak chciała nie tylko, żebym uleczyła jej chłopca, ale także, żebym go do siebie wzięła i zaopiekowała się nim.

– Co pani powiedziała?

– Żeby najpierw go przyprowadziła. Boże miłosierny, nigdy tego nie

zapomnę. Straszny widok!

Wyciągnęła amulet, który nosiła na szyi, i trzykrotnie go ucałowała.

– Zechce pani opisać, jak to wyglądało?

– Przyszła ubrana jak na Jom Kippur, Boże, miej litość! Cała na biało.

Nigdy nie widziałam... Nieważne. Towarzyszył jej chłopczyk. Śliczne dziecko, ale strasznie wychudzone! Ledwo chodził. Utykał. O, jak bardzo kulał.

W pierwszym momencie pomyślałam, że coś sobie złamał. Może spadł, skręcił nogę w kostce. Wie pani, jak to jest z chłopcami. Zawsze ganiają jak szaleni, ciągle się przewracają, obijają albo – uchowaj Boże! – łamią kości.

Powiedziałam, żeby zaprowadziła go do mojego gabinetu i zdjęła mu spodnie, to go zbadam. – Nerwowo poprawiła się na krześle. – Bóg mi świadkiem,

pierwszy raz widziałam coś takiego! Jak surowe mięso u rzeźnika! Ani

kawałka skóry, zupełnie nic nie zostało. Wszystko pokryte ropą, spuchnięte, czerwone. Ktoś próbował go leczyć, ale nie miał o tym pojęcia. Rany długo

pozostawiono własnemu losowi! Powiem szczerze. Od samego patrzenia

zbierało mi się na łzy. Wolałam nie myśleć, jak strasznie cierpi to biedactwo.

Taka rana! Ale chłopczyk, Boże, zmiłuj się, nie zapłakał. Ani razu. A matka po

prostu patrzyła na rany. I nic. Ani się nie skrzywiła, ani nie powiedziała: „Oj,

mój ty biedaku”. Nie zrobiła nic, czego człowiek spodziewałby się po matce

w takiej sytuacji. Tylko patrzyła, jakby czytała przepis na chałę. Coś

przerazającego. I niepojętego. Spytałam, jak to się stało. Zaczęła od bajeczki

o kocu, który zajął się ogniem od grzejnika... – Rabbanit wolno pokręciła

głową. – Bujdy. Takie oparzenie wyglądałoby tak samo, jak oparzenie od

świecy na hawdałę. Boże, chroń. Nie byłoby tak równe. Pojawiłoby się kilka

czerwonych plam. Człowiek szarpie się, próbuje uciec od ognia. Rana tego

chłopca wyglądała, jakby ktoś przycisnął mu do tych nieszczęsnych nówek

lampę lutowniczą. Tak samo jak rozpalasz kuchenkę, kiedy oczyszczasz ją

przed Paschą. Nie drążyłam jednak, bo domyślałam się, z czym mam do

czynienia. Zapytałam tylko, dlaczego od razu nie zawiozła chłopca do szpitala.

Dlaczego tak długo zwlekała. Tymczasem ona, zamiast odpowiedzieć, zerwała

się i oświadczyła, że to chyba był zły pomysł, po czym zaczęła wciągać

chłopcu spodnie i szykować się do wyjścia. Kiedy to zobaczyłam,

zrozumiałam, że nie mogę dopuścić, żeby wyszła i zabrała go ze sobą.

Nieważne, skąd wzięły się poparzenia. Jeśli ja mu nie pomogę, nikt tego nie

– Czyli już wtedy nabrała pani podejrzeń?

Przechyliła głowę na bok i przenikliwie wpatrywała się w Binę.

– W życiu widywałam niejedno. Ale cóż mogłam począć? Zresztą wielu pobożnych żydów unika szpitali.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Uważają, że jeśli ktoś naprawdę boi się Boga, u Niego powinien zabiegać o uzdrowienie, u Niego szukać pomocy, a nie zwracać się do świeckiego lekarza. Dlatego z czasem przestałam zadawać pytania. Żal mi się zrobiło chłopca, więc zgodziłam się go przygarnąć i spróbować wyleczyć.

Bina bezskutecznie próbowała zrozumieć ten sposób rozumowania.

– Przyjęła pani ranne dziecko nieznannej kobiety?

Rabbanit wzruszyła ramionami.

– Bóg przysłał je do mnie. Co miałam zrobić? Poza tym nie urodziłam się wczoraj. Najpierw kazałam jej podpisać oświadczenie, w którym potwierdziła, w jakim stanie było dziecko, gdy je do mnie przyprowadziła, i wyraziła życzenie, bym je zatrzymała i pomogła mu wrócić do zdrowia. Oto ten dokument. Widzi pani podpis i datę?

Podawała Binie ręcznie zapisaną kartę. Szczegółowo wyliczono tam obrażenia Elego, a oświadczenie kończyło się zdaniem: „Proszę rabbanit Chanę Toledano, by zajęła się moim dzieckiem”. Niżej znajdował się podpis „Daniella Goodman” oraz data: trzy dni przed tym, jak chłopiec trafił do szpitala.

Bina z powrotem opadła na krzesło. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

– Dlaczego... Dlaczego pani się na to zgodziła, rabbanit Toledano?

– Nie chciałam. Ale przecież nie mogłam pozwolić, żeby wywlokła stąd dziecko, prawda? Biedactwo ledwo się ruszało.

– Co było potem?

– Poszła sobie, a chłopiec został. Spodziewałam się, że będzie protestował, płakał, biegł za nią. Tymczasem nie zrobił nic. Był jak lalka, kukiełka. Nawet nie otworzył ust. – Kręciła głowę na to wspomnienie, jakby wciąż nie dawało jej spokoju. – Nałożyłam na rany maść gojącą i czekałam, co będzie rano. Ale następnego dnia upewniłam się, że nie tego potrzebował. Rany były zbyt głębokie, za długo je zaniedbywano. Chłopca musiał zbadać lekarz, może nawet chirurg. Zadzwoiłam do matki i poprosiłam, żeby przysłała kartę ubezpieczeniową dziecka, a ja zabiorę je do szpitala.

Odmówiła. Oświadczyła, że pod żadnym pozorem nie wolno mi jechać z nim do lekarza. Bóg mi świadkiem, byłam w szoku. Wydarłam się na nią, że to, co robi, było *riszut* – podłe, diabelskie! Rozłączyła się. Godzinę później była już u mnie. Zaklinałam, żeby pozwoliła mi zawieźć chłopca na ostry dyżur. Po raz kolejny pytałam, skąd się wzięły obrażenia, ale ona tylko potrząsnęła głową, oświadczyła, że to jej dziecko, a mnie nic do tego. Potem, Bóg mi świadkiem, naciągnęła spodnie na te biedne, okaleczone nóżki i zabrała kulejące dziecko. Wtedy zawiadomiłam opiekę społeczną.

– Ile czasu spędził pod pani opieką?

– Jedną noc i kilka godzin.

– Dlaczego nie zawiadomiła pani policji od razu, rabbanit Toledano?

Przygryzła wargę.

– Źle postąpiłam?

Bina zastanowiła się nad odpowiedzią. Gdyby nie ta kobieta, Bóg jeden wie, jak długo jeszcze trwałyby ten proceder i czy następne dzieci Goodmanów nie zostałyby skrzywdzone przez tego kogoś albo to coś, co stało za obrażeniami najmłodszej dwójki. Równocześnie jednak, kto w normalnym społeczeństwie przyjmuje pod swój dach ranne dziecko jakiejś nieznanym? Czy to akt świadczący o niezwykłej dobroci serca czy też o jakiejś przerażającej dysfunkcji?

– Aresztuje mnie pani? – spytała kobieta.

Bina potrząsnęła głową.

– Nie, skądże. Miała pani dobre chęci. Ale następnym razem, rabbanit Toledano, dla własnego dobra, musi pani natychmiast zawiadomić policję.

– Jeśli choć raz wezwę policję, podpiszę wyrok śmierci na tę klinikę. Nikt już nie zwróci się do mnie o pomoc. Zlikwidujecie mój ośrodek?

O tym Bina nie pomyślała.

– Bierze pani pieniądze za swoje usługi?

Kobieta potrząsnęła głową, oburzona na samą myśl.

– Uchowaj Boże! Ale czasem ludzie przynoszą mi prezenty. Z czystej wdzięczności. Nie chcę ich urazić, więc przyjmuję podarunki i udzielam błogosławieństwa.

– Jakich leków pani używa?

– Proszę za mną, pokażę pani.

„Klinika” mieściła się w niedużej sypialni, gdzie niemal całą przestrzeń zajmowały półki ze starymi szklanymi słoikami z ziołami i jakimiś płynami.

– Od dawna pani prowadzi praktykę, rabbanit Toledano?

Przymknęła oczy, licząc w myślach.

– Od pięćdziesięciu lat – powiedziała.

– Czy pani kuracja komuś kiedyś zaszkodziła?

– Boże broń! Jeśli leczenie nie pomaga, natychmiast odsyłam chorego do lekarza. Ale bywa, że to lekarze przysyłają do mnie swoich pacjentów.

Bina się zastanowiła. Może powinna zawiadomić tutejszą policję i doprowadzić do likwidacji kliniki. Ale wtedy ludzie znajdą sobie innego „uzdrowiciela”, który nie musi już leczyć nieszkodliwymi ziółkami, wysyłać chorych do lekarza, a w razie potrzeby alarmować pomoc społeczną. Głęboko nabrała powietrza.

– Rabbanit Toledano, tak naprawdę chciałabym dowiedzieć się jednego: kiedy chłopiec u pani przebywał, powiedział coś? Wspomniał, kto mu to zrobił?

Kobieta smutno potrząsnęła głową.

– Niech mi pani wierzy, pytałam go dziesiątki razy. Ale był przerażony, jakby mu grożono albo zakazywano otworzyć usta.

„Nic nie mówi, nic nie mów, nic nie mów”. Binie nagle przypomniał się raport Morrisa i słowa, które Daniella Goodman podobno mówiła w szpitalu.

– A z pani doświadczenia, rabbanit? Co, pani zdaniem, mogło stać się dziecku?

Kobieta spuściła wzrok, po czym nagle podniosła go i spojrzała Binie prosto w oczy.

– Co pani wie o kabale?

– O czym?

– O kabale. Słyszała pani o niej?

– Oczywiście. Kto by nie słyszał?

– To co pani o niej wie?

– Nic. Czerwone nitki i Madonna.

– Madonna?

– Nieważne. Ale dlaczego pani pyta? Co kabała może mieć wspólnego z tą historią?

– Chłopiec... Miał na szyi piętnaście amuletów z tajnymi kabalistycznymi zaklęciami. Niektóre widywałam wielokrotnie, inne, pisane ręcznie, pierwszy raz w życiu.

Tikkun, pomyślała Bina.

– I w związku z tym, sądzi pani, że...?

– Te amulety to dzieło kogoś, kto sięgnął po to, co zakazane. Kabałę praktyczną, inaczej *kabbalah ma'asit*. Czary. Dawno temu ktoś powiedział mi, że ci, którzy bawią się w takie rzeczy, czasem wykorzystują w swoich ceremoniach dzieci.

Bina poczuła na plecach lodowaty dreszcz.

– Wykorzystują?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nic więcej nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Niech pani zwróci się do mistrza kabały. Kogoś, kto siedzi w tym głębiej. Ja powiem tylko jedno: to dziecko zostało naznaczone przez prawdziwego diabła. Sam szatan je skaził.

Binę do szpiku kości przeniknął lodowaty ziąb.

– Kim jest ten szatan, rabbanit Toledano?

– Niech pani zapyta tych, którzy go spotkali – odparła kobieta tajemniczo.

– Niech pani zapyta dzieci.

Binę nagle opuściły siły, zupełnie jakby uszło z niej całe powietrze.

– Pobladła pani – zaniepokoiła się gospodyni.

– Nie, nic mi nie jest. – Sięgnęła do kieszeni. – To moja wizytówka. Jeśli coś się pani przypomni, cokolwiek, nawet drobiazg, proszę zadzwonić.

Kobieta wzięła kartonik, potakując.

– Służy pani dobrej, Bożej sprawie. Mogę udzielić pani błogosławieństwa?

– Oczywiście!

Przystała, udając entuzjazm, i pochyliła głowę. Kobieta położyła dłonie na jej głowie.

– Niech Pan czuwa nad tobą i sprawi, by następny poród był łatwy, zdrowy i bezproblemowy.

Zdumiona Bina podniosła na nią wzrok. Skąd tamta wiedziała, że ostatni poród był tak traumatyczny?

Po wyjściu od rabbanit Bina głęboko zaczerpnęła powietrza i oparła wyciągnięte ramię o budynek, próbując zapanować nad drżeniem. Jestem młodą kobietą w wieku rozrodczym, tłumaczyła sobie racjonalnie. Kobieta strzeliła w ciemno i trafiła, cała tajemnica. A jednak sama nie wierzyła w swoje argumenty. Tak samo jak nie mogła już dłużej wierzyć, że diabeł nie istnieje.

Zabrzęczała jej komórka. Dzwonił Morris.

- Gdzie jesteś? – W jego głosie brzmiało napięcie.
- Wyszłam od Toledano.
- Wyciągnęłaś coś?
- Kilka niespodzianek. Opowiem ci na miejscu.
- Przyjedź szybko. W razie czego włącz syrenę.
Szczęka jej opadła.
- Co się stało?
- Eli, czterolatek z poparzeniami, zaczął mówić.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wyjechaliśmy nocą, po cichu, jak złodzieje, myślała zdruzgotana Daniella. Porzucili ludzi, którzy okazali im tyle serca: Johanana i Essie, nowych przyjaciół, dobrych sąsiadów. Zamiast uścisków, całusów i wymieniania się numerami czekała ciężarówka o północy. Choć ubezpieczenie pokryje większość strat sąsiadów, i tak nie mogła spojrzeć im w oczy. Dręczyła ją świadomość, że odpłaciła im złem za dobro.

Co z tego, że w żaden sposób nie przyłożyła ręki do tej katastrofy? Czuła się odpowiedzialna. Nieustannie się obwiniała. W końcu to ona, z własnych, egoistycznych pobudek poleciała do Ameryki, zostawiwszy Shlomiego z czwórką dzieci na głowie. Nie mogła sobie tego darować. Jak mogła? Wypadek (tak postanowiła na to patrzeć, skupiając się wyłącznie na wpadce z podlewaniem i prześlizgując nad decyzją męża o zakupie skażonych roślin oraz ich rozdawaniu) niewątpliwie był skutkiem przemęczenia. Shlomie próbował pod jej nieobecność pilnować domu i pracy. Gdyby została tam, gdzie powinna – gdzie nakazywał obowiązek – nie doszłoby do nieszczęścia. Jako jego żona wzięła na siebie obowiązki jego pomocnicy i partnerki. Stanowili jedność. Jego klęska była jej klęską. Odpowiedzialność spadała na nich w równym stopniu. Upokorzona, przyłoczona wyrzutami sumienia marzyła tylko, by jak najszybciej zostawić przeszłość za sobą i zacząć od nowa.

Wynajęli duże mieszkanie w luksusowym apartamentowcu w centrum Jerozolimy, po czym zaczęli szukać stałego lokum w pobliżu dobrych szkół i jesziw, w których Shlomie mógłby beztróska studiować. Dom w Jahalom sprzedamy później, postanowiła. Powinno pójść gładko. Stale ściągali tam nowi osadnicy, a w przyczepach kisiły się dziesiątki rodzin. Serce jej pękało na myśl, że ktoś się wprowadzi do jej wymarzonego domu.

Shlomie wpadł w depresję. Całe dni spędzał w łóżku, wstawał jedynie na poranną, południową i wieczorną modlitwę. Minęło tak wiele tygodni, aż pewnego dnia ni z tego, ni z owego wkroczył do kuchni z błyszczącymi oczami.

- Znalazłem odpowiedź! – obwieścił triumfalnie.
- A jak brzmiało pytanie? – odparła ze znużeniem.
- Jak to? – Wyglądał na zaskoczonego. – Odpowiedź na pytanie, dlaczego spotkały nas te wszystkie okropności.

Jedną ręką przytrzymywała Szoszane, a drugą wyrabiała ciasto na sobotnią chałę.

– Słucham.

– To kara Boża.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Przyjechaliśmy do Ziemi Świętej, żeby osiągnąć świętość i zbliżyć się do Boga, tak? Tymczasem co zrobiliśmy? Porzuciliśmy zgłębianie Tory i babraliśmy się w piachu! To oczywiste, że Bóg musiał się na nas rozgniewać!

Daniella słuchała go bez przekonania, puszczając mimo uszu co drugie słowo. Podchodziła do tego wyjaśnienia sceptycznie, zwłaszcza że nie było w nim miejsca na naturalne konsekwencje głupich decyzji życiowych. Nie zamierzała jednak mówić tego mężowi. I tak był wystarczająco wściekły na siebie. Zresztą jakie to miało znaczenie? Nie zmienia przeszłości.

– Na szczęście Bóg jest miłosierny. Dlatego, w swej łaskawości, zesłał nam wielkie błogosławieństwo stabilizacji finansowej. Teraz możemy wrócić do czynienia dobra, które nas tu sprowadziło, ja zaś mogę zapewnić rodzinie błogosławieństwo, badając święte pisma. W ten sposób my i nasze dzieci będziemy cieszyć się Bożą łaskawością. Obiecuję, Daniello, tym razem nie zawiodę.

Skinęła głową, podała mu dziecko i zaczęła obiema rękami wygniatać ciasto drożdżowe. Nie miała czasu na filozofowanie. Musiała opiekować się piątką dzieci. Chciała tylko, żeby mąż wreszcie wygrzebał się z barłogu i jej pomógł.

Nie zawiodła się. Jego objawienie rozpędziło czarne chmury, które go więziły. Pilnował dzieci, czytał im, bawił się z nimi, co wieczór kąpał je i przebierał w pizamy. Pomagał jej nawet w zakupach, dwa razy w tygodniu chodził na szuk, skąd przynosił świeże owoce i warzywa.

Jego główne zajęcie – któremu poświęcał większość czasu i energii – polegało jednak na poszukiwaniu optymalnego formatu pozwalającego całkowicie poświęcić się studiowaniu Tory. W świętym mieście nie brakowało takich miejsc. Shlomie krążył więc od wykładu do wykładu, sprawdzał instytuty i małe grupy. Niektóre spotkania organizowano w nowoczesnych budynkach. Prowadzili je gładko ogoleni, ortodoksyjni żydzi w szydełkowych jarmułkach, a przychodzili dobrze sytuowani mężczyźni, którzy poza pracą zawodową chcieli zgłębiać Torę, albo kandydaci na wyższe studia, przygotowujący się do egzaminów. Inaczej wyglądały kursy

nieformalnych grup, które spotykały się w niszczejących synagogach przy szuku albo w mieszkaniach prywatnych. Panowała tam straszna ciasnota. Studenci tłoczyli się wokół stołów kuchennych, niemal włączając sobie na głowy. W większości byli to świeżo nawróceni żydzi, noszący mniej lub bardziej tradycyjne stroje chasydzkie; mężczyźni wykonujący nisko płatne zawody, pracujący na pół etatu albo wcale.

Shlomie szybko uznał, że nie odpowiada mu formalna, uczelniana atmosfera instytucji neoortodoksyjnych.

– To dla mnie zbyt suche, wyuczone na pamięć. Nic tam nie porusza mojej duszy – tłumaczył Danielli.

Tak naprawdę jednak przeszkadzała mu intelektualna przepaść, jaka dzieliła go od erudyków, którzy tam uczyli się. Swoją powierzchowną wiedzą nie dorastał im do pięt. Poza tym onieśmielali go ci niezwykle inteligentni, znakomicie wykształceni mężczyźni, którzy odnieśli sukces na polu zawodowym.

Dlatego ograniczył poszukiwania do małych, nieformalnych grup, co ostatecznie zawiodło go w tajemnicze, kręte uliczki dzielnicy żydowskiej Starego Miasta. Jej przeludnione budynki zawsze tonęły w cieniu. Właśnie tam, tuż za murami Starego Miasta, działało mnóstwo grup. Za zamkniętymi drzwiami tłumy mężczyzn zgłębiały wszystko, począwszy od Talmudu, a kończąc na ezoterycznych, często zakazanych księgach żydowskiego mistycyzmu.

Początkowo studiował Talmud. Dość szybko nowi przyjaciele i znajomi zachęcili go do poszukiwań, które nie wymagały aż tak dużej dyscypliny intelektualnej ani wysiłku umysłowego. Najbardziej urzekła go kabała i jej obietnica bezpośredniej łączności z Bogiem, którą miały zapewnić mistyczne zaklęcia.

– Egzystencję większości ludzi można porównać do życia mrówek. Kierują nimi przyziemne pragnienia, zmysłowe pożądania. Dzięki świętej kabale wznosimy się ponad to, przejmujemy władzę nad swoim życiem, żeby stać się jak On. Czyż to nie zdumiewające? My, małe mróweczki i nędzny pył; istoty, które spędzają na tej ziemi jedynie krótką chwilę, uganiamy się za pożywieniem, seksem i przyjemnościami, a potem obumierają i obracają się w proch; właśnie my możemy się zbliżyć do wiecznego, wszechpotężnego Boga, Pana Stworzenia.

Słowa rebege Amosa, kudłatego guru z białą jarmułką braclawskich

chasydów na blond włosach, zauroczyły Shlomiego. Uczniowie traktowali Amosa niczym króla. Ilekroć wchodził, zrywali się na nogi i z czcią stali, dopóki nie pozwolił im usiąść. Tak! – myślał Shlomie, chłonąc jego słowa. To właśnie prawda, której szukałem!

Nie wszyscy uczniowie podzielali jego bezkrytyczny zachwyty.

– W takim razie jakie znaczenie mają nasze wysiłki? – śmiało zaatakował jeden z nich. – Po co w ogóle próbować upodabniać się do Boga, skoro jesteśmy tylko mrówkami? Dlaczego po prostu nie cieszyć się tym, jak zostaliśmy stworzeni?

Shlomie ze zgrozą słuchał tego bezczelnego smarkacza. Rebe Amos jednak posiadał niewyczerpane pokłady cierpliwości.

– Ponieważ ci, którzy osiągnęli boskość, już nie umierają. Ich dusze żyją wiecznie. Wyobraź to sobie! Możemy osiągnąć nieśmiertelność. Każdy, kto stanie w prawdzie przed sobą, będzie wiedział, że to prawda. Poczuj, że to prawda.

– Ja nigdy tego nie czułem – odparował ten sam chłopak.

– Gdzie twoja wola? Czy kiedykolwiek poczułeś, że masz wolę? – spytał rebe Amos z łagodnym uśmiechem.

Młodego dyskutanta opuściła pewność siebie. Wyglądał na zmieszanego.

– Możesz to nazwać, jak chcesz: Bogiem lub naturą. Każde stworzenie pragnie dawać, my zaś pragniemy otrzymywać. „Kabała” to inaczej „przyjmowanie, otrzymywanie”. Jeśli tego nie odczuwasz, to tylko dlatego, że ta częśćka ciebie jest uszpięta. Przebudzenie tej świadomości, podróż powrotna do światła, które nas stworzyło: oto cel naszej egzystencji. Wszyscy i wszystko stanowimy częśćkę Boga. Jeśli przed posiłkiem i po nim pamiętasz, by błogosławić Boga za otrzymane pożywienie; jeśli pamiętasz, że pokarm ma jedynie dodawać ci siłę w Jego służbie, nawet kęsy wkładane do ust zostają uświęcone. Podobnie jak ziarna zmielone na mąkę, jak kierowca przywożący opakowania do sklepu, jak sprzedawca wykładający je na półkę. Wszyscy oni zostają wywyższeni i uświęceni.

– Skąd mam wiedzieć, że to prawda? – spytał inny młody mężczyzna.

– Myślę, że znasz już odpowiedź. Czujesz to, prawda?

Chłopak usiadł bez słowa.

Shlomie wpatrywał się w rebe Amosa. Tak! – jego serce wołało głośno. Oto prawda! Umysł jeszcze tego nie ogarniał, ale serce każdym swoim uderzeniem zgadzało się z tą niezwykłą iluminacją.

Zaczął regularnie uczęszczać na nauki rebego Amosa, rzucił inne studia. Znalazł to, czego szukał.

– Twoje życie jest misją. Jeśli będziesz podążał za głosem serca, poprowadzi cię ku boskim iskrom, które należą wyłącznie do twojej duszy. Właśnie po to raz za razem wraca ona na ziemię. Żeby je zbierać.

Shlomiego oczarowała poezja tych słów, ich głębia, boski cel wyznaczony jako wzór i ideał. Nieporadnie usiłował zarazić swoim entuzjazmem żonę.

– W ten sposób możemy spotkać się z Bogiem twarzą w twarz, jak Mojżesz! – tłumaczył. – Staniemy się nieskalani i dobrzy!

– Rozumiem, ale co to właściwie znaczy, Shlomie? Co konkretnie masz robić? Jak masz żyć?

– Tego jeszcze nie wiem – przyznał szczerze. – Wciąż próbuję to pojąć. Te idee są niezwykle głębokie. To pewnie potrwa.

Coraz bardziej angażował się w spotkania grupy. W pewnym momencie chodził już tam co wieczór.

– Nigdy nie ma cię w domu – poskarżyła się wreszcie Daniella. – Prawie cię nie widuję.

– Może ty także się wybierzesz? Mają też spotkania dla kobiet. Jesteś taka bystra. Zrozumiesz to szybciej niż ja.

– Nie mogę wychodzić wieczorami. Wiesz o tym doskonale.

– Może zaproponuję rebemu Amosowi, by wygłaszał nauki u nas w domu?

Zawahała się. Przynajmniej częściej by widywała męża. A przede wszystkim byłaby na bieżąco z tym, co odkrywał. Teraz czuła się odstawiona na boczny tor.

– Nie mam nic przeciwko temu, Shlomie. A myślisz, że przyjdzie?

– Dlaczego nie?

Okazało się, że rebe Amos przyjął zaproszenie wręcz entuzjastycznie. Zwłaszcza gdy usłyszał adres: Rechawia, najdroższa dzielnica miasta. Wkrótce on i jego uczniowie zaczęli regularnie odwiedzać Goodmanów, ochocho częstowali się wyrafinowanymi daniami przygotowanymi przez Daniellę, a podawanymi przez nią i Amalię.

Daniella słuchała uważnie z kuchni, gdzie składała pranie. Próbowała rozwikłać znaczenie ezoterycznych zdań, wplątanych przez rebego Amosa. Choć usiłowała się bronić, nauczanie przenikało do jej świadomości i zmieniało ją. Jej sceptycyzm zniknął, otwierała się na słowa guru. Powtarzała sobie, że tak właśnie rozwija się racjonalna, naukowa część jej umysłu,

wyzwala się z ciasnoty dawnych poglądów. Działo się dokładnie to, co mówił Amos: w obliczu nowych idei kurczyło się i znikało to, w co wierzyła wcześniej. Nowy sposób myślenia stopniowo zmieniał jej rzeczywistość. A ona nawet tego nie zauważyła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Goodman, gość.

Daniella podniosła wzrok zaskoczona. Do tej pory nikt nie odwiedził jej w więzieniu. Może... A jeśli? Czyżby to On?

Zerwała się, poprawiła szal na włosach, wygładziła spódnicę i poszła za strażnikiem do rozmównicy.

Siedział za stołem, ze wzrokiem wbitym w blat.

– Joel.

Podniósł głowę. W tęczęwkach drugiego każde z nich widziało odbicie swoich oczu: nieszczęśliwych, zawiedzionych.

– Daniella.

Cofnęła się o krok i obejrzała na strażnika.

– Muszę?

– Daniello, błagam. Przyleciałem aż z Ameryki. Proszę, usiądź – zaklinał Joel.

Zawahała się.

– To mama? Ona cię przysłała?

Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie wskoczyć w pierwszą lepszą taksówkę i nie wrócić na lotnisko.

– Ależ skąd! Co cię opętało?

Spuściła wzrok zawstydzona.

– Nie wiem – szepnęła.

– Przyjechałem, bo twoje dzieci cierpią. Przyjechałem, bo to moi siostrzeńcy i siostrzenice, kocham ich. Przyjechałem, bo jesteś moją siostrą i bez względu na to, co się z tobą stało czy co zrobiłaś, kocham cię.

Opór, dzięki któremu stała sztywna, wyprostowana jak struna, nagle się ulotnił. Chwiejnym krokiem podeszła do krzesła i ciężko opadła na siedzisko.

– Wpadłam w okropne tarapaty, Joelu.

– Wiem. Zadzwonili z policji i o wszystkim mi powiedzieli.

– Dzwonili do Ameryki?

Potaknął.

– To spadło na rodzinę jak grom z jasnego nieba. Tata strasznie się rozchorował, naprawdę ciężko. A mama nie może się pozbierać. Unika spotkań towarzyskich. Nie bywa nawet w swoim sklepie.

Usta Danielli wykrzywiły się w ironicznym uśmiešku.

– To cię bawi?

– Myślę, że wreszcie dostała za swoje. Chciała wyprodukować idealną córeczkę, to ma.

Odsunął się od niej.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, co zrobiłaś. Potrzebujesz pomocy, dobrego psychiatry. Przede wszystkim jednak potrzebujesz adwokata. Najlepszego. Koledzy polecili mi kilku w Jerozolimie. Już z nimi rozmawiałem. Nie wszyscy chcieli podjąć się twojej obrony...

– Prawnik odrzucający sowite honorarium? Nie wierzę.

– Jestem prawnikiem, Daniello. I powiem szczerze: żadne, nawet najwyższe honorarium nie skusiłoby mnie, żeby bronić kogoś, kto katował dzieci.

– Nie zrobiłam im krzywdy! To kłamstwa!

– Więc dlaczego Menchie jest w śpiączce? Dlaczego Eli przechodzi piątą operację przeszczepu skóry? Dlaczego pozostałe dzieci są w hysterii? – zaatakował, jak przystało na wytrawnego prokuratora. Widział, że każde zdanie spada na nią jak uderzenie młota. Przerwał. – Słuchaj, nigdzie się stąd nie ruszę, choćbyś mi kazała. Nawet jeśli ciebie przestało obchodzić, co się dzieje z twoimi dziećmi, mnie nadal na nich zależy. Mamie i tacie też. Ściągnę swoją rodzinę do Izraela. Zaopiekuję się twoimi dziećmi. Załatwię ci prawnika. Najlepszego, jakiego znajdę. Ta sprawa nie zniszczy naszej rodziny. Czy się na to zgodzisz, czy nie, Daniello. I nie liczę, że mi podziękujesz.

– Ja mam ci dziękować? Za co? Że ładujesz się w moje życie, choć nikt cię o to prosił? Mam pomoc. Najlepszą, jaką mogłabym sobie wymarzyć. Mam Boga. I aniołów. Ale ty nigdy tego nie zrozumiesz.

Wzruszył ramionami.

– Masz wyłącznie nierówno pod sufitem, Daniello. Nie wiem, jak to się stało. I Bogiem a prawdą, guzik mnie to teraz obchodzi. Bujaj sobie w obłokach, a ja tymczasem zaopiekuję się twoimi dziećmi, skoro ani ty, ani twój były mąż nie zamierzacie tego zrobić.

– Nie zabierzesz mi dzieci bez mojej zgody.

– A jak myślisz, gdzie teraz są, Daniello? Jak sądzisz, kto się nimi opiekuje, kiedy ty siedzisz w więzieniu z dziwkami i dilerkami, a Shlomiemu nie wolno się do nich zbliżyć?

Po raz pierwszy zadała sobie to pytanie i dopiero teraz dotarło do niej, że nie zna odpowiedzi. Założyła, że jakimś cudem trafią pod opiekę Szem Towa,

Rut albo chasydów.

– Opieka społeczna rozesała je do rodzin zastępczych. Opiekują się nimi, a raczej próbują się opiekować, obcy ludzie. To trudne zadanie. Dzieci są na progu załamania nerwowego. Tak, twoje cudowne dzieci...

Zasłoniła uszy rękami. Jego niepożądane, zatrważające słowa burzyły jej pewność siebie i przekonanie o własnej słusności tak samo jak wyzwiska i ataki współwięźniarek.

Brat wstał z krzesła.

Nagle pochyliła się i kurczowo zacisnęła palce na jego marynarce.

– Joel – powiedziała.

Patrzył na nią jak na obcego człowieka.

– Ja tylko... Przepraszam.

– Powiedz to swoim dzieciom, Daniello. Powiedz to dzieciom.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Bina Cedek pędziła ulicami Aszdodu, wreszcie wypadła na trasę do Jerozolimy. Na granicy miasta zadzwoniła komórka.

– Zaraz będę, Morris.

– Nie jedź do komendy. Spotkamy się w Rechawii. – Podał jej adres. – Nie zadawaj pytań.

Kiedy dotarła na miejsce, drzwi budynku były zamknięte. Wcisnęła dzwonek.

– Kto to?

– Detektyw Cedek.

Morris wpuścił ją do środka. Za drzwiami chwycił ją za ramiona.

– Wreszcie!

Przyglądała mu się zaskoczona. Pierwszy raz widziała go tak wzburzonego.

– Co się stało?

– Ze Stanów przyjechał brat Białej Czarownicy, Joel z rodziną. Wynajął mieszkanie i wziął do siebie Elego. Chłopiec zaczął mu opowiadać...

– Co mówił?

Detektyw wzruszył ramionami.

– Wydział do spraw dzieci wysłał swojego najlepszego psychologa dziecięcego, Johnny'ego Manna. Widziałem go w akcji. Niesamowity gość.

– Więc po co mnie ściągnąłeś?

– Jesteś matką, tak? Chcę poznać twój punkt widzenia.

– Jak się czuje mały?

– Kilka dni temu wypisano go ze szpitala. Musi nabrać sił przed kolejnym przeszczepem skóry. Opieka społeczna uznała, że dobrze mu zrobi, jeśli zamieszka z wujkiem.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie?

Bądź co bądź to brat Danielli Goodman. A jeśli patologie są dziedziczne?

– Szczerze? Sprawia wrażenie porządnego gościa. Bardzo się przejął, pragnie pomóc dzieciom siostry, choć od lat się nie kontaktowali. Wczoraj zadzwonił do Johnny'ego. Powiedział, że Eli zaczyna się otwierać. Chciał, żeby Johnny to nagrał. Tak samo jak nam zależy mu, żeby winny trafił za kratki.

– Co do tej pory powiedział chłopiec?

– Niewiele. Jakaś bajeczka o kocu, który się zapalił, i o tym, jak matka

i chasydzi go uratowali. Od razu słysząc, że powtarza, co mu wbili do głowy.

– Będzie mówił w naszej obecności?

Morris wzruszył ramionami.

– Przekonajmy się.

Joel siedział na kanapie z Elim na kolanach. Miejsce obok zajął Johnny Mann i żartował z chłopczykiem, który śmiał się w głos. Joel wstał i podał rękę Binie oraz Morrisowi. Ubrany był w T-shirt z napisem: CZYSTA I PROSTA PRAWDA RZADKO BYWA NAPRAWDĘ CZYSTA, A NIGDY NIE JEST PROSTA, w sprane dżinsy, które nie wyglądały na podróbkę, i włożoną tył na przód baseballówkę, neutralne nakrycie głowy, które nie zdradzało ani zaangażowania religijnego, ani jego braku.

– Cześć, Eli. Co słysząc? – Bina przykucnęła, żeby ich twarze znajdowały się na tej samej wysokości.

Ku jej zdumieniu odpowiedział uśmiechem. Jego dziecięca buzia, pełna życia i ciekawości, w niczym nie przypominała na wpół żywego robota ze szpitalnego wideo.

– Wszystko dobrze – powiedział, kiwając głową. – Jestem z wujkiem Joelem.

Mężczyzna mocniej przytulił do siebie Elega i pocałował go w czubek głowy.

– On mnie teraz pilnuje.

– A kto wcześniej cię pilnował?

Jego twarzyczka nagle spochmurniała.

– Chasydzi i Mosziach.

Binę przeszył lodowaty dreszcz. „Święci i Mesjasz”.

– Wiesz, Eli, Bina widzi cię pierwszy raz. Opowiesz jej coś o sobie? – zwrócił się do chłopca Johnny po hebrajsku z minimalnym amerykańskim akcentem.

Mały skinął głową, ale się nie odezwał.

– Powiedz jej, jak się nazywasz.

– Elias Goodman, ale mówią na mnie Eli. Pojechał do nieba rydwanem z końmi.

Morris i Johnny spojrzeli na niego, nie rozumiejąc.

– Chodzi o proroka Eliasza, tak? – spytała Bina z uśmiechem.

Eli z zapalem kiwnął głową.

Johnny posłał jej uśmiech, który mówił: „Jestem twoim dłużnikiem”.

– A ile masz lat? – podjął psycholog.
– Cztery lata i prawie pół.
– Widzę, że masz dziś na sobie niebieską piżamę. Co byś powiedział, gdyby ktoś mówił, że jest czerwona? – ciągnął Johnny.
Eli zachichotał.
– Że jest głupi!
Johnny uśmiechnął się i delikatnie go pogłaskał.
– Tak, to prawda. A co byś powiedział o chłopcu, który zepsuł siostrze lalkę i mówił, że siostra sama ją popsowała?
– Że zmyśla!
– Bardzo dobrze! Jesteś mądrym chłopczykiem. A gdybym powiedział, że na kolanach siedzi mi słoń?
Chłopiec zaśmiał się jeszcze głośniej.
– Opowiada pan śmieszne, zmyślane historyjki!
– Racja. To nie byłaby prawda, zgadza się?
Mały potrząsnął głową.
– Umiesz odróżnić prawdę od kłamstwa?
Potaknął, ale nagle spoważniał.
– Eli, słyszeliśmy, że coś ci się przydarzyło. Możesz nam o tym opowiedzieć?
Mocniej przytulił się do wujka.
– Nie wiem.
– Nie wiesz czy nie chcesz o tym mówić? Wolno ci. Nikt się na ciebie nie pogniewa, jeśli nie powiesz. Podobało ci się to, co ci się przydarzyło?
Energicznie pokręcił głową.
– Eli, jak sobie poparzyłeś nogi?
– To przez Menchiego. On pchnął mnie na grzejnik... Nie... Bawiliśmy się, biegaliśmy i niechący wpadłem na grzejnik...
– A to kuku na czole? Skąd się wzięło?
– Menchie przyłożył mi gwóźdź i uderzył młotkiem.
– Eli, jesteś bardzo grzecznym chłopczykiem. Wszyscy o tym wiedzą.
Chłopczyk spojrział na niego, jakby zaskoczyły go te słowa.
– Ale to, co nam opowiadasz, to zmyślona historyjka, prawda? – Johnny uśmiechnął się do Elego. – Można opowiadać zmyślane historyjki. Wiem, że to fajne, kiedy wymyśla się różne historyjki. Jak ta o słoniu na moich kolanach. Ale to bardzo ważne, żebyśmy się dowiedzieli, co naprawdę się wydarzyło.

Spróbujesz sobie przypomnieć?

Eli oparł bródkę na ramieniu.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Eli, czy ktoś cię poprosił, żebyś nikomu o tym nie mówił?

Nagle podniósł wzrok. Szeroko otworzył swoje niebieskie, niewinne oczy.

– Wiesz, Eli, to zawsze jest dobry pomysł, żeby mówić doktorowi o wszystkim. Można mu zdradzać nawet tajemnice. Nikt się o to nie gniewa. Ja jestem takim doktorem. Często rozmawiam z dziećmi o tym, co je niepokoi. Nawet o ich tajemnicach.

Eli spojrzał na wuja, który zachęcił go ruchem głowy.

– Powiedz im to, co i mnie powiedziałaś, kochanie.

– Ktoś zrobił bum-bum na mojej głowie.

– Jak?

– Twardą ręką i dużym młotkiem.

Zapadła cisza. Dorośli przetrawiali to, co usłyszeli.

– Eli, kto zrobił ci bum-bum?

– Chasydzi i Mosziach.

– Kuni Batlan, Szmaja Hod, Issachar Goldschmidt... – odezwała się Bina.

Dziecko spojrzało na nią zaskoczone.

– Zna pani chasydów?

– Tak. – Skinęła głową. – Co możesz mi o nich powiedzieć?

– Issachar kąpał mnie w bardzo zimnej, a potem w bardzo gorącej wodzie, bo byłem nieposłuszny. – Słowa płynęły jedno za drugim. – A Kuni i inni palili mi stopę jak grzanekę. To była *tikkun*. A Szmaja wziął młotek i robił mi na głowie bum, bum, bum. Jakby rozbijał sznycla.

Bina próbowała ukryć, że zbiera jej się na mdłości. Przed oczami miała czerwoną mgłę. Wyprostowała się. Morris poklepał ją po plecach.

– Spokojnie – szepnął.

Ciężko opadła na krzesło, usiłując wziąć się w garść.

– Eli, kochanie, to była dobra historyjka. Prawdziwa. Możesz opowiedzieć nam więcej takich? – naciskał Johnny.

Chłopczyk potrząsnął głową.

– Ale nie o Mosziachu.

Znowu to samo. „Mesjasz”.

– Och, bardzo proszę. Ogromnie chcielibyśmy posłuchać o Mosziachu. To naprawdę by nam pomogło.

Eli się wahał.

– Imie to by się nie spodobało.

– Rozmawiałem z twoją imą. Mówiła, że teraz już wolno mówić. Chce, żebyś powiedział.

Znowu pokręcił głową.

– Ale Duvie by nie pozwolił. Mówił, że nie wolno.

Duvie. Najstarszy brat. Wzór.

– Jak sądzisz, dlaczego Duvie tak mówił?

– Boi się.

– Mosziacha?

Skinął głową.

– Duvie nie jest boi dudkiem. Duvie mówi, że znowu będziemy z nim mieszkać.

– Mieszkaliście z Mosziachem?

Potaknął.

– W jego domku. Z nim, chasydami i imą.

– Eli, kim jest Mosziach?

Chłopczyk zaczął się trząść z przerażenia. Drżał na całym ciele. Wuj mocniej go przytulił.

– Już dobrze, Eli. Obiecujemy, nikt więcej cię nie skrzywdzi. Możesz śmiało mówić. Tu nic ci nie grozi.

Dziecko kręciło głową.

– Mosziach zna czary. Potrafi latać. Nie zrobicie mu krzywdy. Zabierał mnie do pokoju kabały. Kazał mi robić czary.

– A czary bolały? Tak, Eli? – spytała łagodnie Bina.

Potaknął.

– Jak myślisz, dlaczego sprawiał ci ból?

– Bo byłem zły. A on i ima chcieli, żebym był dobry. Pomagał mi być dobrym. Dlatego potrzebna była *tikkun*.

Przypomniały jej się słowa rabbanit Toledano o amuletach.

– Opowiesz mi, jak wyglądała *tikkun*?

– Stać całą noc i nie spać. Pić arak. Leżeć całą noc w zamkniętej walizce z jarmułką w buzi, żeby nie płakać. Ale czasem płakałem... Wołałem imię. Ale nie słyszała.

Bina czuła, jak dudni jej w głowie.

– Czy tylko tobie chasydzi i Mosziach pomagali w *tikkun*?

Potrząsnął główką.

– Wszystkim nam pomagali. Szmaja pomagał Menchiemu. I Mosziach też pomagał Menchiemu.

Menchie. Chłopiec w śpiączce... Dobry Boże!

– A kto pomagał tobie, Eli?

– Mnie pomagał Kuni. I Mosziach też.

– A jak ma na imię Mosziach? – naciskała.

Chłopczyk wtulił buzię w koszulę wujka.

– Proszę, Eli...

Johnny podniósł rękę i wstał.

– Wystarczy na dziś. Dziękuję, kochanie – powiedział po angielsku.

Słyszając język matki, chłopczyk zerknął na niego uspokojony.

Morris też wstał.

– Dziękuję. – Skinął głową Joelowi. Wyciągnął rękę do chłopca. – I panu też, panie Eli. Mam coś dla pana.

Wyjął z kieszeni wielkiego lizaka.

Chłopczykowi załśniły oczy, ale nie sięgnął po niego.

– Śmiało, jest koszerne – uspokoił policjant.

Maluch popatrzył na wuja. Joel z aprobatą skinął głową. Dopiero wtedy chłopiec wyciągnął rękę po lizaka, ostrożnie rozwinął go z folii i włożył do buzi. Ścisnął opakowanie w piątce, bojąc się je wypuścić; bojąc się zrobić cokolwiek bez pozwolenia.

– Będzie kiedyś z ciebie dobry policjant – pochwalił Morris dziecko, biorąc od niego folię i targając mu włosy.

– Dostanę pistolet i będę mógł strzelać do złych ludzi?

– Oczywiście.

Powazną buzię chłopca rozjaśnił promienny uśmiech.

– Do widzenia, Eli – pożegnał się Johnny. – Niedługo znów cię odwiedzę.

– Następnym razem niech pan przyniesie słoniu – uśmiechnął się mały.

– Dobra. Postaram się pamiętać.

Dorośli roześmiali się, choć serca im się krajały na widok tego bystrego, kochającego i wygadanego dziecka, które – choć w swoim krótkim życiu doświadczyło niewyobrażalnego bólu i przeszło prawdziwe piekło – mimo wszystko nie straciło poczucia humoru ani ufności.

Niesamowity dzieciak, pomyślała Bina. Po czym niechętnie musiała przyznać, że ktoś go tak wychował. Kiedyś doświadczył miłości i czułości.

– Panie Whartman, proszę zadzwonić, gdyby wydarzyło się coś nowego – odezwał się Morris, pomagając Binie wstać.

– Oczywiście. Bardzo państwu dziękuję. Jest jeszcze coś. Moja siostra chciałaby zobaczyć się z dziećmi. A one też tylko o tym marzą. Okropnie czują się w rodzinach zastępczych. Tęsknią za sobą.

– Wiemy. Pracujemy nad tym, ale to nie takie proste.

– Chętnie wezmę wszystkie do siebie – zaofiarował się.

– Bardzo szlachetne z pana strony. Zajmę się tym – obiecał Johnny.

Bina czuła, że nogi wciąż odmawiają jej posłuszeństwa.

– Do zobaczenia, Eli. Jesteś bardzo, bardzo dobrym chłopcem. Ogromnie cię lubię.

Maluch odwrócił się do niej. W jego pięknych, jasnych oczach zalśniły łzy, a potem jedna po drugiej zaczęły spływać po bladych policzkach.

– Chcę zobaczyć moją imię – powiedział.

Bina ruszyła do drzwi. Potknęła się. Runęłaby na ziemię, gdyby Morris nie wyciągnął ręki. Przytrzymał ją i wyprowadził na ulicę.

Wkrótce dołączył do nich Johnny.

– Nie wiem, jak pan to wytrzymuje, panie Mann. To koszmar. Ta cała historia... Wątpię, czy udźwignę ten ciężar, czy nie zabraknie mi sił...

Morris spojrział na nią chłodno.

– Jesteś na granicy z Egiptem. Jest rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy i właśnie wypowiedzieli nam wojnę. Idą na ciebie. Wierz mi, nie masz wyjścia.

– Ale Morris, to nie jest normalna sprawa. Przecież słyszałeś, co mówiło dziecko!

Ponuro skinął głową i spojrział na Johnny'ego.

– To dopiero początek.

– Sądzi pan, że to ma związek z czarną magią? – zwróciła się do psychologa. – Chorymi rytuałami, abrakadabrami...?

– Teraz już przeginasz – przerwał jej Morris.

– Nie, wcale.

– Dlaczego? Bo dzieciak zna słowo *tikkun*? – prychnął. – Coraz częściej normalni ludzie używają go zamiennie z „dyscypliną”. Poza tym kabała to nie czarna magia.

– Kobieta, u której dzisiaj byłam, rabbanit Toledano, twierdzi, że kiedy matka przyprowadziła do niej Elego, chłopiec miał na szyi piętnaście

amuletów. Część pisanych ręcznie. Pierwszy raz takie widziała.

– Serio? – zainteresował się Johnny.

Morris nagle spoważniał.

– Jednego nie rozumiem. Co ich tak kręci w katowaniu małych dzieci?

– Oto jest pytanie. – Johnny skinął głową. Zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Ręce mu drżały.

– Powiedz, Johnny, masz dzieci?

– Trójkę. Mieszkają z matką. Najmłodsze jest mniej więcej w wieku Elego. – Zacisnął zęby. – Nie wyobrażam sobie, co bym zrobił, gdyby ktoś... Gdyby...

– Ani ja – zawtórowała mu Bina, myśląc o Ronniem i jego stópkach rozrywających murawę boiska i Lili, która płakała przy byle zadrapaniu. – Trzeba porozmawiać z najstarszym synem, Duviem. Zdaje się, że ma największy wpływ na Elego – podsunęła.

– Na całe rodzeństwo. – Morris ściągnął brwi. – Nie byłeś świadkiem pierwszego przesłuchania, ale Johnny wszystko obserwował.

– Takiego piekła jeszcze nigdy nie widziałem. – Johnny rzucił na ziemię na wół wypalonego papierosa i zgniótł go z impetem. – Dzieci wyły, rzucały się na nas. Krzyczały, że krzywdzimy ich matkę. To był zbiorowy atak hysterii. W życiu nie spotkałem dzieci w stanie aż tak głębokiej traumy. W ogóle nie chciały z nami współpracować. Musiały zostać złamane przez wyjątkowych sukinsynów.

– Eli twierdzi, że Mosziach potrafi latać – przypomniał Morris.

– I na pewno w to wierzy. – Johnny skinął głową.

– To dziecko.

– Słuchaj, Morris, mój syn Ronnie jest w podobnym wieku. Dzieciaki potrafią zmyślać, ale odróżniają prawdę od fantazji. Albo mu to wmówiono, albo...

– Co?

– Albo to widział. Albo tak mu się wydawało.

– Jedno wam powiem. Wszystkie te dzieci widziały rzeczy, które nam się nie mieszczą w głowach – dodał ponuro Johnny. – To nie ulega wątpliwości.

– A co leży u źródła tego koszmaru?

– Mosziach – mruknął Johnny. – Dzieciaki śmiertelnie się go boją.

– Kto to może być? Albo co?

– To właśnie, detektyw Cedek – odparł Morris – musimy ustalić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Daniella stała w zaparowanej łazience, pochylając się nad wanną, w której Szoszana beztrąsko chlapała się i śpiewała.

– Miałam cię umyć, tymczasem to ty fundujesz mi kąpiel – karciała córkę z udawaną surowością.

Dziewczynka aż piała z zachwytu i energicznie wymachiwała małymi rączkami, burząc wodę.

– Dość tego dobrego, Szoszano Goodman! Wystarczy! Niedługo szabas. Ima musi dokończyć przygotowania.

– Nie, ima. Zostań! – zażądała malutka.

Daniella pokręciła głową z niedowierzaniem. Jeszcze wczoraj Szoszana była noworodkiem, a teraz zbliżały się jej drugie urodziny. Potrafiła się kłócić i bronić własnego zdania. Matka uśmiechnęła się i wyciągnęła zatyczkę. Wiedziała z doświadczenia, że wraz z wodą zniknęła ochota do siedzenia w zimnej wannie i dzieci bez oporu pozwalały się wysuszyć.

Skrzypnęły drzwi wejściowe. Rozpostarła ręcznik.

– Wrócił aba. Szybciutko. Wycieramy się.

Grubym, puszystym ręcznikiem owinęła ciepłe ciało córeczki i mocno ją przytuliła. W tym wieku dzieci są jak szczeniaczki. Sama radość i niespożyta energia. *Baruch haszem!* Cóż za błogosławieństwo: zdrowe dzieci. Cóż za dar od Boga! Jej serce i dusza zanosiliły dziękczynienie do Boga Stwórcy, który tak hojnie ją obdarował.

W drodze do sypialni Szoszany zauważyła Shlomiego. Siedział na krześle kuchennym, zgarbiony, z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby kogoś opłakiwał. Serce jej się ścisnęło. Co tym razem?

– Co się stało? – spytała go, próbując powstrzymać dziecko, które usiłowało wyslizgnąć się jej z rąk.

Spojrzał na nią. Na jego twarzy malowały się ból i zagubienie.

– Nie wiem nawet... jak ci... to powiedzieć.

Ukłucie lęku, ostre niczym odłamek szkła, przebiło bańkę zadowolenia i spokoju.

– Najpierw... Muszę jeszcze... Czekaj.

Pobiegła z małą do pokoju, przebrała ją w piżamkę, choć Szoszana wrywała się i wierciła, bo chciała się jeszcze bawić. Daniella nie ustąpiła. Zawzięcie wpychała ramionka w rękawy i nóżki w nogawki, aż w końcu

dziewczynka wybuchła płaczem.

– Przepraszam, bardzo przepraszam, kochanie, ale ima nie może się teraz bawić. Musi porozmawiać z abą. – Zdjęła dziecko z łóżka, wzięła z półek kilka lalek i położyła je na dywanie. – Pobaw się chwilę. Dobrze, skarbie?

Otarła łzy z policzków córki i przyłożyła jej chusteczkę do nosa.

– Wydmuchaj.

Potem wróciła do kuchni i siadła za stołem kuchennym naprzeciwko męża. W pokoju dziennym trójka chłopców bawiła się klockami Lego, podczas gdy Amalia szykowała świece szabasowe. Miała już prawie dziesięć lat. Wyrosła na uroczą, spokojną dziewczynkę o lśniących, ciemnych włosach i błyszczących, niebieskich oczach. Dla młodszego rodzeństwa była niczym druga matka, a w Bejt Jakow stawiano ją za wzór pozostałym uczennicom.

– Ima, świece już przygotowane. Co jeszcze mam zrobić? – spytała, wsuwając głowę do kuchni.

Shlomie obejrzał się na córkę i bacznie się jej przypatrywał. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę. Amalia też to zauważyła, bo jej niewinna, radosna buzia nagle pociemniała. Pytająco popatrzyła na ojca.

Daniella szybko wkroczyła do akcji.

– Spokojnie. Aba jest... tylko smutny. Przejdzie mu. Pomóż braciom pozbierać klocki i każ im się wykąpać, dobrze?

– Tak, ima – odparła i wyszła, jeszcze raz rzucając na ojca zaniepokojone spojrzenie. Daniella zamknęła za sobą drzwi kuchni.

– Straszysz dzieci. Powiedz, w czym rzecz, Shlomie.

– Chodzi o rebege Amosa. Twierdzi, że miał wizję. Mówi, że... chce się ożenić z Amalią.

Przesłyszałam się, pomyślała, rozdziawiając ze zdumienia usta. Serce przeszył jej dreszcz zgrozy.

– Co?

– Podobno tak mu nakazały duchy. Inaczej naszą rodzinę dotknie straszliwa tragedia. Tylko tak można jej zapobiec.

Serce ścisnęło jej się w piersi, jakby dostała zawału. Wstała i na chwiejnych nogach podeszła do zlewu, odkręciła kran i nalała sobie wody. Odchyliła głowę, osuszyła szklankę i pedantycznie odstawiła ją do komory. Potem odwróciła się i oparła o krawędź zlewu tak mocno, że aż bolało. Spojrzała na męża.

– Nie skończyła nawet dziesięciu lat.

Podniósł ręce w geście bezsilności.

– Nie mówi, że od razu.

Wypuściła powietrze.

– To kiedy?

Zawahał się.

– Za kilka lat. Po jej bat micwie.

– Chce się żenić z dwunastolatką? Oszalał?

– Twierdzi, że dziewczynka w tym wieku posiada boską czystość. Że Bóg nie sprawiłby, żeby mogła wydawać na świat potomstwo, gdyby to nie był idealny moment na małżeństwo.

– To niezgodne z prawem!

– Uważa, że dzisiejszy świat jest nieczysty. Dlatego trzeba chronić ją przed jego skażeniem. Szczególnie w momencie, gdy sama osiąga pełnię czystości. Tylko tak zdoła wydać na świat dzieci obdarzone boską świętością, zrodzone z nieskazitelnej czystości. Czemu rebe Amos miałby... Po co w ogóle by to mówił, gdyby to nie była prawda? Co mogło nim kierować, jeśli nie troska o nas?

Siadła, mając wrażenie, że wszystko wokół niej wiruje, jakby znajdowała się w oku cyklonu. W środku czuła pustkę. Właśnie, co?

Jeszcze rok temu zaśmiałyby się mężowi w twarz, kazała mu iść do diabła i zabrać ze sobą rebego Amosa. Zagroziłaby, że zawiadomi policję. Obiema nogami mocno stałaby na ziemi i nic nie złamałoby jej żelaznej woli ani oporu.

Przez rok jednak wiele się zmieniło. Każdy tydzień, wykład za wykładem, tłumaczenie za tłumaczeniem, opisy mistycznego działania w świecie stopniowo zmiękczały jej umysł, który chłonał to wszystko, aż przypominał grząską, nadmiernie nasączoną glebę. Więcej. Otaczającą ją przestrzeń – niegdyś pustą i życzliwą – teraz wypełniały niewidzialne istoty niebiańskie, które stały się częścią jej rzeczywistości. Czuła ich ulotną obecność, gdy czuwały nad nią i jej rodziną. Każde wydarzenie – przypadkowo strącona na podłogę szklanka, która rozbiła się w drobny mak; palec u nogi, którym uderzyło się w ścianę; choroba lub wyzdrowienie dziecka – przypominało o ich bliskości. Teraz wszystko, co się działo, nabierało wagi, doniosłości i znaczenia. Rebe Amos – w którym oddani wyznawcy, spijający każde słowo z jego ust, widzieli świętego mistrza – niemal się już do nich wprowadził. Jemu Daniella i Shlomie zawdzięczali całą swoją wiedzę o Bogu, świętości i duchowym wzroście. Co najdziwniejsze, wszystko to, zamiast przybliżyć ją

do Boga, powodowało, że czuła, jak się od niego oddala.

– Co z tym zrobimy? – spytał Shlomie.

– Amos nie ożeni się z naszą córką. A na pewno nie z naszą dwunastoletnią córką! – oświadczyła twardo. Przez skorupę zauroczenia przebiła się dawna Daniella, która jasno przedstawiła swoje stanowisko.

– Ale jeśli odmówimy, ryzykujemy, że na naszą rodzinę spadnie jakaś tragedia. Dał do zrozumienia, że karą byłaby śmierć dziecka.

Błada jak ściana Daniella próbowała przyswoić tę informację. Ratując córkę, poświęcaliby inne dziecko? Och, czyż może być dla rodzica gorszy wybór? Rozsądek skulił się strwożony. Nagle opuściły ją cała pewność siebie i zdecydowanie. Zawładnął ją paniczny lęk.

– Zanim cokolwiek zrobimy, musimy mieć pewność – powiedziała ostrożnie.

– Pewność co do czego, Daniello?

– Że rebe Amos mówi prawdę. Że faktycznie jest święty i że jego słowa rzeczywiście pochodzą od Boga.

– Tak, musimy zyskać pewność. Ale jak?

– Ty musisz to zbadać. Dotrzeć do kogoś na jak najwyższym szczeblu. Do osoby, co do której wszyscy są zgodni, że naprawdę rozmawia z Bogiem. Niech ten człowiek przesłucha rebe Amosa. Upewni się, czy rebe mówi prawdę, czy źródło faktycznie pochodzi zza zasłony – odparła, używając znajomego eufemizmu na kontakt z duchem świętości. W Najświętszym Miejscu w świątyni jerozolimskiej, przybytku, gdzie Bóg zgodził się przebywać wśród swoich stworzeń, znajdowała się taka zasłona, parochet.

– Tak, tak – potakiwał z namysłem Shlomie. Oczy zaszklily mu się z zachwyty nad tak genialnym wyjściem. Zanim podejmą tak ważką decyzję, muszą zyskać pewność.

Dalej więc chodził na nauki rebe Amosa. Rebe Amos zaś dalej przychodził do ich mieszkania. Tyle że teraz Daniella pilnowała, by Amalii nie było wtedy w domu.

– Znów ze mną rozmawiał. Chce znać naszą odpowiedź – miesiąc później wyszeptał Shlomie do żony.

– Powiedz, że wciąż się namyślamy – poradziła. – Powiedz, żeby poczekał.

– Wspomniał, że jest też inne rozwiązanie.

Spojrzała na niego, ale unikał jej wzroku.

– Wspomniał, że zamiast z Amalią mógłby ożenić się z tobą.
– Co? Co ty bredzisz? – Dławiła się z obrzydzenia pomieszanego z lękiem.
– Jesteś moim mężem, Shlomie!

Bezradnie wzruszył ramionami.

– Ale cóż ja mogę? Skoro taka jest wola Pana...?

Próbowała zajrzeć w przestraszone oczy męża, ale uciekał wzrokiem. W tej sprawie kompletnie nie mogę na niego liczyć, uświadomiła sobie z odrazą. Mąż pokornie zgodzi się na wszystko. Przynajmniej do czasu, gdy uzna swojego mistrza za szarlatana. Czuła się bezsilna.

– Shlomie, musisz zgłębić tę sprawę. Musisz znaleźć kogoś, kto nam powie, co robić.

– Masz rację, masz rację. Tak zrobię. – Głos mu drżał.

Żyli w stanie swoistej anabiozy, ze względu na dzieci heroicznie udawali, że normalnie funkcjonują, podczas gdy nad ich głowami ciągle wisiał ten straszny miecz Damoklesa. Znaleźliśmy się w podobnej sytuacji jak bohater *Studni i wahadła* Edgara Allana Poego, myślała Daniella. Leżymy rozplaszczeni na dnie studni, a nad nami kołysze się ostre wahadło, obniżające się z każdym ruchem. Kulimy się w mroku, w panice zastanawiamy się, jak je powstrzymać albo jak uciec.

Oboje zdawali sobie sprawę, że to nie przed rebem Amosem powinni uciekać. Jeśli to, o czym mówił, faktycznie stanowiło wolę nieba, nie było dla nich ucieczki. Cokolwiek zrobią, doścignie ich przeznaczenie. Jedyne, co mogli, to wyjaśnić, czy rebe rzeczywiście otrzymał ten nakaz od Boga; czy Bóg albo aniołowie przemówili do niego, a lekarstwo, które proponował, było dla nich jedynym ratunkiem.

Shlomie całymi dniami gorączkowo rozprawiał o tym z każdym, kto był adeptem bądź mistrzem ukrytej mądrości. Jedno imię nieustannie się powtarzało. Rebe Menachem Szem Tow. Ludzie wypowiadali je z czcią i lękiem, niemal z uwielbieniem. Choć był młody, otaczała go niezwykła aura. Uchodził za niekwestionowanego Mistrza Dobrego Imienia, szczególnie uzdolnionego w dziedzinie praktycznej kabały. Do uszu Shlomiego Goodmana sączyły się niezliczone opowieści o jego cudownych uczynkach, wypowiedane szeptem pełnym nabożnej czci.

Równocześnie jednak ostrzegano, że niełatwo zyskać dostęp do nauczyciela. To on cię wybierał, nie odwrotnie. Nie można było po prostu wejść na jego nauki. Rebe Szem Tow świadomie też ograniczał do minimum

liczbę swoich chasydów. W przeciwieństwie do innych mistrzów nie zabiegał o setki słuchaczy. Naraz zbierało się u niego dziesięciu uczniów, może nawet mniej.

– Ale ja jestem zdesperowany. Naprawdę nie ma żadnego sposobu? – zaklinał Shlomie.

– Co czwartek o północy udaje się ze swoimi chasydami na grób proroka Samuela, żeby się pomodlić. Czeka tam na nich. Spróbuj, może zdołasz porozmawiać z jednym z uczniów. A któryś z nich załatwi ci posłuchanie – radzili wtajemniczeni.

Shlomie podziękował im wylewnie.

Nie powiedział o tym Danielli. Dawał tylko do zrozumienia, że już niedługo mogą otrzymać odpowiedź. Oboje byli na skraju załamania. Obawa i napięcie ich wyniszczały. Uświadomili sobie przerażeni, że dłużej tego nie zniosą. Nie mówiąc o niczym żonie, w następny czwartek Shlomie pojechał do Ramot w północnej części Jerozolimy. Za osiedlem skręcił z szosy w nieutwardzoną drogę prowadzącą do grobowca proroka Samuela. Meczet, w którym znajdował się grób, nadal górował nad okolicą. Dziewiętnastowieczni podróżnicy tłumnie przybywali na wzgórze, żeby stamtąd podziwiać niezrównaną panoramę świętego miasta.

Dochodziła północ. Shlomiego otaczał mrok ciemny jak atrament. Od czasu do czasu rozcinały go na chwilę reflektory pojedynczych samochodów podróżujących trasą Jerozolima–Tel Awiw. Jedyne źródło światła stanowiła samotna żarówka zawieszona nad grobowcem.

Shlomie maszerował na wzgórze. A choć nikogo nie widział, nie opuszczało go dziwne uczucie, że ktoś go śledzi. Raz za razem oglądał się, nasłuchiwał szelestu gałęzi kołyszących się na wietrze. W miarę jak się zbliżał, słyszał ich coraz wyraźniej. Zawodzili i wyli do księżyca w modlitewnym uniesieniu, trzęsąc się i miotając w ekstazie. Jeden z nich zauważył intruza. Odłączył się od grupy i podszedł do Shlomiego.

– Kim jesteś i czego tu szukasz, bracie? – spytał agresywnie.

Shlomie cofnął się o krok.

– Szukam boskiej rady i pocieszenia od rabina Szem Towa. Słyszałem o nim niezwykle rzeczy, bracie.

Mężczyzna skinął głową.

– Chodź.

Shlomie wtopił się w grupę. Wyjął modlitewnik i zaczął cicho odmawiać

psalmy, ale nie mógł się skupić. Nigdy jeszcze nie widział ani nie słyszał takiej modlitwy. Jakby roztopiali swoje serca i wnętrzości, wylewając je z siebie jako potok słów. Ich krzyki rozbijały obojętną maskę nocy. Shłomiego ogarnęła ekstaza, jakby cicha tajemnica niebios została rozdarta niczym kurtyna, a on mógł wejść do środka. Przymknął oczy i też zaczął krzyczeć, wyrzucając z duszy cały lęk, ból i zniechęcenie, oczyszczał ją z ropy. Uznają mnie za wariata, pomyślał. Kiedy jednak otworzył oczy, zobaczył, że wszyscy uśmiechają się do niego i z aprobatą kiwają głowami.

– Rebe Menachem usłyszał twą modlitwę, bracie. Prosi, żebyś podszedł. Shłomie nie posiadał się z radości.

Rebe okazał się niskim, ciemnowłosym mężczyzną z długimi pejsami i ciemnymi okularami.

– Mistrzu...

Ten jednak uciszył go ruchem dłoni.

– Znam twoje pytanie – oświadczył. – A odpowiedź brzmi: tak.

– Tak?

Shłomie miał wrażenie, że ktoś uderza go młotem w samo serce. Co oznaczało owo „tak”? Tak, rebe Amos powinien ożenić się z jego małą córeczką albo żoną? Tak, rebe Amos mówi prawdę, a objawił mu ją sam Bóg?

Rebe Menachem najwyraźniej zrozumiał jego rozterkę.

– Tak, pomogę ci.

Serce Shłomiego zalała ulga, niczym porywista, szeroka rzeka niosąca natychmiastową pociechę. Znowu poczuł swój oddech, który poruszał włoski w nosie, napełniał płuca.

Menachem Szem Tow spoglądał na niego zadowolony. Nawet w mroku jego oczy lśniły chłodną, księżycową poświatą.

Część druga

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Shlomie słowem nie wspomniał Danielli o Menachemie Szem Towie. Uznał, że najroztropniej będzie najpierw doprowadzić do konfrontacji Szem Towa z Amosem. Dopiero wtedy – a najchętniej świadomy już opinii Szem Towa – ujawni swojej znękaney żonie całą prawdę. Oczywiście robił to z dobroci serca. Pragnął oszczędzić jej straszliwego napięcia i cierpienia, jakich doświadczał, organizując spotkanie, które mogło zmienić ich życie.

Starał się nie myśleć, co będzie, jeśli Szem Tow uzna, że żądania rebego Amosa to faktycznie wola nieba. Sama myśl ciążyła mu niczym młyński kamień u szyi. Jeśli bowiem okaże się, że tego żąda od nich Bóg, nie będą mogli się sprzeciwić. Podobnie jak Abraham ze swoim synem Izaakiem będą musieli posłuszenie oddać swoją pierworodną za żonę. Albo wysłać zamiast niej Daniellę.

Przez jednego z chasydów Szem Towa Shlomie zaprosił *rawa*, by spotkał się z Amosem w czasie cotygodniowego nauczania w domu Goodmanów. Shlomie nie miał pojęcia, czy Szem Tow w ogóle przyjmie zaproszenie. Jak zwykle jadalnię i pokój dzienny wypełnili chasydzi rebego Amosa. Szem Towa ani widu, ani słyhu. Dokładnie w chwili, gdy rebe Amos wstał, by przemówić, rozległo się pukanie do drzwi. Daniella otworzyła. Za drzwiami stała grupa nieznanych chasydów pod przywództwem niewysokiego, krępego mężczyzny z przesadnie długimi pejsami opadającymi za ramiona. Mężczyzna miał na sobie duży czarny kapelusz i czarny satynowy surdut. Daniella zwróciła uwagę na rzadkawy zarost zdradzający młody wiek gościa, co ten nadrabiał butnym zachowaniem. Czarne, lśniące oczy patrzą ze śmiałością niestosowną dla badacza Tory, który staje przed nieznaną, przemknęło jej przez głowę. Ten tupet w połączeniu z dziwnym mrokiem, który dostrzegła w głębi jego błyszczących oczu, tak ją zmieszały, że potknęła się i spuściła wzrok. Zanim jednak zdążyła pomyśleć, co się z nią dzieje, obok wyrósł Shlomie.

– *Kawod ha-raw*, witamy w naszych progach, mistrzu – powitał, kłaniając się nisko. W jego głosie brzmiał głęboki respekt. – Zapraszam do środka.

Szem Tow zbył go przelotnym skinieniem głowy i wkroczył do eleganckiego salonu. Wzrokiem szybko objął masywną serwantkę, a w niej bogato zdobiony, srebrny lichtarz, kielichy do wina oraz inne przedmioty rytualne, drogie kotary szyte na miarę i obicia mebli, kosztowne dywany,

oryginalne dzieła sztuki. Spod przymkniętych oczu ukrytych za okularami bacznie przyglądał się młodzieńczej figurze Danielli Goodman, jej wydatnemu biustowi i szczupłutkiej talii.

Shlomie podszedł do Amosa i szepnął mu coś do ucha. Rebe poderwał głowę i popatrzył na Szem Towa. Obaj przez moment mierzyli się wzrokiem niczym dwaj czempioni szykujący się do wyjścia na ring. Potem Amos wstał z szacunkiem.

– To dla nas zaszczyt, rebe Szem Tow – przywitał go, skłaniając głowę i uśmiechając się życzliwie. – Słyszałem o panu wiele budujących historii.

– Za to ja nigdy nie słyszałem o panu – odparł bezczelnie Szem Tow.

Wszyscy znieruchomieli.

– Proszę, rebe Amos – odezwał się Shlomie, który dosłownie skurczył się w obecności tych tytanów. – Zanim rozpoczniemy, rebe Szem Tow chciałby porozmawiać z tobą na osobności.

– Z przyjemnością – wysyczał przez zaciśnięte zęby Amos, a z jego twarzy zniknął uśmiech.

Zgięty wpół Shlomie gestem zaprosił, by przeszli do gabinetu przylegającego do salonu, i zamknął za nimi drzwi.

– Co tu się wyprawia? – wyszeptała Daniella, kiedy wrócił. Nic z tego nie rozumiała i czuła tylko narastający niepokój.

– Zrobiłem to, o co prosiłaś. Znalazłem największego Mistrza Boskiego Imienia w świętym mieście. On rozezna się w sytuacji i powie nam, czy słowa rebe Amosa przychodzą z za zasłony.

Przez ułamek sekundy zaświtało jej, że ona i Shlomie właśnie przekazują obcym władzę nad swoimi dziećmi, dając im moc przesądzania o ich losie. Myśl jednak przemknęła jej przez mózg niczym błyskawica tak, że do Danielli nie zdążyło dotrzeć, jak straszliwe skutki pociąga za sobą ta nieprzemyślana, przełomowa decyzja. Wszelkie obawy zagłuszył inny głos, inna wizja, otulając ją niczym ciepłe, ojcowskie ramiona. Nic złego nie robi, uspokajał głos. Nie, to nie tamci mężczyźni wyznaczają jej przeznaczenie, lecz Bóg. Oni jedynie odsłaniają przed nią Jego wolę. Z drżeniem, czując na ramionach gęsią skórę, jak zahipnotyzowana, pełna napięcia czekała na wyrok nieba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nie trwało to długo. Drzwi się otworzyły i z gabinetu wyszedł Szem Tow. Wyraz twarzy miał nieodgadniony, z jego oczu też nie dało się nic wyczytać. Zaraz potem wynurzył się Amos. Bez słowa ruszył do drzwi wyjściowych, otworzył je i opuścił mieszkanie. Jego chasydzi zdumieni zerwali się z krzeseł i pospieszyli za nim.

– Zajrzałem za zasłonę – ogłosił Szem Tow oszołomionym słuchaczom, wśród których znajdowali się Shlomie i Daniella. – Człowiek, który każe się nazywać rebem Amosem, jest oszustem! Szarlatanem! Żeruje na niewinnych i naiwnych. Nie ma w nim świętości. Nie zasługuje na tytuł *rawa*. Nie jest ani mistrzem, ani nawet uczonym. Żadna jego nauka nie jest prawdziwa. To wszystko kłamstwa.

Daniella poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Shlomie schwycił ją i zaniósł na kanapę, gdzie położył ją, skromnie zasłaniając nogi sukienką. Menachemowi Szem Towowi nie umknął żaden szczegół: naiwny, prostoduszny mąż i szczupła, młoda kobieta leżąca na kosztownej, amerykańskiej kanapie. Zapisywał w pamięci każdy detal, każdy niuans; wszystko, co kiedyś może mu się przydać.

Ulga i wdzięczność Goodmanów wobec Menachema Szem Towa nie znały granic. Shlomie błyskawicznie porzucił dawnego mistrza i został serdecznie przyjęty do wąskiego grona chasydów Szem Towa. Niezwykle mu to pochlebiało, uważał wyróżnienie za osobisty sukces, ponieważ widział w nim dowód na swój wzrost duchowy.

Daniella, przeciwnie, kompletnie straciła wiarę w siebie i poczucie własnej wartości. Jakim cudem dała się omotać tak prymitywnemu oszustowi? Dlaczego zabrakło jej roztropności i nie przejrzała jego oszustw, wad ani podłego charakteru? Do tego stopnia, że była już niemal gotowa poświęcić swoją czystą, najdroższą Amalię i wepchnąć ją w ramiona tego zbrojczy? I siebie też! Jej przekonanie, że umie podejmować roztropne, mądre decyzje, legło w gruzach.

Co zaskakujące, ten kryzys sprawił, że zbliżyła się do Boga jak jeszcze nigdy. Będę bardziej pobożna, będę skrupulatniej przestrzegać nakazów religijnych, myślała z wdzięcznością, czując jeszcze silniejszy przymus, by przypodobać się Panu.

Przez to, zamiast ze zdwojoną ostrożnością przyglądać się cudotwórcy,

który zajął miejsce Amosa, wysławiała Pana, który w najczarniejszej godzinie życia zesłał jej i Shlomiemu prawdziwe światło: mistrza, autentycznego cadyka, drogowskaz do świętości i prawdy, który poprowadzi ich poprzez niebezpieczne ścieżki życia.

Oboje z nowym zapałem budowali swoją religijność. Shlomie przez naukę, ona przez skrupulatne przestrzeganie nakazów wiary. Mąż niemal całe dni spędzał w niedużym, zapuszczonym budynku blisko targu, który nazywali swoim *bejt midraszem*. Daniella zaś do późna w nocy czytała każdą książkę poświęconą kabale.

Mniej więcej po roku Shlomie ni z tego, ni z owego zaproponował, żeby poszukali mieszkania w Starym Mieście.

– Tam życie duchowe jest silniejsze. To wyjdzie na dobre naszym dzieciom. Zresztą żyjemy w tych szczęśliwych czasach, gdy żydzi mogą mieszkać blisko Ściany Płaczu.

Daniellę, która właśnie spodziewała się szóstego potomka, łatwo było przekonać do tego pomysłu. Laickie, snobistyczne, bogate środowisko Rechawii – w większości emeryci – traktowało ich niczym pariasów. Sąsiedzi nieustannie narzekali na hałaśliwe dzieci, papierki po cukierkach na schodach oraz rowery i wózki zagradzające przejście. Tak, potrzebujemy sympatyczniejszego, życzliwszego otoczenia, gdzie będziemy mogli swobodniej wychowywać dzieci, uznała Daniella. Dzielnica żydowska Starego Miasta, gdzie mieszkaly duże, pobożne rodziny, a wszędzie ganiały paczki hałaśliwych dzieciaków, idealnie spełniała te wymogi. Poza tym będzie tam miała więcej okazji do pogłębienia swojego życia religijnego: o każdej porze dnia i nocy odbywały się tam rozliczne spotkania przeznaczone dla kobiet.

Zaczęli więc polowanie na nowy dom. Agent pokazywał im wszystko: począwszy od ciasnych ruder, a kończąc na pałacach za wiele milionów dolarów, skąd z każdego okna rozciągał się widok na Ścianę Płaczu. Nie chcieli ani jednego, ani drugiego. Wreszcie trafili na niewielki dom z pięcioma sypialniami i z ogrodem na dachu, skąd – jeśli mocno wyciągnęło się szyję – można było zobaczyć złotą czaszę Kopyły na Skale.

– Idealne, w sam raz – zawyrokował Shlomie, krążąc po obszernym salonie połączonym z jadalnią.

Z zadowoleniem zacierał ręce. Oczami wyobraźni już widział długi stół, a na jego szczycie rebego Szem Towa, głoszącego nauki. Na razie jednak nie

dzielił się tym pomysłem z Daniellą. Podobnie jak nie wspomniał jej, że *bejt midrasz Szem Towa* wkrótce zostanie zlikwidowany, bo pobożny właściciel skromnego budynku – który ze zgrozą patrzył, jak grupka oddaje się studiom nad zakazanymi, mistycznymi tekstami praktycznej kabały, a zwłaszcza lekturze *Księgi Stworzenia* – zgorszony wypowiedział im wynajem.

Przywódcy religijni głównego nurtu judaizmu od stuleci krzywym okiem patrzyli na wysiłki wiernych, próbujących zgłębić tajemnicę stworzenia *ex nihilo*. Nie oznaczało to bynajmniej, że sami nie wierzyli w istnienie ani w skuteczność tej wiedzy. Wszak w babilońskim Talmudzie zapisano, że „w wigilię każdego szabasu uczniowie Judy ha-Nasiego, rebe Hanina i Hoszaja, mistrzowie kosmologii, przy użyciu *Księgi Stworzenia* wyczarowywali przepyszne ciele na świąteczną ucztę”. Wszak wielu wybitnych rabinów zgadzało się, że w ten sam sposób Abraham przyrządził ucztę dla trójki anielskich gości, którzy zjawili się, by przepowiedzieć cudowną ciążę Sary. Niektórzy twierdzili wręcz, że sam patriarcha jest autorem *Księgi Stworzenia*, podczas gdy zdaniem innych księgę spisał jeszcze Adam w rajskim ogrodzie.

Nawet najwięksi sceptycy przyznawali, że jest prastara, datowali ją na drugie stulecie przed naszą erą. W egzemplarzu znajdującym się w zbiorach Muzeum Brytyjskiego zatytułowanym *Prawo Stworzenia* autor przedmowy ostrzegał czytelników, że księga objawi swą mądrość jedynie prawdziwie pobożnym.

Dla współczesnego odbiorcy – bez względu na poziom jego pobożności – dzieło pozostawało równie tajemnicze.

To nie była kabała w uproszczonej wersji nauczycieli z Los Angeles, tylko starsza, głębsza odmiana, sięgająca po techniki zmierzające do ingerencji w prawa przyrody; pierwsza abrakadabra: „Dwadzieścia dwie [hebrajskie] litery. Bóg narysował je, pociął, powiązał, zważył, wymieszał i zmienił. Z tego właśnie uczynił całe stworzenie, wszystko, co przeznaczył do istnienia, z czego ma powstać byt”.

Ta święta mądrość może służyć jedynie czynieniu dobra, zapewniała księga. Golem, mityczny żydowski Frankenstein, ponoć stworzony przez Maharala z Pragi przy użyciu zaklęć z *Księgi Stworzenia*, miał chronić naród wybrany przed wrogami. Kiedy jednak golem wpadł w szal, Maharal usunął litery umieszczone na jego języku tak, że olbrzym ponownie obrócił się w glinę.

Do dziś historia golema funkcjonuje w żydowskiej tradycji jako przestroga. Nawet jeśli po kabałę sięga najbardziej uczony, najświętszy człowiek – powiada mądrość rabinów – to niebezpieczna wiedza. Dlatego należy jej absolutnie zakazać, traktować na równi z bałwochwalstwem i czarami. Przywoływanie aniołów, które nie życzą sobie, by im rozkazywano, może obrócić się przeciwko sztukmistrzowi, bo zamiast dobrych duchów przybędą demony – i to jako panowie, nie słudzy – po czym w zemście podporządkują sobie człowieka, zawładną jego duszą i ciałem.

Liderzy tacy jak Szem Tow ignorowali ostrzeżenia mędrców. Obiecywali zafascynowanym, gorliwym wyznawcom, że praktyczna kabała pomoże im zbliżyć się do Boga. Z jednym zastrzeżeniem: ich wiara musi być tak mocna, tak niezachwiana, że muszą polegać na słowie mistrza; przyjmować je z taką pewnością, jakby widzieli na własne oczy to, o czym mówił. Z takim właśnie przekonaniem wierzył Shlomie. W swoim sercu i umyśle był absolutnie pewny, że nie tylko słyszał o niezwykłych cudach, jakich rzekomo dokonywał Szem Tow, ale wręcz oglądał je na własne oczy.

Szybko jednak przestała mu wystarczać własna wiara. Jego żona i dzieci też muszą uwierzyć. Shlomie z tęsknotą wyczekiwał błogosławionego dnia, kiedy będzie mógł zapraszać Szem Towa pod dach Goodmanów, by jego rodzina kilkanaście razy w miesiącu radowała się naukami głoszonymi przez mistrza, którego wierni uczniowie coraz częściej nazywali między sobą Mesjaszem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Matka zawsze powtarzała: „Kiedy urodził się Menachem, światłość napełniła pokój”.

Była drobną kobietką, która zawsze chodziła w ciemnej, sztywnej peruce przykrytej kapeluszem albo szalem. Szem Towowie należeli do ultraortodoksyjnych sefardyjczyków, z których wierzeń i zwyczajów przyniesionych jeszcze ze starej ojczyzny drwili aszkenazyjczycy, snobistyczni przedstawiciele litewskiego odłamu judaizmu. Skrajne ugrupowania aszkenazyjczyków dufnie mieniły się jedynymi prawowitymi strażnikami najsurowszej, autentycznej wiary mojżeszowej. Oczywiście całkowicie mijali się z prawdą. Aszkenazyjskie elity z prędkością światła wedle własnego widzimisię przerabiały Torę i żydowską tradycję, tworząc paskudną, nową religię, która więcej miała wspólnego z islamem i mormonizmem niż z prastarą wiarą Hebrajczyków.

Wyobraźmy sobie zatem tę scenę tak, jak zapamiętała ją matka. Zapyziała porodówka starego szpitala Bikur Cholim przy ulicy Straussa, lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku. Prysownicowe zasłony oddzielają rodzące i wyjące z bólu kobiety, bo Towarzystwa Pielęgowania Chorych nie było stać na znieczulenie zewnątrzoponowe dla płodnych, głęboko wierzących pacjentek, które się tam zgłaszały. Ostatni krzyk, na świat wychodzi dziecko. W tej samej chwili ściany jaśnieją niczym neon. Położna chwytą powietrze, a ona w zachwyceniu – niczym trzej mędrcy z obrazów przedstawiających Boże Narodzenie, których żydówka nigdy nie widziała ani nie zobaczy – wyciąga ręce po noworodka. Szybko zapomni, że był ciemny, drobny, żylasty, że szarpał się, wymachiwał małymi rączkami i nóżkami, próbując się wyrwać z matczynych ramion. Zapamięta raczej, że lśnił niczym złoto wydarte z mrocznych, ciemnych otchłani rozpacz, w której pogrążyła się rodzina Szem Towów. Syn! Wreszcie! Po tylu córkach! Dziecko, które wyłącznie ze względu na swoją płeć otrzyma szansę, by stać się wybitnym uczonym oraz przywódcą religijnym i w ten sposób zrealizuje niespełnione marzenia ojca, osłodzi gorycz jego porażki.

Szem Towowie nie zawsze byli pobożni. Ich rodzina dotarła do Izraela w 1948 roku wraz z tłumami żydowskich uchodźców, w panice uciekających z krajów arabskich przed wzbierającą falą nienawiści muzułmańskich sąsiadów. Bez grosza przy duszy znaleźli schronienie w namiotach rozbitych

na pustyni. Z czasem nowe państwo żydowskie zapewniło im dach nad głową w paskudnych, betonowych osiedlach. Ojciec Menachema, Aaron Szem Tow, zaciągnął się do wojska i dzielnie w nim sobie radził, nawiązując przydatne znajomości, dzięki którym znalazł pracę w administracji państwowej. Tam z czasem awansował, dzięki czemu on i jego młoda rodzina mogli zamieszkać w większym lokalu blisko targu.

Dzielnica wyglądała czarująco. Typowe dla Jerozolimy kamienne budynki zbudowali na początku dwudziestego wieku żydowscy filantropi, by pomóc pobożnym, pełnym zapału, romantycznym imigrantom, którzy porzucili swoje domy i wyruszyli do Ziemi Świętej. Za malowniczymi murami jednak kryły się nędzne, wilgotne, ciemne i ciasne mieszkania. Uliczki na tyłach budynków kurczyły się, w miarę jak rozpleniały się tam chwasty: paskudne przybudówki z blachy i najtańszej siatki, zatrzymujące światło i świeże powietrze.

Aarona to nie zniechęciło. Wiedział, jak przywrócić mieszkaniu blask. Wyburzył ścianki działowe, odmalował pomieszczenia i zainstalował nowoczesny sprzęt, dzięki czemu ciemne klitki zamienił w przestronne i jasne pokoje. Nie wszyscy sąsiedzi podzielali jego optymizm. Potomkowie imigrantów z Afryki Północnej – dla których powstały te domy – powolutku, jeden po drugim wyprzedawali malownicze budynki i kupowali mieszkania w betonowych klockach na piaszczystych obrzeżach Jerozolimy. Ich miejsce zajmowali rygorystyczni, aszkenazyjscy fundamentaliści, którzy koso patrzyli na Aarona i jego sefardyjskie tradycje.

Właśnie wtedy jego żona zaczęła nosić perukę, do której z czasem dorzuciła szal. Aaron poszedł w jej ślady: kupił czarną, aksamitną jarmułkę, którą przykrywał dużym kapeluszem borsalino, ulubioną marką aszkenazyjczyków. Z czasem zaczął uczestniczyć też w lekturze świętych tekstów. Najpierw raz w tygodniu, potem codziennie. Narodziny syna Menachema uznał za nagrodę za swoją nowo odkrytą pobożność. Po cichu modlił się, by syn wyrósł na wybitnego talmudystę, wzór mądrości, gorliwości i szlachetności, światło dla swojego pokolenia, a którego blask spłynąłby również na Aarona, jego żonę i resztę rodziny, by – kiedy przyjdzie czas – dziewczęta znalazły godnych mężów.

Przez jakiś czas Aaron Szem Tow wierzył, że jego marzenia się ziszczą. Później, kiedy wokół domu tłoczyli się dziennikarze, domagający się komentarzy, odpowiedzi, wyjaśnień albo po prostu szukający kozła ofiarnego, pan Szem Tow senior tłumaczył, że Menachem intonował *Anim Zemirot* –

ostatnią modlitwę porannego nabożeństwa szabatowego – kiedy nie miał jeszcze dwóch lat, i trzeba było go stawiać na krześle, by dosięgał bimy; a w wieku trzech lat znał już na pamięć całutki pierwszy rozdział *Księgi Rodzaju*. „Zarzuty stawiane mojemu świętemu synowi to kłamstwa, ohydna potwarz – mówił dziennikarzom. – To wymysły przeciwników Menachema, jego dawnych kolegów z ławy szkolnej, zazdrosnych o jego geniusz, pobożność i niezwykle moce. Nie cofną się przed niczym, byle go oczernić, a siebie wywyżżyć. Nikt w miarę inteligentny przecież nie uwierzy w te brednie!”.

Na przykład Menachem jakoby straszył okoliczne dzieci, złośliwie spychał je ze zjeżdżalni czy huśtawki, a o zmroku rozciągał w poprzek uliczki drut kolczasty, żeby się przewróciły. Albo jakoby rwał się do bitki, ale w przeciwieństwie do innych chłopców, nie przerywał walki, gdy przeciwnik zaczął krwawić. Czy historie o tym, jakoby okręcał kociętom wokół szyi mocno naciągniętą recepturkę albo jego sprawką były zakrwawione zady psów, którym oderwano ogony. „Wszystko to – płonął świętym gniewem pan Szem Tow – są oburzające, skandaliczne oszczerstwa, w których nie ma ani krzty prawdy!”.

Gwoli wyjaśnienia, Aaron Szem Tow nie uważał syna za ideał. Skądże znowu. Tak, w pewnym momencie chłopak dał się wszystkim we znaki. Nauczyciele często narzekali na jego lenistwo, zarozumiałstwo i zastraszanie kolegów. Ale dziennikarzom nic do tego! Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby go zmienić, usprawiedliwiał się w duchu Aaron, krzywiąc się na samo wspomnienie.

To prawda. Karał Menachema surowiej, niż sam był karany przez swojego ojca. Okładanie kijem i pasem trwało znacznie dłużej, niż zamierzał, bo bezczelny smarkacz nie chciał płakać.

Nigdy nie płakał.

Nie miało znaczenia, jaką karę wymierzył ojciec. Menachem suchymi oczami, bez zmrużenia powiek patrzył prosto na oprawcę, w ten sposób obnażał jego bezsilność, prowokował, żeby bił jeszcze mocniej, aż wreszcie ten uznał swoją niemoc. Później o ten sam mur pogardy rozbijali się nauczyciele Menachema z jesziwy. Na różne sposoby próbowali naprawić jego charakter, a w końcu dawali za wygraną i oznajmiali rodzicom, że syn musi uczyć się gdzie indziej.

Wyrzucenie z jesziwy w Jerozolimie stawiało chłopaka na przegranej

pozycji. Tu rabini znali się i wymieniali informacje, nie sposób było znaleźć dla syna innej, równie prestiżowej szkoły. Rodzice nie mieli wyjścia. Ku swemu głębokiemu, nieskończonemu wstydowni musieli wysłać Menachema do placówki dla młodocianych przestępców.

Jesziwą kierował rabbi Kaban, święty człowiek na wskroś przesiąknięty mądrością kabały. Jak często podkreślał, za swoją życiową misję uważał gromadzenie zabłąkanych iskier świętości, które nie znalazły dla siebie miejsca w renomowanych instytucjach, żeby tu zajaśniały pełnym blaskiem.

Tak właśnie stało się z Menachemem, który wkroczył do szkoły otoczony charyzmą niczym lepkiem, słodkim miodem. Już pierwszego dnia rzucił na kolegów taki czar, że na każdym kroku zabiegali o jego aprobatę, nie ośmielili się zrobić niczego bez jego przyzwolenia. Potem nadszedł trudny okres, kiedy nawet w pobożnym rabbim Kabanie zrodziły się wątpliwości. Nie poddał się jednak i konsekwentnie co dzień wzywał Menachema do gabinetu na poruszające spotkania w cztery oczy, miłością i serdecznością próbując przebić się do jego duszy. Kiedy już nic nie skutkowało, groził: „Wyrzucę cię. Nie będziesz miał gdzie się podziać i upomni się o ciebie izraelska armia. Wcielą cię do wojska i wyślą na front”.

Coś w końcu musiało do chłopaka dotrzeć, bo zaszła w nim cudowna przemiana. Zaczął solidnie przykładać się do nauki. Kiedy o wpół do piątej rabbi Kaban przychodził do jesziwy, Menachem już tam był, a wieczorami często zostawał aż do północy, ślęcząc nad tekstami. Oto prawdziwie budująca historia. Rabbiemu aż serce rosło. Szybko mianował chłopaka swoim pomocnikiem, pozwalał, by uczył innych chłopców.

Wtedy wydarzyło się coś zaskakującego. Coś, czego rabbi Kaban nie mógł przewidzieć. Oto zamiast poświęcać się studiom nad Talmudem, Menachem całą uwagę skupił na *Zoharze*, głównym dziele kabały spisany w średniowieczu i przeznaczonym jedynie dla odpowiedzialnych uczonych, którzy ukończyli czterdzieści lat. Od *Zoharu* Menachem przeszedł do jeszcze bardziej ezoterycznych tekstów, takich jak *Źródło życia* Awicebrona czy *Palma Dewory* Mojżesza Kordowera, a wreszcie do *Księgi Stworzenia*.

Rabbi Kaban nie mógł już dłużej milczeć.

– Te dzieła praktycznej kabały nie są dla kogoś tak młodego jak ty – skarcił prymusa. – Zostaw je, zanim zaprosisz do swojego życia diabła.

W odpowiedzi Menachem tylko posłał mistrzowi to samo bezczelne spojrzenie, które tak drażniło jego ojca, a potem nauczycieli. Zimno patrzył mu

prosto w oczy, a na jego ustach pojawił się tajemniczy uśmiezek.

Nie zamierzał się podporządkować.

Wtedy zaczęły krążyć opowieści. O tym, jak przywołując imiona aniołów, otworzył zatrzaśnięte drzwi mykwy. O tym, jak wypowiedział zaklęcie, a między stronami książki wyrosły pieniądze. O tym, jak bez paliwa dojechał samochodem aż do grobów świętych w Meron.

Robiło się o nim coraz głośniej.

Zaniepokojony rabbi Kaban uznał, że jego prymus musi się ustatkować. Postanowił więc go ożenić. Gdy pewnego dnia zjawił się u niego zamożny kupiec szukający rady w kwestiach finansowych, mistrz nieoczekiwanie spytał, czy może ma córki na wydaniu. Tak się szczęśliwie złożyło, że miał dwie.

Starsza Rut była ładną, spokojną, bladą osiemnastolatką, która właśnie skończyła seminarium Bejt Jakow i zamierzała zostać nauczycielką. Ojciec, któremu marzył się aszkenazyjski talmudysta, bez entuzjazmu przyjął kandydaturę krępego, ciemnego sefardyjczyka. W końcu jednak ustąpił, zmęczony nieustannym naleganiem zarówno rabina, jak i córki.

Rut nigdy jeszcze nie spotkała kogoś takiego jak Menachem. Była zachwycona, oszołomiona i oczarowana. W głowie aż jej szumiało. Jakież on mądry! Jaki wykształcony! Znał tajemnice, do których bali się zagłębiać najwięksi uczeni. Stanie się przywódcą i autorytetem w środowisku badaczy Tory, ona zaś będzie jego żoną, szanowaną rebecin. O takim życiu marzyła każda pobożna dziewczyna haredi.

Huczne wesele odbyło się w dużej wynajętej sali. Stawiła się cała jesiwa. Teść zatroszczył się o młodych małżonków, choć Menachem spodziewał się czegoś bardziej wystawnego niż połówka bliźniaka na dalekich przedmieściach, godzinę od Jerozolimy. Uważał też, że należy mu się od teścia coś więcej niż skromne, miesięczne stypendium, które nawet nie pokrywało wydatków. Chcąc nie chcąc, musiał dalej udzielać lekcji, a potem do późnej nocy ślęczyć nad kabałą.

W końcu do rabiego Kabana dotarły rewelacje o kolejnych wyczynach podopiecznego: o cudownym wykorzystywaniu imion aniołów oraz świętego języka. To sprawiło, że stary, poczciwy nauczyciel poczuł się zobowiązany do działania. Zabronił Menachemowi zapuszczać się w niebezpieczne rewiry i nakazał raz na zawsze zarzucić studia nad zakazaną dziedziną.

– Jeśli będziesz przyzywał anioły po imieniu, sprowadzą ze sobą demony. Ani się obejrzysz, jak staniesz się ich sługą, nie panem – ostrzegął.

– Co ty możesz wiedzieć, staruchu? – rzucił pogardliwie Menachem, odwrócił się na pięcie i wyszedł, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Dopiero wtedy zszokowany rabin zdał sobie sprawę, jak wielki popełnił błąd. Niestety, nie mógł już go naprawić. Całkowicie zerwał stosunki z Menachem Szem Towem i zakazał uczniom kontaktów z byłym prymusem.

Ten zaś otworzył własną jesziwę w pobliskiej, dogorywającej synagodze. Członkowie wymierającej gminy mogli tylko cieszyć się, że mury niszczonego budynku znów rozbrzmiewają głosami studentów zgłębiających święte teksty. Część stanowili zafascynowani uczniowie jesziwy rabiego Kabana, którzy przeszli za Menachemem; inni ściągali ze wszystkich stron, zaintrygowani rosnącą sławą kabalisty i świętego.

On jednak nigdy nie przyjmował więcej niż dziesięciu uczniów naraz. Czy faktycznie był to jego wybór? A może u tych, którzy początkowo darzyli go bezkrytycznym podziwem, w końcu brał górę strach? Tego nie wiadomo. Tak czy inaczej, trwała nieustanna wymiana uczniów. Przychodzili nowi, a starzy odchodzili i już nie wracali. Menachem zarzekał się, że nie robi to na nim wrażenia. Na każdym kroku podkreślał, że chce mieć przy sobie tylko tych, którzy całkowicie mu zawierzą. Reszta się nie liczy. Nie znaczy nic ani dla niego, ani dla siebie. To mięczaki. Zawodne i rozchwiane, niegodne, by zgłębiać święte tajemnice wszechświata, jakie przed nimi mógł odsłonić. „Jedynie ci, których stać na żelazną dyscyplinę, jakiej wymagam, zdołają wspiąć się na duchowe wyżyny – twierdził. – Reszta na nic się przyda mnie ani świętej mądrości. To naczynia zbyt kruche, by mogły stać się zbiornikami światłości”.

Z czasem zgromadził wokół siebie wąskie grono wiernych, sprawdzonych uczniów posłusznych i gotowych na wszystko, byle dopuścił ich do swoich sekretów. Mężczyźni towarzyszyli mu, gdy pielgrzymował do grobów świętych albo przy pełni Księżyca odprawiał tajemne obrzędy w gęstych lasach okalających Jerozolimę. Co dzień byli świadkami nadprzyrodzonej mocy Menachema Szem Towa. A w każdym razie tak się zaklinali.

Jeśli ktoś odważył się wykazać odrobinę samodzielności i niezależnego myślenia, natychmiast przestawał być „wiernym sługą”, a mistrz odbierał mu swoją światłość i odwracał od niego oblicze. Ci, którzy natychmiast nie okazali skruchy, byli wywożeni do lasu i bici, a potem dyskretnie podrzucani na izbę przyjęć któregoś z jerozolimskich szpitali. Kiedy wydobrzelili, albo dobrowolnie wracali po podwójną dawkę światłości, albo przestawali być

członkami grupy.

Ci, którzy odeszli, nikomu nie zwierzali się ze swoich przeżyć. Za bardzo lękali się zemsty Szem Towa i jego nadprzyrodzonych mocy. Ci zaś, którzy zostali, pełni trwogi, szeptem opowiadali o srogiej karze spadającej na tych, którzy odważyli się sprzeciwić mistrzowi, nauczycielowi oraz na ich najbliższych: ich nerki przestawały pracować, tracili męskość, a w ich ciałach nowotwory panoszyły się niczym chwasty w ogródku. Bez końca snuli makabryczne opowieści, przerzucali się historiami o zagładzie i karze, które napełniały słuchaczy trwogą.

Przysięgali, że na ich oczach zmieniał na skrzyżowaniu światło na zielone; że na jego rozkaz wiatr porywał go w górę i przenosił; że raz za razem rzucał kośćmi i zawsze z góry mówił, jakie liczby wypadną; tych zaś, którzy domagali się pieniędzy, pytał: „Do której kieszeni? Lewej czy prawej?”, po czym odpowiednia kieszeń napełniała się gotówką. Zaklinali się, że widzieli, jak przez czterdzieści minut trzymał głowę pod wodą. Albo że położył rękę na brzuchu czyjegoś ojca i tak uwolnił go od choroby. Zarzekali się, że Aaron Szem Tow oświadczył piętnastu największym mistrzom kabały w Jerozolimie: „Oto mój syn, nowy cudotwórca”. Mistrzowie zaś wstali na jego powitanie. W ciemnych, tłocznych uliczkach w pobliżu targu, gdzie jego szkółka rozkwitała i wiewała niczym dzikie kwiaty, wszyscy zapewniali gorąco, że każda z tych opowieści jest prawdziwa.

Ludzie twierdzili, że widzieli te wydarzenia na własne oczy, albo przynajmniej usłyszeli o nich z pewnych źródeł. Wszak dla szczerze wierzącego usłyszeć o czymś oznaczało tyle, co zobaczyć to na własne oczy, czyż nie? Przysięgali, że to prawda, i wierzyli w to z równym przekonaniem, jak w prawdziwość Tory i istnienie Boga. Uczynili z tego nieodłączną część swojej wiary. Dla garstki wybrańców, którymi otoczył się Menachem Szem Tow, jego nauka stała się religią.

Niedługo po ślubie Menachem starał się zaaranżować małżeństwo siostry żony ze Szmają Hodem, jednym ze swoich oddanych uczniów. Dziewczyna jednak miała wątpliwości.

– Cały czas spędza w jesziwie z Menachemem. Siedzi tam dzień i noc. Nie takiego życia pragnę – zwierzyła się w zaufaniu Rut.

Ta natychmiast powiedziała o tym mężowi. Dzień przed wortem, przypieczętowaniem zaręczyn, Menachem polecił Szmaj, żeby odwołał wszystko, przez co boleśnie upokorzył rodzinę niedoszłej żony.

O ile teść zerwał stosunki z młodym kabalistą, o tyle Rut Szem Tow niemal obsesyjnie podkreślała swoją lojalność wobec męża. Do tego stopnia, że latami nie utrzymywała kontaktów z rodzicami i krewnymi. Trudno powiedzieć, czy później – kiedy Menachem przestał się nią interesować, a jej miłość zmieniła się w paniczny strach – nie żałowała tej decyzji. Wtedy jednak już bardzo mało zostało z dawnej Rut.

Nadeszły trudne czasy. Najpierw izraelski wywiad wykrył i udaremnił spisek studentów jesziwy, którzy zamierzali wystrzelić z granatnika przeciwpancernego w meczet Al-Aksa, by w ten sposób wywołać chaos, a w konsekwencji morderczą wojnę Goga i Magoga, która – jak uczy Talmud – poprzedzi nadejście Mesjasza.

Początkowo studenci milczeli jak grób, ale kiedy spędzili w więzieniu parę lat, języki im się rozwiązały i całą odpowiedzialność zrzucili na rawa Menachema Szem Towa. Ponieważ do zamachu nie doszło, a winni zostali postawieni przed sądem, skazani i umieszczeni w więzieniu, policja nie drążyła głębiej.

Potem inni mistrzowie zaczęli coraz głośniej narzekać: „My, którzy znamy prawdziwe zaklęcia, nigdy nie ośmielilibyśmy się po nie sięgnąć”. Nie wszyscy jednak przyznawali im rację. Powoływali się na przykład na wielkiego mistrza kabały, Baby Salego, któremu w czasie *hiluli* zabrakło araku. Sięgnął wtedy pod obszerną szatę i wyciągnął butelkę. Puścił ją w koło, a to wystarczyło, by zaspokoić pragnienie setek uczniów przybyłych na uroczystość. Inni twierdzili, że wielowiekowa tradycja zezwala korzystać z praktycznej kabały w celu leczenia chorych albo znalezienia partnera samotnym. Lecz nawet oni przyznawali, że ten, kto posłuży się nią w niegodnych celach, słono za to zapłaci.

A choć niektórzy nazywali później Menachema Szem Towa psychopatą, nie brakowało takich, którzy w jego losach znaleźli dowód na to, że demony, które wezwał, by mu służyły, opętały go i zmusiły, by to on wypełniał ich wolę. Obie teorie równie dobrze tłumaczą to, co wydarzyło się, gdy kabalista wkroczył w życie Shlomiego i Danielli Goodmanów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Bina i Morris właśnie zwątpili, że zdołają złamać Hoda albo Goldschmidta, kiedy na posterunek w Galilei zadzwonił ktoś, kto mówił po hebrajsku z tak silnym amerykańskim akcentem, że funkcjonariuszom wydawało się, że słyszą angielski. Okazało się jednak, że to mieszanka obu języków.

– *Very* potrzebne *help* w zatrzymanie obywatelskie. *Very* szybko!

Kiedy czterdzieści minut później policjant dotarł na miejsce, on i jego partner zobaczyli dwóch szamoczących się mężczyzn, chyba chasydów – jednego w bieli, drugiego w czerni – brodatych, z długimi pejsami. Obaj wyglądali, jakby dostali niezły łomot. Czarny miał podbite oczy, a z nosa płynęła mu krew. Leżał na ziemi, podczas gdy biały – z podrapaną twarzą – wbijał but w jego brzuch, wcześniej wymierzywszy mu kilka kopniaków w pośladki.

Policjanci rozdzielili ich, skuli i wepchnęli do radiowozu, po czym zawieźli na posterunek do wtóru protestów białego. Mężczyzna, jak twierdził, nazywał się Shlomie Goodman, a tamten skrzywdził jego dzieci mieszkające w Jerozolimie i był poszukiwany przez policję. Czarny z kolei utrzymywał, że został brutalnie zaatakowany, i domagał się wypuszczenia na wolność.

Ku zaskoczeniu funkcjonariuszy okazało się, że to biały mówił prawdę.

– Nigdy nie uwierzysz, Bina! – Morris wpadł z radosną nowiną. – W Karmielu aresztowali Kuniego Batlana!

– Jakim cudem go dopadli?

– Niesamowita historia. Shlomie Goodman odkrył w sobie Supermana. Znalazł gościa, skopał go jak psa i wezwał policję.

Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. Czy w tej sprawie kiedyś skończą się niespodzianki? W pewnym sensie była niemile zaskoczona. To, że w ojcu nagle odezwało się sumienie, zmuszało ją do zmiany opinii na jego temat. Może jednak nie udawał? Może po prostu był bezbrzeżnie naiwny? To jedyne usprawiedliwienie jego biernej zgody na to, co spotkało dzieci, a ona cholernie nie chciała tego przyjąć do wiadomości, bo musiałaby skreślić go ze swojej czarnej listy.

Całe jego postępowanie – oprócz bójki – kłóciło się z jej wyobrazeniami o roli mężczyzny, który powinien być odpowiedzialny, troszczyć się o żonę i dzieci, bronić ich i zapewnić jak najlepszy byt. Czyżby jednak Shlomiego

Goodmana nie należało spisywać na straty?

- Jak szybko przywiozą tu Batlana?
- Kiedy przebiją się przez korki na szóstce.
- Korki? Każ im włączyć syreny i niech tu migiem przyjadą!

*

Kuni Batlan w niczym nie przypominał ani Hoda, ani Goldschmidta. Wysoki, szczupły, w doskonale skrojonym czarnym surducie, starannie ogolony, długie pejsy miał wsunięte pod drogi kapelusz borsalino. W przeciwieństwie do tamtej dwójki był też wyraźnie wstrząśnięty. Przypominał młodą witkę nieprzywykłą do wichrów i burz, która mogła się złamać przy najlżejszym podmuchu. Nie muszę ostro atakować, pomyślała. Wystarczy dmuchnąć lekko jak na urodzinową świeczkę.

- Co za śliwa. – Uśmiechnęła się współczująco.

Wyglądał na zaskoczony przyjaznym tonem. Spojrzał na nią uważnie.

- Jestem obywatelem Izraela. Shlomie Goodman mnie zaatakował.

Powinien zostać aresztowany.

- Oczywiście, panie Batlan. Zapewniam, że się tym zajmę. I osobiście dopilnuję, by został pan potraktowany dokładnie tak, jak na to zasłużył.

- Czyli wypuścicie mnie?

- Nie rozpędzajmy się tak. Jeśli da nam pan coś, co uznamy za przydatne...

Może zaczniemy od kilku pytań? Zgoda? – Znowu się uśmiechnęła.

- Oczywiście. Chętnie pomogę.

– Jak panu wiadomo, dzieci pana Goodmana odniosły pewne obrażenia i prowadzimy dochodzenie w tej sprawie. Gdyby zechciał pan coś więcej mi o tym powiedzieć, policja z pewnością doceniłaby pańską pomoc – zaczęła.

Skinął głową.

- Zdaje się, że wybuchł pożar...

– Nie – od razu weszła mu w słowo. – Już ustaliliśmy, że nie było żadnego ognia. Chłopaka przyciśnięto do spirali grzejnika i trzymano tak długo, aż zeszła mu skóra. Potem ktoś wtarł w ranę sól, dodatkowo polał alkoholem i zmusił dziecko, by włożyło buty.

– To nie ja! Nie zrobiłbym czegoś takiego! Za nic w świecie bym nie zrobił...

- Mamy dowody, że zajmował się pan Menchiem Goodmanem.

Trząśł się tak, jakby za chwilę miał się rozpaść na kawałki.

- Podać panu wody?

– Tak, poproszę.

Z trudem trzymał szklankę w drżącej dłoni. Woda chlustała ze szkła, zanim w końcu zdołał wypić łyk. Przełknął z wysiłkiem, jakby próbował przepchnąć przez gardło gigantyczną pigułkę. Potem ostrożnie odstawił szklankę.

– Nie wiem, co wam powiedzieli, ale to nie był mój pomysł. Sam z własnej woli nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

– Czego, mianowicie, panie Batlan?

– Tego, co jak twierdzą, zrobiłem Menchiemu... I reszcie.

– Mianowicie?

– Przecież pani wie. Tego, co wam powiedzieli. Teraz próbują zrzucić na mnie całą winę. Ale odpowiedzialność za to wszystko ponosi tylko jeden człowiek. Menachem Szem Tow.

Zachłysnęła się, ale szybko zapanowała nad sobą.

– A któż to taki? – spytała obojętnie.

Umilkł, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.

– To znaczy, że dopiero ja... Że ani matka, ani dzieci... nikt nie wspomniał...? – Widać było, jak ogarnia go panika, gdy uświadomił sobie skalę swojego błędu. Ale nie miał już odwrotu. – Nazywaliśmy go Mesjaszem. Był naszym rebem, naszym nauczycielem. Wszystko, co robiliśmy, robiliśmy na jego rozkaz. Zmuszał nas.

– W jakim sensie zmuszał?

– Baliśmy się go! Widzieliśmy, jak traktował tych, którzy go nie słuchali. Nie chcieliśmy, żeby i nas to spotkało.

– Powiedz, co robiliście z polecenia Szem Towa.

– Twierdził, że dzieci są opętane. Że diabeł wziął je w posiadanie, że żyje w nich *jecer hara*, skłonność do złego, i trzeba je „naprawić”. Wystarczyło, że skinął głową, a wiedzieliśmy, co należy uczynić.

– Czyli co, konkretnie? – spytała spokojnie, choć niedobrze jej się robiło na samą myśl.

Czuła się, jakby miała otworzyć probówkę z jakimś świństwem w laboratorium pełnym cuchnących trupów. Zrozumiała, że tak naprawdę nie chce wiedzieć. Nie chce zostać skażona tą odrażającą wiedzą. Broni się przed nią tak samo jak ci, którzy nie chcą słuchać o koszmarnych pomysłach i niewyczerpanej „inwencji” hitlerowców. To nieodwracalnie zmienia postrzeganie świata i rodzaju ludzkiego.

– Kazał im godzinami stać bez ruchu. Kiedy próbowały usiąść, bito je

kijami i okładano pięściami. Niektóre nawet straciły zęby. Kazał nam zamykać je w piwnicy, czasem nie pozwalał im spać. Zmuszał, byśmy poili je arakiem, aż zwymiotują i wyrzucą z siebie szatana... – Otarł czoło skroplone potem.

Bina milczała przez parę minut.

– A zatem – odezwała się nagle – torturowałeś dzieci, żeby ratować własny tyłek, ty nic niewart tchórze? Tak? Do tego to się sprowadzało? – podniosła głos.

Był zdumiony tą niespodziewaną przemianą. Zupełnie jakby dochodzenie przejął ktoś inny. Ktoś, kto chciał go skrzywdzić. Nerwowo wiercił się na krześle.

– Nie, nie. Nie myśleliśmy w ten sposób. Tłumaczył, że tak pomagamy dzieciom. Matka też tego chciała! Widziała, co się dzieje, i milczała! My tylko wykonywaliśmy polecenia. Ni mniej, ni więcej! Czuliśmy się wyróżnieni, pomagając mu w jego dziele. To tak, jakbyśmy wypełniali przykazania Boże. My tylko wykonywaliśmy rozkazy!

Słyszając tę jakże znajomą frazę, poczuła, że brakuje jej powietrza. Gdzie on się uchował, że nie dostrzegał oczywistej konotacji? Nigdy nie słyszał o procesie Eichmanna? Nie czytał zeznań esesmanów? Naprawdę był aż takim ignorantem? Nieświadomym historii świata i własnego narodu?

– Zresztą, to Szem Tow najgorzej traktował dzieci. Ja tylko je trzymałem, kiedy bił. Wpadał w szal, gdy dostrzegł u któregoś z nich skłonność do złego. Tłukł je tak, jak tłucze się diabła albo dzikie zwierzę. A kiedy wykorzystywał je do obrzędów kabalistycznych, nikogo nie wpuszczał do środka. Jeśli szukacie winnego, szukajcie Szem Towa, szukajcie matki, szukajcie Shlomiego Goodmana!

Głowa jej pękała, z trudem hamowała wymioty. Obiad podchodził jej do gardła, ale opanowała się i sięgnęła po długopis.

– A gdzie mieszka Menachem Szem Tow?

– W górach tuż za Jerozolimą, w Bet Szemesz.

Żadna niespodzianka, pomyślała chmurno. Okolicę upodobali sobie fundamentaliści. Ileż to razy wzywano policję, by chroniła dziewczynki przed napaściami ze strony dorosłych mężczyzn, którzy obrzucali je wyzwiskami i kamieniami, ponieważ uważali, że te pięcio-, sześćoletnie dzieci są nieskromnie ubrane. Ileż razy funkcjonariusze musieli ratować kobiety atakowane w biały dzień, bo spod szala wymknął się kosmyk włosów. Morris nazywał Bet Szemesz „małym Teheranem”. „Te typki niczym nie różnią się od

mułów”, powtarzał.

Idealne miejsce dla kogoś takiego jak Menachem Szem Tow.

– Podasz dokładny adres?

Zapisała. Nie było chwili do stracenia.

– To mogę już iść, pani detektyw?

Uśmiechnął się przymilnie. Marzyła, żeby kosiarką wyciąć mu z twarzy ten wazeliniarski grymas. Niemożliwe, a jednak. Naprawdę był aż takim ignorantem.

– Przykro mi, to nie zależy ode mnie.

– Ale obiecała pani, że jeśli będę współpracował, jeśli powiem coś przydatnego...

– Przykro mi – powtórzyła. – Ja tylko wykonuję rozkazy.

Skinęła głową do kolegów stojących po drugiej stronie lustra weneckiego. Dwóch masywnych policjantów – w cywilu ojców – z hukiem otworzyło drzwi. Poderwali Batlana i nie cackając się, zatrzasnęli mu kajdanki na plecach. Nieco wyżej i ciaśniej niż to konieczne. Twarz mu pobladła, gdy zaczęli go wlec z powrotem do celi.

Morris już stał w korytarzu, czekając na Binę.

– Wezwiemy posiłki.

Z wyjącymi syrenami i migoczącymi kogutami mknęli przez popołudniowe korki do trasy Jerozolima–Tel Awiw. Towarzyszyły im jeszcze cztery radiowozy. Ludzie wyprowadzający psy albo spacerujący z wózkami przystawali i odprowadzali ich pełnym niepokoju wzrokiem. Czyżby jakiś atak terrorystyczny, o którym jeszcze nie poinformowano? Po dwudziestu minutach konwój piął się wąską drogą wśród drzew do Bet Szemesz. Na polecenie Morrisa policjanci wyłączyli syreny i koguty, by nie zwracać na siebie uwagi.

Szybko znaleźli dom. Skromny bliźniak, z pustym gankiem odcinającym się na tle innych zawalonych czerwonymi rowerami, kolorowymi domkami albo różowymi wózkami dla lalek.

Drzwi otworzyła kobieta. Niska, otyła, z przytłaczającym, dużym turbanem efektownie zawiązanym na głowie. Miała na sobie burą sukienkę do kostek z rękawami zsuwającymi się na dłonie. Dziwne, ale nie wydawała się zaskoczona widokiem szóstki policjantów.

– Czego chcecie? – warknęła agresywnie.

– Kim pani jest? – spytała Bina, odpychając ją i wchodząc do środka.

Usłyszała zawodzenie niemowlęcia. Kątem oka zarejestrowała dwójkę

dzieci bawiących się pluszakami zaścielającymi podłogę salonu. Rozglądając się za płaczącym maluchem, dopiero po chwili zauważyła prowadzące na górę schody przykryte podniszczoną wykładziną.

– Jestem rebecin Rut Szem Tow. Jak śmiecie wdzierać się do mojego domu? Czego chcecie?

– My tu zadajemy pytania! Gdzie twój mąż?! – ryknęła Bina.

Zaatakowana kobieta błyskawicznie spokorniała.

– Jest... Nie ma go... w tym momencie.

– Kiedy wróci?

– Nie jestem pewna.

– Możesz po niego zadzwonić?

– Nie wiem, gdzie teraz jest.

– Zadzwoń do niego, rebecin.

– Mój mąż to święty. Nie ma komórki.

Płacz dziecka przybrał na sile, ale – zauważyła Bina, czując na plecach lodowaty dreszcz – po Rut Szem Tow spływało to jak woda po kaczce. Przyjrzała się dzieciom na podłodze. Ciemnowłose, nerwowy, pewnie czteroletni chłopczyk z długimi pejsami siedział wśród puzzli i klocków Lego, bawiąc się nimi apatycznie. Jego towarzyszka, drobna dziewczynka, bezgłośnie tuliła do siebie lalkę. Żadne nie zareagowało na wejście gości: nie zadarło głowy, nie uśmiechnęło się ani nie okazało naturalnej, dziecięcej ciekawości na widok obcych. Jedno i drugie wydawało się dziwnie zubożniałe, oderwane od rzeczywistości. Żołądek jej się zacisnął na myśl, ile musiały przejść, że całkowicie zatraciły wrodzoną spontaniczność.

– To nakaz rewizji. Radzę z nami współpracować – oświadczył Morris i wręczył Rut dokument.

Kobieta zmierzyła go wzrokiem i nagle odzyskała zadziorność. Zbyła go machnięciem ręki, nawet nie sięgnęła po dokument.

– Nie macie prawa wdzierać się tu ani mi grozić! Zadzwonię po prawnika!

– Twoje dziecko płacze – zwróciła jej uwagę Bina.

Nadażana kobieta poszła po niemowlę.

Policjanci rozpięzchli się po budynku, by przeszukać pokoje. Do salonu przylegało małe, ciemne pomieszczenie zavalone książkami. Na środku stała kanapa, na ścianach wisiały kabalistyczne symbole: Drzewo Życia, *hamsa*, plakaty z wizerunkami brodatych uczonych. Bina otuliła się ramionami, czując nagły dotyk chłodu i wilgoci.

Wtem oniemiała.

– Morris, chodź szybko.

Staął obok niej i zobaczył wiszący na ścianie elektryczny grzejnik z rozpaloną do czerwoności spiralą. Skrzywił się.

– A ty lepiej chodź do salonu, Bina.

Tam na stole leżała bateria młotków, noży, sznurów, plastikowych pasków, metalowych kajdanek, terpentyny, alkoholu, broni palnej, grzejników różnej wielkości, butelek araku. Wszystko to policjanci znaleźli już w trakcie powierzchniowej rewizji. Oczami wyobraźni Bina zobaczyła swoją córeczkę Lilę, jej delikatną skórę, na której tak łatwo pojawiały się siniaki i zadrapania. Zrobiło się jej niedobrze.

Wtem pojawiła się Rut Szem Tow z niemowlęciem.

– Nie macie w domu noża ani młotka?! – wydarła się, patrząc na zebrane przedmioty. – Nie macie grzejników? Nie pijecie araku? Pomagaliśmy Goodmanom! Opiekowaliśmy się nimi z dobroci serca, bez żadnych złych zamiarów!

– Proszę opowiedzieć dokładniej – łagodnie zaproponował Morris, ruchem ręki pokazując, że może usiąść na kanapie.

Umościła się niespiesznie.

– Zamieszkali u nas. Próbowaliśmy ich ratować przed stukniętym ojcem, który całe dni spędzał na cmentarzach. Kładł się na grobach świętych i modlił się do nich. A w końcu dał nogę i zostawił rodzinę bez grosza przy duszy! Mój mąż przygarnął ich, udzielił im schronienia. Mieszkali tutaj długie miesiące. I kto karmił te dzieci? Ja! Kto sprawdzał, czy nie mają wszy, podczas gdy ich mamuśka hulała po centrach handlowych? Ja i mój mąż.

– Rozumiem. Godna podziwu wielkoduszość. Zwłaszcza z pani strony. W końcu ma pani trójkę własnych dzieci. A tamte pewnie dawały w kość? Czy kiedykolwiek musiała pani je skarcić? – delikatnie drążył Morris.

Odwróciła się do niego z wdzięcznością, najwyraźniej dostrzegając w nim sprzymierzeńca.

– Och, dawały, i to jak. Były okropne. Niezdyscyplinowane, nieokiełznane. Nie to, co moje dzieci. My jednak staraliśmy się wychować je jedynie osobistym przykładem mojego męża, wykształconego, oddanego człowieka jaśniejącego wewnętrznym światłem! Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę okazywaliśmy tym dzieciom miłość, przytulaliśmy je i całowaliśmy jak własne. Chronicznie nie dosypialiśmy. Całymi dniami gotowaliśmy,

sprzątaliśmy po nich, praliśmy ich rzeczy... Ja, mój mąż i grupka przyjaciół. Pracowaliśmy wspólnie z radością i w harmonii. My tu uznajemy tylko wychowanie przez miłość.

Mówiła sztucznie. Widać było, że na co dzień posługuje się innym językiem. Recytowała wyuczoną lekcję. To nie ma nic wspólnego z naturalną rozmową, myślała Bina.

– A Daniella Goodman? Co pani o niej sądzi? – zapytał Morris.

Kobieta się zawahała. Potok słów nagle się urwał.

– Była moją serdeczną przyjaciółką – powiedziała ostrożnie po długiej chwili milczenia. – Wciąż ją Kocham. Ale zbyt głęboko weszła w nasze życie.

– A jej mąż, Shlomie? Jego też nazwałaby pani dobrym przyjacielem? Ściągnęła brwi.

– Nie znosiłam go od pierwszej chwili. Te idiotyczne białe szaty. Czego chciał w ten sposób dowieść? To strój odpowiedni na Jom Kippur!

Prawdziwie wierzący nie muszą paradować w głupich przebraniach. Zjawił się u nas jako przyjaciel i uczeń. Mój mąż, który jest naprawdę świętym człowiekiem, próbował pomóc jemu i jego żonie, starał się uratować ich związek. A ci jak się odwdzięczyli? Ściągnęli na nas zagładę!

– Może pani opowiedzieć nam jeszcze o Kunim Batlanie, Szmai Hodzie i Issacharze Goldschmidcie?

Dziecko znów zaczęło rozpaczliwie płakać.

– Ja... Najpierw dziecko. Musi zjeść. Wciąż karmię piersią.

– Proszę się nie krępować. Nam to nie przeszkadza – uspokoiła Bina. – Możesz zarzucić na ramię pieluchę i karmić, nie narażając na szwank skromności.

Kobieta poczerwieniała jak burak.

– Zrobię to po swojemu.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Bina poszła na piętro. Znajdowały się tam cztery sypialnie. W pierwszych dwóch stały po dwa komplety rozsuwanych łóżek. W trzeciej dwa podwójne i niemowlęce łóżeczko. W czwartej zaś jedno pojedyncze. Do tego jeszcze należało dodać dwie maciupęńkie łazienki. I na tym koniec. Dla dziesięciorga dzieci i dwóch par małżeńskich, pomyślała Bina. Dlaczego Daniella Goodman zgodziła się zamienić piękne, przestronne mieszkanie w Starym Mieście na ten ciasny dom obcych ludzi? Nawet jeśli rozwiodła się z mężem. Dlaczego nie została tam z dziećmi? Co pchnęło ją do tak radykalnej, irracjonalnej decyzji?

I jakim cudem Rut Szem Tow zaakceptowała ten układ? Nic się tu nie układało w logiczną całość.

W pokoju z niemowlęcym łóżeczkiem leżały porozrzucone walizki. Bina zajrzała do środka. Zobaczyła ciemną, czerwonawą plamę. Krew? – zastanawiała się, wyjmując podręczny zestaw do zabezpieczania materiału biologicznego, po czym pobrała próbkę. Na dole pod schodami znalazła ciemny ciasny schowek, ale oderwało ją wołanie Morrisa.

– Bina, chodź szybko! Musisz na to spojrzeć.

Pokazał jej dziesięć notesów w grubej oprawie, wypełnionych ścisłym, odręcznym pismem.

– Nie uwierzysz własnym oczom! Przeczytaj tutaj. – Dźgnął palcem w hebrajski tekst.

*

Pytanie: W kwestii uczuć rabbiego Szem Towa do Danielli oraz zgonu Shlomiego. Czy ma się to stać tak, jak widział to w myślach mój rabbi i nauczyciel? Mianowicie, że Shlomie da żonie list rozwodowy, po czym uda się w odległe miejsce, gdzie popełni samobójstwo?

Odpowiedź: Jest w tym prawda.

Pytanie: Czy w niebie panuje radość z powodu rozwoju sytuacji między rabbim Szem Towem a Daniellą?

Odpowiedź: W niebie zapanowała wielka radość.

Pytanie: Co żona rabbiego sądzi o sytuacji z Daniellą?

Odpowiedź: Żywi pewne podejrzenia.

Pytanie: Czy rabbi i nauczyciel powinien ożenić się z Daniellą?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: A co z jej mężem, Shlomiem?

Odpowiedź: Odejdzie z tego świata.

*

Rut Szem Tow wróciła do pokoju z dzieckiem na ramieniu. Bina zatrzasnęła notes. Przyjrzała się kobiecie: sympatyczna, młodzieńcza twarz, a jednak zamrożona, jakby Rut była królewną z bajki, na którą czarownica rzuciła zły urok.

– Rebecin, pytam jeszcze raz. Gdzie twój mąż? – Tym razem Morris wcielił się w złego glinę.

Z jego twarzy zniknął wyraz dobrotliwego tatuśka. Wyglądał surowo, groźnie, jak ktoś, z kim lepiej nie zadzierać. Bina jak zahipnotyzowana

przyglądała się tej przemianie.

– Nie wiem... Trudno powiedzieć – odparła wolno Rut z miną pełną samozadowolenia.

– Wiemy doskonale, co ty, twój mąż i wasi kamraci zrobiliście tym bezbronnym dzieciom! – wybuchła Bina. – Jak je torturowaliście, biliście, głodziliście, przypiekaliście! Menchie jest w śpiączce! Zostaniesz oskarżona o współudział w usiłowaniu zabójstwa! Wasze dzieci stracą oboje rodziców!

– Wiecie doskonale, co się wydarzyło? A kto wam powiedział? Menchie? A może malutki? – drwiła, odwracając się od Morrisa i pogardliwie śmiejąc Binie w twarz. Znowu obróciła się do Morrisa. – Tak, mój mąż wyjechał. Wiedział, że te małe, opętane gnojki nakłamią o nim! Nie wolno wierzyć w ani jedno słowo tych smarkaczy! Diabły wcielone! Kłamią! Znam je lepiej niż wy! Miesiącami musiałam znosić ich obecność! Ale dzięki Bogu, przyjechaliście za późno! Nigdy nie znajdziecie mojego świętego męża! – triumfowała.

Morris błyskawicznie wybierał numer.

– Skontaktujcie się ze strażą graniczną na lotnisku Ben Gurion. Sprawdźcie, czy w ostatnich dniach kraj opuścił niejaki Menachem Szem Tow.

Kilka minut później jego komórka zadzwoniła. Słuchał przez chwilę, po czym się rozłączył.

– Za późno. Wyjechał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Żyło im się dobrze, och, jak dobrze. Mieli piękny dom w Starym Mieście, nie musieli się martwić o pieniądze. Shlomie większość czasu spędzał na studiowaniu Tory. Tak w każdym razie twierdził. Daniella nigdy nie dociekała, co to właściwie znaczy. Wystarczało jej, że znalazł sobie jakieś pożyteczne zajęcie, które przynosiło mu zadowolenie. Wiedziała, że uczy się u Menachema Szem Towa, najpierw w jesziwie przy szuku, a kiedy tę w niejasnych okolicznościach zlikwidowano, w domu Szem Towa w Bet Szemesz.

Shlomie był więcej niż zadowolony. Nie posiadał się z radości, że został dopuszczony do wąskiego kręgu najbliższych współpracowników świętego nauczyciela. Ogromnie pochlebiało mu i podnosiło na duchu, kiedy grupa zapraszała go na hałaśliwe sesje modlitewne organizowane o północy w ciemnym lesie albo na pielgrzymki do świętych grobów w Meron i Safed lub na wspólne posiłki z Szem Towem, kiedy święty nauczyciel opowiadał o swoich najnowszych cudach, a jego chasydzi potwierdzali każde słowo, przysięgając, że widzieli to wszystko na własne oczy. Kiedy zaś Szem Tow wspomniał, że rządowi biurokraci, świętokradcy, odcięli go od pieniędzy, Shlomie bez szemrania co miesiąc wystawiał czek, by mistrz mógł kontynuować swoją świętą misję. Nigdy nie pytał, na co przeznaczano pieniądze. To była ich dziesięcina. Dziesiąta część dochodu z odsetek od spadku, który dostała jego żona. Mniej, niż płacili za dom. Na koncie i tak zostawało znacznie więcej, tłumaczył sobie.

Danielli nie przeszkadzało, że Shlomie płacił dziesięcinę, choć sam nie pracował. Dziesięcina z założenia stanowiła nadwyżkę ofiarowaną przez Boga, więc tak naprawdę nigdy nie należała do człowieka. Należało przeznaczyć ją na szlachetne cele. Ale raz Daniella zwróciła mężowi uwagę.

– Może powinniśmy przekazywać te pieniądze na cele dobroczynne, zamiast dawać wszystko jednemu człowiekowi?

– Przekazujemy je tam, gdzie przyniosą największy owoc – zapewnił Shlomie. – Wspierając cadyka, przybliżamy królestwo pokoju na Ziemi.

Daniella znów spodziewała się dziecka. W ostatnich miesiącach szóstej ciąży, kiedy czuła się wyjątkowo zmęczona i ociężała, zaczęło jej przeszkadzać, że Shlomie spędza tyle czasu poza domem.

– Kiedyś przynajmniej pomagałeś kłaść je spać i zajmowałeś się

zakupami. Teraz nie robisz już nic! Wiesz, jak ciężko pochyłać się z takim brzuchem nad wanną i kąpać dziecko za dzieckiem? Maluchy zapomną, jak wygląda ich ojciec.

– Reb Szem Tow naucza, że w prawdziwie pobożnej rodzinie istnieje podział obowiązków. Mężczyzna zdobywa wiedzę, a kobieta zajmuje się domem. Mąż ma ważniejsze zajęcia niż chlapanie się w mydlinach albo wybieranie pomidorów na targu – oświadczył z wyższością z pozycji autorytetu duchowego.

Cóż miała odpowiedzieć, żeby nie wyjść na kobietę, która straciła siłę moralną i zdradziła najświętsze wartości? Zresztą takie poglądy obowiązywały w nowym kręgu przyjaciół. Kim była, aby je podważać? A choć usilnie próbowała odkryć radość w spełnianiu woli Bożej i pociechę we wzniosłych myślach, jej duszę powoli, jedna po drugiej, zatruiły kropelki rozgoryczenia i żalu do męża.

Dziecko urodziło się tuż przed Paschą. Shlomie nie mógł się nacieszyć nowym synem, którego postanowił nazwać Menachemem. Tu jednak Daniella się zbuntowała. To ich pierwsze dziecko po śmierci babci. Chce, by nosiło imię, które będzie o niej przypominać. Była zaskoczona, gdy – zwykle ustępliwy – Shlomie obstawał przy swoim. A jeszcze bardziej zdumiało ją, jak zaciekle się broniła, atakując bezpardonowo.

– Kto najwięcej dla ciebie zrobił? I dla twojego rebego Menachema skądinąd też? Ona! Obaj pasożytujecie na jej pieniądzach! Moich pieniądzach! Ja wybieram imię dla syna i na twoim miejscu nie próbowałabym podskakiwać, Shlomie! Nie jesteś aż tak niezastąpiony, jak ci się wydaje!

Był wstrząśnięty, dotknięty do żywego. Ale skapitulował w kwestii imienia.

Ostatecznie wybrali imię Eliasza, najbliższy męski odpowiednik Elizabeth. Wszyscy zwracali uwagę, jak bardzo chłopczyk przypomina ojca.

– Tak samo jak Izaak wyglądał zupełnie jak Abraham, żeby nikt nie wątpił, kto jest jego ojcem, chociaż Sarę zmuszono do współżycia z Abimelekiem – powtarzali, kręcąc głowami, zdumieni tym uderzającym podobieństwem.

Szem Tow, któremu powierzyli szaczną rolę sandaka, też dostrzegł niezwykle podobieństwo chłopczyka do ojca i w jego sercu zrodziła się gorąca nienawiść do dziecka.

– Widzisz? Obrzyli się – syknął Shlomie do żony, kuląc się pod lodowatym wzrokiem mistrza, gdy ten usłyszał, jakie imię wybrali dla syna.

Wzruszyła ramionami.

– Założę się, że mu przejdzie, kiedy wręczysz mu kolejny czek na okrągłą sumkę – odparła kąśliwie.

Choć obrzezaniu towarzyszyło wystawne przyjęcie z cateringiem, sama uroczystość była smutna, przyznawała w duchu Daniella. Joelowi i Esther właśnie urodziło się dziecko, więc nie mogli przyjechać. W ostatniej chwili zadzwonił ojciec, by przeprosić, że dopadła go grypa i też nie zdoła dotrzeć. Daniella podejrzewała, że to nie zdrowie szwankowało, lecz finanse. Ojcu, a zwłaszcza jego pazernej żonie, szkoda było pieniędzy na bilet lotniczy i pokój hotelowy. Rodzice Shlomiego po raz kolejny się wymigali. Do tej pory tylko raz odwiedzili w Izraelu wnuki: po urodzeniu Szoszany. Daniella właściwie nie mogła mieć do nich żalu. Shlomie nigdy do nich nie dzwonił, nie pamiętał o ich urodzinach ani rocznicach ślubu. Nudzili go. Jeśli zaś chodziło o Claire, ona i Daniella wciąż ze sobą nie rozmawiały.

Daniella żałowała, że nie może zaprosić Essie z Johanem ani pozostałych przyjaciół z Jahalom, ale swoją ucieczką z osady spalili za sobą mosty. Gdy rozglądała się po sali, uświadomiła sobie, że niepostrzeżenie na ich najbliższych znajomych wyrosli ludzie powiązani z Szem Towem i jego jesiwą. Ona zaś nie miała własnych przyjaciół. Nikogo.

Fakt, nie znalazłaby czasu na przyjaźnię. Narodziny szóstego dziecka nie zmieniły zwyczajów Shlomiego. Mimo licznych obietnic nadal był gościem w domu. Gorycz już całkowicie zatrąła serce Danielli. Coraz częściej wydzierali się na siebie tak, że dzieci się bały, ale ona przestała się tym przejmować; to wszystko po prostu ją przerastało. Podłe, zjadliwe uwagi, które zaczęły się pojawiać w zwyczajnych, codziennych sprzeczkach, przerażały ich samych. Do tego stopnia, że nawet Shlomie postanowił szukać pomocy.

Szem Tow wysłuchał go uważnie. Spod przymrużonych powiek patrzył na Shlomiego Goodmana, mężczyznę, który miał piękną żonę, piękny dom i nie musiał się martwić o pieniądze. Impulsywnie, bez kalkulacji, powiedział pierwsze, co mu przyszło na myśl.

– Co z tobą nie tak, chłopie? Czemu po prostu nie zaczniesz spędzać wieczorów w domu, pomagając żonie przy dzieciach?

Shlomie był wstrząśnięty. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Sądził, że Szem Tow stanie po jego stronie. Zachęci, by dalej poświęcał każdą chwilę na studia i modlitwę. Czy naprawdę tak prosty sposób rozwiąże nasze

problemy? – zastanawiał się. Ponieważ jednak każde słowo rawa Menachema traktował jak głos samego Boga, czuł się w obowiązku wykonać polecenie.

Tak zaczął się w ich małżeństwie kolejny okres spokoju. Kiedy Daniella zorientowała się, że to rada nauczyciela sprawiła, że jej mąż się zmienił, a ich małżeństwo ocalało, niechęć, jaką żywiła do Szem Towa, przerodziła się we wdzięczność. Od tamtej pory głosiła wszem wobec, jak bardzo przysłużył się ich rodzinie.

– Dobrze zrobiliśmy, wybierając go na naszego rebego – przyznała któregoś wieczoru ku zachwytowi męża.

Pojednanie szybko zaowocowało kolejną ciążą. Oboje cieszyli się odzyskaną sielanką, widząc w niej Bożą nagrodę za wysiłki w budowaniu harmonii.

Wreszcie osiągnęliśmy wszystkie upragnione cele, myśleli uradowani. W ich życiu ziściło się marzenie każdego prawdziwego wyznawcy Boga Abrahama: znaleźli drogę ku świętości w najświętszym mieście Ziemi. Co więcej, niebo zesłało im mistrza, który aż po kres ich dni będzie ich prowadził po krętych ścieżkach życia. On sprawi, że nigdy nie zboczą z drogi sprawiedliwości, nigdy nie zejną na manowce, ich wiara się nie zachwieje, a oni nie zasłużą na potępienie. Nie będą jak większość ludzi, bo trzyma ich za ręce ktoś, kto ma bezpośredni dostęp do Boga i zna Jego wolę. On też zatroszczy się, by ich dzieci otrzymały najlepsze wykształcenie, które zapewni im świętość i błogosławieństwo przez całe życie.

Wkrótce Menachem Szem Tow i jego chasydzi spędzali w domu Goodmanów dwa, trzy wieczory w tygodniu, podejmowani po królewsku przez wdzięcznych i hojnych gospodarzy. Szem Tow pierwszy raz widział tak luksusowy dom. Choć niektórzy jego uczniowie – chociażby Kuni Batlan – pochodzili z zamożnych rodzin, nikt nie posiadał aż takiego majątku. Menachem często brał kryształowe misy i obracał je w dłoniach, podziwiając światło załamujące się w szlifach. Chętnie też wodził palcami po pięknie zdobionych srebrnych pucharach albo delikatnych sztućcach. Dość szybko jednak przeniósł zainteresowanie na panią tego cudownego domostwa, źródło jego bogactwa oraz wygód.

Choć była od niego o trzy lata starsza i przekroczyła już trzydziestkę, Szem Tow wciąż uważał ją za szczupłą, ładną i młodą. Nosiła drogie blond peruki z naturalnych włosów, starannie się malowała i ubierała się skromnie, ale kosztownie i modnie w sukienki podkreślające kolor biżuterii. Wyglądała

wprost zjawiskowo. Porównanie z zaniedbaną, otyłą żoną przypominającą starą matronę narzucało się samo.

Niegdyś Rut Szem Tow też była śliczną, pełną życia dziewczyną, córką zamożnych rodziców, lecz zaraz po ślubie zabronił jej się malować, a włosy kazał przykrywać jedynie prostym szalem. Pilnował też, by zaopatrywała się w ubrania we właściwych sklepach w pobożnej dzielnicy Mea Szearim i żeby nie wydawała zbyt dużo.

Bogiem a prawdą, nie mieli czego wydawać. Zanim wyrzucono go z budynku przy targu, główne źródło dochodu Menachema Szem Towa stanowiły pieniądze wyłudzone z Ministerstwa ds. Religii na rzekomych studentów swojego mniej lub bardziej wyimaginowanego kolelu. Teraz musiał się utrzymywać z darowizn od swoich wyznawców takich jak Shlomie czy datków od innych wierzących, którzy płacili za poradę, ręcznie sporządzone amulety i błogosławieństwa. Do tego czasem dochodziły pieniądze, które teściowa przysyłała za plecami męża. Oczywiście Menachem udawał, że o nich nie wie, i dalej zakazywał żonie kontaktów z rodziną.

Patrząc czasem na żonę, Szem Tow czuł wzbierające mdłości. Miał żal, że ożenił się z dziewczyną z bogatej rodziny, a mimo to – w przeciwieństwie do innych, gorszych nauczycieli, których zamożni teściowie zaspokajali ich potrzeby – ograbiono go z tego, co mu się należało. A przecież miał to obiecane! Jej ojciec go okłamał. Dlatego niech córka teraz cierpi. Zasłużyła. Równocześnie wstydził się, że wygląda jak żona jakiegoś pobożnego łachmyty, a nie wybitnego, światłego rabina, cudotwórcy. Nie raz, nie dwa przyznawał w duchu, że popełnił mezalians. Oczywiście nawet nie zaświtało mu, że mógł mieć wpływ na przemianę swojej ślicznej i eleganckiej żony, że z jego powodu przestała się atrakcyjnie ubierać i tyła w oczach, bo potajemnie zjadane słodczyki stanowiły jedyną ucieczkę przed mężowską kontrolą absolutną.

Gruba, niechlujna, zastraszona Rut przestała go pociągać. Potrzebował kobiety na swoim poziomie: pięknej, czystej, inteligentnej, którą ulepi od nowa.

Nic więc dziwnego, że czasem w środku wykładu o czystości, świętości i boskości Szem Tow dyskretnie podnosił wzrok, rozglądając się za Daniellą Goodman. Zwykle siedziała w kuchni ze skromnie opuszczonymi powiekami. Jej młeczne policzki barwił delikatny rumieniec. Jak to możliwe, że taka kobieta wzięła na męża takiego durnia jak Shlomie? – zastawiał się, patrząc na

swojego oddanego ucznia – jedyną przeszkodę dzielącą go od upragnionego skarbu – i dumając nad niesprawiedliwością losu.

Dziecko urodziło się wiosną, dwanaście miesięcy po Eliaszu. Poród był łatwy, na świat przyszedł zdrowy chłopczyk. Tym razem małżonkowie byli zgodni. Ustalili, że dadzą mu na imię Menachem.

Danielli ogromnie zależało, by Joel pojawił się na obrzezaniu.

– Proszę cię, Joelu. Chcę, żebyś to ty był sandakiem. Bardzo za tobą tęsknię. Chcę ci pokazać swój dom i dzieci. Tak długo się nie widzieliśmy!

Tym razem, ku jej radości, zgodził się przyjechać wraz z żoną i dziećmi.

Obrzezanie odbyło się w domu. Wszyscy rozpływali się z zachwytu nad małym Menachemem, uroczym bobasem o różowej skórze i słodkich blond loczkach.

– Już wygląda jak *mensch* – stwierdził mohel.

Shlomie i Daniella uśmiechnęli się do siebie.

– Nasz mały Menchie – powiedział Shlomie.

– Chciałabym, żeby Joel był sandakiem. Już mu to obiecałam.

Shlomie poczerwieniał.

– To niewyobrażalny afront wobec rebeego Szem Towa!

– Przecież był już sandakiem u Elego!

– Dopóki jest z nami, nie możemy nikogo stawiać wyżej. Proszę,

Daniello... – perswadował łagodniej. – Po tym wszystkim, co Mesjasz zrobił dla naszej rodziny... Wytłumaczę twojemu bratu.

Bezradnie wzruszyła ramionami.

Shlomie podszedł do Joela.

– To naprawdę ty? – upewnił się szwagier, mierząc wzrokiem dziwaczny strój, długą nieprzystrzyżoną brodę, potargane pejsy.

Shlomie uśmiechnął się wyrozumiale. Nie miał do niego żalu. Rozumiał. Orzeł kołujący wysoko na niebie budzi trwogę w każdym, kto na niego patrzy. On stał się tym orłem. Cicho wyjaśnił sytuację Joelowi, a temu nie pozostało nic innego, jak grzecznie zrezygnować z zaszczytu, o który nie prosił, ale który z wdzięcznością przyjął. Afront jednak głęboko go zranił. Ów rebe – gdyby miał choć odrobinę życzliwości i rozumu – powinien zrozumieć sytuację i nalegać, by zaszczyt powierzono wujowi niemowlęcia, pomyślał i bacznie obserwował Menachema Szem Towa.

Tymczasem Szem Tow wyniośle zajął jego miejsce na środku pokoju, nieuważnie trzymając dziecko na kolanach. Daniella i Shlomie z zachwytem

patrzyli, jak nałożył dłonie na główkę ich synka, by – korzystając ze swoich nadprzyrodzonych mocy, wiedzy i mądrości – prosić anioły o błogosławieństwo, które zapewni maleństwu bezpieczną i szczęśliwą przyszłość.

Po uroczystości Joel odczekał, aż siostra będzie sama, i podszedł do niej.

– Daniello, co się tu dzieje? – spytał wprost.

– O co ci chodzi? – odparowała, czując się zepchnięta do defensywy.

– Czy twojemu mężowi kompletnie odbiło? Ubiera się jak dziwak i łachmaniarz, a zachowuje jak nawiedzony uliczny prorok, który w końcu staje się tak denerwujący, że ląduje w wariatkowie. Nie pracuje. Z tego, co widzę, w domu też ci nie pomaga. Dzieci traktuje jak powietrze. Dlaczego to tolerujesz?

– Słuchaj, Joel. Gdyby przygotowywał się do doktoratu i skupiał na pisaniu pracy, a ja bym go wspierała, nie powiedziałbyś złego słowa! Ale ponieważ zgłębia tajniki Tory i rozwija się duchowo, krytykujesz. Mamy inną hierarchię wartości. Wiesz o tym – tłumaczyła, próbując zagłuszyć własne wątpliwości.

– Ci, którzy przygotowują się do doktoratu, kiedyś wreszcie dopinają celu – odparł sucho. – Długo jeszcze zamierzasz iść tą drogą? Toż to szaleństwo.

Esther położyła rękę na ramieniu męża.

– Słuchaj, Daniello, Joel po prostu jest zaskoczony, jak bardzo się zmieniliście – odezwała się łagodnie, serdecznie biorąc szwagierkę pod rękę.

– Dzieci wyglądają zupełnie inaczej. Te długie pejsy. I dziewczynki w sukienkach typowych dla haredi. Zupełnie jak uczennice Bejt Jakow. – Roześmiała się. – Jesteśmy zdziwieni, to wszystko. I trochę martwimy się o was i o dzieci. Czy... wszystko jest w porządku?

Daniella wyszarpnęła ramię.

– Do czego zmierzasz, Esther? Uważasz, że jesteśmy zbyt pobożni? Zbyt bogobojni?

– Nie chciałam... Tylko... Wydaje mi się, że od naszej ostatniej wizyty dzieci bardzo się zmieniły. Nie są już... bo ja wiem?... sobą.

– Ja też to zauważyłem – przyszedł jej z odsieczą Joel.

Daniella zignorowała szerszy problem, skupiła się na drobiazgach.

– Chodzą do szkół, gdzie wszystkie dzieci tak się ubierają.

– O tym też chciałem z tobą porozmawiać. Pytałem Duviego, na jakim poziomie jest jego angielski, i powiedział, że w jego szkole nie ma

angielskiego. Ani nawet hebrajskiego. Uczą się w jidysz! W jidysz! O co tu chodzi, Daniello?

– To najlepsze szkoły dla naszych dzieci. Rebe osobiście wybrał każdą z nich specjalnie dla nich. Czyż to nie szczęście, że możemy polegać na jego wsparciu i błogosławieństwie?

Joel pokręcił głową.

– Gdzie są twoje przyjaciółki, Daniello?

Spojrzała zaskoczona.

– Po przeprowadzce kontakt się urwał.

– A nowe przyjaciółki, stąd?

– Nie mam czasu na życie towarzyskie.

– Nie widzę tu żadnej kobiety oprócz żony Szem Towa i Esther. Co się z tobą dzieje, Daniello? Skąd ta całkowita izolacja?

Czyżby rzeczywiście tak było? – zastanawiała się w duchu.

– Koniecznie chcesz mi zepsuć humor w tak szczęśliwym dniu? – zapytała.

– Po prostu się martwię, nic więcej.

– Powiem ci, o co naprawdę chodzi. Oboje mi zazdrościcie! Bo moje życie jest lepsze i świętsze niż wasza płytkość amerykańskich ortodoksyjnych żydów, w której jest więcej amerykańskości niż wierności religii! Wasze największe zmartwienie, to kiedy znów popłyniecie na Bahamy – wysyczała wściekle.

Sama nie rozumiała swojej reakcji. Błagała, żeby przyjechał, a teraz robi wszystko, by go odtrącić. Jakby nie mogła patrzeć na swoje życie jego oczami.

Słowa brata i bratowej dotkliwie raniły, przebijając cienką warstwę pewności siebie i zadowolenia z własnego życia. To prawda, nie miała przyjaciółek, ale przecież ich nie potrzebowała! Wystarczają jej dzieci, mąż, rebe Menachem i jego chasydzi. A jeśli chodzi o dzieci: ich szkoły i nowy styl ubierania... W ten sposób dawała świadectwo, że stała się częścią czegoś wyjątkowego. Świętego i dobrego. Joel, doszczętnie zepsuty przez wartości tego świata, nigdy tego nie zrozumie. Żałowała, że w ogóle go zaprosiła. Musi odciąć się od rodziny, od jej krytyki i złych rad.

Joel i Esther skrócili pobyt i wyjechali dzień po obrzezaniu. Brat zostawił na poczcie głosowej Danielli krótką wiadomość: „Nie wiem, co się dzieje, ale boję się o ciebie. Zawsze możesz na mnie liczyć, siostrzyczko. Uważaj na swoich nowych przyjaciół”.

Nie oddzwoniła ani się nie pożegnała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ku swemu rozgoryczeniu odkryli, że Menachem Szem Tow uciekł z kraju dwa dni po przyjęciu chłopców do szpitala. Teraz może być wszędzie, myślała załamana Bina. Dzięki Interpolowi ustalili, że przebywał na terytorium Kanady, ale dwa tygodnie później przeniósł się do Namibii.

- Złożymy wnioszek o ekstradycję.
 - Izrael nie ma podpisanego traktatu z Namibią. Dlatego właśnie ją wybrał
 - ostudził koleżankę Morris.
 - Jakie państwo będzie chronić zwyrodnialca znęcającego się nad dziećmi?
 - Żadne. Dlatego musimy przedstawić niepodważalne zarzuty. Zgadza się, Bino?
 - Jego notatki...
 - To za mało. – Potrząsnął głową. – Potrzebne będą zeznania ofiar potwierdzone dowodami uzyskanymi od matki i jej współników.
 - Trzeba przekonać dzieci, żeby zaczęły mówić.
- Skinął głową, potem wzruszył ramionami.
- Nie ma innego wyjścia.
 - Pogadajmy z Johnnym. To najlepszy psycholog dziecięcy w kraju. Jeśli on do nich nie trafi, nikomu się nie uda.

Bina, Morris i Johnny spotkali się w Domu Ticho, zacisznym ogrodzie w sercu miasta. Niegdyś mieszkała tu artystka Anna Ticho, potem budynek przekształcono w muzeum z sympatycznymi kafejkami, gdzie chętnie wpadali lokalni twórcy, żeby popracować przy filiżance kawy i ciastku.

Policjantka rozejrzała się po kwitnym ogrodzie tonącym w promieniach wiosennego słońca. Myślami wróciła do wietrznego, chłodnego marcowego dnia, kiedy do szpitala Hadassa przywieziono dwójkę potwornie okaleczonych dzieci. Jedno wracało do zdrowia, drugie wciąż leżało w śpiączce. Serce ścisnęło jej się na myśl o chłopczyku, który nigdy już nie będzie cieszył się dzieciństwem, nie będzie biegał po ogrodzie, wąchał kwiatów. Głęboko zaciągnęła się zapachem jaśminu i róż, próbując uwolnić się od czarnych myśli i usunąć z serca truciznę.

Ta sprawa ją niszczyła. W tym momencie w ogóle nie dopuszczała myśli o posiadaniu kolejnego dziecka.

- Nie wyobrażam sobie, że miałabym nosić w łonie maleństwo, kiedy

zżera mnie to obrzydliwstwo – tłumaczyła mężowi. Nie tylko śledztwo utknęło w martwym punkcie. Jej życie też.

– Johnny, trzeba przekonać dzieci, żeby zaczęły mówić.

Skinął głową, po czym połączył czubki palców w spadzisty dach i przyłożył je do ust.

– To błędne koło. Dopóki facet jest na wolności, nie puszczą pary z ust, bo się go boją. A dopóki nie zaczną mówić, facet nie trafi za kratki. I dalej, dopóki myślą, że swoimi zeznaniami zaszkodzą matce, będą milczeć. Dopóki najstarszy chłopiec ma nad nimi władzę, będą milczeć. Trzeba usunąć te bariery. Jedna po drugiej.

– Od czego zaczniemy?

– Myślę, że przed rozmową z dziećmi lepiej oddzielić je od Duviego. Sądzę też, że trzeba jakoś dogadać się z matką, zaproponować warunki złagodzenia kary – odparł Johnny.

– Nic z tego – wszedł mu w słowo Morris. – To wariatka. Kompletnie ją omołał. Nie pójdzie na żaden układ.

– Nie twierdziłem, że będzie łatwo. Ale nie mamy wyjścia. A to ważne dla dzieci. Pogadajcie z jej prawnikiem. Przenieście ją z aresztu do Neve Tirza. Niech posmakuje prawdziwego więziennego życia. Podobno w Jerozolimie miała kłopoty z trzema współwięźniarkami. Niech sobie poradzi z setką narkomanek, morderczyń i prostytutek nienawidzących każdego, kto skrzywdził dziecko. Postraszcie, że jeśli nie zacznie mówić, spędzi tam resztę życia.

– Należy jej się! – mruknęła Bina.

– Bo ja wiem? – Johnny pokręcił głową. – Wszystko wskazuje na to, że Szem Tow jest groźnym psychopata, człowiekiem całkowicie pozbawionym sumienia. Tacy ludzie często są obdarzeni wyjątkową inteligencją, charyzmą, uwodzicielskim czarem. Poczytajcie sobie, jak się rodziły kultury. Ofiarą sekciarzy najczęściej padają najinteligentniejsi i najbardziej wrażliwi; wykształceni idealisci. Dodajcie do tego samotność i izolację Danielli Goodman, jej wyczerpanie. Litości! Sama musiała opiekować się siódemką dzieci, bo mąż przepadał na całe dni. Jestem przekonany, że była przerażona i wstrząśnięta zachowaniem Szem Towa, ale kiedy odsłonił prawdziwe oblicze, dla niej, podobnie jak dla większości członków sekty, było już za późno. Zbyt głęboko w tym ugrzęzła – tłumaczył spokojnie.

– Czyli już nigdy się nie ocknie?

– Tego nie twierdzę. Nadzieję się, że napawają wyniki badań wskazujące, że

wyznawcy sekt w głębi duszy się nie zmieniają. Wszystko, czego się nauczyli, co im wpojono, tworzy skorupę wokół ich tożsamości i pierwotnej hierarchii wartości. Z czasem mogą ją przebić i wrócić do siebie. Zobaczyć prawdę.

– Nie mamy czasu na czekanie, aż „wykluje się” stara Daniella – oświadczył Morris. – Zacznijmy od dzieci, a później pogadajmy z najstarszym chłopcem w cztery oczy. Ile lat ma Duvie? Trzydzieści? To przerażony dzieciak. Wymyśl coś, żeby zmiękł i powiedział prawdę. Myślę, że pójdzie łatwiej niż z matką, która musi wyrzygać z siebie cysternę wyrzutów sumienia, zanim stawi czoło prawdzie. Niektórzy wolą do końca życia się okłamywać, niż po prostu spojrzeć w lustro.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Od urodzin Menchiego nie minęło wiele czasu, gdy Shlomie wrócił do dawnych zwyczajów, a Daniella zrozumiała, że jej uczucia do męża się zmieniły. Przestała widzieć w nim członka rodziny, kogoś ważnego w swoim życiu. Gorzej, przestała go podziwiać i szanować. Po cichu, niezauważalnie, jej miłość i więź, jaka ją z nim łączyła, po prostu zniknęły.

Ta świadomość docierała do niej stopniowo, etapami. Zaczęło się od błahostek, rozczarowania, że nie było go, kiedy dzieci potrzebowały troski i opieki. Potem przyszło obrzydzenie, że tak bezczelnie, z przekonaniem o własnej wyższości szasta pieniędzmi, choć w żaden sposób nie przyczynił się do tego, że znalazły się na ich koncie. Właściwie nawet do niego nie należały. Najbardziej niszczycielskie okazały się krótkie rozmowy, w czasie których opowiadał, jak spędził dzień.

– Mesjasz powiada... – zaczynał nieodmiennie, z tą beznadziejnie głupią miną pełną namaszczenia, odsłaniając przed nią kolejną, świeżo pozyskaną mądrość. – Mesjasz powiada, że jeśli chcesz się komunikować z aniołami, musisz porzucić tak zwane ludzkie uczucia. To fałsz. W *Księdze Henocha* pierwszy doskonały człowiek wstępuje do Boga bez śmierci...

Zmordowana nieustannym przewijaniem niemowląt, karmieniem, ubieraniem i uczeniem siódemki ruchliwych dzieci, prawie nie słyszała, co mówił.

– Mesjasz powiada, że kiedy w piątkowy wieczór zapalasz świece, wprowadzasz do domu kobiecy aspekt boskości – smęcił dalej.

– Pamiętałeś o pieluchach? Zostało dosłownie kilka – przerwała mu ze znużeniem. Jego wzniosłe trucie przypominało jej niedzielne poranki przed telewizorem i niestrawne gładzenie nawiedzonych kaznodziejów.

– O, pieluchy – powtórzył, na moment przerywając swój monolog.

– Amalia, skarbie! – zawołała. – Skoczyłabyś do sklepu po pieluchy? I kup przy okazji jakiś krem na odparzenia Menchiego.

Odwróciła się od męża, podnosząc ciężki kosz wyładowany praniem. Nawet się nie ruszył, żeby pomóc. Pewnie w ogóle nie zauważył, pomyślała z goryczą. W uchu rozległ się szept babci: luftmensch.

Odstawiła koszyk w salonie przy kanapie, nogą odsuwając stertę zabawek. Wszędzie walały się zabawki, okruchy ciastek, zasmarkane chusteczki higieniczne, papierki po cukierkach. Niedobrze się robiło na sam widok.

A choćby stanęła na głowie, wiedziała już, że więcej sama nie zrobi. Musi poczekać na gosposię, która przychodziła dwa razy w tygodniu. Daniella ignorowała częste sugestie męża, żeby zatrudnić kobietę częściej. Wydawali astronomiczne sumy, a ostatnio odsetki od kapitału były śmiesznie małe. Daniella nie miała wyjścia, musiała radzić sobie sama. Ciężko opadła na kanapę i zaczęła składać ubranka. Shlomie przyczłapał za nią.

– Rozpoczęliśmy właśnie studia nad *Sefer ha-Bahir*, *Księgą Jasności*, autorstwa rabina Izaaka Saggiego Nehora, nazywanego też Izaakiem Ślepym. Pisał o mistycznym znaczeniu światła i koloru.

– Super. Księga o świetle i kolorze napisana przez ślepego.

Pokręciła głową, łącząc w pary maleńkie skarpetki. Shlomie puścił jej komentarz mimo uszu.

– To księga o przechodzeniu duszy z jednego ludzkiego bytu do drugiego. To od naszych czynów zależy, w jakim życiu wrócimy. Kabała stanowi łącznik między Bogiem, wszechświatem i ludzkością. Sefiry zaś są mostem. Wypływają z Boga, przepelnia je życie. Mesjasz powiada...

– Możesz wyskoczyć i kupić pizzę na kolację? – przerwała mu. – Zwyczajnie nie mam siły, żeby coś gotować.

Spojrzał na nią jak wyrwany z transu.

– Pizzę?

– Tak. Właściwie, lepiej weź cztery. Duvie potrafi sam zjeść połowę.

– Duvie? – Jego twarz nagle pociemniała. – Właśnie. Muszę ci coś o nim powiedzieć.

– Tak? – spytała, nie odrywając wzroku od składanych ubrań.

– Wczoraj dzwonił do mnie jego rebe.

Odłożyła podkoszulek. Całą uwagę skupiła na mężu.

– Znowu?

Skinął głową z zażenowaniem.

– Narzekał, że Duvie nie uczestniczy w zajęciach z Talmudu. Nie odrabia też lekcji.

– Przecież miałeś do niego przemówić!

– I rozmawiałem! – Przystąpił z nogi na nogę, jak świadek w sądzie. – Wyjaśniłem, jak wielką *zchus*, zasługę, ma każdy, kto przykłada się do nauki Talmudu. Ale on twierdzi, że się nudzi. Że nauczyciel jest wredny i nudny.

Daniella westchnęła, opierając się plecami o kanapę.

– Może przenieść go do innej szkoły?

- Nie, nie. Mesjasz powiada, że jest w bardzo dobrej szkole.
- Więc poświęć mu swój cenny czas, Shlomie! Ucz się z nim. Daj mu przykład. Sam jeszcze nie rozumie, jak ważna jest nauka. To jeszcze dziecko.
- Za dwa i pół roku ma bar micwę. Będzie już sam odpowiadał za swoje grzechy.
- To może teraz jest najlepszy moment, żeby z nim popracować. Gdybyś spędzał w domu więcej czasu, zamiast...
- Wiesz, że wszystko to robię dla dobra rodziny! Wykonuję każde polecenie Mesjasza. A on powiada, że muszę zjednoczyć się z duchami świętych. Wtedy wprowadzę w swoje życie ich świętość. Dlatego jeżdżę po Galilei, modląc się na ich grobach i prosząc o łaskę.
- Groby? Spędzasz całe dni na cmentarzach?
- Nie masz pojęcia, co czuję, stojąc przed grobowcem świętego. Ta świadomość boskiego natchnienia. Nagle przepełnia mnie świętość, a wszystko staje się jasne. To coś...
- Shlomie, nie sprowadziłam tych dzieci na świat sama. Sama też ich nie wychowam. Musisz się zaangażować, być ojcem na sto procent.
- Zwiesił głowę zawstydzony.
- Spróbuję bardziej się przyłożyć – obiecał.
- Kiedy jednak poruszył tę kwestię z Menachemem Szem Towem, ku jego zdumieniu rabi zdecydowanie potrząsnął głową.
- Nie pozwól, by dyrygowała tobą kobieta albo żona. Człowiek nosi w sobie dziesięć boskich struktur, dziesięć sefir. Oto droga do prawdziwie zrównoważonego życia. Sefiry wymagają jednak dyscypliny, by je poznać, ćwiczyć i rozwijać. Zanim pomożesz dziecku, musisz pomóc sobie. To jak w samolocie. Co masz robić, jeśli w kabinie gwałtownie spadnie ciśnienie?
- W oczach Shlomiego błysnęło zrozumienie.
- Najpierw nałożyć maskę tlenową sobie, dopiero wtedy pomóc dzieciom. Szem Tow mądrze pokiwał głową.
- Właśnie. Jak pomożesz dzieciom, skoro sam będziesz umierał z braku tlenu? Pielgrzymki na groby świętych to duchowy tlen. Dzięki niemu nawet największy ignorant i głupiec chłonie wielkość ducha, boskość tych błogosławionych dusz. Modląc się do nich, w nagrodę otrzymujesz drobinę ich wielkości. Dopiero wtedy – kiedy już wchłoniesz odpowiednią dawkę – staniesz się prawdziwym przywódcą swojej rodziny. Dlatego nie możesz zrezygnować z pielgrzymek. Przeciwnie, musisz pielgrzymować jeszcze

częściej!

– Ale moja żona Daniella jest niezadowolona. Narzeka, że za rzadko bywam w domu.

– Dlaczego Adam został wygnany z Edenu?

– Bo omotała go Ewa.

Szem Tow skinął głową.

– A czy to, że posłuchał żony, przyniosło im błogosławieństwo?

W umyśle Shlomego Goodmana nagle eksplodowała jasność. Energicznie pokręcił głową.

– Nie. Ewę też wygnano z raj! Od tej pory miała rodzić w męczarniach!

– Właśnie! A jak brzmiała druga część przekleństwa, które rzucił na nią Bóg? – Szem Tow wyczekująco patrzył na Shlomego.

– Ku mężowi będzie kierowała swe pragnienia, a on będzie panował nad nią – zacytował Shlome uszczęśliwiony, że wyjątkowo znał odpowiedź.

– Zgadza się. Oto lekcja, której próbuje nauczyć cię Bóg. Zignoruj nalegania żony, rób dalej swoje, a tak zapewnisz rodzinie błogosławieństwo, nie przekleństwo. Musisz panować nad nią i nad sobą. Nie bądź słaby. Nie ulegaj.

Shlome nisko się pokłonił.

– Mój rebe, mój Mesjaszu. Jakże ci się odwdzięczę?

Usta mu drżały, oczy miał mokre od łez.

– Zło i dobro, które co dzień nas dotykają, nie są dziełem obojętnego wszechświata. Sami je na siebie sprowadzamy. Wybieraj roztropnie – napomniiał Szem Tow, pozwalając się całować po dłoniach.

Kiedy Shlome zniknął, poszedł do łazienki i trzykrotnie umył ręce mydłem, szorując je szczoteczką. Patrząc w lustro nad umywalką, ujrzał w głębinach swoich brązowych oczu iskrę pogardy, obrzydzenia, ale także satysfakcji.

*

W następnych miesiącach Shlome często nie wracał do domu, nocował w Meron, blisko grobowca rabiego Szymona bar Jochaja, któremu przypisuje się autorstwo księgi *Zoharu*, albo w lasach, gdzie po całonocnej modlitwie witał świt. Coraz bardziej oddalał się od żony i dzieci. Ale cóż, nie ma innego wyjścia, tłumaczył sobie. Przypominał sobie Mojżesza, który też musiał rozstać się z żoną Seforą i dziećmi. To cena, jaką muszą płacić prorocy i święci mężowie, powtarzał w duchu. Człowiek wzrasta w świętości jedynie

wtedy, gdy całkowicie uwolni się od ciężaru i swarów codzienności. Oto jego przeznaczenie.

Jego wzorem był rabbi Akiwa, prosty pasterz, syn konwertyty, który poślubił bogatą dziedziczkę Rachelę – wbrew woli jej ojca, który przez to ją wydziedziczył. Akiwa porzucił żonę – za jej zachętą i błogosławieństwem – skazując ją na biedę oraz samotność, po czym wyruszył zgłębiać Torę, a w uszach dźwięczały mu pożegnalne słowa Racheli: „Wróć, gdy staniesz się wielkim uczonym”.

On, Shlomie, też wróci do żony i dzieci, dopiero gdy stanie się wielkim uczonym. Zachęcony przez Mesjasza, zaczął ubierać się zgodnie ze swoim nowym statusem. Co dzień wkładał więc powiewne, białe szaty, które miał na obrzezaniu Menchiego: nieskazitelnie białe, bez najmniejszej skazy, by odzwierciedlały pragnienie jego duszy dążącej do oczyszczenia.

Kiedy Duvie skończył dwanaście lat, został wyrzucony z kolejnej jesziwy. Ponieważ była to jedyna szkoła, która zgodziła się go przyjąć, Daniella i Shlomie znaleźli się w kropce. Nie mogli jednak kłócić się z dyrektorem, który zlitował się nad chłopcem i zgodził się dać mu szansę, jeśli ten rzeczywiście chce się zmienić. Tymczasem Duvie, owszem, zmienił się, ale na gorsze. W ogóle nie pojawiał się w szkole, całe popołudnia spędzał w centrum miasta, gdzie razem z innymi wagarowiczami palił papierosy i jadł pizzę.

Daniella starała się jakoś do niego przemówić. Na próżno. Błagała Shlomiego, żeby wywarł na niego wpływ. Ale chłopiec ojca też nie słuchał.

– Od początku nie chciałem chodzić do tej głupiej budy. Niczego się tam nie uczę. Nie ma angielskiego. Matematyki i historii jak na lekarstwo. Kaza mi tylko wkuwać na pamięć historię jakichś pięciu braci, którzy się pożenili, a jeden z nich umarł i nikt nie pamięta, kto z kim się ożenił. To bez sensu. Tylko mnie ogłupiają.

W miarę jak problemy z Duviem narastały, pogłębiał się też konflikt między nimi. Kłótnie wybuchały coraz częściej, zostawiały po sobie trujące opary i niszczyły życie rodzinne. Wkrótce kłopoty z Duviem jak wirus przeniosły się na pozostałe dzieci.

Amalia, zawsze tak słodka i łagodna, biła się z Szoszaną, która przesiadywała w jej pokoju i psuła jej świętą kolekcję lalek. Yossi nie odstępował Danielli na krok, domagając się ciągłej uwagi. Rano z trudem wstawał z łóżka, pod którym trzymał tajne zapasy słodczy. Przytył tak bardzo,

że pediatra straszył ją cukrzycą. Jakby tego było mało, Gabriel zaczął się moczyć. Nawet Szoszana, jej śliczna, beztraska katarynka, wydawała się cichsza i smutniejsza, jakby coś ją przytłaczało. Tylko najmłodsza dwójka, Eli i Menchie, zachowywała się normalnie. Daniella brnęła dalej, nie chcąc przyznać się do klęski, aż kryzys osiągnął apogeum.

W święto Purim Duvie i Yossi zapadli się pod ziemię. Daniella i Shlomie już mieli wezwać policję, kiedy – dobrze po zmroku – bracia się zjawili. Oczywiście mieli zaczerwienione i błyszczące, bełkotali niewyraźnie.

– Gdzie byliście?! – wydarła się na nich Daniella.

Zachichotali.

Są pijani, uświadomiła sobie ze zgrozą. Dwunasto- i jedenastoletk.

– Trzeba pić, dopóki przestanie się widzieć różnicę między błogosławieniem Mordechaja a przeklinaniem Hamana!

– Ja nie widzę różnicy! – obwieścił Yossi i popędził do łazienki z wymiotować.

– Pozwoliłeś bratu pić alkohol? Swojemu małemu braciszкови?! – wrzeszczała Daniella na Duviego.

– Wszyscy chłopcy pili!

– Daj spokój, Daniello. Tak każe purimowa tradycja. Wszyscy piją wino i się weselą – próbował łagodzić Shlomie.

– Zamknij się! To nie jest nasza tradycja! A już na pewno nie dla naszych dzieci! Na litość boską, są jeszcze mali!

Shlomie wyglądał, jakby jego ulubiony piesek nagle rzucił mu się do łydki i boleśnie go ugryzł.

– A co to ma znaczyć?! – zawołała, strzepując popiół z czerwonej królewskiej szaty Yossiego, kiedy ten wrócił z łazienki. – Paliłeś papierosy!

Chłopiec popatrzył na nią hardo, bez skruchy.

Wtedy naskoczyła na Shlomiego.

– Czego się spodziewać! Nie ma ojca, który świeciłby mu przykładem! Nasze dzieci wychowują się bez ojca!

Rodzeństwo przyglądało się temu zdumione i spłoszone. Owszem, przywykło do kłótni rodziców, ale do tej pory skakali sobie do oczu za zamkniętymi drzwiami. Teraz poszli krok dalej. Nawet Eli i Menchie się przestraszyli i zaczęli płakać. Amalia i Szoszana wzięły braci na ręce i wyniosły do sypialni. Gabriel też wyglądał na przerażonego. Duvie odciągnął go, kusząc ciastkami, podczas gdy Yossi przycupnął przy stole, gdzie

dojadał górę słodczy.

– Doprawdy, Daniello! – mitygował wstrząśnięty Shłomie.

– Jesteś zerem. Obibokiem. Stratą czasu. Nie mogę na ciebie patrzeć.

Wynoś się! – wydarła się na męża. – Wynoś się z mojego życia!

– Proszę, porozmawiajmy...

– Aba, ima, przestańcie! – płakał Yossi.

Daniella nie słuchała żadnych argumentów. Rozczarowanie i wściekłość przelewały się przez tamy, które latami mozolnie budowała z cegieł pobożności, wyrzeczeń i wstydu po kolejnych porażkach. W głowie jak echo brzmiały jej słowa Joela: „Dlaczego to tolerujesz?”.

– Wynoś się, zanim sama cię wyrzucę!

Shłomie wziął z krzesła taśes, tefilin i sidur, po czym wyszedł. Zamknęła za nim drzwi na klucz.

*

Oczywiście udał się prosto do Bet Szemesz, do domu Mesjasza. Dotarł tam o północy. Ucieszony zobaczył światło w jednym z okien.

Drzwi otworzył Kuni Batlan. Shłomie poczuł w jego oddechu alkohol, kiedy ten powitał go donośnym *Ah freilichen Purim!* i klepnął w ramię tak mocno, że zabolalo. Batlan był pijany, co uświadomił sobie Shłomie, gdy wszedł za nim do domu. Nigdzie nie dostrzegł Rut Szem Tow ani dzieci, ale w pokoju siedzieli Szmaja Hod i Issachar Goldschmidt. Głowy kołysały im się w lewo i w prawo, kiedy przytykali do wilgotnych ust kieliszki wódki i araku. Szem Tow zaś, Mesjasz, siedział na swoim miejscu u szczytu stołu, przyglądając im się z mieszkanką pogardy i rozbawienia.

Ja też jestem pijany, uświadomił sobie Shłomie i opadł na krzesło tuż przed tym, jak nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Rozbawiło go to. Nie śmiał się do tego przyznać przy Danielli, ale zgadzał się z Duiem: Purim to święto, kiedy wypada spać się do nieprzytomności. To micwa szanującego się żyda.

Grupka powitała Shłomiego donośnie i entuzjastycznie. Hałas po chwili obudził dzieci. Z góry płynął ich głośny płacz, ale za przykładem Szem Towa mężczyźni go zignorowali. Nie widzieli potrzeby, by zniżyć głos. Batlan nalał Shłomiu dużą szklanekę araku.

Shłomie zbył go machnięciem ręki.

– Wyrzuciła mnie. Daniella. Z mojego domu! – zalił się.

Wydawało mu się, że na twarzy Mesjasza dostrzegł rozbawienie i pogardę. To na pewno wina alkoholu, uspokajał się. Coś mu się przywidziało. Kiedy

znów spojrzął na mistrza, ten ze współczuciem patrzył w jego niespokojne, przestraszone oczy.

– Co powiemy naszemu przyjacielowi, he? – zwrócił się Szem Tow do Batlana, Hoda i Goldschmidta.

– Jak jest napisane: „Największym wrogiem mężczyzny są kobiety w jego domostwie” – orzekł Batlan.

Shlomie słuchał tego bez zrozumienia. Co to mogło znaczyć? A jednak pozostali z uśmiechem kiwali głowami.

– „Lepiej mieszkać na ciasnym stryszku niż z kłótliwą kobietą” – zawtórował Hod.

– „Kłótliva niewiasta jest niczym mżawka w mokry dzień” – dorzucił Goldschmidt.

– „A na utrapienie męża dał mu Pan mężynę” – zaśmiał się Batlan.

Szem Tow grzmotnął pięścią w stół.

– Cisza! – ryknął, a oni skulili się spłoszeni. Śmiech zamarł im na ustach. – Tak traktujecie brata pogrążonego w smutku? – Odwróciwszy się do Shlomiego, otulił dłońmi jego trzęsące się ręce. – Kobiety są źródłem wszystkiego. Jak jest napisane: „Kłamlivy wdzięk i marne jest piękno. Chwalić należy niewiastę, co boi się Pana”. A Daniella niewątpliwie jest bogobojna. Jeśli się na ciebie pogniewała, musiała mieć powód.

– Twierdzi, że nigdy nie ma mnie w domu. Że nie poradzi sobie z dziećmi sama. Że przeze mnie Duvie wyrośnie na buntownika.

Szem Tow w zadumie gładził brodę. Objął Shlomiego.

– Przyjacielu, musisz udobruchać żonę. Powiedz, że żałujesz.

– Ma ją przeprosić? – krzyknął oburzony Batlan.

– „Razem z Ewą stworzono szatana!” – zacytował Goldschmidt, biorąc stronę Batlana.

– „Pokaż mi zło, które nie ma źródła w sercu, i niegodziwość, która nie ma na imię kobieta!” – dorzucił swoje Hod.

Szem Tow zmierzył ich lodowatym wzrokiem. Natychmiast umilkli.

– Powiedz żonie, że od tej pory będziesz uczył się w domu.

– Co?! – zerwał się Hod.

– Wszyscy będziemy co dzień chodzić do Shlomiego, żeby tam się uczyć, aby w jego rodzinie kwitła małżeńska sielanka. Albowiem nie ma nic cenniejszego w świecie niż pokój. Jak napisano: „Pokój jest tak święty, że Bóg uczynił go jednym ze swych imion: Szalom, w którym zawierają się wszystkie

błogosławieństwa”.

– Rebe! Rebe! Jakże zdołam ci się odwdzięczyć! – zawołał Shłomie. Klęknął przed nim uradowany i pokrył jego dłonie lepкими pocałunkami.

– Nie mnie dziękuj – odparł Szem Tow. Wyszarpnął ręce, po czym pospiesznie wytarł je serwetką. – Idź, prześpij się na kanapie, a rano wróc do żony.

Shłomie uczynił, jak mu nakazano.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Daniella przyjęła go z powrotem. Wystarczyła bezsenna noc spędzona na rozważaniach, co się z nią stanie jako z rozwódką; jak udźwignie piętno klęski i niełaski, jak w pojedynkę poradzi sobie z siódemką dzieci – choć na dobrą sprawę już sobie radziła. Musiała jednak przyznać, że choć Shlomie był gościem w domu, zawsze miała komu się wygadać, wiedziała, że ktoś jej wysłucha. No i dzieci go uwielbiały.

Próbowała zyskać przyjaciół, zapraszała sąsiadów i znajomych z synagogi na uroczystą piątkową kolację albo szabasowy obiad. Widziała jednak, że Shlomie ich drażnił, a wytworna porcelanowa i kryształowa zastawa onieśmiała. Nie była zaskoczona, że nie odwzajemniali zaproszenia.

Mimo to uparcie walczyła, by wyrwać się z osamotnienia. Zatrudniła nianię, żeby wyjść czasem z domu. Zapisła się na zajęcia sportowe, chodziła na wykłady i na lekcje tradycyjnego tańca tylko dla kobiet. Często jednak była tak zmęczona, że nie miała siły czerpać z tego przyjemności. Zanim pomogła starszym dzieciom w lekcjach, uporała się z przygotowaniem i wydaniem kolacji oraz kąpielą najmłodszych, marzyła, by razem z nimi pójść do łóżka. O dziesiątej nadawała się tylko do tego, żeby schować się pod kołdrą z kolorowym czasopismem albo dobrą książką. Najczęściej zresztą nie zdążyła przeczytać nawet linijki. Oczy same się zamykały ze zmęczenia, ledwo przytknęła głowę do poduszki.

Izolacja drażniła ją i męczyła. Obecność Szem Towa i jego uczniów, którzy co wieczór rozbijali obóz w ich salonie, budziła w niej mieszane uczucia. Z jednej strony owszem, mąż nie znikał z domu. Z drugiej strony jednak, wpuszczając ich pod swój dach, czuła, że traci prywatność i pozwala, by w jej domu panoszyli się obcy.

Co wieczór wkraczali – pełni namaszczenia i powagi – niczym goście odwiedzający żałobników, po czym bez skrupowania anektowali salon i jadalnię. Szem Tow bez śladu skruchy zasiadał u szczytu stołu w miejscu, które zwykle zajmował jej mąż. Nieraz miała wrażenie, że to inwazja, a nie wizyta zaproszonych gości. Nie widziała jednak innego wyjścia. Znalazła się w pułapce. Co miała zrobić? Przynieść wstyd mężowi, oświadczając, że nie są tu mile widziani? Kategorycznie zakazać wstępu grupom badającym Torę? W ten sposób ściągnęłyby na siebie potępienie i krytykę jako podła kobieta wyzuta z miłosierdzia. Szczerze przedstawić swoje zdanie? Zostałaby

napiętnowana jako próżna, bezczelna i kłótniwa; innymi słowy, zgodnie z definicją Talmudu, bezwartościowa. Jeśli chciała cieszyć się reputacją pobożnej żydówki zasługującej na poważanie, musiała milczeć.

Dlatego tak jak wcześniej z Amosem, wyciągała porcelanowe filizanki i talerzyki, po czym cicho podawała gościom herbatę i domowe ciasto, wątlým uśmiechem odpowiadała na zdawkowe podziękowania, po czym bez słowa znikwała w kuchni. Tam składała pranie i nastawiała uszu, by wyłapać fragmenty uczonych dysput chasydów, z nadzieją, że to pomoże jej zrozumieć, jak jej Shłomie zmienił się w obcego człowieka.

Przysłuchując się ich rozmowom, uświadomiła sobie, że nie chodzi tu o tradycyjne studia nad kabałą, które prowadzą do odkrycia natury Boga i kosmosu poprzez mistycyzm i medytację.

– Musimy pójść dalej, przekroczyć swoje zmysły. Inaczej nie będziemy wzrastać. Staniemy się duchowo zapóźnieni, oddzieleni od szerszego spektrum rzeczywistości – wywodził Szem Tow, po czym nagle zniżył głos do szeptu. Wszyscy się nachylili i wyteżyli słuch. – Istnieje szósty zmysł. Cudowna zdolność zamknięta w każdym z nas, która otwiera nas na obecność pozaludzkich istot, żyjących obok nas. Niewidzialnych, lecz odczuwalnych.

Daniella nerwowo poprawiła się na krześle.

– Ci z nas, którym pozwolono wyrwać się z duchowych kaftanów bezpieczeństwa, wyraźnie czują ich obecność. – Odchylił się i podniósł głos. – Mówię tu o duchach: aniołach i ich przeciwnikach, demonach. Istnieją naprawdę i można z nimi rozmawiać tak samo, jak teraz rozmawiam z wami.

Teraz ona się odchyliła, podświadomie uciekając od tej informacji. Szeroko otworzyła usta, w brzuchu jej się kotłowało. Rozejrzała się, by dyskretnie sprawdzić, czy ktoś jeszcze czuje się niekomfortowo, ale zobaczyła tylko pełne skupienia twarze gorliwych wyznawców, spijających słowa mistrza jak coca-cole.

– W swoim nieoświeconym stanie większość z nas jest niezdolna do komunikacji z nimi. Ale wyłącznie dlatego, że nie dopuszczamy do siebie tego doświadczenia. Lękamy się tej rzeczywistości. Wystarczy jednak, że zaniechacie oporu, a szybko zrozumiecie, że wszechświat przerasta możliwości pojmowania naszego ludzkiego mózgu. Istnieje prawda, którą można ogarnąć duchem, nie rozumem. Nasze mózgi nie wszystko potrafią zrozumieć, ale nasze dusze przekraczają wszelkie bariery. Człowiek, który się na to odważy, wznosi się na takie wyżyny, że może rozkazywać aniołom, a one

są mu posłuszne! Wtedy dokonuje cudów, które napełniają innych lękiem i zachwytem. Ktoś taki nosi miano Mistrza Dobrego Słowa. Nasi prorocy, mędrcy i geonim: uczeni, znawcy babilońskiego Talmudu. Wszyscy oni byli Mistrzami Dobrego Imienia.

Danielli szumiało w głowie. Czy powinna dać temu wiarę? Czy to kolejny logiczny etap jej duchowego rozwoju, rozszerzania umysłu, które rozpoczęła u Amosa? Czy w ogóle da się rzeczowo mówić o aniołach, demonach i zaklęciach magicznych? A może to wszystko czarna magia i wróżbiarstwo, czynności – jeśli dobrze zapamiętała ze swoich nauk w jesziwie – surowo zakazane przez Torę i karane śmiercią?

Któregoś wieczoru, kiedy zostali sami, ostro zaatakowała męża.

– Jak w ogóle możesz z nimi trzymać, Shlomie?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie rozumiem.

– Wszak sam Bóg uczy w Torze, w *Księdze Kapłańskiej*: „Nie będziecie się zwracać do wywołujących duchy ani do wróżbitów. Nie będziecie zasięgać ich rady, aby nie splugawić się przez nich”. Czary są zakazane, a czarowników i tych, którzy się do nich zwracają, należy ukamienować! To, co robisz, nie może być dobre!

Był wstrząśnięty tą napaścią.

– Nazywasz Mesjasza czarownikiem?

Wcześniej nigdy nie pomyślała w ten sposób. Przyznawała, że Szem Tow to wspaniały nauczyciel, że wniósł w ich życie wiele dobra, że uratował Amalię przed strasznym losem. Po co jednak umieszczać pośrednika – nawet najpobożniejszego i najbardziej oddanego – między sobą a Bogiem? Czyż nie tym właśnie był bezbożny idol, złoty cielec?

– Co wieczór siedzę w kuchni i słucham waszych rozmów. Czarodziejskie amulety, zaklęcia, przyzywanie aniołów? Nie z Bogiem rozmawiacie, lecz z diabłem.

– Wszystko opacznie zrozumiałaś, Daniello. Jesteś w błędzie! My wspinamy się na szczyty świętości. Jesteś kobietą, dlatego nie rozumiesz. Nie osiągnęłaś właściwego poziomu zrozumienia. Wciąż ci do niego daleko.

– Daruj sobie gadki pod hasłem „jesteś tylko kobietą” – syknęła jadownicę. – Szykowałam się do studiów na medycynie, gdy ty uczyłeś obozowiczki, jak tańczyć horę.

Jeszcze niedawno takie słowa obudziłyby w nim wściekłość i kompleks

niższości. Teraz zaś czuł nad żoną dziwną wyższość, którą dopiero niedawno w sobie odkrył. Jej bogata rodzina, znakomite oceny w szkole, którym zawdzięczała miejsce w prestiżowym college'u, kursy przygotowawcze do medycyny – to zawsze go uwierało i wznosiło między nimi mur. Dziś jednak, po czterech latach nauk u Szem Towa, wiedział już, że to kompletnie bez znaczenia. Daniella ugrzęzła w niższym świecie, pozostała żalostną ignorantką.

Oczywiście powtórzył Szem Towowi jej wypowiedź. Mesjasz spojrział na niego bez słowa, po czym odwrócił wzrok.

Następnego wieczoru przed zajęciami wkroczył do kuchni.

Daniella popatrzyła na niego zaskoczona. Nigdy jeszcze nie szukał jej towarzystwa.

– Coś podać, rebe? – spytała, zalewając się rumieńcem.

Szem Tow uśmiechnął się i zajrzał jej w oczy głęboko, czule, jakby byli sami we wszechświecie, jakby Shlomie nie istniał. Stała nieruchomo bez tchu, zahipnotyzowana. Odezwał się cichym głosem, a każde słowo było wielką tajemnicą, którą zdradzał jej i tylko jej.

– Mąż wspomniał, że rozmawialiście, a pani wyraziła swoje niezadowolenie z niego i ze mnie.

Spuściła wzrok, marząc, żeby zapaść się pod ziemię.

– To była intymna rozmowa między mężem a żoną. Nie miał prawa z nikim się tym dzielić.

– Może i ma pani rację. Może nie powinien tego robić. Zresztą gdyby osiągnął wyższy poziom, pewnie nie byłoby takiej potrzeby. Sam potrafiłby odpowiedzieć i rozwiązać pani wątpliwości. Ale oboje zdajemy sobie sprawę, na jakim poziomie jest Shlomie.

Robiło jej się niedobrze, gdy tego słuchała. Ale cóż, mówił prawdę. Straciłaby do niego szacunek, gdyby wybrał pocieszające kłamstwo.

– Wierzy pani w Boga? – spytał nieoczekiwanie.

– Oczywiście.

Kiwnął głową z aprobatą.

– Bardzo dobrze. A modli się pani?

– Naturalnie! Codziennie!

– Znakomicie. To jedno i to samo.

– Nie rozumiem.

– Kiedy pani choruje, idzie pani do lekarza?

– Tak.

– Świetnie. Lekarz jest sługą Bożym. Jego posłańcem. Są fizyczni posłańcy, tacy jak lekarze, ale i duchowi posłańcy, tacy jak cadycy. Gdy mówi pani, że nie rozumie, po co mężowi cadyk, łącznik między nim a Bogiem, w istocie mówi pani, że nie wierzy w boskich posłańców. Nie wierzy pani w Abrahama, Mojżesza, króla Dawida. Do tego twierdzenia popycha panią głęboka niewiara. Grzech równie ciężki jak bałwochwalstwo.

Westchnęła głęboko, zdruzgotana.

– Powiada pani, że się modli. Ale czy na pewno? Prawdziwa modlitwa to nie tylko klepanie formułek, rozmowa ze swoim samolubstwem, z własnym ego. Ten, kto szczerze się modli, czuje obecność boskich posłańców. Otaczają go. – Przewiercał ją wzrokiem. – Nie chce pani tego przyjąć, bo w głębi ducha odrzuca pani samego Boga.

Serce ścisnęło jej się ze zgrozy.

– Nie! Nie...

On jednak ciągnął z coraz większą mocą.

– Jeśli człowiek nie chce podporządkować się słowom cadyka, człowieka, który znajduje się na znacznie wyższym poziomie, oznacza to, że nie chce podporządkować się Bogu.

– Ja tylko... Mnie chodziło o to, że sama rozmawiam z Bogiem. Nie potrzebuję jeszcze kogoś między nami! Nie rozumiem, dlaczego Shlomie uważa, że to konieczne.

Szem Tow smutno pokręcił głową.

– Oczywiście, że lepiej samemu rozmawiać z Bogiem. Czasem jednak wierzący czuje, że to ponad jego siły. Że potrzebuje pomocy. Jak Shlomie.

– Ja nieustannie rozmawiam z Bogiem – upierała się, bo tak przecież było.

– Czy na pewno? A czy Bóg pani słucha? Napełnia swoim błogosławieństwem? Ma pani takie życie, o jakim marzyła?

Umilkła. Załamana wreszcie ujrzała prawdę o swoim życiu. Nie o takim marzyła: mąż, z którym nic jej nie łączy, dzieci z problemami. Wybrała rolę matki, ale i tutaj ponosiła klęskę. Myślała o Duviem, jego buncie i problemach w szkole. Jej dzieci wyrosną na ludzi bez wiary i charakteru, skazanych na pustą, nędzną egzystencję. A przecież tak gorąco się modliła – nieustannie. Bóg jednak najwyraźniej nie słuchał.

– Ja też potrzebuję pomocy – wyszeptała wreszcie.

– Pomoc otrzyma pani tylko wtedy, gdy całkowicie się podda. Jest pani uparta, dlatego tak trudno pani zaakceptować wolę Bożą. W głębi ducha wcale

Mu pani nie wierzy. Właśnie tak to się objawia. Gdyby pani wierzyła, że Bóg jest stale obecny w pani życiu, w każdej minucie, we wszystkim, co pani robi, zrozumiałaby pani, że nieustannie zsyła aniołów albo cadyków, i tak odpowiada na pani modlitwy. O, gdyby była Mu pani posłuszna, tak jak jest posłuszna lekarzowi! Niech pani pozwoli Mu działać, a On panią uzdrowi.

Podniosła na niego wzrok, bo nagle spłynęło na nią olśnienie. A może to jego zesłał jej Bóg. Może to on był odpowiedzią na jej modlitwy!

– Proszę, wybacz mi, rebe!

Uśmiechnął się smutno.

– Cóż tu wybaczać? Jeśli po czary sięgają nieczyści, ludzie, którzy nie osiągnęli świętości i nie potrafią oddzielić zła otaczającego magię, faktycznie staje się ona wtedy czarną magią, grzeszną i zakazaną. Tylko nielicznym pozwolono zanurzyć się głębiej. Garstce wybrańców, wyjątkowym duszom, które osiągnęły najwyższy poziom mądrości i czystości, dzięki czemu potrafią rozbić skorupę i sięgnąć do czystości ukrytej w samym jądrze. Twierdzi pani, że rabini z pani jesziwy nigdy tego nie nauczali – ciągnął Szem Tow. – To dlatego że albo nie wiedzieli, albo zdawali sobie sprawę, że ich uczniowie są za młodzi, by zrozumieć. Sam Talmud zezwala sięgać po mistyczne imiona Boga, przyzywać anioły i demony. Jak pisał błogosławiony raw Mosze Isserles: „Czyny te na pierwszy rzut oka mogą się wydawać dziwne, ale kabaliści jedynie wydobywają na powierzchnię prawdę, ujawniają wewnętrzną naturę rzeczy tak, jak stworzył je Bóg. A wszystko po to, by okiełznać niewyczerpaną energię kosmosu w służbie Panu”. – Głęboko zajrzał jej w oczy. – Teraz pani rozumie, pani Goodman?

– Tak, rebe. – Choć prawie nic nie pojmowała z jego wywodu, cieszyła się, że się na nią nie gniewa. – Proszę o wybaczenie. I dziękuję za cierpliwość oraz wyrozumiałość. Że próbuje rebe pomóc naszej rodzinie.

Zadowolony kiwnął głową.

– Jest pani czystą, bogobojną, inteligentną niewiastą obdarzoną duchowymi przymiotami. Dziwiłbym się, gdyby nie kwestionowała pani tego, co dobiega z sąsiedniego pokoju. Oczywiście te koncepcje muszą się pani wydawać dziwne. Jak każdemu, kto nie zyskał jeszcze dostępu do wiedzy tajemnej.

Wzrokiem badała jego oczy. To były oczy dobrego ojca; oczy najroztropniejszego, najlepszego nauczyciela, jakiego można sobie wymarzyć; oczy rebe, wzoru dobroci i szczodrobliwości, żywego przykładu tego, jak

wiele może osiągnąć śmiertelnik. Szybko jednak, ku jej zdumieniu i przerażeniu, pod wpływem jej spojrzenia zaczęły się zmieniać.

Ależ to niemożliwe!

Zalała się krwistym rumieńcem, brzydząc się nieczystych myśli, które przemknęły jej przez głowę. Czuła się, jakby fizycznie jej dotykał, pieścił ją. Zmieszana spuściła wzrok.

– Proszę siadać z nami, ilekroć przyjdzie pani na to ochota. Zawsze będzie pani mile widziana. I proszę śmiało zadawać pytania. Ten, kto wstydzi się pytać, nigdy się nie nauczy – dodał z ojcowską dobroduszością.

– Dziękuję – wyszeptwała, bojąc się ponownie na niego spojrzeć. Żołądek podchodził jej do gardła.

Nie przyjęła zaproszenia i nie dołączała do spotkań. Siedziała w kuchni jak dawniej, ale nawet stamtąd czuła fale energii, które wysyłał jej Szem Tow, omotując ją i usidlając. Z uwagą słuchała jego słów. Nagle zapragnęła, by ją przekonał. Czy można jej się dziwić? Kto nie chciałby nauczyć się technik otwierających wrota do ukrytych mocy wszechświata? Kto nie chciałby zobaczyć, jak wpływać na sfery niebieskie, podporządkowywać je sobie i sprowadzać na ziemię? A zwłaszcza ona, tak bezsilna, że nie umiała zapanować nad własnym mężem i dziećmi.

Od tamtej rozmowy Szem Tow za każdym razem znajdował pretekst, by spędzić z Daniellą choć chwilę sam na sam. A to zajrzał, by poprosić o szklankę wody, a to umyć ręce albo pochwalić pyszne ciasta domowej roboty. Zawsze też szukał wzrokiem jej oczu. Daniellę przeszywał dreszcz podniecenia, gdy czekała, aż Szem Tow wejdzie do kuchni.

– Rebe, mam pytanie.

Jego oczy lśniły, hipnotyzowały.

Danielli nagle zabrakło tchu.

– Czy kobieta... To znaczy, czy to w ogóle możliwe... żeby kobieta zdobyła i wykorzystywała tę nadprzyrodzoną wiedzę?

Przysunął się do niej tak blisko, żeomal się nie dotykali.

– Tę moc mogą posiadać jedynie wielkie dusze. Dusze, które odpowiednio się do tego przygotowują. – Znacząco spojrział jej w oczy. – Pani, pani Goodman, jest właśnie taką duszą. Nadzwyczajną.

Serce na moment zamarło jej w piersi.

– Nie wierzy mi pani? – Ściągnął brwi, ale na jego ustach gościł uśmiech.
– Ileż by pani mogła osiągnąć ze swoimi wrodzonymi zdolnościami.

Przerosłaby pani prorokinię Deborę, która była sędzią całego Izraela! Gdyby tylko... – Pokręcił głową i pochylił się, jakby przytłaczał go ciężar złożony mu na barkach.

– Gdyby tylko... co, wielbny rebe? – spytała nieśmiało.

– Gdyby tylko nie bała się pani osiągnąć pełni swoich możliwości już na tym świecie. Gdyby zdobyła się pani na odwagę, by zrzucić skorupy ukrywające pani wewnętrzne światło.

Daniella tonąca w brudnych pieluchach, oskubująca z piór kolejne kurczaki, przerzucająca góry ryżu, by się upewnić, czy nie ma tam robactwa, nagle poczuła, jak w jej zgębnionej duszy zapala się iskra nadziei.

– Jak mogę... To znaczy, w jaki sposób człowiek się oczyszcza, jeśli chce... Gdyby był zainteresowany...

– Musi tylko duszą i ciałem przylgnąć do cadyka, który już osiągnął ten poziom. Nie może podawać w wątpliwość jego decyzji, nawet jeśli nie do końca je rozumie. Musi stać się jak Abraham, kiedy Bóg kazał mu złożyć w ofierze jedyne, umiłowanego syna. Zamiast pytać, osiodłać osła i wyruszyć w góry. Dopiero wtedy osiągnie odpowiedni poziom. – Zawahał się, umilkł. Baczenie mierzył ją wzrokiem, po czym zadowolony podjął: – Musi pobożnie się modlić. Napełnić umysł i duszę świętością, powstrzymać się od stosunków seksualnych.

Widział jej zaskoczenie i oszołomienie, ale parł dalej.

– Musi pani osiąść całkowitą władzę nad swoim ciałem. Dopiero wtedy zapanuje pani nad duszą.

Spuściła oczy, wbiła wzrok w podłogę, by ukryć emocje.

– W życiu nic nie jest banalne – ciągnął uspokajająco. – Wszystko ma znaczenie. Kabaliści starają się stworzyć w fizycznym świecie akty doskonałego piękna, rozbić skorupę, ukazać światło żyjące w każdym, najmniejszym przedmiocie. Seks też ma swoją szatańską skorupę. Trzeba prawdziwego mistrza, by ją rozbić i uwolnić jasność. Wszystko w naszym świecie to marzenie zrodzone w umyśle Boga.

– Marzenie zrodzone w umyśle Boga – powtórzyła zahiplotyzowana. Jej racjonalny umysł kurczył się, robił miejsce nowym informacjom, które wydawały się bardziej rzeczywiste niż codzienność, niż niedawny sposób myślenia o życiu i wszechświecie.

A może jej życie pełne cierpienia to również senne marzenie? Część tego snu stanowił Shlomie. Część, która przestała już do niego pasować. Bo co

właściwie ich łączyło? Daniella musi się oczyścić, by zyskać dostęp do tej wiedzy tajemnej, do wiecznych, nieopisanych nagród. Dopiero wtedy będzie mogła właściwie troszczyć się o duszyczki powierzone jej przez Boga, wychowywać je; dopiero wtedy spełni swoje powołanie, stanie się idealną matką. Jakże pragnęła, by ich życie stało się dobrym snem!

Kilka dni później Szem Tow nieoczekiwanie wezwał do siebie Shłomiego. Dochodziła druga w nocy. Byli w gęstym, ciemnym lesie okalającym Jerozolimę. Od północy modlili się, krzycząc w ekstazie.

– Miałem wielkie objawienie – oznajmił Shłomiu. – Dotyczyło ciebie.

Sama świadomość, że święty Mesjasz miał przed Niebiańskim Tronem widzenie, które dotyczyło jego, maluczkiego, przyprawiała go o zawrót głowy.

– Naprawdę? Mnie? – Był podekscytowany, szczęśliwy jak dziecko.

– Tak. Spędzisz miesiąc przy grobie rabiego Nachmana z Braclawia w Humaniu. Tam sto razy przeczytasz na głos całą *Księgę Psalmów*. Jeśli wiernie wykonasz to polecenie, wreszcie przebijesz się przez bariery oddzielające cię od Świętej Jasności.

Shłomie nie posiadał się z radości. Co za ekstaza! Pomyśleć, że wystarczy pojechać tak daleko, choć cel, który tak długo wymykał mu się z rąk, był tuż-tuż! Wtem ogarnął go niepokój.

– Rebe, ale Humań leży na Ukrainie. Co z moją żoną i dziećmi?

– Co z nimi? Przecież właśnie dla nich to robisz, prawda? Anioły zapewniły mnie, że żona w pełni zrozumie twoją nieobecność, a kiedy wrócisz, wszelkie trudności małżeńskie znikną. Znów będziecie niczym oblubieńcy w dniu ślubu pełni łaski Bożej, a wasza więź stanie się jeszcze mocniejsza, oparta na miłości.

W oczach Shłomiego zalśniły łzy.

– Tylko tego pragnę, rebe.

Na nic zdały się awantury, ostrzeżenia i apele Danielli. Shłomie miał jedną odpowiedź:

– Moja najdroższa żono, kiedy wrócę, nasze życie znów się ułoży. Musisz mi zaufać.

Potem zatrzasnął za sobą drzwi i zbiegł do czekającej taksówki.

*

Dzień po wyjeździe Shłomiego Gabriel zachorował na ospę wietrzną. Przeszedł ją dość łagodnie, ale od niego zarazili się Eli, Menchie i Szoszana, u których przebieg okazał się wyjątkowo ostry. Cała czwórka miała wysoką

gorączkę, najmniejsi chłopcy mieli krostki nawet na języku i po wewnętrznej stronie policzków. Istny koszmar. Niemal całą chorobę dzieci spędziły w wannie, gdzie Daniella nieustannie, czasem po pięć razy dziennie, smarowała je mleczkiem z dodatkiem cynku. Menchie dostał jeszcze antybiotyk na bolesną infekcję ucha. Nieszczęsne dziecko wyło, nie dając jej w nocy spać. Rano, na wpół żywa ze zmęczenia, zorientowała się, że lodówka jest niemal pusta. Menchie tak histeryzował, że nie mogła ani na moment zostawić go z dziewczyną do sprzątnięcia ani z opiekunką. Nie pozostawało nic innego, jak czekać, aż Amalia wróci ze szkoły i pójdzie do sklepu.

Nawet w dni, kiedy przychodziła sprzątaczką, dom po godzinie przypominał pobożowisko. Chore dzieci wszędzie rozrzuciły zabawki i gry. Nie czas teraz na dyscyplinę, powtarzała sobie Daniella. Do szczęścia wystarczało jej, że się sobą zajęły. Wieczorem i chore, i zdrowe nie dawały jej sekundy spokoju. Każde domagało się uwagi. Każde domagało się ojca, za którym nieprzytomnie tęskniły. Starła się je pocieszyć, utrzymać stały rytm dnia, ale to okazało się ponad jej siły. Brudne ciuchy piętrzyły się, bo zamiast wstawić pranie, grała w karty z Szoszaną. A kiedy wreszcie dzieci posnęły, nie miała siły poskładać, uprasować ani zanieść do szafy ubrań, które zalegały w suszarce.

Yossi i Gabriel, choć zwykle zgodnie bawili się klockami Lego, teraz zachowywali się, jakby opętał ich diabeł. Po godzinie mozolnej budowy demolowali swoje konstrukcje. W powietrzu latały białe, czerwone i niebieskie klocki, a oni walczyli ze sobą, okładając się pięściami. Ilekroć Daniella wstawiała, żeby rozłączyć skłóconych braci albo zając się Menchciem bądź Elim, Szoszana histerycznie czepiała się jej nóg i nie chciała puścić.

Amalia, zwykle grzeczna i spokojna, wydierała się na Duviego.

– Gdzie byłeś, smrodzie! Ima pada ze zmęczenia, a ty sterczysz z kumplami pod Bramą Syjońską, popalając pety albo nie wiadomo co!

W odpowiedzi brat pchnął ją na ścianę i kazał pilnować własnego nosa.

Z mieszkania dobiegał hałas. Istna kakofonia rozpaczy, myślała Daniella, słuchając własnych wrzasków i płaczących dzieci, głodnych i brudnych. Czerwona ze wstydu zatrasnęła okna, żeby sąsiedzi nie słyszeli, co się u niej dzieje. Potem opadła na krzesło. Sytuacja ją przerosła. Kiedy już wydawało się, że gorzej być nie może, rozległo się pukanie do drzwi.

O nie! – pomyślała spanikowana. Czyżby Szem Tow zamierzał kontynuować spotkania, choć Shlomie wyjechał z kraju? Duvie otworzył drzwi

i rzeczywiście, do środka wkroczył Szem Tow ze swoimi chasydami.

Jednym spojrzeniem ogarnął bałagan, usłyszał krzyki i odgłosy bójk dzieci, po czym odwrócił się do Hoda, Goldschmidta i Batlana. Wystarczyło jedno skinienie ręki, a cała trójka rozpięzchła się po mieszkaniu, by zebrać zabawki, zamieść i wytrzeć podłogę. Po telefonie Szem Towa pojawił się chłopak z pięcioma pudełkami pizzy. Daniella nie słyszała, co powiedział dzieciom, ale zapadła absolutna cisza. Słyszać było tylko pochlipywanie Menchiego, który uspokoił się w chwili, gdy Hod podał go matce. Dzieci niczym roboty siadły wokół stołu, zjadły pizzę, a potem pozbierały naczynia i zaniósły je do zlewu w kuchni. Amalia załadowała zmywarę, a Duvie pomógł Menchiemu i Elemu w kąpielu. Pod czujnym spojrzeniem Hoda, Batlana i Goldschmidta dzieci przebrały się w pizamy, umyły zęby i bez narzekania poszły do łóżek. Wkrótce w domu zapanowała błoga cisza.

Daniella powiodła wzrokiem po czystym, posprzątanym mieszkaniu i z westchnieniem ulgi położyła Menchiego do łóżeczka.

– Ile ma lat? – spytał Szem Tow, uśmiechając się do imiennika.

– Prawie dwa i pół roku. – Daniella też się uśmiechnęła. – Właściwie powinien już spać w normalnym łóżku, ale byliśmy tak zajęci...

– Załatwię je jutro. Chłopcy rozmontują łóżeczko i wstawią do komórki.

– Och, nie mogę o to prosić... I tak bardzo mi pomogliście, rebe.

– Czy prosisz Boga, żeby wschodziło słońce? Czy wstydzisz się Go prosić, by świat dalej się kręcił? By miał w opiece twoje dzieci? Wszyscy na każdym kroku potrzebujemy pomocy. Sądzić inaczej to zadufanie.

Zaczęła płakać. Z piersi wyrwał jej się rozpaczliwy szloch, który uświadomił jej ponad wszelką wątpliwość, że dalej tak żyć nie może. Ani chwili, ani sekundy dłużej. Nie widziała, jak Szem Tow skinieniem ręki wygania z domu Hoda, Batlana i Goldschmidta, którzy czmychnęli, zostawiając go samego z Daniellą Goodman.

Podał jej chusteczkę.

Przyjęła ją z wdzięcznością. Musnęli się dłońmi. Błyskawicznie odsunęła rękę, jakby ją parzyła.

– Przepraszam.

– Nie ma za co.

– Wiem, że rebe jest cadykiem i że wszystko, co robi, jest czyste i szlachetne. Ale mój umysł pokazuje mi coś, czego nie chcę widzieć. Kiedy na mnie patrzysz...

– Co, co wtedy widzisz? Powiedz – zażądał.

Zaskoczona zapomniała o wstydzie i oporach.

– W twoich oczach. Widzę... – słowa uwięzły jej w gardle.

– Powiedz! – ponaglał.

Ukryła twarz w dłoniach, drżąc na całym ciele.

Nagle jego głos zmiękł. Mówił czule, jakby zdradzał jej sekret.

– Proszę, Daniello. Powiedz, co takiego widzisz w moich oczach.

Zwrócił się do niej po imieniu! Wbiła wzrok w czubki butów, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem.

– Widzę pragnienie – szepnęła wreszcie.

– A jeśli się nie mylisz? Jeśli ono też jest wolą Boga?

Spojrzała na niego. Targały nią niepewność, zdumienie i wstyd.

– Och, jak to możliwe?

– A gdybym powiedział, że taki właśnie jest Boży plan względem nas?

Zjednoczenie naszych dusz.

Potrząsnęła głową. Odwróciła się.

– Jestem mężatką!

– A kto jest twoim mężem?

– Shłomie – odparła, nic już nie rozumiejąc.

– Nie. Zostałaś poślubiona Bogu. Shłomie jest zaledwie posłańcem. Jeśli przybliży cię do Boga, to rzeczywiście jest twoim prawowitym małżonkiem na tej ziemi. Ale jeśli nie... Kogo bardziej pragniesz? Shłomiego czy Boga?

– Boga – odparła bez wahania.

– Czym jest pragnienie? – mówił, hipnotyzując ją wzrokiem. – Pragnienie to iskra, która rodzi się z płomieni, błysk świętości. Wiesz, że ja jeden potrafię uwolnić z ciebie tę iskrę. Co jest twoim pragnieniem? Co jest moim? Oboje pragniemy Boga. W czystości i świętości. Ty musisz się Mu oddać i ja również. To wszystko. Więcej nie musisz wiedzieć.

– Ale chyba... Wydaje mi się... To musi być zakazane. – Umilkła stropiona. Nagle już niczego nie była pewna.

– Co jest zakazane? – podniósł głos gwałtownie, zarliwie.

– Zdradzanie żony.

– A jak niby ją zdradzam? – odparował z gniewem. – Czy cię dotknąłem? My tylko rozmawiamy o uczuciach. Od kiedy posiadanie uczuć jest zakazane? Tak, mam żonę, ale jestem również sługą Najwyższego, a On powierzył mi zadanie, bym dokonywał *tikkun* w Jego świecie, naprawiał to, co zepsute

w świecie duchowym. Czasem zaś, aby naprawić to, co zniszczone, muszę zanurzyć się głęboko, pod samą skorupę. Ty nie dostrzegasz w sobie ukrytego, dogorywającego płomienia, ale ja go widzę. Bardzo wyraźnie. Oto moja misja, mój obowiązek. Mam znów rozniecić w tobie tę iskrę. A co ty zauważasz? Pragnienie, zazdrość, męźatkę, zdradę – drwił. – Czy zrobiliśmy razem cokolwiek, co można by nazwać nieczystym? – prowokował.

Nagle poczuła się jak niemądre dziecko. Oczywiście że nie. Szem Tow mówił o czymś zgoła innym. To ona – przez swój nieczysty umysł, podejrzliwy, ułomny charakter – sprowadziła tę wzniosłą dyskusję do poziomu rynsztoka, zohydziła ją. Po prostu opacznie go zrozumiała. Zawstydzona zwiesiła głowę.

– Wiesz, co widzę, gdy na ciebie patrzę? – spytał nieoczekiwanie.

Potrząsnęła głową.

– Batszebę kąpiącą się na dachu.

Krew w niej zapłonęła, a zaraz potem się zmroziła. Przeszył ją dreszcz. Nie, jednak nie zrozumiała go opacznie.

– Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Daniello. Mąż przestał cię kochać. Inaczej by cię nie porzucił. A ja widzę w twojej duszy, że ty również już go nie kochasz.

– Proszę, nie mów takich rzeczy. Nie skazuj mnie na taki los.

– Sama jesteś kowalem swego losu, Daniello. Powiedz, myślę się?

Spojrzała na niego, drżąc z lęku.

– Kiedy król Dawid zbliżył się do Batszeby, czyż nie była męźatką? A on? Czyż nie był żonaty?

– Tak. Popełnili straszny grzech i Dawid został ukarany.

– Nie, nie został. Taka była wola Boża. Kiedy Dawid poślubił Batszebę, była już wdową. Mężczyzna zaś może mieć więcej niż jedną żonę. Spójrz na naszych patriarchów: Abrahama i Jakuba.

Spuściła oczy i słuchała w skupieniu.

– Wszak Bóg pobłogosławił ich związkowi. Z Batszeby zrodził się król Salomon, najroztropniejszy przywódca narodu żydowskiego. A czyż pisma nie zapowiadają, że właśnie z takiego związku narodzi się sam Mesjasz?

W pokoju zapadło długie milczenie.

Przerwał je.

– To wszystko wola Boża. Nic tu nie zależy ani ode mnie, ani od ciebie. Proszę, nie opieraj się! Czujesz się jak w potrzasku, a przecież drzwi są

szeroko otwarte. Bóg usłyszał twoją modlitwę i sam rozchylił wrota, Daniello. Przed tobą. I przede mną.

– Proszę... Nie...

– Gdybyś choć raz odrzuciła ten swój racjonalizm i pozwoliła sobie czuć głęboko, nie musiałbym mówić już ani słowa. Nie potrzebowałabyś więcej dowodów. Doświadczyłabyś prawdy silniejszej od wszelkich argumentów. Zobaczyłabyś to, co ja widzę. Osiągnęłabyś najwyższy poziom czystości, wyższy niż ten, na który kiedykolwiek wdrapie się twój mąż.

– Przecież się stara.

Szem Tow wzruszył ramionami.

– Jeden rodzi się niski, drugi wysoki. Niski, choćby dawał z siebie wszystko, nigdy nie dosięgnie pewnego pułapu. Umrze niski. Dlaczego to miałyby cię powstrzymywać?

A potem zrobił coś cudownego. Wyciągnął ręce i dotknął jej. Otulił rękami jej dłonie i uniósł je do ust. Potem całował jej knykcie, brodą łaskocząc jej ramię.

Podziałało to na Daniellę jak rażenie prądem, sparaliżowało zmysły i pozbawiło ją zdolności myślenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Bina przygotowała się do spotkania z dziećmi. Obejrzała wszystkie nagrania z poprzednich wizyt. Liczyła, że dowie się czegoś więcej. To, co zobaczyła, nie napawało optymizmem. Wszystkie zgodnie okazywały wrogość i nic poza tym. Zwłaszcza Duvie, którego trzeba było obezwładnić, bo rzucał się na funkcjonariuszy. Dzieci krzyczały, wierzgały, urządzały sceny. Nie dało się z nimi rozmawiać. A przecież... Przypomniała sobie rozmowę z Elim. Jakież uroczy chłopczyk: bystry, wygadany, grzeczny i... śmiertelnie przerażony. Takie dzieci musiały zostać wychowane przez dobrych rodziców. Troskliwych, zaangażowanych.

Co musiało się stać, że tak powariowały? Cokolwiek to było, prawdopodobnie zaczęło się stosunkowo niedawno i – taką żywiła nadzieję – nie zdążyło całkowicie ich zdemoralizować. Ich zachowanie to tylko gruby, twardy pancerz, pod którym ukrywały swoją prawdziwą osobowość. Była pewna, że gdyby zdołała się przez niego przebić, znalazłaby nienaruszone, wrażliwe, jasne jądro.

Czy można jakoś zedrzeć z nich ten pancerz?

Nagle spłynęło na nią olśnienie. Pancerz. Nieporęczna blacha albo równie niewygodna druciana koszulka chroniąca żołnierza przed ciosem. A kiedy żołnierz zdejmował zbroję? Dopiero gdy miał pewność, że wojna się skończyła.

Kłopot w tym, że Szem Tow wciąż przebywał na wolności.

Zadzwoniła do Morrisa.

– Mam pomysł.

– Zamieniam się w słuch – odparł.

Czuł się zniechęcony, wściekły i bezsilny. Zegar tykał, a wciąż nie wystawiono wniosku o ekstradycję. Potrzebny był im przełom w sprawie. I to szybko. Z ciekawością wysłuchał propozycji Biny.

– Trzeba to obgadać z Johnnym – stwierdził na koniec.

Mając poparcie przełożonego, policjantka przedstawiła psychologowi swój plan.

– Świetnie. – Skinął głową.

Ponownie zebrali dzieci w jednym pomieszczeniu, ale tym razem bez Duviego.

– Chcemy do mamy! – płakała siedmioletnia Szoszana.

– Wiem, kochanie, wiem – powiedziała łagodnie Bina i wzięła ją na rękę. Ku jej zaskoczeniu, dziewczynka mocno się w nią wtuliła. Policjantce pękało serce.

– Szoszano, Gabrielu, Yossi i Amalio, wiemy, że bardzo tęsknicie za mamą...

– I za tatą! – przerwał jej Gabriel.

– Oczywiście, za tatą też. A oni tęsknią za wami. Chcemy, żebyście jak najszybciej połączyli się z rodzicami.

– Zamknęliście mamę w więzieniu i nie pozwalacie nam jej widywać! – krzyknął dwunastoletni Yossi. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Spotkacie się z rodzicami. Ale potrzebujemy waszej pomocy – odezwał się łagodnie Johnny.

Dzieci popatrzyły na niego wielkimi, okrągłymi ze zdziwienia oczami.

– Duvie nas ostrzegał, że będziecie nas namawiać, byśmy wam pomogli, i zaszkodzili mamie! – oświadczyła wrogo Amalia. Jej miłą buzię wykrzywiła nienawiść.

Super, idzie po prostu rewelacyjnie, pomyślał Morris.

– Duvie się myli. Ja też jestem mamą. Nigdy bym tak nie postąpiła – zapewniła Bina.

– Ile ma pani dzieci? – spytał jedenastoletni Gabriel.

Zachęcona neutralnością pytania Bina głęboko zaczerpnęła tchu.

– Dwójkę. Ronnie ma pięć lat, a Lila dwa.

– Bawi się pani z nimi? – zapytała nagle Szoszana, wciąż zaciskając rączkę na ramieniu Biny.

– Nieustannie.

– A w co? – chciał wiedzieć Gabriel.

– We wszystko.

– W makao? W trzy kijki?

– Jasne. W makao jestem bardzo dobra. W trzy kijki gorzej sobie radzę. Ciągłe się przewracam.

Młodsze dzieci parsknęły śmiechem. Pewnie wyobraziły sobie, że pada jak długa, próbując przeskoczyć nad kijkami.

– To urocze, że się śmiejecie. Jesteście bardzo dobrymi dziećmi – pochwaliła.

Cała czwórka nagle umilkła, spijając jej słowa jak ciepłe mleko.

– Wiem, że bardzo chcecie pomóc mamie. Ale gdybym ja kiedyś miała

takie kłopoty jak ona, pragnęłabym, żeby moje dzieci pomogły policjantom.

– Dlaczego mama ma kłopoty? – spytał zaskoczony Yossi.

Naprawdę nie wiedzą? – zastanawiała się Bina.

– Ponieważ stała się wam krzywda, a żadna mama nie powinna dopuścić, żeby dzieci cierpiały.

– To nie była jej wina! – zaprotestował Gabriel. – Nigdy nas nie uderzyła.

– Tak! Mama nas kocha! – oświadczyła Amalia, a reszta rodzeństwa potaknęła.

– Tylko... Czasem nie widziała. Wyjeżdżała... – dodała z wahaniem Szoszana.

– Czego nie widziała? – dociskał Johnny.

– Nie mów! Nic nie mów! – przypomniała siostrze Amalia.

– Ukarzą nas! – dodał Yossi.

Dzieci umilkły jak zmrożone.

– Wiem, że robili wam krzywdę. Szem Tow Mesjasz, Batlan, Goldschmidt i Hod. Karali was. A wy nie zasługiwaliście na karę. Nie zrobiliście nic złego. To oni byli źli – zapewniła Bina.

Ich buzie odrobinę odtajały.

– Kto pani powiedział? – spytał zdumiony Gabriel.

– Eli. Eli powiedział nam wszystko...

– Miał nie mówić! – krzyknął Gabriel. – Miał nie mówić! Nie wolno nikomu mówić!

– Nie możemy! Proszę, niech pani nie każe nam mówić. Wpakujemy się przez to w kłopoty! Pani nie wie, jak to jest! – zaklinał Yossi.

– Będzie naprawdę zły – dodała Szoszana ze łzami w oczach.

– Kto, maleńka?

– Mesjasz. Nie wolno mówić. Inaczej wsadzi do walizki...

– Cicho! – syknęła Amalia. – Pamiętaj, co mówił Duvie!

Dzieci znów ucichły.

– Co mówił Duvie? – delikatnie drążyła Bina.

– Że wrócimy do domu Szem Towa. A jeśli się wygadamy, znów zarządzi *tikkun!* – odparł Gabriel.

Oczy dzieci na nowo rozbłysły przerażeniem. Krótka odwilż minęła i wróciła epoka lodowcowa wywołana panicznym lękiem.

– Już nie robi wam krzywdy. Ani Mesjasz, ani jego chasydzi – ogłosiła. Potrzebowały dłuższej chwili, by przyswoić tę wiadomość.

- Dlaczego? – spytał w końcu Yossi nieufnie.
Bina spojrzała pytająco na Johnny’ego i Morrisa. Skinęli głowami.
- Są w więzieniu!
Gabriel zastygł. Potem na jego twarzy zagościł promienny uśmiech.
- Mesjasz jest w więzieniu!
– A Kuni Batlan, Szmaja Hod i Issachar Goldschmidt? – dopytywał Yossi.
- Oni też?
– Tak. Wszyscy siedzą w więzieniu – zapewnił Morris. – A wy trzymacie klucz, dzięki któremu tam zostaną. Wystarczy, że powiecie prawdę. Powiecie, co się wydarzyło. Twierdzą, że nie robili wam krzywdy... Że powinniśmy ich wypuścić.
- Kłamią! – zawołały dzieci chórem.
- W jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, języki im się rozwiązały. Kakofonia dziecięcych głosów pełna szczegółów, tak potrzebnych policji.
- Kiedy przeprowadziliśmy się do Szem Towa, wszystko się zmieniło – zaczęła Amalia. – Powiedział, że mamy w sobie demony i potrzebujemy *tikkun*, żeby się od nich uwolnić i zostać cadykami. Początkowo zostawiał Menchiego w spokoju, przecież był jeszcze malutki. Ale raz Menchie schował kluczyki samochodowe mamy, żeby nie mogła wyjechać i nas zostawić. Wtedy Szem Tow zaczął inaczej traktować Menchiego. Bił go. Najpierw uderzał pięścią w twarz.
- Batlanowi i Hodowi kazał robić to samo! – dodał Yossi.
- Skuwał Menchiego łańcuchem – dorzucił z przejęciem Gabriel. – Przykuwał go do krzesła, a ręce krępował mu na plecach, żeby nie mógł się ruszyć.
- Potem Kuni i Szmaja bili go pięściami po twarzy i okładali kijami – ciągnęła Amalia. – Uderzali w jeden policzek, aż głowa mu odskakiwała na bok, a potem w drugi, żeby wróciła na miejsce. Robili tak w kółko, raz za razem...
- Bili go tak tysiące razy, aż buzia mu spuchła i zrobiła się kwadratowa! – Szoszana wybuchła płaczem.
- Powieki miał tak spuchnięte, że zasłaniały oczy – podjął Yossi. – Widać było tylko nos.
- A potem się z niego wyśmiewali – dodał Gabriel, płonąc oburzeniem. – Nazywali go „paskudnym Mongołem”. Mówili, że jest zapóźniony. Szydzili

z niego. A kiedy zbliżał się jego upszerin...

– Postrzyżyny – Bina szeptem wytłumaczyła Morrisowi. – Kiedy chłopiec kończy trzy lata, pierwszy raz strzyże mu się włosy. To święto. Wydaje się przyjęcie dla dziecka.

– Zabrali nas wszystkich do Meron, żeby zrobić to na grobie świętego. Kazali Menchiemu biegać nocą po ulicach. A w drodze powrotnej zatrzymali się przy lesie. Było bardzo ciemno. Wypchnęli Menchiego z samochodu i odjechali. A potem schowali się w lesie i pohukiwali, żeby go przestraszyć.

Bina przymknęła oczy, zastanawiając się, ile jeszcze wytrzyma. Morris ją szturchnął.

– Dalej, świetnie sobie radzicie – zachęciła dzieci.

– Hod i Batlan trzymali go za ramionka i potrząsali, a głowa latała mu do przodu i w tył, jak szmacianej lalce. Najczęściej mdlał. Wtedy polewali go lodowatą wodą, żeby go ocucić – mówiła Amalia z wielkim przejęciem.

– Mesjasz stawiał go przy sobie na cały dzień i kazał mu podskakiwać. W górę i w dół. W górę i w dół, godzinami – dodała chrapliwie Szoszana, czkając.

– Kazał Hodowi i Batlanowi wpychać Menchiemu do buzi jedzenie, żeby się dławił albo wymiotował – ciągnęła Amalia.

– I koniecznie powiedzcie, jak tłukli go po palcach drewnianym, kuchennym młotkiem – dorzucił Yossi z naciskiem.

Amalia skinęła głową.

– Tłukli go tak długo, aż odpadły mu paznokcie. – Głęboko nabrała powietrza. – A raz trzęśli nim tak mocno, że złamali mu rękę i...

– Nawet nie zawieźli go do lekarza! – wszedł jej w słowo oburzony Gabriel.

– Tylko owinęli rękę elastycznym bandażem – potwierdziła gorzko Amalia. – Krępowali mu rękę za oparciem krzesła. Krzyczał bez przerwy całymi dniami, aż w pewnym momencie przestał. Koniec. Od tamtej chwili już nic nie zmusiło go do krzyku – opowiadała najstarsza, krztusząc się. – Nic. Tak samo było z Elim. Po jakimś czasie chyba przestał cokolwiek czuć.

Bina bała się, że zaraz zemdleje. Gdyby zaledwie połowa tego była prawdą! A przecież gdy patrzyła na niewinną, młodzieńczą buzię Amalii, w głębi serca czuła, że w tej opowieści nie było ani jednego kłamstwa. Jakim cudem ta przykładna uczennica Bejt Jakow i jej rodzeństwo łącznie z maleńką Szoszaną zdołałoby wyobrazić sobie tak makabryczne historie? Musieli przy

tym być. Ich historia przywodziła Binie na myśl relacje ocalonych z Holocaustu, którzy opowiadali, co przeżyli w obozach. Takie tortury mogły narodzić się tylko w niewiarygodnie chorych i skażonych umysłach. Tych okrucieństw żaden przyzwoity człowiek nie byłby w stanie wymyślić.

A jednak nie można temu odmówić pewnej pokrętej logiki, przyznawała w duchu. Na swój chory sposób trzymało się to kupy. Psychopata Szem Tow potrafił uwieść albo sterroryzować pozostałych tak, że bali się go, wierzyli w niego albo oddawali mu boską cześć. Wszyscy z wyjątkiem Menchiego. Chłopczyk był za mały, by dać się nabrać na czarodziejskie sztuczki i charyzmę, które zahipnotyzowały dorosłych i starsze rodzeństwo. Prostym, szczerym rozumem dziecka przejrzał grę Szem Towa. A ten nie mógł tego znieść. Jego impulsywna, agresywna, psychopatyczna osobowość kazała mu widzieć w trzyletnim dziecku zagrożenie, rywala, którego trzeba usunąć z drogi. Natomiast jedynym grzechem Elego było uderzające podobieństwo do ojca, męża zawalidrogi, którego Szem Tow nienawidził za łatwowierność i życiową pomyślność.

– Źle się czujesz? Zrobić przerwę? – szepnął Morris.

Bina pokręciła głową. Nie mogą się teraz zatrzymać. Przerwali tamę, muszą wchłonąć każdą kroplę dowodów, na które tak czekali, a które płynęły wezbraną falą. Zresztą, skoro dzieciom nie brak siły ani odwagi, to ona musi dotrzymać im kroku.

– Mówcie dalej, dzieci. Świetnie sobie radzicie – zachęcił Johnny.

– Mama byłaby z was bardzo dumna – zawtórowała Bina.

Amalia wciągnęła powietrze i kontynuowała.

– Szem Tow wyznaczył Goldschmidta, żeby zajmował się Elim.

Wystarczyło, że Goldschmidt spojrział na Szem Towa, a ten mrugnął albo skinął głową, i zaczynały się tortury.

– Co konkretnie widziałaś? Co Goldschmidt robił Elemu?

– Kazali mu godzinami stać w kącie twarzą do ściany, z rękami w górze.

– Traktowali go jak mebel – dodał Gabriel.

– A kiedy stał, czasem Szem Tow i Goldschmidt kopali go tak długo, aż upadł na podłogę – dorzucił Yossi. – Wtedy wynosili go na ganek i kładli na deszczu albo śniegu w samych slipkach. Często wlewali mu do gardła arak, aż się dławił albo wymiotował. A czasem... – Zawahał się i spojrział na Amalię, jakby pytał o pozwolenie. Skinęła głową. Nabrał tchu. – Nie pozwalali Elemu iść do łazienki, więc robił w majtki. A wtedy bili go, a później myli

w lodowatej wodzie.

– Hod kazał mu zjadać siusiu i kupę – wykrztusił Gabriel.

Rodzeństwo umilkło i ze zgrozą pokiwało głowami na to wspomnienie.

Bina zobaczyła, jak Johnny blednie.

Amalia wzięła Szoszanę w ramiona i ucałowała ją w śliczne, jasne loczki.

– Nie pozwalali Elemu jeść. Kiedy Mesjasz miał dobry humor, rzucał mu ochłapy z talerza. Raz postanowił wyświadczyć mu „przysługę” i kazał Hodowi wmusić w Elego mnóstwo jedzenia, a potem zalał to arakiem. Kiedy Eli zwymiotował, powiedział Goldschmidtowi, żeby nakarmił go wymiocinami.

Dzieci popatrzyły po sobie. Wyglądały, jakby dzięki tym wyznaniom im ulżyło; jakby zwymiotowały nagromadzoną w sobie truciznę i cieszyły się, że wreszcie się jej pozbyły.

Morris poprawił się w krześle. Ręce miał zaciśnięte w pięści.

Amalia spoglądała pytająco na dorosłych.

– Mów dalej – zachęciła Bina. – Jesteśmy źli, ale nie na was, tylko na to, że musiałyście tyle wycierpieć. I to nie ze swojej winy. A teraz jesteście bardzo dzielne.

– Raz usłyszałam hałas dobiegający z walizki pod kojcem w dzieciennym pokoju. Otworzyłam ją. W środku leżał Eli związany jak kura, z jarmułą w buzi. Próbowałam go uwolnić, ale mnie przegonili. Następnego dnia zauważyłam, że Eli utyka – dokończyła z trudem Amalia, dławiąc się słowami.

– Mesjasz nienawidził Elego jeszcze bardziej niż Menchiego! – zawołał Yossi. – Zabronił nam się do niego zbliżać.

Gabriel potaknął.

– Kazał nam nienawidzić Elego i nazywał go Smrodem.

– Powtarzał też, że kiedyś wreszcie go zabije – wyszeptała Amalia, w końcu przewyciężając lęk. – Chciałam pomóc Elemu! Menchiemu też chciałam, ale mi nie pozwolili! – Szlochała, jakby zaraz miało jej pęknąć serce.

Bina otoczyła dziewczynę ramionami.

– Obu im bardzo pomagasz. Teraz, w tej właśnie chwili, Amalio. Pamiętaj.

– Ale nie powiedziałaś nam, co tobie zrobił, Amalio – przemówił łagodnie Johnny. – Opowiedz nam o sobie, dobrze?

Z jej ładnej buzi nagle odpłynęła cała krew.

– W porównaniu z tym, co robił Menchiemu i Elemu, to nic. Ale czasem

smagał mnie biczem po plecach. Mówił, że podoba mu się ten odgłos.

Zacisnęła usta, drżąc na całym ciele.

Na tym się nie kończyło. Bina nie miała cienia złudzeń. Było coś więcej, znacznie więcej. Śliczna czternastolatka pod jednym dachem z tymi zwyrodnialcami... Ale nie naciskała. Zresztą sama miała dość. To wszystko z pewnością wystarczy, by Interpol wystawił nakaz aresztowania i doprowadził do ekstradycji Szem Towa. Czy jednak wystarczy, by go skazać?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Detektyw Cedek weszła do mieszkania. Zaraz za drzwiami zrzuciła buty i sięgnęła po pilota. Marzyła, by usłyszeć normalne głosy; coś, co zagłuszy potworności, które wciąż rozbrzmiewały jej w głowie, a towarzyszyły im koszmarne obrazy. Zaparzyła sobie filiżankę zielonej herbaty i usiadła na kanapie. Pustym wzrokiem wpatrywała się w telewizor.

To zawładnęło moim życiem, myślała bezradnie. Rozsnuwa ciemność i zło nad wszystkim, co uważałam za dobre i cenne: małżeństwem, macierzyństwem, wiarą. Sięgnęła po telefon i wybrała numer matki.

– Wróciłam wcześniej. Sama odbiorę dziś dzieci.

Przedszkole Ronniego i żłobek Lili znajdowały się o kilka kroków od domu Biny, ale zwykle to babka odbierała dzieci i zajmowała się nimi, dopóki córka nie wróciła z pracy.

– Ciężki dzień, skarbie? – spytała teraz współczująco.

Matka, która w dzieciństwie przeszła piekło Auschwitzu, była jedną z najłagodniejszych osób, jakie Bina знаła. Cały tamten koszmar, całe zło spłynęło po niej, nigdy nie naruszając samego jądra. Binę często zastanawiało, jak to możliwe, że jej pokolenie – dzieci ocalałych – nienawidziło sprawców Holocaustu bardziej niż ci, którzy go doświadczyli. Ona sama wiedziała, że nigdy nie zdoła wybaczyć ani zapomnieć. Już jako nastolatka oświadczyła rodzicom, że po Holocaustcie każdy Żyd powinien mieć broń i wiedzieć, jak z niej korzystać. Matka tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową.

– Nie każdy – odparła. – Od tego mamy żydowskich żołnierzy i policjantów. Dlatego żyjemy w państwie żydowskim.

To był jeden z powodów, dla których Bina zaraz po służbie wojskowej wstąpiła w szeregi policji. Zaczęła od zera w drogówce, powoli awansując aż do stopnia detektywa.

– Skąd wiesz, że miałam ciężki dzień, mamo?

– Nigdy nie kończysz wcześniej.

Bina uśmiechnęła się, odkładając słuchawkę. Nikt nie znał jej lepiej niż matka. Łączyła je silna więź, wyjątkowa bliskość, czułość i troska. Aż do dziś Bina nie wyobrażała sobie, że słowo „matka” można kojarzyć z czymś innym.

Kiedy wyszła po dzieci, głęboko wciągała powietrze, by uwolnić się od stresu. Dzień był piękny, majowy. Cała Talbija pachniała jaśminem i kapryfolium. Bina odebrała dzieci i wracała z nimi niespiesznie, trzymając

Ronniego za rękę i pchając wózek z Lilą. Ich dziecięce głosy podnosiły się i opadały, rozbrzmiewały niewinnym śmiechem i rozkosznym trajkotaniem. Maluchy śpiewały, opowiadały, co narysowały na zajęciach i jakich piosenek uczyły się na Szawuot, święto plonów. W domu zjadły swój ulubiony podwieczorek: owoce popite mlekiem czekoladowym. A kiedy wieczorem je umyła, dłużej niż zwykle wycierała ich dziecięce ciała, nie mogąc się powstrzymać, by raz za razem całować pulchne rączki i nóżki tak długo, aż zaczęły się wiercić i wyrywać z objęć, prosząc, by przestała.

Wychowano ją w wierze w Boga. Wierze w ludzi. W przekonaniu, że zło i diabeł właściwie nie istnieją. To po prostu brak dobra, tak samo jak ciemność to brak światła.

Teraz już nie umiała w to wierzyć.

Zło istnieje. Jest realne i silne. Najlepszy dowód to Holocaust. Półtora miliona dzieci torturowanych i zamordowanych przez bezlitosnych oprawców, którzy uważali się za idealistów, pionierów, wizjonerów, budowniczych nowej rasy panów. A wszystko to nie wydarzyło się w średniowieczu, lecz w jej stuleciu. W czasach, gdy ludzie chodzili do kina i rozmawiali przez telefon.

Dziś terroryści, podający się za wierne służki Allaha, bezlitośnie mordują i porywają dzieci, wykorzystują je jako żywe tarcze, ukrywając za nimi wyrzutnie raketowe; sankcjonują wykorzystywanie seksualne dziewczynek przez starców, nazywając to „małżeństwem”. W Internecie można znaleźć tysiące zdjęć z pornografią dziecięcą. Każde to bezlitosne zabójstwo niewinnej duszy. Te fotografie zaś ściągają ludzi na całym świecie, przedstawiciele różnych ras i religii. Toczy się wojna przeciwko dzieciom, a wielu agresorów uważa się za głęboko religijnych albo zalicza się do surowych fundamentalistów.

Jedno nie ulegało dla Biny wątpliwości: ten, kto krzywdzi dziecko, nie może uważać się za bogobojnego. W żadnej religii. A już na pewno nie w judaizmie. Sięgnęła po Biblię, szukając cytatu. Znalazła, to on. *Księga Kapłańska*, osiemnasty rozdział, werset dwudziesty pierwszy: „Nie będziesz dawał swego dziecka, aby było przeprowadzone przez ogień dla Molocha. Nie będziesz w ten sposób bezcześcił imienia Boga swojego. Ja jestem Pan!”. Tych, którzy złamali ten zakaz, należało odrzucić, potępić i ukamienować.

Próbowała sobie wyobrazić Żydów z czasów biblijnych, naród, który widział i słyszał Boga na pustyni, jak na wyciągniętych ramionach niesie

swoje dzieci; składali je w ofierze bezwzględnemu, kamiennemu posagowi i patrzyli, jak pochłania je ogień płonący w jego wnętrznościach. To się działo całkiem blisko jej domu, w dolinie Ben-Hinnom, gdzie dziś jeździło się na pikniki. Jak potężna musiała być to siła, że człowiek odwracał się od nakazów przyzwoitości i człowieczeństwa, pozwalając skrzywdzić dziecko? I to własne?

A może to po prostu drugi biegun tego samego pragnienia, które kazało mu szukać miłości, dobroci, boskości. Diabeł, kimkolwiek był, potrzebował owego pragnienia, tego idealizmu, by osiągnąć odwrotny efekt. Może nawet Szem Tow szczerze pragnął kiedyś zbliżyć się do Boga, ale coś sprawiło, że zrobił obrót o sto osiemdziesiąt stopni i przeszedł na przeciwną stronę. Niewątpliwie Daniella i Shlomie Goodmanowie szukali dobra, kiedy dali się omotać szatanowi i zaczęli służyć złu.

Bina wpisała w Google hasło „diabeł”.

W kabale nazywano go Sitra Achra, dosłownie: „odwrotna strona”, czyli strona sprzeciwiająca się temu, co święte i boskie; strona nieczystości i mroku. Islam nazywał go szajtanem, duchem, który szepcze do ludzi, zachęca ich do grzechu. Katolicy widzieli w nim upadłego anioła Lucyfera, wielkiego kusiciela, który z czystej zazdrości niszczy ludzkie pragnienie dobra. Hinduiści z kolei wznosili liczne świątynie okrutnej bogini Kali, która pożerała swoje ofiary, a największą rozkosz sprawiało jej niszczenie, zatracanie i zabijanie w każdej postaci.

Bina popatrzyła w przyszłość. Przed nią jeszcze lata pracy i nieustannej wojny, niekończący się sznur przestępców niszczących ład świata. Czy wystarczy jej na to sił? I czy jej starania cokolwiek zmienią? Czuła się, jakby łyżeczką wybierała wodę z tonącego statku.

Noah wrócił o ósmej.

– Co się stało? Wyglądasz na skonaną – przywitał ją pogodnie, pocałował w policzek i usiadł przy niej na kanapie.

Położyła głowę na jego silnym ramieniu.

Poznali się w wojsku. Służyli na Wzgórzach Golan. On był młodym kapralem, ją przydzielono do wywiadu. Pamiętała, jak zobaczyła go pierwszy raz. Stał na szczycie, patrząc przez lornetkę na obóz terrorystycznego oddziału Hezbollahu. Wydał jej się tak wysoki i męski. Wyprostowane plecy, ramiona i twarz emanujące siłą, młodością i determinacją, zawadiacko przesunięta szydełkowa jarmułka. Dwa tygodnie wcześniej Hezbollah zorganizował atak

na jednostkę i porwał trzech żołnierzy. Dwóch zginęło, trzeci został ranny. Wróg czyhał nieustannie, gotowy wykorzystać każdą chwilę nieuwagi.

– Chyba źle wybrałam zawód – wyszeptała.

– Co się stało? – powtórzył, gładząc ją po włosach.

– Po prostu... Sama już nie wiem. – Pokręciła głową.

– Czego nie wiesz, kochanie?

– Ten cały Szem Tow... To, co on i jego chasydzi zrobili tym nieszczęsnym dzieciom, podczas gdy matka przyglądała się temu beczynnym, a ojciec bujał w obłokach...

– No to wsadzisz jego i jego kumpli za kratki na bardzo, bardzo długo, żeby już nigdy nikogo nie skrzywdzili. – Wzruszył ramionami. – A rodzicom dasz nauczkę, której nie zapomną.

– I co potem? Tego Szem Towa zastąpi inny Szem Tow. A rodziców para innych naiwnych, otumanionych pobożnych głupków. A dzieci... dzieci... – Zniosła się szloch. Wtuliła twarz w czystą, ciepłą koszulę męża, słuchając równego bicia jego mocnego, niezawodnego serca.

Gładził ją po głowie.

– Pamiętasz ten fragment Tory? Ten z twoim nazwiskiem?

– Z moim nazwiskiem?

Wzięła od niego chusteczkę i wydmuchała nos. Chciała zapaść się pod ziemię. Nigdy nie płakała.

– Z naszym nazwiskiem – poprawił się. – *Cedek, cedek tirdof* – zacytował.

– „Podążaj za sprawiedliwością”?

– Właśnie. Zastanawiałaś się, dlaczego nie zapisano tam:

„Sprawiedliwość, sprawiedliwość czyni”? Dlaczego akurat „podążaj”?

Wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia.

– Już ci tłumaczę. Bo sprawiedliwości nigdy nie schwytasz. Możesz za nią biec, gonić ją, ale zawsze będzie wymykać ci się z rąk. To jednak nie zwalnia nas z wysiłku. Bina, po prostu biegnij za nią. Tylko tego żąda od nas Bóg.

– Ale jak mam sprowadzić kolejne dziecko na taki świat? Mam wrażenie, jakby to mnie zbrukało. Skaziło i zatrulo moją duszę.

Przyciągnął ją bliżej, ściskając za ramię.

– Więc poczekamy. To też kiedyś minie, najdroższa. Potraktuj to jak ranę wojenną, nerwicę frontową. Nie spiesz się, daj sobie czas, by wyzdobrzeć.

Z całej siły objęła go ramionami i wtuliła się w niego. Oto ucieleśnienie całego dobrego świata, myślała. Wszystko, co kocham. Zrobię co w mojej mocy,

by tego bronić.

Pomyślała o nadchodzącym spotkaniu z Daniellą Goodman. Ale jak – na Boga! – przebiję się do tej duszy tak długo skutej lodem? W poszukiwaniu jakiegokolwiek podpowiedzi wróciła do komputera i wpisała frazę „matki w sektach”. To, co przeczytała, zdumiało ją i diametralnie zmieniło jej stosunek nie tylko do całej sprawy, ale także do Danielli Goodman.

Kiedy wieczorem zapaliła szabasowe świece przed modlitwą rozpoczynającą święty dzień odpoczynku, jak to miała w zwyczaju, przymknęła oczy. Mocniej niż zwykle przycisnęła palcami powieki i próbowała przeniknąć wzrokiem gęsty mrok. Boże, oby Twoją wolą było pokonać wszelkie zło i zmasać je z powierzchni Ziemi, modliła się. A dziś proszę, podpowiedz, jak wysłać Menachema Szem Towa i jego współników za kratki na bardzo, bardzo długo. Błagam, Boże, wskaż mi drogę!

Kiedy skończyła modlitwę, przed oczami stanęła jej twarz Danielli Goodman.

Zrozumiała, że oto Bóg udzielił jej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Był prezydentem i premierem. Był najwyższym kapłanem Aaronem i prorokiem Eliaszem. Był Mickiem Jaggerem i Paulem McCartneyem. Był aniołem na trybunie tak wysoko nad ziemią, że z trudem widziała jego zarys. To tak, jakby Mojżesz zszedł z góry Synaj, niosąc tablice z wyrytym Przymierzem, i zamiast rozmawiać z uczonymi i starszyzną, zwrócił się do jakiejś kobiety w łachmanach, w niepojęty sposób ją właśnie wybrał spośród najniższych sług.

Był Mesjaszem. I wybrał ją.

Danielli szumiało w głowie ze zdumienia, zachwytu, radości i dumy. On! Wybrał ją!

Jak to możliwe? Była nikim. Niczym. A jednak stał się cud. Dostrzegła w jej duszy to, czego sama nie widziała. Wielkość! On, wszechwidzący i wszechwiedzący, który stał bliżej Boga niż sami aniołowie! On właśnie ją wybrał!

Kochał ją. Pragnął jej.

Och, cóż za cud!

Kiedy Shlomie wrócił z Ukrainy, prawie nie zauważała jego obecności. Nic się nie zmieniło. Mesjasz i jego chłopcy praktycznie wprowadzili się do niej, pomagając przy dzieciach. Posłuszna naleganiom Szem Towa zabraniała Shlomiemu spać ze sobą.

Shlomie potrzebował wielu tygodni, żeby się zorientować, że ich małżeństwo nieodwracalnie się zmieniło. Po czym, naturalnie, zwrócił się po radę do rebeego.

– Co mam zrobić, by w moim domu znów zapanował pokój? Żeby moja droga żona do mnie wróciła? – pytał autentycznie zrozpaczony, pogrążony w bólu.

– Musisz natychmiast wręczyć jej list rozwodowy – oświadczył Szem Tow, patrząc prosto w jego zdumione oczy.

– Ależ rebe... Ja kocham żonę. Ty zaś obiecywałeś... mówiłeś, że jeśli wyjadę...

– Prosiłeś o radę, tak? – przerwał mu rozdrażniony. – Twoje małżeństwo wymaga *tikkun*. Jeśli rozwiedziesz się z żoną i na jakiś czas zamieszkacie oddzielnie, to naprawi wasz związek. Później znów się pobierzecie i będziecie szczęśliwi jak na początku małżeństwa.

Shlomie zastanowił się głęboko. Znów będą jak nowożeńcy! Tego najbardziej pragnął. Odzyskać Daniellę, swoją młodą oblubienicę.

– Dziękuję, Mesjaszu – odparł. – Dziękuję.

Rozwód przeprowadzono niezwłocznie. Kiedy Daniella stanęła przed trzema sędziami rabinicznymi i złapała list rozwodowy, który (jak nakazywała tradycja) rzucił jej Shlomie, serce śpiewało w niej z radości.

Wreszcie, pomyślała. Koniec starego życia. Zaczyna się nowe. W najgorszych snach nie wyobrażała sobie tego, co nastąpiło później.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Wczesnym rankiem w niedzielę detektyw Cedek spotkała się z Daniellą Goodman. Choć wydano nakaz aresztowania Szem Towa, czuła, że zeznanie Danielli nie tylko zagwarantuje wyrok skazujący, ale co najważniejsze, przyniesie ulgę jej nieszczęsnym dzieciom. Cierpiały nie tylko z powodu piekła, które przeszły, ale również dlatego, że ukochana matka je zdradziła. Aby ich rany mogły się zagoić, Daniella – jako matka – musiała przyznać się do winy i poprosić dzieci o wybaczenie.

Siedziały w milczeniu, mierząc się wzrokiem.

– Powiedz, Daniello – zaczęła wolno Bina – co czułaś, gdy patrzyłaś, jak Menachem Szem Tow i jego „święci” głodzili Elego, bili go, zamykali w walizce, kazali zjadać własne wymiociny i odchody?

Daniella pobladła jak ściana.

– Skąd... Kto wam powiedział?

– Kto nam zdradził imię twojego wielkiego „mesjasza”? A zdziwiłabyś się, że to jeden z jego „cadyków”, który całą winę za piekło twoich dzieci rzucił na ciebie? Który twierdził, że to ty nalegałaś, żeby je katować?

Zasłoniła dłońmi uszy i zaczęła się kołysać.

– Co czułaś, gdy patrzyłaś, jak z twojego najmłodszego, twojego ślicznego, małego Menchiego, robią worek treningowy? Jak okładają go pięściami i tłuką młotkiem, aż cały sinieje i puchnie jak balon? Co czułaś, gdy słyszałaś jego rozpaczliwy płacz, kiedy złamali mu rękę i przywiązali do pleców? Menchie, twoje maleństwo, twój słodki chłopczyk, teraz leży w śpiączce, załatwiony przez twoich „przyjaciół”, twoich „cadyków”, którzy skatowali go, żeby milczał. Żeby nie powiedział, co z nim robili!

Daniella kołysała się histerycznie.

– Posłuchaj, Daniello. Jestem matką. A wczoraj tak natarczywie całowałam pulchne kolanka i ramionka mojej córeczki, że zaczęła się bronić. Jak ktoś może świadomie pozwolić na cierpienie dziecka? Jakiegokolwiek dziecka, a co dopiero swojego? Przyznam ci się do czegoś. Ilekroć się z tobą spotykałam, ogarniało mnie obrzydzenie. I wściekłość. Zastanawiałam się, kto może być tak odrażający i podły, żeby skazać swoje dzieci na takie piekło! Ale kiedy poznałam twoje dzieci, zadałam sobie pytanie, kto wychował tak uroczą gromadkę. Tak dzielne, pomysłowe i inteligentne dzieci? Dzieci tak kochające i wierne, że nie chciały powiedzieć przeciwko tej osobie złego słowa?

Daniella poderwała głowę. Po raz pierwszy, od kiedy Bina ją знаła, na jej bladej twarzy pojawił się blask, a oczy ożyły.

– Dlatego postanowiłam szukać odpowiedzi. W komputerze wpisałam frazę „matki w sektach”. Tak trafiłam na stronę ICSA, Międzynarodowego Stowarzyszenia Badań nad Sektami. I natknęłam się na artykuł *Dzieci i sekty* mecenas Susan Landy.

Daniella nie odrywała wzroku od Biny.

– Słyszałaś kiedyś o Jimie Jonesie? Przywódcy religijnym, sprawcy masowego morderstwa swoich wyznawców, których napoił oranżadą zaprawioną cyjankiem?

Daniella wolno skinęła głową. Bina dostrzegła w jej oczach przerażenie.

– Nazwał swoją sektę Świątynią Ludu. Raz jedna z dziewczynek, niespełna pięcioletnia, przeszkadzała w lekcji. Kazał zabrać ją nocą z domu i wywiózł pół kilometra dalej. Małej powiedzieli, że tam czekają na nią węże i upiory. Przewiązali oczy i kazali o własnych siłach wrócić do obozu. Po drodze zarzucali dziewczynce śliskie sznury na ramiona i naśladowali odgłosy zwierząt. Coś ci to przypomina?

Daniella spuściła wzrok, niespokojnie przebierała palcami.

– Pewną czternastolatkę tygodniami trzymali w skrzyni ze sklejki, zostawili tylko dwa otwory na powietrze oraz puszkę, do której mogła się załatwiać. Siedziała tam uwięziona, a dorośli z niej szydzili. Chłopcu, którego „zbrodnia” polegała na tym, że robił przerwy w pracy i krytykował ilość nawozów sypanych do ziemi, wybili zęby. Innego chłopca czwórka dorosłych mężczyzn ciągnęła za kończyny tak długo, aż stracił przytomność.

Daniella chwyciła się blatu, jakby powstrzymywała się, by nie odfrunąć.

– Dzieci karano też za „występki” rodziców. Jeśli parę przyłapano na rozmowie, dzieci zmuszano, by w obecności całej sekty onanizowały się albo uprawiały seks z kimś nie lubianym.

– Proszę... – jęknęła kobieta.

– Twój „mesjasz” wcale nie jest wyjątkowy. To tylko jeden z licznej czeredy przywódców sekt, którzy krzywdzili dzieci, by „dać im nauczkę” albo „skruszyć ich hardość”. Była też sekta Brać, nazywana zjadaczami śmieci. Ci z kolei obwiązali dwumiesięcznemu dziecku udo drutem kolczastym, a kiedy płakało, mocniej dociskali. Dzięki Bogu, jego dziadkowie zdołali pozbawić rodziców praw i wzięli je do siebie. Drut odkryli, dopiero kiedy po decyzji sądu zawieźli dziecko na badania. Lekarze powiedzieli, że wokół drutu

widzieli świeże strupy, co świadczyło, że tortura trwała aż do czasu, gdy niemowlę przekazano dziadkom, a drut wrzynał się w skórę tak głęboko, że zaczął obrastać ciałem...

Daniella zerwała się z krzesła.

– Przestań, błagam!

– Dlaczego, Daniello? Co ci tak przeszkadza? Historie o cierpieniach cudzych dzieci? A cierpienie własnych już ci nie przeszkadza? Dlatego kryjesz winnych?

Kobieta usiadła.

– Myślisz, że twój „mesjasz” to jedyna żydowska sekta? Sekta, Daniello. To nie był żaden święty, tylko psychopata, który katował twoje dzieci. Nie po to, by osiągnęły świętość, ale po to, by sam mógł zaspokoić swoją chorą, narcystyczną żądzę władzy i dominacji. Guzik go obchodziło, co stanie się z tobą i z twoimi dziećmi. Nie kochał cię.

– Kłamstwo!

– Psychopaci nie potrafią kochać. Potrafią jedynie wykorzystać swój czar i osobowość, żeby zniewolić ludzi, których sobie wybiorą. Ty, Daniello, zostałeś wybrana. To nie był przypadek. Psychopaci z daleka wyczuwają potencjalne ofiary. Wybierają zagubione, pogrążone w smutku osoby, które straciły pewność siebie. Byłaś idealną ofiarą, Daniello. Naprawdę tego nie widzisz?

Gwałtownie kręciła głową.

– Nie byliśmy sektą! Zbliżaliśmy się do Boga, rozmawialiśmy z aniołami...

– Członkowie sekty Dom Judy bili dzieci sznurami, różgami, gałęziami, kijami od miotły, trzonkami od siekiery. Nie pozwalali im płakać, nawet gdy patrzyły, jak ich rodzeństwo katowano na śmierć. Sekta Rzeka Życia działająca w Montanie zakatowała pięcioletniego chłopca przewodami elektrycznymi i kijem. Kiedy maluchy rozrabiały, jak to maluchy – tak samo jak twój Menchie chowający kluczyki, żebyś nie wyjechała – uważali, że są opętane przez diabła. Jeśli rodzic nie potrafił zmusić swojego półtorarocznego albo trzyletniego dziecka, żeby „zachowywało się porządnie”, słyszał, że grzeszy, bo nie podporządkowuje się woli Bożej. Coś ci to przypomina, Daniello? Po co szukać daleko? U nas, w Izraelu, w samej Jerozolimie niejaki Elior Chen założył sektę. Katował ósemkę dzieci, bił je i głodził, podczas gdy ich matka biernie się temu przyglądała.

Oszłomiona Daniella milczała.

– Nie chodzi tylko o najmłodszą dwójkę. Pomyśl o starszych: Amalii, Duviem, Yossim, Gabrielu, nawet Szoszanie. Pomyśl, co czuły, gdy musiały patrzeć, jak Elego i Menchiego bito młotkami, głodzono, straszono, torturowano...

Daniella ukryła twarz w dłoniach.

– Proszę – błagała. – Wystarczy. Nie mogę...

Bina oderwała jej dłonie od policzków.

– Nie rozumiesz? Twoje dzieci czują się winne! Zwłaszcza Amalia i Duvie! Byli najstarsi, widzieli, co się dzieje, ale nie mogli w żaden sposób pomóc!

– Boże! – zawołała. – Ratuj!

– Właśnie to próbuję zrobić! Posłuchaj, Daniello. Tłumaczę ci, że nie ciebie pierwszą i nie ostatnią to spotkało. Twój najdroższy „mesjasz” i jego „cadykowie” niczym się nie różnili od innych sekt. Twoje dzieci podzieliły los rzeszy innych dzieci, które trafiły w ręce chorych psychicznie, psychopatycznych guru. To nie ma nic wspólnego z Bogiem, judaizmem ani kabałą. Tamte sekty wywodziły się z chrześcijaństwa, mormonizmu, nawet ateizmu, ale postępowały identycznie, a ich członkowie wierzyli w to samo. Twój „mesjasz” to żaden święty. To zwykły przestępca, który cię oszukał, tak samo jak wcześniej rebe Amos. Wreszcie zaczyna to do ciebie docierać? Ty i twój mąż byliście ofiarami, Daniello. Ofiarami. Omotali was, ogłupili, zmanipulowali...

– Bredzisz! Kłamiesz!

– Pomyśl, Daniello, pomyśl – ciągnęła spokojnie Bina. – Uruchom mózg, umiejętność myślenia. Wiem, że dawno tego nie robiłaś. Sekty nie pozwalają myśleć. Wmawiają, że świat zewnętrzny jest pełen niebezpieczeństw, diabelskich zasadzek. Że rodzina cię nienawidzi, a zbawienie osiągniesz tylko w sekcie. Wbijają ci do głowy, że jeśli spróbujesz choćby pomyśleć o swoim dziecku czy innym człowieku z czułością i dobrocią, doprowadzi to do zagłady. Ciebie i dziecko.

Daniella spojrzała na nią zdumiona.

– Właśnie to mi powtarzali! Dokładnie to!

– Oczywiście, bo należałaś do sekty! Słuchałaś przywódcy sekty, nie żadnego świętego, rebego. Szem Tow miał jeden cel: zdobyć absolutną lojalność ofiary i jej całkowite oddanie. Chciał sprawować wyłączną władzę nad umysłami i ciałami swoich wyznawców.

W Danielli zaszła gwałtowna, radykalna zmiana. Osunęła się na podłogę, skuliła jak płód. Jęczała.

Bina powtórzyła w myślach ostatnie zdanie, zastanawiając się, które słowa wywołały tak silną reakcję. Nagle ją olśniło.

– Właśnie tak było z tobą? Szem Tow przejął władzę nie tylko nad twoim umysłem, ale także ciałem?

Daniella leciutko, prawie niezauważalnie skinęła głową. Jej twarz wykrzywiło przerażenie. Przez długą chwilę siedziały w milczeniu.

– Po rozwodzie Shlomie się wyprowadził, Szem Tow zabronił mi zbliżyć się do mnie i do dzieci. Nie mógł nas odwiedzać. Kiedy się zegnaliśmy, płakał. Dzieci wpadły w histerię. „To tylko chwilowe rozstanie”, uspokajał dzieci identycznie, jak uspokajał mnie ojciec wiele lat temu. Te słowa coś we mnie uwolniły. Zaczęłam żałować swojej decyzji. Nie ze względu na siebie, ale na dzieci. Ale wkrótce zjawił się u mnie Mesjasz. „Szmaja zaopiekuje się dziećmi”, powiedział. „Jedź ze mną”. Byłam zagubiona. Posłusznie poszłam za nim do samochodu. Było bardzo zimno, środek nocy. Rozglądałam się za Księżycem, ale zniknął za chmurami. Nie wiem dlaczego, ale to przerażyło mnie jeszcze bardziej. Na tylnej kanapie siedzieli Kuni Batlan i Issachar Goldschmidt. Pamiętam, że siadając z przodu, trzęsłam się jak osika. Mesjasz prowadził jak szalenię. Za szybko, za szybko! Byłam pewna, że nas zabije. Co najdziwniejsze, nie bałam się. Właściwie liczyłam, że tak wszystko się skończy. Czy to nie dziwne? Dotarliśmy na skraj lasu Ramot. Zatrzymał samochód. Wysiedliśmy. Mesjasz bez słowa ruszył do lasu...

– Proszę, Daniello, przestań. Nie nazywaj go „mesjaszem”. To człowiek, psychopata. Nazywa się Menachem Szem Tow.

Daniella objęła podkulone nogi ramionami. Nie odpowiedziała.

– Pamiętam, że stałam tam. Zmarznięta, przerażona. Nie chciałam zrobić kroku. Ale wtedy on, Szem Tow, się obejrzał. Nie widziałam jego twarzy. Tonęła w mroku. „Chodź!”, zwrócił się do mnie. A ja posłuchałam. Szłam za nim jak dziecko. Szłam za jego głosem. Pamiętam wzbierające mdłości, ale czułam, że nie mam wyjścia. Stawiałam krok za krokiem, idąc za nim w głąb ciemnego lasu. Gałęzie smagały mnie po twarzy, jeżyny drapały po łydkach. Na nogach miałam eleganckie, szabasowe buty. Twarde kamienie i żwir wbijały się w cienką podeszwę. Było nas czworo. Ktoś zapalił latarkę. Zobaczyłam, jak Szem Tow idzie w moją stronę.

Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w ścianę. Jej twarz wyzuta była

z uczuć.

– „Drzewa będą naszą chupą, ci mężczyźni zaś świadkami”, powiedział, po czym wyjął z kieszeni obrączkę. Byłam oszołomiona. Nie potrafiłam myśleć. Pamiętam, że patrzyłam na reflektory samochodów na drodze do Tel Awiwu. Wyobrażałam sobie, że siedzę w jednym z nich, uciekam jak najdalej. Ale potem spojrzałam w górę na ciemne konary kołyszące się w podmuchach zimnego wiatru. Słyszałam ich szelest, który brzmiał jak szept. Żyły, próbowały mi coś powiedzieć, ale ja nie słyszałam, nie rozumiałam... Potem znów przemówił: „Zostajesz mi poświęcona wedle praw Mojżesza i Izraela”. Próbował wsunąć mi na palec obrączkę, ale okazała się za mała. Zmagał się z nią, wpychał na siłę, kaleczył mi knykieć. Chciałam krzyczeć, prosić, żeby przestał, że to boli. Ale milczałam. – Bezradnie potrząsnęła głową. – Nie wiem dlaczego. A potem wróciliśmy do samochodu. Zawiózł nas do hotelu Ramada Renaissance na obrzeżach Jerozolimy. Tam oddał kluczyki Goldschmidtowi. My wysiedliśmy, a oni odjechali. Zaprowadził mnie do środka. W recepcji nikt nie zwrócił na nas uwagi. Bo i na co? Chasyd z żoną. Wpisał się do księgi, wziął klucz.

Drżała, podkuliła kolana pod brodę.

– Podać ci coś do picia? – zaproponowała Bina, ale Daniella odmówiła gestem.

– Nie mogę przerwać. Jeśli teraz przerwę, to już nigdy... – Wzdrygnęła się. – Pamiętam, że poczułam dziwne odrętwienie. I myślałam tylko: Jak to możliwe? Czy można poślubić Mesjasza? Przecież już ma żonę. Ale nie pytałam, bo nie potrzebowałam odpowiedzi. Jakub przed Rachelą poślubił Leę. Abraham był żonaty z Sarą, kiedy wziął Hagar. Król Dawid był mężem Mikal, kiedy wziął Abigail i Batszebę. Jechaliśmy na górę windą. Milczeliśmy. Wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi. Pokój pachniał odświeżaczem powietrza i świeżą pościelą. Szem Tow nie zapalił światła.

Podparła brodę i zapatrzyła się w przestrzeń.

– „Rozbierz się”, polecił. Nie wierzyłam własnym uszom. Powtórzył ostrzej. Byłam w szoku. Ale wmówiłam sobie, że to zupełnie tak, jakby mówił: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił” czy „Miłuj bliźniego jak siebie samego”. Bo to było to samo. Słowa, które wychodzą z ust świętego, zawsze są święte. Posłuchałam. Stałam przed nim naga i upokorzona.

Położyła dłonie na głowie.

– Zdarł mi perukę. „To też”, rozkazał. Szorstko przecesał mi włosy

palcami. „Idź do łóżka i czekaj”, warknął. Tak też zrobiłam. Pościel była chłodna, krochmalona. Pomyślałam: Co ja tutaj robię? Nie mogłam znaleźć odpowiedzi. Wtedy spanikowałam. Chciałam zerwać się i uciec, ale ciało ciążyło mi, jakby ktoś przywiązał mi do rąk i nóg półtonowe kotwice i wrzucił je do czarnego morza. – Spojrzała na Binę. – Po prostu nie widziałam drogi ucieczki. Leżałam więc i czekałam. – Wolno wypuściła powietrze. – Poczułam, jak łóżko się zatrzęsło, kiedy się położył. Jego ciało wydawało się obce, tak inne niż mojego męża. A jego dotyk... Szłomie zawsze był czuły i delikatny. On zaś przypominał maszynę pozbawioną emocji. Wszystko, co robił, było bolesne, hańbiące, ostre. Odwracał mnie to w jedną, to w drugą stronę jak kłodę drewna. Jakbym nie była człowiekiem.

Umilkła. Obie kobiety siedziały bez słowa.

– Robił ze mną niewyobrażalne, wstrętne rzeczy. Nie sądziłam, że w ogóle można tak traktować kobietę. „Proszę”, zaklinałam. „Błagam, przestań! Tak się nie robi!”. Podniósł głowę i patrzył na mnie przez chwilę. „Mężczyzna może robić z żoną, co chce”, oświadczył. „Zamknij się”. Byłam w szoku. Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby tak się do kogoś zwracał. Ani do mnie, ani do nikogo. Potem jakby wstąpił w niego diabeł. Dławiłam się. Bolało. Czułam się, czułam... jakby mnie zgwałcił. Zamordował moją duszę.

Wybuchła płaczem, dławiąc się bólem, który wylewał się z niej niczym wezbrana rzeka występująca z brzegów.

– Może... Tyle wystarczy? – delikatnie zaproponowała Bina, podając jej chusteczkę.

Daniella wytarła nos, energicznie potrząsając głową.

– Nie. Chcę... Muszę... – Zapanowała nad sobą. – I w chwili, gdy pomyślałam: Muszę zacząć krzyczeć albo umrę, łóżko nagle stało się lekkie. Bałam się go zawołać. Bałam się, że wróci. Nie wrócił. Poszedł sobie. Pomyślałam: Proszę, Boże, niech to będzie sen. Spraw, by się okazało, że to się w ogóle nie wydarzyło. Ale kiedy rano odsłoniłam prześcieradło i wdychałam zapach tego, do czego między nami doszło... – Pięściami dudniła w kolana. – Byłam... tak potwornie upokorzona. Strasznie się wstydziłam. Ale zamiast myśleć o ucieczce, powiedziałam sobie: Muszę dalej wierzyć. Jeśli teraz przestanę, jak spojrzę sobie w oczy? Wtedy zrozumiałam, że nie ma dla mnie wyjścia. Nie mogłam uciec, nie było dla mnie odwrotu.

– Wtedy dałaś mu nad sobą pełnię władzy. Nawet nad swoim ciałem. Nawet nad ciałami i umysłami swoich niewinnych dzieci. Zamieszkałaś z nim.

Wprowadziłaś się do tego ciasnego, zapyziałego domu, bo tego zażądał. Chciał cię mieć, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Daniella zacisnęła kolana.

– To prawda, to prawda.

Nagle zanosła się płaczem.

Bina wstała. Plecami oparła się o ścianę, po czym osunęła się na podłogę i usiadła obok Danielli Goodman.

– Jesteś jego ofiarą, Daniello. Nie widzisz tego? Przejął władzę nad twoim umysłem. Ludzie w tym stanie popełniają czyny, których w normalnym życiu nigdy by nie zrobili. Posuwają się do najgorszych zbrodni. Z własnej woli, świadomie, wręcz z entuzjazmem. Właśnie tak przywódca sekty sprawdza oddanie wiernych. Patrzy, na jakie męczarnie swoich dzieci pozwolą.

Z ust Danielli Goodman wyrwało się głośnie, niemal zwierzęce wycie. Wycie rozpaczy jedyne ocalałego z ludobójstwa albo katastrofy naturalnej. Bina chwyciła ją za ramiona.

– Teraz rozumiesz? Byłaś jego ofiarą, łupem. Zatrął cię swoim jadem, żebyś przestała czuć, stała się bierna. Czuliś, że straciłaś władzę nad wszystkim. A z chwilą, gdy tak czujesz, rzeczywiście tracisz panowanie nad swoim życiem. Czuliś się bezsilna i taka się stałaś. Poddałaś się, bo Szem Tow i jego przybocznicy zadbałi, żebyś nie widziała innego wyjścia.

Daniella przypominała szmacianą lalkę.

– Wystarczyło ustąpić, a wszystko stawało się łatwiejsze. To było tak proste i oczywiste – szeptała. – Opór wymagał walki. A ja nie miałam już sił. Jakaż ze mnie idiotka! Jak mogłam do tego dopuścić?

– Ludzie, którzy wstępują do sekty, nigdy nie zdają sobie sprawy, że mają do czynienia z sektą. Wiesz, że najlepszymi kandydatami są bystrzy i dociekliwi? Typ przywódców i idealistów, którym zależy na cudzej miłości i akceptacji. Równocześnie zaś wątpią w siebie, boją się przyszłości. Ci, którzy wstępują do sekty, nigdy nie zdają sobie sprawy, gdzie trafili. To, co cię spotkało, może przytrafić się każdemu w trudnym okresie życia.

– Ale ja pozwoliłam im...

– W sekcie Kochaj Rodzinę dzieci, które płakały, odzywały się niepytane albo zgłaszały jakiegokolwiek potrzeby, uważano za opętane. Teraz widzisz, Daniello? Nawet to nie był pomysł Szem Towa, lecz klasyczna manipulacja stosowana w sektach. Żadne jego słowo nie miało nic wspólnego z prawdą

kabałą albo judaizmem. Żaden jego czyn nie był oryginalny. To się powtarzało miliony razy bez względu na religię czy rasę.

– Ale dlaczego? Dlaczego zadawał ból mnie i moim dzieciom? Dlaczego?
– płakała.

Bina odchyliła się i zamknęła oczy. Pomyślała o przestępcach, których spotkała i wysłała do więzienia. O ich pokrętej naturze i niepojętych metodach krzywdzenia innych.

– Sama chciałabym wiedzieć. Niektórzy tacy się rodzą. Są potworami napędzanymi furją. U niektórych wrogość i agresja objawia się przez konieczność całkowitej kontroli nad innymi. Tak właśnie jak Szem Tow kontrolował ciebie, Shlomiego, swoją żonę, chasydów i dzieci. To sprawia im przyjemność. Daje poczucie władzy. Myślę, że w twoim wypadku doszedł też element pożądania seksualnego. Aby całkowicie nad tobą zapanować, musiał zrujnować twoją osobowość, unicestwić tożsamość. Realizowałaś się jako matka. Musiał to zniszczyć, byś w pełni stała się jego własnością.

– Boże!

Daniella powoli wstała z podłogi.

Bina przyglądała się jej uważnie. Gdzieś zniknęła wojownicza Biała Czarownica, z którą nikt nie mógł się mierzyć. Została słaba, żałosna, zniszczona ofiara, która – jak wielu przed nią – miała pecha spotkać na swojej drodze zwyrodnialca, ludzkiego drapieznika. Z całego nauczania Szem Towa tylko jedno zdanie było prawdziwe. Faktycznie mógł się komunikować z demonami. Żyły w jego głowie.

– Co ja teraz pocznę? – jęczała Daniella.

Bina zamyśliła się na chwilę.

– Opowiem ci historię. Prawdziwą. Było raz małżeństwo z małą córeczką. Przypadkowo poznali człowieka, w którym zobaczyli uzdrowiciela. Czcili go i szanowali jako swojego duchowego ojca i przywódcę. Nie minęły trzy lata, a oddali mu większość majątku. Pozwalali też, by dyscyplinował ich córkę. Patrzyli, jak parzył ją wrzątkiem i bił. Ojciec zaś przyglądał się, jak gwałcił matkę jego dziecka.

– Przestań! Błagam, przestań...

Bina zignorowała jej krzyki.

– Rodzice tolerowali przemoc i bicie. Dlaczego? Bo podobnie jak ty, Daniello, wierzyli, że w ten sposób będą wzrastać emocjonalnie i duchowo. To byli normalni ludzie, Daniello. Tacy jak ty. Oboje skończyli studia, mieli

dypłomy. W końcu uciekli i znaleźli pomoc w ośrodku dla ofiar sekt. Kiedy spytano matkę, dlaczego na to wszystko pozwalała, wyjaśniła, że czuła się przeraźliwie sama z dala od rodziny i przyjaciół, a jej mąż zachorował, musiał przejść operację. Nie było ich już stać na podejmowanie współpracowników i kontakty z dawnymi znajomymi. Na pomoc wścibskich i krytycznych rodziców męża też nie mieli co liczyć. Kobieta straciła pewność siebie. Była przygnębiona, niespokojna, bała się, co przyniesie przyszłość... Brzmi znajomo?

– Jak... Jak się wyrwali? – spytała Daniella.

– Ich córka zachorowała tak ciężko, że omal nie umarła. Zdesperowani zawieźli ją do szpitala na ostry dyżur. Lekarze zawiadomili policję, rodziców oskarżono o molestowanie i zaniedbanie. Nigdy nie zgadniesz. Dziewczynka miała nieleczone oparzenia.

Zapadła głucha cisza.

– Co się stało z rodziną? – spytała Daniella. Łzy spływały jej po policzkach. – Z dzieckiem?

– Rodzice zgłosili się na terapię, dzięki czemu matka uporowała się z wyrzutami sumienia, przez które nie mogła robić postępów. Musisz zrobić krok naprzód, Daniello. Musisz rozprawić się ze swoim poczuciem winy.

Daniella siedziała bez ruchu, jakby spłynęło na nią olśnienie. Po raz pierwszy od lat przez jej zmrożone serce przebił się promyk samoświadomości. Nie była jedyna. Nawet jej grzechy nie były szaleńczo oryginalne. I nigdy, przenigdy nie zdoła sobie wybaczyć.

– Proszę, proszę, pozwól mi odwiedzić mojego Menchiego. Błagam! Potem, obiecuję, powiem ci wszystko.

Bina wyjęła telefon. Odbyła z Morrisem krótką rozmowę.

– Chodź, zawiozę cię do niego. Nie, nie trzeba. Nie musicie jej skuwać – powiedziała dwójce towarzyszących im policjantów.

– Przykro mi, pani detektyw, takie są procedury.

Twardo położyła rękę na kajdankach.

– Nie! – rozkazała.

Mężczyzna mrugnął i schował je do kieszeni.

Bina zaprowadziła Daniellę do radiowozu.

– Proszę, detektyw Cedek – zwróciła się do niej Daniella w drodze do szpitala Hadassa. – Zadzwoń pani do mojego brata Joela i bratowej Esther? Przekażę im pani, że jestem wdzięczna za wszystko, co zrobili i co nadal robią

dla mnie i dzieci?

Bina potaknęła.

– Oczywiście. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo nam pomogli. Ale dlaczego sama nie zadzwonisz?

Daniella potrząsnęła głową.

– Za bardzo się wstydę.

Bina poklepała ją po dłoni. Na to nie miała odpowiedzi.

Razem szły szpitalnymi korytarzami, aż zatrzymały się przed salą, w której leżał Menchie, śliczny chłopczyk pogrążony w wiecznym śnie. W swoim dziecięcym łóżku wydawał się drobniutki. Dodatkowo przytłaczały go popiskujące urządzenia, od których dawno go odłączono. Medycyna wykorzystwała już wszelkie narzędzia, które mogłyby mu pomóc.

– Idź, posiedź przy dziecku – zwróciła się do Danielli Goodman, wycofując się i zostawiając ją samą z chłopcem. – Ja poczekam na zewnątrz. Nie musisz się spieszyć.

Daniella skinęła głową. W jej oczach lśniły łzy.

– Dziękuję.

Policjantka przez otwarte drzwi patrzyła, jak Daniella podchodzi do synka, bierze go na ręce i siada z nim w fotelu. Tam tuliła do siebie bezwładne ciało, które jeszcze niedawno było bystrym, uroczym, żywotnym maluchem. Dzieckiem o wyjątkowej inteligencji i bystrości, które przebiło się przez fasadę i zajrzało wprost do serca bestii, intuicyjnie wyczuwając to, czego nie widzieli dorośli. Ci, którzy mieli je chronić i opiekować się nim. Za swoją bystrość zapłaciło życiem.

Bina w milczeniu przypatrywała się, jak Daniella Goodman kołysze synka, cicho mu śpiewając. Zaskoczona rozpoznała szabasowy hymn, podziękowanie dla aniołów stróżów, którzy towarzyszą wiernym w piątkową noc wracającym z synagogi.

Szalom Alejchem, malachej haszaret, malachej eljon.

Mimelech malachej hamelachim ha-Kadosz baruch Hu⁵.

Matka tuliła bezwładne ciało synka. Jej gorące łzy spływały na śliczną twarzą, otwarte niewidzące oczy, pełne wargi i pulchne policzki. Kołysała go, jakby nigdy nie miała przestać.

Jakąkolwiek karę wymierzy jej ludzki wymiar sprawiedliwości, pomyślała Bina, zamykając drzwi, nie dorówna to piekłu, do którego właśnie zstąpiła ta

kobieta, gdy uświadomiła sobie, co uczyniła swoim dzieciom.

5 Pokój wam, aniołowie piastujący, aniołowie Najwyższego.

Kto jest Królem nad królami? Święty, niech będzie błogosławiony.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Proszę zapiąć pasy i ustawić oparcie fotela w pozycji pionowej – poleciła stewardesa grzecznie, ale zdecydowanie.

Powtarzała mu to trzeci raz. Samolot zaraz miał wystartować.

Menachem Szem Tow, który praktycznie nie znał angielskiego, spojrzał na nią rozdrażniony.

– Co? – spytał.

Przewróciła oczami, poprawiła oparcie, sięgnęła po pas, by go zapiąć.

Szem Tow zamknął oczy i wstrzymał oddech, czekał, aż samolot oderwie się od ziemi. Wtedy dopiero wypuścił powietrze. Na jego ustach pojawił się triumfalny uśmiezek.

Plan był prosty. Znaleźć państwo z liczną społecznością haredi, której wciśnie jakąś smętną bajeczkę, a oni pomogą mu uniknąć ekstradycji do Izraela i szponów głupiej policji.

Pierwszy etap – Kanada – poszedł gładko. Ale w Internecie szybko pojawiły się artykuły z jego zdjęciami. Nawet świeżo pozyskani wyznawcy zaczęli stawiać krępujące pytania. Musiał się spakować i ruszyć dalej. W Namibii co prawda nie było żydów, ale leżała z dala od cywilizacji, co stanowiło duży plus. Dość szybko jednak zaczęły mu doskwierać upał, dziwne jedzenie i brak porządnego towarzystwa...

Teraz skierował się do Peru. Ani przez chwilę nie wątpił, że w końcu odniesie sukces, choć niewymownie drażniło go, że znalazł się w takich opałach. To urągało jego przekonaniu o własnej wyższości i niezniszczalności.

Jedyny problem stanowił czas, ale nawet tu nie miał się czego obawiać. Daniella Goodman nie puści pary z ust. Ani jego żona. Zaś Batlan, Hod i Goldschmidt... Nawet jeśli jeszcze nie trafili za kratki, to jedynie kwestia czasu. Oni też będą milczeć. Nie opłaca im się mówić. Dopilnował, żeby mieli równie brudne – a nawet brudniejsze – ręce jak on.

Odchylił się z ciężkim westchnieniem. Uciekinier... Co za porażka. Kiedy wszystko tak się popsuło? – zastanawiał się z rosnącym gniewem, szukając winnego. Oczywiście przez tę kobietę. Daniellę.

Na samo wspomnienie ogarnęło go pożądanie. To smukłe, sprężyste ciało, tak odmienne od ciała tłustej żony. Ale Rut nie zawsze taka była. Przecież ona też, jako świeżo upieczona panna młoda... Oblizwał wargi. To przez pożądanie do Danielli stracił panowanie nad sytuacją, uznał. Musiał ją mieć. Musiał ją

mieć u siebie w domu, w swoim łóżku, na każde skinienie. Bez tego kursowania z Bet Szemasz do Jerozolimy. Ale jej dzieciaki były koszarne. Wychowane bez cienia dyscypliny. Nie to, co jego dzieci. Poniosło go. Zwłaszcza z najmłodszą dwójką. Menchie, ten uparty gnojek, który przenikał go wzrokiem. Próbował wszystkiego, a szczeniak się nie bał. A potem było już za późno. Gdyby mały zaczął mówić... Trzeba było dopilnować, żeby dzieciak nigdy nie pisnął słówka. Batlan, głupek skończony, jak zwykle spieprzył robotę. Prawie zabił małego, a potem spanikował i wezwał karetkę. Szem Tow gotował się na samą myśl.

A z Elim? Nie było racjonalnego wytłumaczenia, dlaczego tak go traktował. Oprócz jednego: wyglądał jak skóra zdjęta ze Shlomiego.

Szem Tow wyciągnął nowy notatnik. Teraz żałował, że zostawił stare w domu. Zanim uciekł w popłochu, przykazał Rut, żeby je zabrała, kiedy dołączy do niego z dziećmi. W sumie nie wiedział, czy im się uda.

Rozparł się w fotelu. Już dzwonił do lidera sekty Neszama Amuka, rebege Leibela, swojego mistrza, który razem z wyznawcami uciekł do Peru, kiedy izraelska policja zaczęła się mu uważnie przyglądać. Większość pomysłów Szem Tow ściągnął od niego, swojego niedoścignionego wzoru.

Leibel urodził się w rodzinie niewierzących Żydów w kibucu na południu Izraela. Tuż po tym, jak w niesławie wyleciał z wojska za kradzież i sprzedaż broni, przeżył głębokie nawrócenie. Ze świeżo zapuszczoną brodą, w czarnym garniturze i białej koszuli pobożnego wyznawcy krążył po Bene Beraku, szukając jesziwy, która by go przyjęła. Dołączał do różnych grup, przy okazji z zazdrością patrzył, jak wierni odnoszą się do swoich mistrzów; jak hojnie sypią groszem, by zapewnić im dostatnie życie w luksusowych domach; jak kłaniają im się w pas, usługują i spijają z ust każde słowo. Wtedy też dojrzał własną przyszłość.

Leibel zaczynał od garstki uczniów swojej jesziwy i ich żon. Stworzył małą sektę prozelitów, których przekonał, że ich droga jest najczystsza. Wymyślał dziwaczne reguły dotyczące tego, co wolno jeść, a czego nie wolno, wykraczające daleko poza to, co stanowił koszer. Potępiał na przykład ryż i sałatę, tłumacząc to tym, że mogą zawierać drobne owady, a tych prawowity żyd nie jada. Narzucił też surowe zasady dotyczące ubiorów dla kobiet – surowsze od tych w islamie. Poszedł nawet dalej, narzucił ograniczenia także dziewczynkom, które ukończyły dwunasty miesiąc życia. Między innymi zabraniał zdejmowania pończoch, nawet w domowym zaciszu. Ku jego

z dumieniu, im bardziej rygorystyczne nakazy tworzył, tym więcej ludzi się do niego garnęło, błagając, by przyjął ich do swojego zboru. Wtedy Leibel zaczął eksperymentować, sprawdzać, jak daleko pod jego wpływem posuną się wyznawcy, nawet wbrew własnemu instynktowi i intuicji. Organizował potajemnie śluby, wydawał jedenastoletki za trzydziestolatków. Przyjmował dziewczyny, które uciekły z domów. Uprawiał z nimi seks, a potem oddawał innym mężczyznom. Stosował tak brutalne kary cielesne, że nieraz wymagały pomocy lekarskiej, która jednak nie nadchodziła. Ku jego zachwytowi, im dalej się posuwał, tym bardziej jego sława rosła i tym większe grono pewnego określonego typu wierzących do niego łągnęło.

Niestety, wśród członków sekty znalazła się pewna dziewiętnastoletnia narkomanka, która – jak się okazało – pochodziła z rodziny zamożnych, telawiwskich prawników. Ci zainteresowali się jej losem i wyciągnęli ją z grupy, po czym przeorientowali. Dziewczyna śpiewała jak z nut. Leibel ani się obejrzał, jak on i jego wyznawcy siedzieli w samolocie do Peru.

Zaturkotał wózek z jedzeniem. Stewardesa podała Szem Towowi posiłek. Patrzył na niego oburzony.

– Niekoszerne! – ryknął na kobietę, która szybciotko zabrała jedzenie i zmieszana patrzyła na opakowanie.

– Proszę spojrzeć. – Pokazała mu dużą naklejkę. – Tu jest wyraźnie napisane: „Koszerne”.

– Nie *glatt* koszerne! – wydarł się i grzmotnął pięścią w składany stolik. Pasażer przed nim aż podskoczył.

– Bardzo pana proszę. Postaramy się... Proszę, niech pan się uspokoi. Łomotał pięściami w oparcie fotela przed sobą, jakby próbował go przesunąć. Współpasażer obejrzał się zaniepokojony.

– Bardzo proszę, niech pan się uspokoi, bo będę musiała wezwać ochronę.

Podniósł wzrok i zobaczył idących w swoją stronę dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn. W tej samej chwili na Menachema Szem Towa jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki spłynął spokój. Opuścił zwiotczące ręce i przymknął powieki. Po chwili otworzył oczy i spojrzał na stewardesę.

– Przepraszam – powiedział. – Jadę na pogrzeb ojca. Bardzo smutne. Przepraszam.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Oddała mu tackę i skinęła głową na mężczyzn, którzy zawrócili na miejsce. Później już Szem Tow zachowywał się wzorowo. Grzecznie zjadł posiłek, zamknął oczy i zapadł w sen. Czekala

go długa podróż.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

W następnych dniach adwokat Danielli Goodman negocjował złagodzenie wyroku dla klientki. Stało na pięciu latach więzienia w zamian za odegranie roli świadka koronnego. Pięć lat za kratkami, myślała Bina, zastanawiając się, czy to adekwatne do przewinienia.

– Jak bardzo jej prawnik zabiegał o zmniejszenie wyroku? – spytała Morrisa.

– Bez przekonania. – Wzruszył ramionami. – Zdaje się, że Daniella nie chciała wymigać się od kary. Chyba uważa, że na nią zasłużyła.

Rozumiem ją, pomyślała Bina.

Dokładne i szczegółowe zeznania Danielli Goodman, które ze względu na dobro dzieci natychmiast utajniono, były wstrząsające. Stanowiły ostatni gwóźdź do trumny Szem Towa, Hoda, Batlana i Goldschmidta. Teraz żaden nie zdoła wymigać się od odpowiedzialności. Został tylko jeden kluczowy świadek, którego nie udało się przesłuchać. Duvie Goodman.

– Myślisz, że w końcu zgodzi się mówić? – spytała Bina z powątpiewaniem.

Od samego początku Duvie przysparzał najwięcej problemów. Zachowywał się jak dziki koń, którego po raz pierwszy ktoś próbował osiodłać. Ilekroć się zbliżali, wrzeszczał, przeklinał, gryzł i kopał. Co więcej, jeszcze do niedawna – mniej lub bardziej otwartymi groźbami – udawało mu się zastraszyć rodzeństwo i zmusić je do milczenia.

Bina nie potrafiła zrozumieć tego zachowania. Dlaczego tak uparcie chronił Szem Towa i jego współników? Czyżby przeciągnęli go na swoją stronę? Czyżby poddali go takiemu samemu praniu mózgu jak matkę? A może nie doświadczył piekła, jakie Szem Tow zgotował pozostałym.

– Myślę, że ze wszystkich dzieci on został potraktowany najbrutalniej – zaskoczył ją swoją diagnozą Johnny w czasie jednej z rozmów.

Spojrzała na niego zdumiona i pokręciła głową, myśląc o Menchii i Elim.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Ponieważ, jak twierdzi jego matka, zawsze był najbardziej zbuntowany, najbardziej pyskawy. Kto wie, co mu zrobili, żeby zmusić go do współpracy? A ponieważ jest najstarszym bratem, czuje się winny, że nie ochronił młodszego rodzeństwa. Na swój sposób próbuje to robić teraz, nakazując im

milczenie. – Ze smutkiem pokręcił głową. – Panicznie się boi zemsty Szem Towa. To dokładnie ten sam mechanizm co w mafii. Niech cię nie zmyli jego postawa twardziela. To dziecko, Bina. Należy mu współczuć.

– Ale nie ma jak się do niego przebić.

– Nie różni się od reszty rodzeństwa. Spróbuj tej samej strategii. Niech się poczuje bezpiecznie. Tu już nie chodzi o wyciągnięcie zeznania. Trzeba mu pomóc, żeby zrozumiał, że to nie jego wina. Moim zdaniem z całej gromadki to właśnie Duvie najbardziej chciałby nam powiedzieć, co przeżył. Sama się przekonasz.

Bina popatrzyła na niego sceptycznie.

– Śmiało, Bina. Pogadaj z chłopakiem – zachęcił Morris. – Weź ze sobą Johnny'ego.

Duvie mieszkał już z Joelem, podczas gdy reszta rodzeństwa przebywała w rodzinach zastępczych.

Zapukali. Otworzył Joel, skinął im głową na powitanie.

– Jest w salonie.

– Cześć, Duvie! – zawołał Johnny.

Chłopiec miał prawie czternaście lat. Niewysoki, z pięknymi, jasnymi włosami przykrytymi czarną, aksamitną jarmułką, spod której spływały długie, jedwabiste pejsy okalające różane policzki.

Na pierwszy rzut oka wydawał się młodszy. Dopiero kiedy Bina zajrzała mu w oczy, zobaczyła, że jego dzieciństwo już dawno umarło.

– Pamiętasz mnie? Jestem Bina Cedek.

Wrogo skinął głową.

– Poznajesz Johnny'ego? – spytał zachęcająco Joel. – On i Bina przyszli z tobą porozmawiać.

– Wiesz, że Szem Tow jest w więzieniu, prawda? – zaczął Johnny.

– Wiem, że powiedzieliście tak reszcie, żeby zaczęła gadać. Ale skąd mam wiedzieć, czy nie ściemniacie? – odparł nieufnie.

Na szczęście tym razem nie kłamali. Szem Tow został zatrzymany, gdy próbował przekroczyć granicę Peru. Już siedział w tamtejszym więzieniu.

– Spójrz na to – powiedziała Bina, wyciągając zdjęcie z Internetu, które przewidująco wydrukowała.

Widać było na nim bosego Szem Towa bez nakrycia głowy, prowadzonego w kajdankach przez peruwiańską policję. SADYSTA ZNĘCAJĄCY SIĘ NAD DZIEĆMI ZATRZYMANY PRZEZ PERUWIAŃSKĄ STRAŻ GRANICZNĄ, głośił nagłówek.

– Już nigdy nie zrobi wam krzywdy. Żadnemu z was.

Duże przetrwał informację. Nagle opadł na kanapę. Trzymał w rękach kartkę i długo się w nią wpatrywał. Potem ręce zaczęły mu się trząść, a po policzkach spłynęły łzy. Co za niewiarygodna przemiana. W jednej chwili zniknął agresywny nastolatek. Jego miejsce zajęło nieszczęsne, zagubione dziecko.

– *Baruch haszem* – wyszeptał, przymykając oczy.

„Chwała Panu”.

Siedział bez słowa i histerycznie szlochał. Kiedy się opanował, otworzył oczy i popatrzył po dorosłych.

– Teraz powiem wam wszystko.

Czyli to stało za jego zachowaniem, pomyślała Bina. Zwyczajny dziecięcy strach. Źle go oceniła.

– Kiedy rodzice przenieśli się z Jahalom do Jerozolimy, zacząłem naukę w nowej szkole, jesziwie w Starym Mieście. Nauczyciel bił tam chłopców kijem, kiedy nasza go ochota. Denerwowałem się, więc zacząłem ogryzać paznokcie. Ilekroć to zauważył, walił mnie po rękach grubą linijką. Raz zabolowało tak bardzo, że wyrwałem mu ją, złamałem i kazałem mu iść do diabła.

W kącikach ust Johnny’ego pojawił się lekki uśmiech.

– No to wyleciałem. Rodzice wysłali mnie do innej jesziwy. Okazała się jeszcze gorsza. Stamtąd też wyleciałem. Ale trzecia była najgorsza. Przyjmowali tam opóźnionych w rozwoju albo przestępców. Bałem się ich. Zacząłem wagarować i snuć się po centrum w miejscu, które nazywają Kocim Placem. Kręci się tam dużo dzieciaków takich jak ja. Ojciec próbował do mnie przemówić. Obiecałem, że postaram się być grzeczny. Ale wciąż byłem wściekły. Nauczyciele skarżyli się na mnie rodzicom, a oni dawali mi szlaban. Ale w Purim i tak urwałem się z Yossim. Poszliśmy razem do miasta, jedliśmy pizzę i dobrze się bawiliśmy. Kiedy wróciłem, rodzice wpadli w szal. Wezwali Szem Towa, który poradził, żeby wysłali mnie do jego parszywego bet midrasza. Obiecał też, że sam osobiście przygotuje mnie do bar micwy. Błagałem rodziców, żeby tego nie robili, ale postawili na swoim. Oświadczyli, że potrzebuję „twardej ręki”.

Spojrzał na zdjęcie skutego Szem Towa i ręce znów zaczęły mu się trząść.

– Ilekroć Szem Tow zjawiał się w swoim bet midraszu, okładał mnie długim kijem. Bił po plecach i twarzy. Wyznaczył też Goldschmidta, żeby

„opiekował się” mną pod jego nieobecność. Ilekroć zrobiłem coś, co mu się nie spodobało, cokolwiek: ziewnąłem albo korzystałem z toalety w czasie zajęć, Goldschmidt dzwonił do Szem Towa na komórkę, a kiedy się rozłączał, z całej siły walił mnie pięścią w brzuch i w twarz. Kopał mnie i odginał mi palce tak, że prawie pękały. – Łzy napłynęły mu do oczu. – I był jeszcze ktoś. Bannerman...

Johnny i Bina wymienili spojrzenia. Pierwszy raz słyszeli to nazwisko.

– Przydzielili go do mnie, żeby mnie „zneutralizował” i pilnował, żebym nie kiwnął palcem bez pozwolenia. Zmuszał mnie... – Przerwał, ciężko dysząc. – Żebym ssał mu kciuk. Kazał mi wypijać wodę, do której najpierw napłuła cała jesziwa. Poił mnie kawą z papryką albo solą. Musiałem dopijać resztki z cudzych kubków. A kiedy nie chciałem, bił... bił mnie kijem baseballowym... i ścisnął za... – Popatrzył na kolana.

Bina widziała, że Johnny resztkami woli zachowuje milczenie. Delikatne dłonie zacisnął tak, że przypominały kamienie gotowe uderzyć krzywdziciela.

– Jeszcze przed bar micwą wszyscy sprzysięgli się przeciwko mnie. Dostawałem baty. Złamali mi ząb. – Otworzył usta i pokazał. – Mówili, że rodzice wszystko wiedzą i się cieszą, bo uważają, że sobie zasłużyłem. Że przestali mnie kochać, bo stałem się zakałą i przynoszę im wstyd. Dlatego mnie tam wysłali. Zacząłem w to wierzyć. Wtedy postanowiłem, że najlepiej będzie, jeśli się zabiję. Kilka razy nawet próbowałem. Omal nie rzuciłem się pod ciężarówkę. Ale nie wyszło. Albo ja byłem za wolny, albo ciężarówka za szybka.

– Próbowaleś powiedzieć rodzicom, co się dzieje? – spytał łagodnie Johnny.

– Nigdy nie zostawiali mnie z nimi samego. Zawsze miałem obstawę. Próbowalem pogadać z tatą, uświadomić mu... ale Goldschmidt podsłuchiwał i... Boże, ależ wtedy oberwałem. Zresztą do rodziców jakoś nic nie docierało. Nie chcieli mi wierzyć. Wtedy zacząłem myśleć, że Szem Tow mówił prawdę. Że faktycznie sami go do tego zachęcali. Ojciec i matka.

Oczami wyobraźni Bina zobaczyła chłopca stojącego za pulpitem w dniu swojej bar micwy. To święto powinno być radosne, a on z posiniaczoną twarzą, z ukruszonymi zębami, drżącym z przerażenia głosem odczytuje słowa świętej Tory, księgi dobroci i miłości, która od zarania dziejów kształtowała życie narodu wybranego. Cóż za niewyobrażalna plugawość.

– Kiedy tata nagle zniknął, Szem Tow zarządził, że przeniesiemy się do

niego. Była tam cała paczka, oprócz Bannermana. A Szem Tow rządził się jak król. Robili wszystko, co kazał, i to tak, jakby czerpali z tego przyjemność. Jakby się przy tym świetnie bawili. Zachowywali się jak hitlerowcy! Szem Tow czasem obserwował, a czasem się przyłączał. Kazali mi siadać w dziwnych pozycjach albo całą noc się uczyć. A jeśli zasnąłem, Goldschmidt zamykał mnie w składziku na dwa dni. Oczywiście bez wody i bez jedzenia. Dawali mi miskę, żebym się do niej załatwiał, i zabraniali spać. Drzwi uchylali, tylko żeby wrzucić mi jakieś ochłapy albo żeby mnie bić. W środku zostawiali telefon, by Szem Tow słyszał, co się dzieje. A kiedy bateria się rozładowała, otwierali drzwi i bili mnie, wrzeszczeli, że specjalnie wyłączyłem komórkę. Raz nałykałem się prochów. To chyba był ritalin. Zabrali mnie do mykwy i po drodze okładali telefonem tak, że złamali mi kolejny ząb. A kiedy próbowałem opowiedzieć mamie, odciągnęli mnie i stukli tak, że nie mogłem się ruszyć. Wtedy ułożyłem plan: ucieknę i zabiorę ze sobą Yossiego. Złapali nas i spoiili alkoholem. Szem Tow kazał Batlanowi i Goldschmidtowi nas pobić. Myślałem, że umrę. Wtedy zamknęli nas w składziku. Po jakimś czasie przestałem liczyć dni.

Bina powoli wciągała i wypuszczała powietrze. Ile jeszcze, ile jeszcze? – pytała w duchu. Skoro chłopiec to wytrzymał, ona musi znaleźć w sobie siły, żeby go wysłuchać.

– Ale nie to było najgorsze – odezwał się nieoczekiwanie.

Johnny i Bina spojrzeli na niego, potem na siebie. Bali się, co za chwilę usłyszą.

– Najgorsze było to, kiedy patrzyłem, co robią z moimi najmłodszymi braćmi. Którejś nocy usłyszałem, jak Szem Tow mówi Batlanowi, żeby pobił Menchiego. Siedziałem całą noc, patrząc, jak okłada go pięściami, bije po twarzy, kopie. A ja nie mogłem...

Zanosił się szlochem. Bina podeszła go pocieszyć, ale odtrącił jej rękę.

– Nie zasługuję na to. Siedziałem i patrzyłem... za bardzo się bałem... Byłem tchórzem! Nic nie zrobiłem! Nic nie powiedziałem! Siedziałem i patrzyłem, rozumiecie? Tłukli go młotkiem, aż zaczął krwawić, a Szem Tow gapił się na to z kurewskim uśmiechem na tej kurewskiej gębie... – Chłopiec płakał. – Przypalali mu palce zapalniczką, wpychali do ust jedzenie, że omal się nie zadławił. Wkładali mu głowę pod kran, że prawie się utopił. A ja to widziałem. Widziałem to wszystko.

– Wiesz, że to nie twoja wina. Rozumiesz to?

– Nie! To wy nie rozumiecie! Raz próbowałem ich powstrzymać, to mnie pobili, a potem... potem... kazali sobie pomagać!

Binie zrobiło się ciemno przed oczami. Przeszył ją dreszcz niczym porażenie prądem. U źródła agresji Duviego leżała nienawiść do siebie.

– Widziałem, jak zabrali Elego do pokoju kabały. Szem Tow, Batlan i Hod. Zamknęli za sobą drzwi. Słyszałem, jak Eli wrzeszczy. Wrzeszczy. Wrzeszczy. Hod wypadł z pokoju. Kiedy otworzył drzwi, przez moment widziałem Elego. Stał przyciśnięty do spirali grzejnika, a Batlan trzymał w rękach płat jego skóry! Przysmażyli ją tak, że odpadła! Ściągnęli z góry moją matkę. Słyszałem, jak ściemniają, że Eli stanął za blisko, że próbowali go odsunąć... A ona to kupiła! Nie ochrzaniła ich! Nic! Szem Tow nie pozwolił jej zawieźć go do lekarza. Powiedziała matce, żeby sama go wyleczyła. Chyba próbowała. Ale potem zorientowała się, że tylko mu się pogarsza. A Szem Tow dalej bił Elego. Chyba się bała, że go zabije. Dlatego powiedziała, że zabierze Elego z domu, odda pod opiekę jakiejś znajomej. A Szem Tow, który nienawidził Elego najbardziej z nas wszystkich, się zgodził.

Dyszał ciężko. Pot spływał mu po rozpalonej twarzy. Wytarł czoło rękawem.

– Duvie, wiem, jakie to musi być dla ciebie trudne. Ale wspaniale sobie radzisz – pochwaliła Bina, ostrożnie kładąc rękę na jego ramieniu. Ku jej zaskoczeniu, tym razem jej nie odtrącił.

– Powiesz nam, co się stało z Menchiem? – spytał Johnny po krótkiej przerwie.

– Ostatniego dnia, który spędziliśmy w domu Szem Towa, kazali mi przywiązać ramiona Menchiego łańcuchem do oparcia krzesła. Twierdzili, że to dla jego dobra: żeby nie zdrapywał strupów z oparzonej stopy. Głowę miał opuchniętą, siną. Szem Tow postawił nas wszystkich pod ścianą i polecił, że jeśli ktoś zapyta, mamy mówić, że Eli ucierpiał w pożarze, który wybuchł w domu w Starym Mieście. Usłyszałem, jak szeptał Batlanowi, że musiał zrobić z Menchiego kalekę, żeby nikomu nie wygadał, co się z nim stało. Tej samej nocy, kiedy wróciliśmy do naszego domu w Jerozolimie, widziałem, że Batlan rozmawiał z Szem Towem przez telefon. Kiedy się rozłączył, wszedł do pokoju, w którym spał Menchie. Potem widziałem tylko, jak Menchie leżał na podłodze, a Batlan pochylał się nad nim i robił sztuczne oddychanie. Później przyjechała karetka.

– Przepraszam na chwili...

Bina wpadła do łazienki i zwymiotowała do toalety całe śniadanie. Obmyła twarz, nabrała wody do ust, wypłukała i wypluła. Spojrzała w lustro, próbując nad sobą zapanować, ukryć zgrozę, by nie przerazić dziecka. Zachowuj się spokojnie, jak przystało na profesjonalistkę, powtarzała sobie, przymknęła oczy i oddychała głęboko.

Wróciła do pokoju i usiadła.

– Proszę, opowiadaj dalej, Duvie. Bardzo nam pomagasz.

– W następnych dniach wydzwaniała do mnie żona Szem Towa, Rut. Powtarzała, że mam trzymać gębę na kłódkę i pilnować, żeby reszta rodzeństwa też milczała. Bo jeśli nie, to kiedy znów u nich zamieszkamy, przekonamy się, jak smakuje prawdziwa *tikkun*.

– To nigdy, przenigdy wam nie grozi, Duvie – uspokoiła Bina. – A to wszystko dzięki tobie. Dzięki twojej odwadze, szczerości, z jaką o wszystkim nam opowiedziałeś, cała ich paczka: Szem Tow, Batlan, Goldschmidt, Hod i ten sukinsyn Bannerman, kiedy go znajdziemy, zgnije w więzieniu. Będą jeść więzienny wikt i będą siedzieć w celach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

– Żałuję tylko... Żałuję...

– Czego? – spytał Johnny.

– Że nie zrobicie im tego wszystkiego, co oni nam robili! Że nie zwiążecie ich i nie zostawicie mnie z nimi na jeden dzień z młotkami, spiralnymi grzejnikami, kupą i rzygami.

Ach, gdyby tak można było wymierzyć prawdziwą sprawiedliwość, westchnęła w duchu Bina. Niestety, możliwości państwa są bardzo ograniczone. Humanitaryzm, cywilizowane zasady... To wszystko strasznie wiąże ręce. Przez moment zatęskniła za biblijnymi regułami. Za śmiercią przez ukamienowanie, gdy gromadziło się całe miasto i każdy mógł rzucić kamieniem w sprawców ohydnych czynków. Z rozkoszą cisnęłaby głazem w tych typasów i patrzyła, jak próbują osłonić swoje bezwartościowe tyłki tchórzliwymi łapskami, tymi samymi łapskami, którym torturowali niewinne dzieci. Już widziała adwokatów lejących krokodyle łzy: ich nieszczęśni klienci zostali wprowadzeni w błąd, zrobiono im wodę z mózgu. Oni tylko wykonywali rozkazy!

A Mesjasz? Szem Tow? Co by powiedział jego mecenas? Już zabiegał, żeby sukinsynowi przyznać azyl w Peru, bo państwo izraelskie – cudzołożnicy, świniożercy, bałwochwalcy – nie miało władzy nad Ziemią Świętą,

ustanowioną wbrew woli Bożej jeszcze przed Mesjaszem. Szem Tow nie był Izraelczykiem, ponieważ Izrael nie istnieje! Mieszkał na okupowanych terytoriach, a zatem tak zwana izraelska jurysdykcja go nie dotyczy!

Sam oskarżony zaś przez całą drogę do więzienia będzie jęczał i szlochał, i opowiadał wszystkim, jaki to z niego święty. Będzie tłumaczył, że przecież on tylko próbował pomóc tej biednej rodzinie, która poprosiła go o pomoc. Że Daniella była matką tych dzieci, a jednak patrzyła na to wszystko i wyrażała zgodę. To wszystko jej wina.

Czy to przekona sąd? Kto wie? Bina jednak poprzysięgła sobie, że zrobi, co w jej mocy, żeby ci, którzy będą sędzić Szem Towa, usłyszeli to samo, co ona; żeby słowa dzieci rozbrzmiały w każdej sali, w której będzie się odbywał proces każdego sprawcy z osobna. A na ławie przysięgłych zasiądą ojcowie, matki, dziadkowie. Dopilnuje, by nie pominięto najmniejszego szczegółu.

A ona sama? Wiedziała też, że nie przestanie ścigać szatana, choć doskonale zdaje sobie sprawę, że zapewne nigdy go nie schwyta. Jako cywilizowany człowiek, obywatelka demokratycznego państwa musiała zdać się na mechanizmy wypracowane przez ludzi, a służące wymierzaniu kary. Tak, to słaby i niedoskonały system, ale też najlepszy, jaki stworzono, by radzić sobie ze zwyrodnialcami pokroju Szem Towa i jego kompanów. Przysięgła sobie, że się nie podda. Nie ustąpi. Będzie obserwować i czuwać, by sprawiedliwości stało się zadość.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Fragment zeznania Danielli Goodman:

Bardzo mi trudno opowiadać o swoich doświadczeniach z Menachemem Szem Towem i jego grupą, ponieważ samo wspomnienie wywołuje we mnie olbrzymi ból i żal. Gorąco pragnęłabym pogrzebać pamięć o tamtych wydarzeniach w najgłębszych otchłaniach oceanu, żeby już nigdy więcej nie musieć o nich myśleć. Ilekroć też próbowałam ubrać w słowa założenia religii, jakiej nauczał nas Szem Tow, przekonuję się, że brzmi to bezsensownie. Że ja sama wydaję się wtedy osobą pozbawioną rozumu. Gdy czytałam te słowa, za każdym razem czułam się zagubiona i na nowo ogarniało mnie przerażenie.

Szem Tow odradzał nam studiowanie Tory. Tłumaczył, że to stara księga, która nie przystaje do naszych czasów. Zresztą i tak nie zrozumielibyśmy jej języka. Tu podał przykład, że gdyby w Torze napisano: „I osioł przemówił”, nie należałoby tego odczytywać dosłownie. Chodziło o coś abstrakcyjnego, boskiego, co przekracza nasze pojmowanie. I owa abstrakcja stanowi rzeczywistość. Nie chodzi o to, by ją zrozumieć. Mamy „czuć”, podkreślał. Tak jak czujesz swoją rękę. Na pierwszym miejscu trzeba postawić wiarę, nie rozum. A jeśli nasze pragnienie okaże się wystarczająco silne, mądrość zostanie nam „objawiona”.

Szem Tow odrzucał też wszelkie modlitewniki. Były przeznaczone dla miernoty. My osiągnęliśmy już wyższy poziom. Mieliśmy własne modlitwy, które nie potrzebowały słów. Zastępowało je gorące pragnienie serca.

Szem Tow nauczył mnie również, że najbardziej liczy się wiara. „Wiara stoi nad rozumem”, powtarzał. Wiara w co? W Szem Towa. A ja wierzyłam. Wyobrażałam sobie, że jest niczym Mojżesz. Że gdyby zaszła potrzeba, mógłby rozdzielić wody morza. Nie był człowiekiem takim jak inni, jak ja sama. Twierdził, że poznał sekret, jak dorównać Bogu. Po moim rozwodzie ze Shlomiem Szem Tow obiecał, że jeśli będę iść za nim bez wahania, zdradzi mi tę tajemnicę. Zanim jednak się to stanie, mówił, muszę odrzucić Boga i rzeczywistość. Muszę odgrodzić się od nich masakiem – zasłoną. Dopiero wtedy dotrze do mnie światło chochmy, mądrości, która otworzy mi oczy, bym stała się bogiem.

Wtedy właśnie przestałam odczuwać potrzebę bliskości Boga. Zapragnęłam stać się Nim. Też chciałam mieć władzę. Świadomość, że wciąż

nie jestem na tym poziomie – na poziomie Boga, na poziomie Szem Towa – budziła we mnie wstyd, przerażenie i wściekłość.

Pamiętam, że na samym początku te nauki wzruszały mnie do łez. Szlochałam rozpaczliwie, sama nie wiedząc czemu, Szem Tow nazywał to „ścieżką smutku”. Godzinami cierpliwie wyjaśniał, że to jest dobre; że przybliży mnie do Boga. Hod, Batlan, Goldschmidt i mój mąż pocieszali, że oni też musieli przejść ten etap. Że to nieuchronne, jeśli chce się wspinać po drabinie świętości.

Działo się ze mną coś dziwnego. W głębi duszy zaczęłam odczuwać pulsowanie czegoś mrocznego, z czym nigdy jeszcze się nie zetknęłam. W myślach widziałam obrazy. Sceny krwi, śmierci, zabijania. Wszystkie odrażające. Wyobrażałam sobie, jak można torturować innych. To mi sprawiało przyjemność. Rozkoszowałam się nienawiścią. Gdziekolwiek byłam, wyobrażałam sobie, jak zło unicestwia ludzi stojących wokół. Zupełnie jakbym mogła wystrzelić iskrę, która razi ich niczym prąd. Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Wszyscy mnie drażnili, w każdym widziałam zawadę albo przeszkodę, uniemożliwiającą mi błyskawiczną wspinaczkę na wyższe poziomy duchowości i boskości. Przez nich nie mogłam stać się Stwórcą. Unikałam kontaktów towarzyskich, byłam nieszczęśliwa, chłodna, zamknięta w sobie. Pełna nienawiści. Złościły mnie moje dzieci, które nie wtopiły się w grupę, sprawiały kłopot, nie akceptowały metod Szem Towa. Wstydziałam się, że wychowałam takie dzieci. Czułam, że zawiodłam jako matka.

Zmieniałam się w psychopatkę. Przypuszczam, że w głębi ducha zdawałam sobie z tego sprawę, ale nie potrafiłam zatrzymać tego procesu.

Chciałam jedynie światła! To znaczyło dla mnie więcej niż seks, niż własne dzieci. Pragnęłam wyłącznie jednego. Tego, co nazywają ziwug, kopulacji ze „światłem”, aby dojrzewało we mnie jego „nasienie”. Zdarzały mi się chwile euforii, ale najczęściej towarzyszyła mi rozpacz prowadząca do całkowitej pustki. Szem Tow zapewniał, że to dobrze; że to cena, którą musimy zapłacić Stwórcy za wzrost.

Liczyłam się tylko ja. Mówiono mi, że to prawidłowe. „Naczynie”, czyli moje ego, rozszerzało się, by pomieścić nieskończone „światło”, które właśnie je wypełniało. Nigdy nie pytałam, jak to możliwe, by boska światłość sprawiała, że stajemy się źli i egoistyczni, ani jak takie światło może pochodzić od dobrego Stwórcy, który przecież pragnie, byśmy wszyscy się

kochali i okazywali sobie troskę. Te pytania żyły gdzieś w głębi mojej duszy, ale nie pozwalałam im wydostać się na powierzchnię. Kosztowało mnie wiele wysiłku, by je zdławić, nie dopuścić do głosu.

Szem Tow przekonał mnie, że żyjemy w fałszywym świecie. Że wszystko, co znamy, można porównać do scenografii filmowej, makiety, która nie ma żadnego związku z rzeczywistością. Jak w tym filmie Truman Show wszyscy byli marionetkami w rękach „Stwórcy”, jedynie udawali, że żyją.

Z chwilą, gdy w to uwierzyłam, wszystko straciło sens. Odcięłam się od siebie samej. Od swoich przekonań, inteligencji, człowieczeństwa. Straciłam grunt pod nogami. Wydawało mi się, że nie mogę polegać na własnym osądzie, na tym, co mówią mi własne oczy. Usłyszałam, że to wspaniałe. Ten etap miał nawet swoją nazwę: „łamanie bariery”, w kręgu Szem Towa uważany za fantastyczny przełom, dowód, że robię postępy. Teraz zdaję sobie sprawę, że najprawdopodobniej był to epizod psychotyczny. Straciłam kontakt z rzeczywistością.

Nieustannie też mdlałam. Szem Tow dawał mi „witaminy”. Przypuszczam teraz, że to mógł być xanax albo inny psychotrop, który brali jego wyznawcy. Wiem tylko, że piekło nie opuszczało ani na chwilę mego umysłu, choć równocześnie żyłam myślą, że dorównam Bogu.

Zrezygnowałam z walki o odnalezienie dawnej siebie. Sądziłam, że łatwiej będzie po prostu przestać walczyć z nowymi koncepcjami. Kiedy ostatecznie się poddałam, rzeczywiście ogarnął mnie spokój. Burza wreszcie ucichła. Uznałam to za dowód, że podjęłam słuszną decyzję. Nie wiedziałam, że ten spokój był swego rodzaju pocałunkiem śmierci. Przestałam istnieć.

Pojawiły się koszmary senne, depresja, ataki lęku, myśli samobójcze. Chciałam tylko uciekać z krzykiem. Wszystkiego się bałam. Łykałam coraz więcej „witamin”. Czasem nawet pół tuzina dziennie. Jeśli tego nie zrobiłam, rano nie byłam w stanie podnieść się z łóżka albo wyjść z domu. Serce waliło mi w szaleńczym tempie. Zaczęłam też potwornie chudnąć. Dosłownie znikałam w oczach. Dopiero kiedy przypominałam szkielet, Szem Tow pozwolił mi pójść do lekarza. Ten pobrał mi krew. Okazało się, że cierpię na chorobę Gravesa-Basedowa. To schorzenie autoimmunologiczne, polegające na tym, że komórki same siebie atakują. W sumie to logiczne, bo z tych, których nienawidziłam, najbardziej nienawidziłam siebie.

Przestałam śledzić, co się dzieje z moimi dziećmi. Słyszałam odgłosy bicia, słyszałam ich rozpaczliwe krzyki i płacz, ale tłumaczyłam sobie, że

jeśli się wtrączę, tylko pogorszę sytuację: cały proces się wydłuży, a one będą bardziej cierpieć. Co dzień liczyłam, że żyjące w nich demony zostaną unicestwione i bicie wreszcie się skończy.

Szem Tow zapewniał, że postępuję dobrze, w ich najlepiej pojmowanym interesie. Wyjaśniał, że kiedy Bóg stworzył wszechświat, czuł się samotny. Dlatego powołał do istnienia człowieka, by umieścić go w swoim świecie. Następnie posłużył się czarami, by go uwieść, skusić, żeby wspiął się na wieżę prowadzącą do Bożego tronu na szczycie wysokiej góry. Ilekroć człowiek zbliża się do celu, strażnicy pałacowi walczą, by go powstrzymać i uniemożliwić dostęp do tronu. Ilekroć jednak człowiek jakimś cudem pokona wszystkie przeszkody, pojmuje sens swych męczarni. To dzięki nim staje się silny i potężny jak Stwórca. Dlatego ja i moje dzieci musimy cierpieć.

Szem Tow dawał do zrozumienia, że on doszedł już na szczyt. Zasiada przy Bożym tronie i rozmawia ze Stwórcą, tak jak gawędzi się z przyjacielem przy kawie. Tym właśnie były notatniki. Szem Tow co dzień siadał przy tronie i zapisywał w notesie pytanie. Bóg zaś odpowiadał mu wprost. Szem Tow skrupulatnie notował każdą odpowiedź. Część odpowiedzi nam czytał, ale większość zachowywał dla siebie.

Nawet po jego ucieczce wciąż byłam skupiona wyłącznie na sobie. Resztki człowieczeństwa, które się we mnie tliły, pogrzebałam tak głęboko, że z trudem je odnajdowałam. Tylko tak potrafiłam przeżyć kolejny dzień i następny, i następny. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio płakałam. Szem Tow zamknął nasze serca, żebyśmy przestali być ludźmi z krwi i kości. Prawdziwi ludzie nie postępują jak ja. Nie byłam już matką. Nie byłam osobą. Byłam nikim. Niczym. Murem. Nic mnie nie obchodziło. Dziś nie potrafię bez łez wypowiedzieć imion Elego ani Menchiego. A wtedy – nic. Nikt ani nic nie mogło wskrzesić we mnie uczucia. Myślałam wyłącznie o sobie i o tym, jak uwolnić się z bagna, w które się wpakowałam. Robiłam, co w mojej mocy, żeby władze nie znalazły Elego. A gdy zobaczyłam ich nieustępliwość, próbowałam udawać, że wszystko gra. Kiedy próbowano zabrać Elego na badania, stawiałam opór, obrażałam kuratorów i kazałam dzieciom zachowywać się podobnie. Uważałam, że znalazłam się w rękach wroga, a moimi jedynymi sprzymierzeńcami byli Batlan, Goldschmidt i Hod. Policja, pomoc społeczna, lekarze, śledczy – to wrogowie.

W czasie pierwszej wizyty dzieci w więzieniu nagle zauważyłam, jak

okropnie wyglądają. Nagle trybiki w mojej głowie powoli zaczęły pracować. Dlaczego moje dzieci tak wyglądają? Dlaczego płaczą? Co ja tu robię? Jak do tego dopuściłam? Tłący się we mnie popiół człowieczeństwa, którego Szem Tow nie zdołał całkiem zdławić, znów zapłonął żywym ogniem. Nagle przypomniałam sobie, jak Szem Tow po raz pierwszy skrzywdził jedno z moich dzieci.

To było tuż po naszych leśnych „zaślubinach”, kiedy się do niego przeprowadziłam. Wcześniej próbowaliśmy mieszkać osobno: on z Rut w Bet Szemesz, ja z dziećmi w Jerozolimie. Szem Tow zakazał Shłomiemu kontaktu z dziećmi, więc mój były mąż znalazł sobie lokum trzy godziny drogi stąd, w Safed na północy kraju. Chciał odwiedzać dzieci, ale mu nie pozwoliłam.

Dzieci tęskniły za ojcem. Od rozwodu zachowywały się okropnie. Któregoś dnia Menchie otworzył wszystkie torebki mąki i rozsypał je po mieszkaniu. Yossi psuł lalki Amalii. Duvie wracał do domu o najdziwniejszych porach. Nawet Gabriel urządzał awantury pod byle pozorem. Wszystkie zaś zgodnie demolowały mieszkanie, skakały sobie do oczu, były agresywne i nieszczęśliwe. Nie wytrzymałam już. Kompletnie nie radziłam sobie sama.

– Wprowadzicie się do mnie – oświadczył któregoś dnia Szem Tow. To nie było pytanie, tylko rozkaz. – Ja i chłopcy pomożemy ci w opiece nad dziećmi.

Przypomniałam sobie, jak Szem Tow i jego chasydzi uratowali mnie, kiedy Shłomie na miesiąc wyjechał sobie na Ukrainę: dzieci się pochorowały, a ja czułam się strasznie opuszczona. Pamiętałam, jak do domu wróciły ład, cisza i dyscyplina. Tak, pomyślałam. Właśnie tego potrzebują po ostatnich wstrząsach. To, uznałam, znakomite rozwiązanie.

Dzień przed przeprowadzką zadzwonił mój brat Joel.

– Rodzice Shłomiego zadzwonili do mamy. Podobno się rozwiedliście. Czy to prawda?

– Tak – odparłam.

– Ale dlaczego, Daniello? Co się stało?

Jego głos płynął z tak daleka. Zdawałam sobie sprawę, że moje argumenty nie przekonałyby Joela. Nie zrozumiałby, krytykował, a ja nie potrafiłabym odpowiedzieć na jego zarzuty. Żyłam w zupełnie innym świecie, oddalonym od mojego brata o lata świetlne.

– Nie zdołam ci wytłumaczyć – powiedziałam.

– Spróbuj! – nalegał.

Sprawił wrażenie rozdrażnionego, zniecierpliwionego, złego, a ja myślałam tylko, jak go uciszyć.

– Nie zrozumiesz! – krzyknęłam. – Nie jesteś na tym poziomie!

Tymi samymi słowami Szem Tow zamykał usta tym, którzy ośmielili się podać w wątpliwość jego twierdzenia.

Joel milczał przez chwilę.

– Nic ci nie jest, Daniello?

W jego głosie brzmiała taka łagodność – i to po tym, jak go potraktowałam w czasie naszego ostatniego spotkania! – że omal się nie złamałam i nie wyznałam mu całej prawdy. Czułam jednak, że z trudem trzymam nerwy na wodzy, żeby na mnie nie nakrzyczeć; że przeraźliwie się o mnie boi. Przestraszyłam się, że jeśli wszystko mu powiem, zarazi mnie swoim lękiem. A do tego nie mogłam dopuścić. Panicznie bałam się stracić wiarę, bo gdybym pozwoliła sobie choć na sekundę wątpliwości, co zrobiłabym z tym wszystkim, co już się dokonało? Ze ślubem w lesie, z nocą poślubną w hotelu?

– Nigdy nie znajdziesz się w tak wspaniałym świecie jak ja, Joelu. Jesteś zagubiony, twój świat to fałsz. Jego los został przypieczętowany. Wszyscy pójdziecie do piekła. Nie dzwoń do mnie. Nie kontaktuj się z moimi dziećmi, tylko byś je zbrukał. Trzymaj się od nas z daleka! – wrzeszczałam na niego.

Słyszałam, jak przekonuje mnie żarliwie. Natychmiast zrozumiałam, że muszę go uciszyć. To jedyne wyjście. Wolno odsunęłam słuchawkę od ucha i odłożyłam ją na widełki. Potem wyszarpnęłam gniazdko ze ściany. Jeszcze tego samego dnia zmieniłam numer, żeby nikt nie mógł mnie namierzyć. Żebym przed nikim nie musiała się tłumaczyć.

W pierwszy szabat po przeprowadzce siedzieliśmy wokół stołu, spożywając piątkową kolację. Menchie wcześniej przysnął w wysokim krzeselku, ale o dziewiątej obudził go nasz głośny śpiew. Marudził. Zrzucił na podłogę talerz, potem przewrócił kubeczek, poplamił biały obrus.

– Położę go spać. Jest zmordowany – powiedziałam.

– Siadaj i milcz! – ryknął Szem Tow.

Zdążyłam się już przekonać, że lepiej mu się nie przeciwstawiać. Zrobiłam, co kazał.

– Twoje dzieci muszą nauczyć się dyscypliny – oświadczył. Usłyszałam w jego głosie groźbę.

– Ależ on jest jeszcze malutki – błagałam.

– Czyż Ryfka nie miała trzech lat, gdy osiągnęła świętość i poła wielbłądy sługi Abrahama, Eliezera? Nigdy nie jest za wcześnie. My zaś jeszcze nie skończyliśmy posiłku, nie odśpiewaliśmy hymnów szabasowych ani nie studiowaliśmy Tory.

Powiódł wzrokiem po dzieciach. W jego ciemnych oczach kryła się groźba. Wszystkie znieruchomiały. Z wyjątkiem Menchiego, który ignorował go i wiercił się w krzeselku, rozrzucając po podłodze okruchy chleba.

Szem Tow zerwał się z miejsca i jednym susem dopadł do Menchiego. Ze zgrozą patrzyłam, jak robi zamach i uderza moje dziecko w twarz z taką siłą i furią, że malutki poleciał na drugi koniec pokoju i wylądował na twardej, kamiennej posadzce. Do dziś pamiętam płacz Menchiego. Głośny, przenikliwy, nieludzki. Przypominał zawodzenie rannego, przerażonego zwierzęcia.

Przez moment siedziałam bez słowa, zmroźona, jak sparaliżowana, nie byłam w stanie przyswoić tego, na co patrzyłam. Nie mieściło mi się to w głowie. Zupełnie jakbym zobaczyła, że ktoś chodzi po suficie głową w dół. To po prostu było niemożliwe. W żaden sposób nie przystawało do tego, co – jak mi się wydawało – wiedziałam o Szem Towie ani o świecie, do którego weszłam: pełnym dobroci, czułości i świętości. Tłumaczyłam sobie, że pewnie zasnęłam i śni mi się jakiś koszmar. Bo to nie mogło dziać się naprawdę.

Pamiętam szloch Menchiego.

– Ima! – wołał, wyciągając do mnie rączki.

To mnie wyrwało z letargu. Zerwałam się z krzesła i podbiegłam do niego.

– Nie! Nie dotykaj go – rozkazał Szem Tow. Tym razem jednak jego głos brzmiał łagodnie, niemal pieszczotliwie. Właśnie takiej czułości w tym momencie potrzebowałam.

– Ale dlaczego, Menachemie? – błagałam, ale odsunęłam się od syna. Serce mi pękało, mózg chciał eksplodować.

– Daniello najdroższa. Czy ja skrzywdziłbym twojego syna? Twojego prześlicznego, malutkiego Menchiego? – odparł łagodnie, wpatrując się we mnie ciemnymi oczami. – Przecież mnie znasz. Wiesz, jak kocham ciebie i twoje drogie dzieciątka. Jak mogłabyś mnie podejrzewać o coś takiego?

Wyglądał na zasmuconego, wręcz pogrążonego w żałobie. Na jego twarzy malował się zawód.

– Nie, nie, nie, nie...

Nie dopuszczałam do siebie wspomnienia tego, co zrobił mi w pokoju hotelowym. Wmawiałam sobie, że opacznie to rozumiałam. To wcale nie był gwałt, lecz akt miłości między żoną i mężem. Dlatego teraz też jego słowa uznałam za prawdziwe! Jak mogłam w ogóle dopuścić do siebie tak podłą myśl? Po tym, co wspólnie przeszliśmy? Był najświętszym człowiekiem, jakiego nosiła Ziemia. Moim zbawcą, przyjacielem, umiłowanym mężem.

Zostawiłam Menchiego na podłodze. Samego, bez pocieszenia, wyjącego z bólu.

– Słyszysz ten głos? Czy tak wołałby twój synek? Twoje dzieciątko? – spytał Szem Tow.

A ja pomyślałam: Nie. Nigdy w życiu nie słyszałam z ust Menchiego takiego wycia. Nic z tego nie rozumiałam.

Szem Tow wolno pokręcił głową.

– To nie twoje dziecko płacze, nie ono cierpi. To demon, który w nim zamieszkał, dręczy je i zmusza do takich postępów. Teraz wyje, bo zrozumiał, że odkryliśmy jego obecność. Że unicestwimy go i wypędzimy z twojego synka. Kochasz Menchiego?

Skinęłam głową, bo zabrakło mi słów. Kochałam Menchiego nad życie.

– W takim razie pozwól, bym go uleczył, wypędził z niego diabła. Jeśli będziesz się wtrącać, jeśli zlitujesz się nad demonem, nabierze mocy i ze zdwojoną siłą będzie dręczył twoje maleństwo. On zwycięży, a Menchie przegra. Ale cóż, jeśli jesteś zbyt słaba, jeśli nie potrafisz się odsunąć, by pomóc dziecku, ja cię nie powstrzymam. – Wzruszył ramionami.

W tej samej chwili zrozumiałam. Wszystko stało się jasne jak słońce. Nie wolno mi się wtrącać. Muszę zatkać uszy na wszystko, co mówi instynkt macierzyński. Jeśli okazę słabość, jeśli dopuszczę do głosu pragnienie, by utulić i chronić synka, cały proces tylko się wydłuży, a moje dziecko będzie bardziej cierpieć. Muszę być silna. Muszę trzymać się z boku i patrzeć, jak Szem Tow dokonuje cudu, ratuje moje maleństwo, wypędza z niego demona.

Szem Tow skinął na Batlana i Hoda, którzy brutalnie chwycili Menchiego pod paszki i wepchnęli z powrotem do krzeselka.

– Przestań wyć, bo znowu cię ukarzymy! – przykazał dziecku Szem Tow. – Siedź spokojnie.

Z czasem Menchie przestał płakać. Przerazone oczy wciąż zwracał w moją stronę, ale ja unikałam jego spojrzenia, przekonana, że to szatan

próbuję mnie oszukać. Odwróciłam wzrok.

Tak samo było z resztą, z Elim i Duviem, którzy również cierpieli. Bardziej ulegli Yossi i Gabriel starali się nie rozgniewać Szem Towa, więc rzadziej byli karani. Podobnie jak dziewczynki. Co prawda często słyszałam, jak Amalia nocą szlocha w poduszkę. Sądziłam, że z powodu braci. Teraz już nie jestem tego pewna. Niczego mi nie powiedziała, ale zawsze czułam, że coś ukrywa.

Decyzją sądu pozostałą część zeznania Danielli Goodman utajniono, ponieważ dotyczyła jej nieletniego potomstwa.

Podsumowując, powiedziałam całą prawdę. Zrelacjonowałam wszystko, czego byłam świadkiem. A choć nigdy nie podniosłam ręki na żadne ze swoich dzieci, nie mogę uważać się za niewinną. Przyłożyłam rękę do ich cierpienia. Mogę tylko tłumaczyć to tym, że to nie byłam ja. Moje prawdziwe ja zostało zdławione, zniszczone, unicestwione. Nie było zdolne do działania, mówienia ani myślenia.

Zgodziłam się wyznać wszystko szczerze ze zgoła innych pobudek niż te, które przypisują mi obrońcy katów moich dzieci. Bynajmniej nie próbuję zrzucić całej winy na innych ani ratować własnej skóry. Nic nie wymaże przeszłości. Uważam, że zasługuję na karę za swoje postęпки. Jestem ich matką. Nie liczę, że dzięki temu zeznaniu otrzymam łagodniejszy wyrok. Mówię prawdę wyłącznie z jednego, jedyne go powodu: zbyt długo grzeszyłam milczeniem. Nie odzywałam się. Nie próbowałam pomóc swoim dzieciom. Tikun za ten grzech może być tylko jedna. Mówić. Po prostu. Mówić całą prawdę. Mówić, mówić i jeszcze raz mówić. Oby Bóg i moje dzieci wybaczyli mi to, co zrobiłam.

Epilog

Mimo starań prawników, aby nie doszło do ekstradycji, półtora roku po ucieczce z Jerozolimy Menachem Szem Tow został przywieziony do Izraela. Żona ani dzieci, które w tym czasie dołączyły do niego w Peru, nie wróciły z nim do kraju. Rodzina zamieszkała u krewnych w Kanadzie i przebywa tam do dziś. Izraelska policja nie postawiła Rut w stan oskarżenia ani nie zażądała jej ekstradycji. Prawdopodobnie zlitowano się nad jej dziećmi, a ją samą uznano za ofiarę przemocy domowej, nie przestępczynię. Rut nigdy nie zażądała rozwodu ani go nie otrzymała.

Proces Menachema Szem Towa – podobnie jak Eliora Chena i Goela Racona oraz innych przywódców sekt maltretujących dzieci i kobiety – wzbudził olbrzymie zainteresowanie opinii publicznej. Na sali rozpraw często pojawiały się liczne grupy żarliwych stronników Szem Towa, ultraortodoksyjnych żydów. Ustawiali się też przed budynkiem z transparentami, protestowali przeciwko „jawnym prześladowaniom religijnym”. Menachem Szem Tow poszedł w ślady Chena i jak on odmówił obrony, przez całą rozprawę zachowywał absolutne milczenie. Jego adwokat również zrezygnował z prawa do przesłuchiwanie świadków obrony, co wytłumaczył życzeniem klienta. Mimo to, głównie za sprawą szczegółowych i wiarygodnych zeznań Danielli Goodman, Szem Tow otrzymał najwyższą przewidzianą prawem karę – czterdzieści pięć lat więzienia. Batlan, Hod i Goldschmidt dostali po trzydzieści pięć lat, a Bannerman dziesięć.

Daniella Goodman spędziła już w więzieniu Neve Tirza trzy lata. W nagrodę za dobre sprawowanie zapewne wkrótce wyjdzie na wolność. Co tydzień otrzymuje specjalną przepustkę i odwiedza Menchiego. Udało się wybudzić go ze śpiączki, ale nie może mówić, chodzić ani przełykać. Nie reaguje też na otoczenie. Wyrósł na ślicznego chłopca o wielkich, niebieskich oczach i blond włosach. Oddany personel ośrodka dla głęboko upośledzonych dzieci, który na co dzień się o niego troszczy, nazywa go Śpiącym Królewiczem.

Choć Daniella jeszcze przed procesem wystąpiła o rozwód cywilny, Szem Tow dopiero niedawno zgodził się na rozwód religijny – oczywiście w zamian za pewne przywileje. Dzięki temu może teraz przebywać w skrzydle więzienia przeznaczonym dla haredi i co dzień spędzać trzy godziny na lekturze. Nadal studiuje kabałę i pracowicie spisuje swoje „święte” teksty. Wciąż jednak nie

udało mu się odzyskać magicznych talentów, z których słynął na wolności. Aniołowie jakoś nie kwapią się, by otworzyć drzwi celi, poprawić jakość potraw albo sprawić, by materac był miększy.

Daniella nie zamierza już nigdy wychodzić za mąż.

Za to tuż po tym, jak Daniella trafiła do więzienia, swatka podsunęła Shłomiemu osiemnastolatkę z bogobojnej rodziny, świeżo upieczoną absolwentkę seminarium Bejt Jakow. Pobrali się po miesiącu. Mają już dwójkę dzieci i spodziewają się trzeciego.

Shłomie wpadł w głęboką depresję, którą jak twierdzi, pokonał siłą modlitwy i medytacji. Choć nie poświęca już tyle czasu kabale, pozostał bardzo religijny. W sklepie z przedmiotami kultu religijnego sprzedaje amulety, szofary, pudełka na mezuzę i szale modlitewne. Jego młoda żona pracuje jako pomoc w żydowskim przedszkolu. Dzięki wsparciu Danielli kupili wygodne mieszkanie nad morzem w Aszdodzie. Shłomie nie wierzy w psychiatrów, ale stara się otaczać jak największą miłością i troską Elego, Gabriela, Szoszanę i Yossiego, którzy zdecydowali, że zamieszkają z ojcem i jak najczęściej będą odwiedzać matkę.

Choć wszystkie dzieci Goodmanów wciąż cierpią na zaburzenia behawioralne, koszmary senne i napady wściekłości, objawy stresu pourazowego powoli ustępują.

Zaraz po procesie Joel z rodziną wrócili do Ameryki. Choć brat Danielli był gotów przejąć opiekę nad wszystkimi siostrzeńcami i siostrzenicami, uszanował decyzję Elego, Gabriela, Yossiego i Szoszany. Wystąpił jednak o prawo do opieki nad Duviem i Amalią, którą sąd – mimo sprzeciwu obojga rodziców – mu przyznał. Najstarsza dwójka pojechała więc z wujem do Waszyngtonu. Oboje wyrosli na parę ładnych, zdrowych, inteligentnych młodych ludzi, którzy absolutnie nie chcą mieć nic wspólnego z religią ani z rodzicami. Amalia skończyła liceum w Waszyngtonie i studiuje komputerowe projektowanie biżuterii. Duvie jednak rzucił szkołę z chwilą, gdy skończył szesnaście lat. Oboje wciąż zmagają się z poczuciem winy oraz depresją i pozostają pod opieką doświadczonych psychiatrów. Raz w roku spędzają z rodziną dwa tygodnie w Izraelu, odwiedzają młodsze rodzeństwo, z którym utrzymują regularny kontakt telefoniczny, a także za pośrednictwem Skype'a.

Amalia nigdy publicznie nie opowiedziała, co ją spotkało, gdy mieszkali u Szem Towa. I ona, i Duvie zdają sobie sprawę, że tamte wydarzenia odcisnęły na nich nieusuwalne piętno.

Peruwiański wydział do spraw dzieci zorganizował nalot na sektę Neshama Amuka rebege Leibela – wszystkich niepełnoletnich zabrano i umieszczono w rodzinach zastępczych. Po długich bataliach sądowych oraz – jak twierdzi prokuratura – gigantycznych łapówkach wręczonych peruwiańskim urzędnikom dzieci wróciły pod opiekę rodziców. Tuż po tym cała kolonia przeniosła się do miasteczka w Chile, gdzie żyła niewielka społeczność żydowska. Od jej przyjazdu u tamtejszych mieszkańców, którzy do tej pory utrzymywali dobre stosunki z żydowskimi rodzinami, pojawiły się nastroje antysemityczne spowodowane dziwnym zachowaniem przybyszy. Podobno ci już rozglądają się za innym schronieniem, gdzie będą mogli żyć razem ze swoim przywódcą duchowym, który nadal sprawuje pełnię władzy nad nimi i ich dziećmi.

Niedawno Menachem Szem Tow złożył odwołanie od wyroku, w którym tłumaczy, że proces był niesprawiedliwy, ponieważ nie został przesłuchany przez oskarżenie ani obronę. Sąd Najwyższy odrzucił apelację i przypomniał, że sędzia wielokrotnie próbował przekonać oskarżonego i jego mecenasa, aby przerwali milczenie.

Psycholog Johnny Mann dwa tygodnie po skazaniu Menachema Szem Towa zmarł na atak serca. Jego przyjaciele i współpracownicy wciąż go opłakują. Uważają, że bezpośrednią przyczyną śmierci był stres związany ze sprawą sekty Szem Towa.

Bina Cedek wciąż pracuje w jerozolimskiej dochodzeniówce. Niedawno urodziła trzecie dziecko. Rodzice dali chłopcu na imię Jonatan, ale wszyscy nazywają go Johnnym. Ku zaskoczeniu Biny poród okazał się wyjątkowo lekki. Pamiętała, by zadzwonić do rabbanit Toledano i podziękować za błogosławieństwo.

Wzięła kilkumiesięczny urlop macierzyński. Czasem, kiedy pogoda dopisuje, bierze Johnny'ego na długie spacery i okrąża wózkim mury Starego Miasta. Ilekroć dochodzi do miejsca, gdzie zbrocze gwałtownie opada ku dolinie Ben-Hinnom, wzdryga się, przyspiesza kroku i ucieka do pobliskiego parku. Tam siada na trawie, bierze synka na kolana i przygląda się beztroskim, roześmianym dzieciom puszczającym latawce, które szybują w górę, uciekając od głębokich cieni ku czystemu, jasnemu niebu nad Jerozolimą.

Podziękowania

Serdecznie i z głębi serca dziękuję izraelskiemu dziennikarzowi Awiszajowi Ben-Chaimowi za cykl opublikowanych w „Maariv” w 2008 roku pasjonujących, szczegółowych artykułów poświęconych koszmarnej historii maltretowania dzieci, najgorszego przypadku w historii Państwa Izrael. W swoich raportach opisywał, jak niejaki Elior Chen, podający się za rabina i mistrza praktycznej kabały, wraz ze swoimi uczniami znęcał się nad dziećmi członkini sekty, przy jej milczącej zgodzie. Wszystkich członków sekty skazano na wieloletnie więzienie. Wśród dziennikarzy, którzy zajmowali się tą sprawą i których interesujące artykuły przydały mi się w pracy nad książką, znajdują się między innymi Uri Blau, Jair Ettinger i Tamar Rotem z „Haaretz”. Niezwykle pouczający okazał się też film dokumentalny *Elior Chen: Kabbalist and Sadist* (Elior Chen. Kabalista i sadysta) kanału Doco10.

Po procesie Chena na jaw wyszło wiele podobnych historii, które miały miejsce w Izraelu i za granicą. Dziękuję Rachel Lichtenstein, przewodniczącej ICCV⁶, za cenne materiały poświęcone niebezpiecznym sektom – zarówno religijnym, jak i świeckim – działającym w Izraelu oraz ich licznym ofiarom.

Opisując doświadczenia dzieci Goodmanów: Duviego, Amalii, Elego, Yossiego i Menchiego, posłużyłam się trzystustronicowymi protokołami sądowymi z procesu Eliora Chena. Pragnę jednak podkreślić, że moja powieść, zainspirowana olbrzymią liczbą takich przypadków, to fikcja literacka i nie rości sobie pretensji, by traktowano ją jak relację z procesu Eliora Chena ani innej, podobnej sprawy. Posłużyłam się fikcją literacką, by zwrócić uwagę na szerszy problem – jak ludzie poszukujący przewodnictwa duchowego w swojej naiwności mogą wpaść w szpony sekt kierowanych przez psychopatów, a zwłaszcza sekt znęcających się nad dziećmi.

Zgodnie z decyzją sądu nie wolno publikować żadnych informacji umożliwiających identyfikację dzieci ofiar molestowania ani ich rodziny. Dlatego Daniella, Shlomie, ich rodziny i dzieci – podobnie zresztą jak wszyscy bohaterowie tej powieści – są wyłącznie owocem mojej wyobraźni i nie należy ich utożsamiać z żadnymi osobami, żyjącymi ani zmarłymi. Gdy tworzyłam te postaci, prowadziłam rozległe badania nad psychologią ofiar sekt, nad matkami w sektach oraz przypadkami molestowania dzieci w tych grupach. Studiowałam również psychologię psychopatów, wśród których – jak

się okazuje – znaleźć można wielu przywódców religijnych.

Spośród źródeł, z których korzystałam, chciałabym polecić następujące artykuły: *Children and Cults: A Practical Guide* (Dzieci i sekty. Praktyczny poradnik) mecenas Susan Landy, który znalazłam na znakomitej stronie ICSA. Czerpałam stamtąd podczas pisania rozdziału trzydziestego pierwszego, w fragmentach poświęconych molestowaniu dzieci w sektach; *The Art of the Interview in Child Abuse Cases* (Sztuka przesłuchiwania w przypadkach dzieci molestowanych) kapitan Barbary Craig, konsultantki medycznej amerykańskiej marynarki wojennej, która pracuje na oddziale pediatrii National Naval Medical Center w Bethesda w stanie Maryland i zajmuje się problemem molestowania i zaniedbywania dzieci; *Techniques for the Child Interview and a Method for Substantiating Sexual Abuse* (Techniki przesłuchiwania dzieci i metoda zdobywania dowodów na wykorzystywanie seksualne) opublikowany na stronie Child Welfare Information Gateway; *Utilization of Questioning Techniques in Forensic Child Sexual Abuse Interviews* (Wykorzystywanie technik przesłuchań w wywiadach dotyczących wykorzystywania seksualnego dzieci) Monit Cheung; *Manipulation of Spiritual Experience, Unethical Hypnosis in Destructive Cults* (Manipulowanie doświadczeniami duchowymi i nieetyczne wykorzystywanie hipnozy w niszczycielskich sektach) doktor Lindy Dubrow-Marshall oraz doktora Steve’a K. Eichela. Polecam też klasyczne już dzieło Roberta J. Liftona *Thought Reform and the Psychology of Totalism* (Pranie mózgu i psychologia totalitaryzmu).

Niezwykłe przydatne okazały się również książki: *The Complete Illustrated History of Kabbalah* (Ilustrowana historia kabały) Maggie Whitehouse, *Tender Mercies: Inside the World of a Child Abuse Investigator* (Czułe miłosierdzie. W świecie śledczego ds. wykorzystywania dzieci) Keitha N. Richardsa, znany bestseller Marthy Stout *The Sociopath Next Door* (Nasz sąsiad socjopata) oraz *Without Conscience: The Disturbing World of Psychopaths Among Us* (Bez sumienia. Niepokojący świat psychopatów wśród nas) doktora Roberta D. Hare’a. Niezwykłe pouczająca okazała się także lektura średniowiecznej *Sefer Jecira* (Księgi Stworzenia). Wszystkie te teksty ogromnie mi pomogły w kształtowaniu postaci Menachema Szem Towa.

Opis ofiar z dzieci związany z kultem Molocha zaczerpnęłam z tekstu *Idolatry in the Valley of Hinnom* (Bałwochwaltwo w dolinie Ben-Hinnom) Zeva Vilnaya z jego zbioru legend jerozolimskich wydanych przez Jewish

Publication Society of America.

Pragnę również gorąco podziękować prokurator Oshrat Shoham, która podzieliła się ze mną swoimi doświadczeniami i podpowiedziała, jak mógł przebiegać proces opisany powyżej oraz jak takie sprawy wpływają na życie osobiste osób zaangażowanych w walkę o sprawiedliwość dla dzieci, ofiar wykorzystywania.

Podziękowania należą się także Alexandrze Stein, autorce *Mothers in Cults* (Matki w sektach), która udostępniła mi obszerne fragmenty swojej książki jeszcze przed opublikowaniem. Książka ta stanowi poszerzoną wersję jej artykułów na ten temat zamieszczanych w Internecie.

Gdy pracowałam nad rozdziałem trzydziestym czwartym, czyli wyznaniem Danielli, opierałam się na mejlu zdruzgotanej ofiary pozbawionego skrupułów guru. Tekst zamieściła na swojej stronie (www.amotherinisrael) Hannah Katsman. Autorka pragnie zachować anonimowość, ale chcę podziękować jej, że pozwoliła mi sięgnąć po swoje słowa i przeżycia. Mam nadzieję, że ta opowieść o strasznym losie tych, których omotali przywódcy duchowi, trafi do szerokiej publiczności i posłuży za ostrzeżenie, uchroni też innych przed tak potwornymi doświadczeniami.

Dziękuję mojej redaktorze Jennifer Weis za wiarę we mnie, a także mojemu agentowi Melowi Bergerowi z WME za jego nieustanne wsparcie.

Jestem ogromnie wdzięczna mojemu synowi, Akivie Ragenowi, który ukazał mi prawdziwe piękno i poezję kabały, która – właściwie nauczana i praktykowana – ma pogłębiać duchowość wierzących, otwierać przed nimi nowe perspektywy. Dziękuję mu też za to, że wyjaśnił, jak pozbawiony skrupułów przywódca sekty może posłużyć się kabałą do manipulacji i niszczenia niewinnych poszukiwaczy mądrości.

I wreszcie dziękuję mojemu mężowi Alexowi, który był moim pierwszym czytelnikiem. Doceniam jego celne uwagi, które ogromnie się przydały w pracy nad ostatecznym kształtem książki.

[6](#) Izraelski Ośrodek ds. Ofiar Sekt.

Pytania do dyskusji

1. Główną bohaterką powieści jest Daniella, matka siedmiorga dzieci. Co sądzisz o tej postaci? Czy twój stosunek do niej zmieniał się w miarę rozwoju akcji? Jeśli tak, to dlaczego?
2. Opisz związek Danielli z matką. Czy dokonywałyby innych wyborów życiowych, gdyby jej sytuacja rodzinna wyglądała inaczej? W jaki sposób dzieciństwo wpłynęło na jej późniejsze losy?
3. Młody Shlomie zaangażował się w tradycyjne ruchy judaistyczne. Co o nim sądzisz? Jak wyglądałoby jego życie, gdyby pozostał Stevenem?
4. Bina Cedek jest policjantką i wierzącą żydówką. Jak sprawa Szem Towa wpływa na jej życie? Co jej konflikt z Daniellą mówi nam o ortodoksyjnych i zaangażowanych odłamach religii we współczesnym świecie? Zgadzasz się z tą diagnozą?
5. Czy według ciebie rabbanit Toledano postąpiła właściwie?
6. Co możemy zrobić, by nie dopuścić do takich tragedii?
7. W jaki sposób prolog zapowiada późniejsze wydarzenia?
8. Kim są bohaterowie książki?
9. Kto przechodzi najgłębszą przemianę?
10. Kim jest Szem Tow? W jakim stopniu ukształtowało go środowisko? Czy wychowany w niepraktykującej amerykańskiej rodzinie, byłby zupełnie innym człowiekiem?

Spis treści

Prolog

Część pierwsza

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Część druga

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Epilog

Podziękowania

Pytania do dyskusji